Prolog

To śliczna dziewczynka.

Lekarz ułożył noworodka w ramionach matki i popatrzył na dziecko, głaszcząc swoją gęstą jasną brodę.

Matka spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Niech pan podejdzie, proszę się nie bać – powiedział lekarz do ojca.

W pokoju panowała cisza zakłócana tylko szumem deszczu, który padał bez przerwy od poprzedniego wieczoru.

Był dziesiąty czerwca, przez ostatnie tygodnie pogoda była piękna, a teraz drobne krople błyszczące jak okruchy srebra padały z nieba zasnutego perłowymi chmurami.

– Jest cała zakrwawiona – zaniepokoił się ojciec małej. – Możemy obejrzeć... jej plecy?

– Oczywiście. Proszę ją odwrócić.

Lekarz nie przestawał głaskać złocistej brody, spoglądając to na ojca, to na młodą matkę.

Kobieta delikatnie odwróciła dziecko, jakby trzymała kruchy kryształowy wazon. Potem uniosła je i przyjrzała się uważnie.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Nic nie widać, jest cała umazana krwią – powiedziała.

Ojciec pochylił się nad małą z niepokojem. Lekarz zauważył kilkuletnią dziewczynkę, która spoza uchylonych drzwi obserwowała to, co dzieje się w pokoju.

– Wasza pierworodna też jest ciekawa – skomentował z uśmiechem. Ale ojciec nie zwracał uwagi na starszą córkę. Teraz były pilniejsze sprawy i jasno dał to doktorowi do zrozumienia naglącym spojrzeniem.

– Proszę się nie niepokoić – powiedział lekarz. – To normalne, że jest umazana krwią. Zaraz państwu pokażę.

Schylił się nad matką i delikatnie uniósł dziewczynkę. Zanim ją odwrócił i obejrzał jej plecy, popatrzył na jej pomarszczoną buzię i nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– O co chodzi? Coś nie tak? – spytała matka.

– Nie, nic, po prostu noworodki są prześmieszne.

Spokój lekarza zaczynał irytować młodych rodziców, którzy najwyraźniej nie mieli ochoty na pogawędki.

Chcieli zobaczyć. Chcieli dotknąć. Chcieli zetrzeć krew i wreszcie obejrzeć plecy swojego małego aniołka.

Ale wyraz twarzy lekarza zmienił się nagle, a uśmiech zamarł mu na ustach.

– Położna! – krzyknął.

W następnej chwili młoda kobieta w białym kitlu stała już u jego boku. I patrzyła na małą z równym niepokojem i zdumieniem.

– Ale... ta dziewczynka nie jest aniołkiem?

– Powinna być. Ale nie jest.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Nasza tajemnica

Ostatniego dnia wakacji nie można spędzać w domu. To jedno z niepisanych praw ucznia. Zamykam książkę i wyskakuję z łóżka.

Poprawiam kasztanowe włosy, bezskutecznie usiłując okiełznać niesforny lok, ten sam, co zawsze. Wywracam do góry nogami szufladę, żeby znaleźć album *30 Second to Mars*, który muszę oddać przyjaciółce, ale po chwili przestaję szukać płyty.

– Nie wracaj zbyt późno – przykazuje mi mama, kiedy zamykam za sobą drzwi.

Pędzę wąskimi uliczkami centrum miasta, mijam szare domy z wulkanicznego tufu, zalane słońcem, które rozgrzewa je do białości i sprawia, że błyszczą, jakby były skąpane w wodzie, a nie w słonecznym blasku.

Moje miasto to jedno wielkie oszustwo, myślę, mrużąc oczy we wściekłym słońcu. Z definicji miasto, ale tak naprawdę wiocha.

Nie wszyscy się znają – mimo wszystko to sześćdziesiąt tysięcy ludzi – ale zgodnie z pewną teorią, można ze sobą połączyć dwie dowolne osoby na świecie łańcuchem osób, które się znają, liczącym

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

nie więcej niż sześć ogniw; tu, u nas, wystarcza jedna, najwyżej dwie osoby, jeśli ktoś jest wyjątkowym odludkiem.

Wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich jak na wsi, ale w życiu ci nie pomogą, jeśli tylko nie muszą – jak w wielkim mieście.

Jesteśmy miastem zabytkowym, średniowiecznym, jak twierdzą niektórzy, i... mylą się, bo tak naprawdę nasze korzenie sięgają o wiele dalej w przeszłość, do czasów, kiedy te ziemie zamieszkiwali Etruskowie.

Z tamtych wieków, kiedy ludzie przepowiadali przyszłość i mieszkali w domach z tufu, nie zostało wiele – zaledwie kilka skalnych grobów i parę fresków trudnych do zinterpretowania.

Za to po średniowieczu zostały ulice wyłożone szarym wulkanicznym kamieniem, place z fontannami z ciemnego granitu i posągami lwów, które jakimś cudem wdrapały się na wieże i ościeżnice i gapią się na człowieka, obserwują wszystko kamiennymi oczami z wulkanicznego popiołu, stwardniałego przez wieki. Obserwują cię, jak nadchodzisz, mijasz je i idziesz dalej.

Pozostały też mury miejskie. Wysokie, potężne, zbudowane po to, by nie wpuścić wrogów do miasta, i które dziś, być może, mają nas w nim zatrzymać, odciąć od świata. Bo nasze miasto jest zamknięte na nowości i nowych ludzi. Jesteśmy potomkami ludu tajemniczego, i do dziś słabo poznanego, mającego swoje obrzędy, kapłanów i nekropolie. Ludu, który od tysiącleci zazdrośnie strzeże swoich ta-

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

jemnic. Dlatego i my dziś spoglądamy na wszystko podejrzliwie, dlatego nie ufamy nikomu, kogo nie znamy.

Gdyby ktoś przeczytał pewne księgi, gdyby dostrzegł pewne epizody w historii, z pewnością zdołałby odkryć nasz sekret, a przynajmniej domyślić się jego istnienia.

Ale kogo obchodzi maleńkie miasteczko położone w dolinie, otoczone górami, schowane w cieniu Rzymu?

Viterbo żyje zabarykadowane, samo dla siebie, wciąż ukrywa swoje tajemnice, jak czyniło to zawsze, i dobrze mu z tym.

Moja rodzina jest tego najlepszym przykładem.

Ale w jakim innym miejscu na świecie mogłyby jawnie żyć anioły?

Mieszkańcy nas szanują, być może kiedyś nawet się nas bali, ale teraz uznają fakt – pomijając nawet naszą krew i skrzydła (czy też to, co z nich pozostało) – że widzieliśmy narodziny tego miasta, żyliśmy w nim razem z ich przodkami i jesteśmy świadkami jego historii. I z tymi miejscami, z tymi ludźmi łączą nas tysiącletnie więzy przyjaźni i szacunku, których nikt nie ma zamiaru przecinać.

Oto dlaczego ta dziura zabita dechami, trochę szara zimą, trochę ciasna, jeśli ma się siedemnaście lat (i wielką ochotę poznać świat) jest jedynym miejscem, w którym anioły takie jak moja rodzina mogły się osiedlić i żyć.

Takie jak moja rodzina, podkreślam, ale nie jak ja.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Moja rodzina pochodzi od starożytnej linii aniołów i wszyscy jej członkowie, z jednym wyjątkiem, są doskonali.

Mój ojciec jest aniołem, moja matka jest aniołem, moja siostra Elena jest aniołem; wszyscy piękni jak na renesansowych obrazach, wszyscy mają twarze jak na płótnach Botticellego, wszyscy mają włosy jasne jak zboże w czerwcu. I wszyscy mają skrzydła.

Wszyscy oprócz mnie.

Ja jestem drugą córką, nie mam skrzydeł i potykam się trzy razy na dwa kroki; niechby nawet i z gracją, o ile można z gracją nakrywać się nogami... tak czy inaczej, ląduję na tyłku.

Moja siostra była obecna przy tym radosnym wydarzeniu, jakim były moje narodziny. Miała na sobie jeden z tych uroczych komplecików, w jakie rodzice ubierają cię podstępem, zanim nauczysz się myśleć i zaczniesz je z siebie zdzierać.

Tak więc była w szpitalu, w błękitno-karmelowej sukieneczce, z jasnymi włoskami – złotymi nitkami rozsypanymi na ramionkach, z których wykluwały się już delikatne zaczątki piór... Ona, przykład genetycznej doskonałości odziedziczonej po naszych rodzicach.

Wyobraźcie sobie osłupienie rodziców i personelu w szpitalu, kiedy ja wydałam z siebie pierwszy krzyk.

Być może któregoś dnia ktoś zdoła mi wytłumaczyć, co się właściwie stało, co takiego było w powietrzu, nie licząc deszczu. Może tak naprawdę nic szczególnego.

Nie wybierasz sobie miejsca urodzenia, rodziców, nie masz wpływu na to, jakim się rodzisz.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Dziwnie jest nie mieć skrzydeł, należąc do rodziny aniołów.

Dziwnie jest być brunetką w rodzinie, w której wszyscy mają włosy złotoblond.

Dziwnie jest być jedyną czerwoną różą na polu białych róż.

I dziwnie patrzą na mnie inne róże.

Wybryk natury.

Czarna owca.

Wszystkie białe owieczki ze stada musiały uznać, że jestem córką moich rodziców: to jest oczywiste. Mam wielkie oczy mojej matki – ale zielone, nie jasnoniebieskie – i delikatny łuk brwi, jak tata. I usta jak pączek róży – idealną kalkę ust mojej siostry Eleny. Można więc wykluczyć zamianę noworodków w szpitalu przez nieuważną pielęgniarkę, wykończoną po dwudziestoczterogodzinnym dyżurze.

Może reszta śnieżnobiałego stadka wolałaby móc trzymać się takiej teorii, a może nie... Nie wiem, co by było lepsze w takim małym mieście jak moje.

– Cześć, Vittoria. – Znajoma kobieta wita się ze mną, kiedy idę uliczkami starówki.

Człowiek czułby się tu jak w średniowieczu, gdyby nie samochody zaparkowane przy krawężnikach i podświetlone witryny sklepowe, które świadczą o nadejściu nowoczesności.

Ludzie, których spotykam, pozdrawiają mnie. U nas zawsze tak jest: na dwa kroki, jedno „dzień dobry".

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

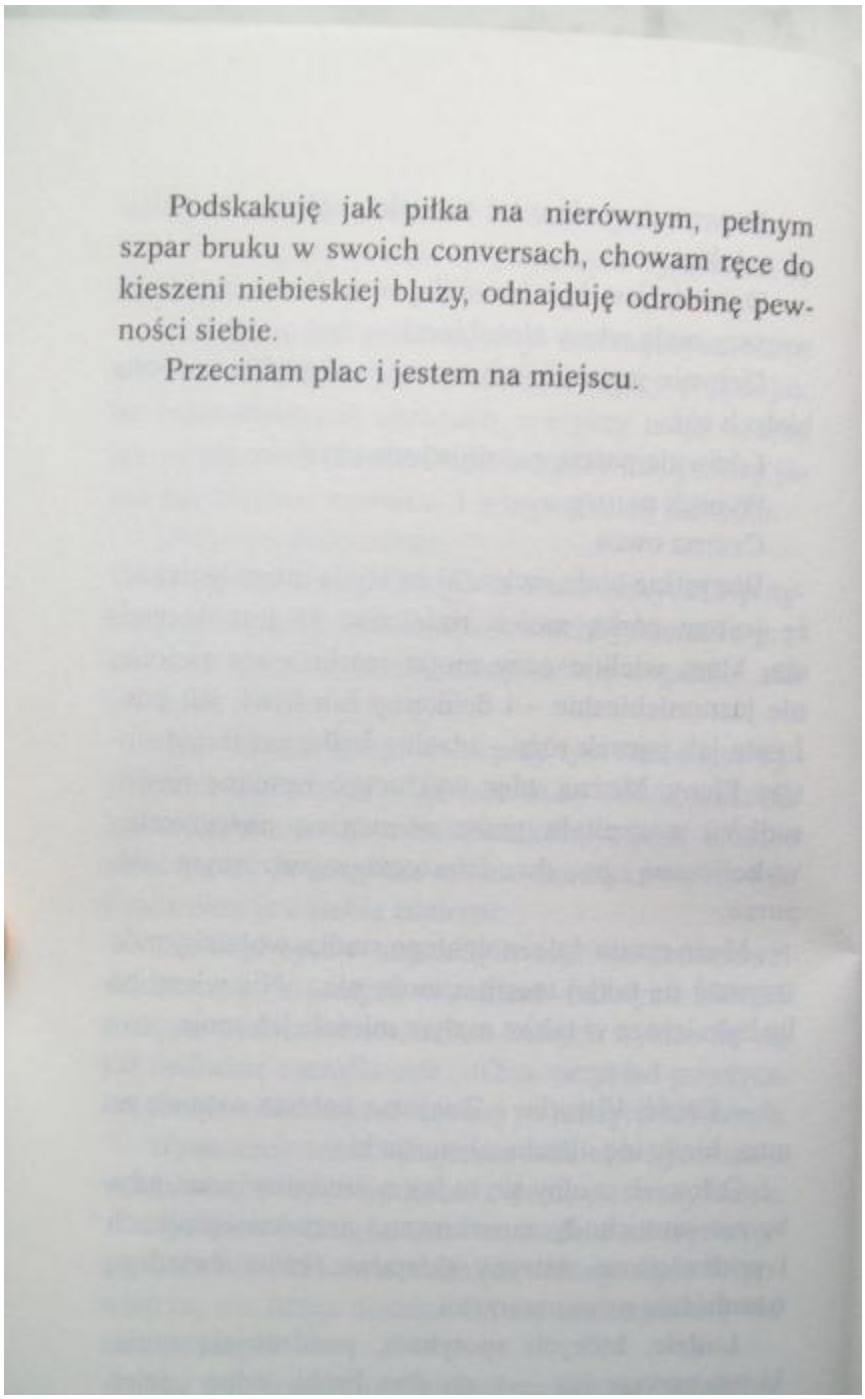

Podskakuję jak piłka na nierównym, pełnym szpar bruku w swoich conversach, chowam ręce do kieszeni niebieskiej bluzy, odnajduję odrobinę pewności siebie.

Przecinam plac i jestem na miejscu.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Anioły takie jak oni

Lorenzo jest moim najlepszym przyjacielem, wychowywaliśmy się razem, znamy się od czasów, kiedy ja miałam jeszcze kasztanowe warkoczyki, a on miał już złocistą grzywę, której mogłoby mu pozazdrościć słońce.

Naciskam guzik domofonu. Nikt nie odpowiada.

Typowe: pewnie siedzi jeszcze pod prysznicem albo suszy włosy.

Przyklejam się do guzika, dwoma palcami.

Zobaczymy, czy teraz usłyszy.

Po dobrej minucie reaguje.

– Cześć, Vichi. Wchodź.

Odrywam palce od guzika; zawsze umiał rozpoznać, że to ja dzwonię.

Dom Lorenza bardzo mi się podoba, zwłaszcza że zwykle nikogo nie ma z licznej rodziny, a jeśli już ktoś jest, po prostu zostawia nas w spokoju.

Lorenzo otwiera drzwi; jego jasne loki jeszcze są wilgotne.

– Wybacz, wycierałem się.

Oczywiście.

– Nic nie szkodzi, tak myślałam.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Lorenzo jest dla mnie naprawdę jak brat, chociaż nie jesteśmy spokrewnieni. Jest moim bratem bardziej niż „święta" Elena siostrą. On jest zawsze i zawsze był w moim życiu, nie mam wspomnień, które nie byłyby związane z nim w taki czy inny sposób. Lore mówi mi, kiedy przesadzam, a jednocześnie jest zabawny, zawsze potrafi podnieść mnie na duchu. Nie potrzeba nawet zbyt wielu słów; jeśli jedno ma doła, drugie to czuje, widzi, pyta i radzi, jeśli to konieczne, albo po prostu słucha i tyle, wiedząc, kiedy lepiej milczeć.

I to jest piękne w naszej znajomości.

Idziemy do jego pokoju; on kończy się ubierać, a ja rzucam się na niebieski fotel z gąbki.

– Któregoś dnia ten potwór mnie połknie – mówię, zapadając się w fotel przypominający konsystencją budyń.

– Tak, usiłuję go wytresować, ale nie jest zbyt posłuszny!

Wybucham śmiechem i zapadam się na dno tej piankowej pułapki, tak niesamowicie wygodnej.

– Daj mi rękę, nie mogę z tego wyleźć!

– Strasznie mnie kusi, żeby zostawić cię na pastwę losu – mówi Lore ze śmiechem.

Bierze mnie za rękę i podnosi z sadystycznego mebla.

W przeciwieństwie do mnie Lorenzo jest aniołem idealnym: smukłym, jasnowłosym, z jasnymi oczami koloru zielononiebieskiej wody. I ze skrzydłami. Teraz nie są rozpostarte, ale tak naprawdę nie są też złożone. Anioły takie jak my – przepraszam, takie

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

jak oni (te mające wszystko na swoim miejscu) – nie chodzą z piórami na widoku. Między innymi dzięki temu wyglądają na „normalnych", kiedy potrzeba.

– Co robimy? – pyta. – To ostatni dzień wakacji, powinien być wyjątkowy.

– Wiem, wiem... masz jakiś pomysł?

– Możemy wsiąść w pociąg i gdzieś pojechać. W mieście nie ma za wiele atrakcji...

– Może do Rzymu, ale już za późno na wycieczkę.

– Masz rację. Więc moglibyśmy pojechać do...

Milczymy przez chwilę, szukając natchnienia, aż dla obojga staje się jasne, że nie mamy zbyt wielu możliwości.

– Idziemy obudzić Ginevrę? – proponuję.

– Doskonały pomysł.

Ginevra to moja najlepsza przyjaciółka i dziewczyna Lorenza. Są ze sobą już od prawie dwóch lat, ale ich sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana, niż powinna.

Ginevra nie jest aniołem, jest śmiertelniczką.

To głupie, bez sensu i archaiczne, bardzo archaiczne, ale anioły nie mogą się wiązać z nieaniołami. Takie są zasady.

Ginevra i Lorenzo są odważni i ignorują niemiłe komentarze i potępiające spojrzenia, z którymi czasem się spotykają. Są bardzo, bardzo silni i godni podziwu, i mimo że wszyscy wiedzą o nich, muszą się bardzo pilnować.

Serce mi się kraje za każdym razem, kiedy spacerujemy razem i widzę, jak muskają się palcami,

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

spragnieni dotyku, i znów odsuwają, bojąc się dezaprobaty kogoś znajomego.

Zbiegamy po klatce schodowej zabytkowej willi i wpadamy na parę aniołów, całujących się pod kolumną.

Lorenzo patrzy na nich z zazdrością.

– Wiesz, co by się stało, gdybyśmy ja i Ginevra tak się całowali? – mówi, smutno kręcąc głową.

– Pewnie wyrzuciliby was z miasta.

– Tylko? Ja myślę, że zamknęliby nas w klatce i pokazywali na rynku.

Żartuje, a raczej próbuje żartować. Prawda jest taka, że bardzo cierpi, nawet jeśli stara się tego nie pokazywać. I chociaż nikomu nie przyszłoby do głowy umieszczać ich w klatce na rynku, z całą pewnością ponieśliby konsekwencje.

Wychodzimy na zalaną słońcem ulicę.

Złote promienie rzucają się zazdrośnie na jasną grzywę Lorenza, bawią się nią, giną w niej i grają w berka, sprawiając, że jego loki lśnią jak brokat.

Cała dzielnica drży, kiedy mój przyjaciel wychodzi z domu w słoneczny dzień, całe miasto drży, a ja się śmieję, bo ciągle jeszcze nie przywykło do jego porażającej urody.

Ale właściwie to dobrze, bo kiedy ludzie są zajęci osłanianiem się przed oślepiającym blaskiem Lorenza, zaabsorbowani jego czupryną, nie zwracają uwagi na moje kasztanowe włosy, do których nie zdążyli się jakoś przyzwyczaić.

– Zasady wcześniej czy później się zmienią – dodaję mu otuchy. I Lorenzo wie, o czym mówię.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Tak, też na to liczę – wzdycha, ale bez przekonania.

To zasada tak stara jak te ulice; nie, starsza – jest jak bloki tufu w nekropolii. Chodzimy w dżinsach, z komórkami i iPodami w torbach i musimy przestrzegać tego rodzaju segregacji? To absurd.

Przede wszystkim męczy mnie to, że poniekąd ta zasada dotyczy także mnie. Bo w jakiej sytuacji mnie to stawia? Z kim ja, anioł bez skrzydeł, mogę się związać? Z szafką na buty?

Oto pytanie.

Wolę o tym nie myśleć.

Maszerujemy ulicami i po paru minutach jesteśmy na miejscu.

Ginevra mieszka na starówce, w pałacu ze wspaniałym kamiennym tarasem, który góruje nad dachami i otaczającą miasto doliną. Z tarasu widać wieś, która zresztą zaczyna się tuż za miejskimi murami.

Jej matka wita nas w drzwiach i informuje, że Ginevra jeszcze śpi.

Żadna niespodzianka. Ja też jestem leniuchem, strasznym leniuchem, ale Ginevra bije mnie na głowę.

– Idźcie ją obudzić – mówi jej mama, wpuszczając nas. – Może wy dacie radę wyciągnąć ją z łóżka.

Już od jakiegoś czasu przestała wymyślać sposoby na obudzenie córki o przyzwoitej godzinie.

Wchodzimy do pokoju Ginevry, tonącego w półmroku. Idę do okna i otwieram żaluzje, tylko odrobinkę. Wpuszczam dwa promienie słońca, które ledwie rozjaśniają pokój.

Lorenzo siada na łóżku.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Całuje Ginevrę w czoło.

Ona porusza się, otwiera oczy na tę słodką pobudkę.

– Kochanie... – szepcze, przecierając oczy – miałam idiotyczny sen. Byłeś w nim ty, i... – w tej chwili jej spojrzenie pada na mnie – ...i była Vittoria... Och, do diabła, może ja jeszcze śnię.

– Nie, nie śnisz! – wołam ze śmiechem. – Ale z całą pewnością jeszcze śpisz.

Lorenzo też wybucha śmiechem i Ginevra rozgląda się dokoła, zdezorientowana.

– Idę na taras – mówię, kierując się do drzwi. – Opowiedzcie sobie swoje sny, ja czekam na dworze.

Taras Ginevry jest pełen wielkich glinianych donic, z których wylewają się kwiaty; rośliny pną się po starożytnym murze, oplatają drewnianą pergolę, zwisają miękkimi, pachnącymi girlandami.

To jest nasz prywatny ogród. Nasza oaza zieleni i jaskrawych barw w tym mieście, pięknym, ale wykutym z kamienia.

Siadam na drewnianej huśtawce i zamykam oczy, pozwalając, żeby bujał mnie wiatr. Słodki zapach kwiatów wypełnia mi nos i na chwilę zapominam, gdzie jestem. Otwieram oczy i spoglądam w błękitne niebo, typowe dla lata, z kilkoma białymi chmurkami, które wyglądają jak wielkie kłębki zwiewnej waty. Stąd niebo wydaje się o wiele bliższe niż ulica i nie mogę po raz setny nie zadać sobie pytania, gdzie jest moje miejsce.

– Cześć, aniołku! – wita mnie Ginevra z okna wychodzącego na taras.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Zawsze mnie tak nazywa, chociaż wie, że za tym nie przepadam. Ale już przestałam jej to wypominać.

– Witaj, złośliwa bestio.

Ginevra śmieje się i wychodzi do mnie.

– Jedliście już śniadanie?

– A widziałaś, która jest godzina?

Patrzy na zegarek i szeroko otwiera oczy ze zdumienia.

– Trochę sobie pospałam... – mówi ze śmiechem. – Idę po kawę i zaraz wracam.

Znika za płócienną zasłoną wiszącą w drzwiach na taras.

Lore siada na krześle, zamyka oczy i wystawia twarz na pocałunki letniego słońca, jeszcze letniego – tego słońca, na które za kilka dni będziemy tęsknie patrzeć z okien szkoły.

– O czym myślisz? – pyta.

Nigdy się do tego nie przyzwyczaję: Lore potrafi wyczuć moje myśli, moje napięcie z daleka, nawet z zamkniętymi oczami.

– O różnych rzeczach – odpowiadam cicho. Wciąż śledzę spojrzeniem kształty chmur. – Nie jest ci czasem trochę za ciasno w tym mieście? – pytam go w końcu, chwytając jedną z nici moich myśli.

– Masz ochotę pojechać do Rzymu przed końcem lata?

– Nie odpowiada się pytaniem na pytanie. Ale owszem, to fajny pomysł.

– Czasem.

– Co czasem?

– Czasem jest mi ciasno, czasem nie.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Też mi odpowiedź…

Ginevra staje w wejściu na taras z talerzem w rękach.

– Ale moich ciastek musicie spróbować. Upiekłam wczoraj wieczorem!

Ja i Lorenzo wymieniamy spojrzenia i próbujemy ukryć zmieszanie.

Ciastka Ginevry są na szczycie listy przebojów jej „niezapomnianych" eksperymentów kulinarnych: potrafią być przypalone z wierzchu i surowe w środku. Założę się, że gdyby zostawiła je w kuchni, same rzuciłyby się do kosza na śmieci.

Próbuję jedno, ale tylko po to, żeby jej sprawić przyjemność.

– Skarbie, wiesz, że cię kocham…

– Co, nie smakują ci?

– Nie, nie, smakują, tylko że…

– Wczoraj wypróbowałam nowy przepis, muszę go tylko dopracować! – trajkocze zadowolona. A ja nie mam serca rozwiewać jej złudzeń.

– Są doskonałe, naprawdę.

Komu może zaszkodzić jedno małe kłamstewko?

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Taki piękny że aż boli

Dlaczego? Pytam, dlaczego?

Dlaczego życie nie jest łatwe i spokojne?

Dlaczego zawsze musi się tak strasznie zaplątać?

Nie rozumiem tego, przysięgam. To silniejsze ode mnie.

Oto siedzę na siodełku skutera i staram się nie spaść. Usiłuję kontrolować samą siebie, mój pojazd, który nie chce współpracować, gaz, którego nie mogę wyregulować, i męczące mdłości, które zawdzięczam ciastkom Ginevry. Jakiś kot, siedzący na balkonie nade mną, świetnie się bawi, obserwując moje kłopoty. Gimnastykuję się, udając cyrkówkę i przeklinając wątpliwe talenty kulinarne mojej serdecznej przyjaciółki, ale jadę. Tą samą droga, co zawsze: kamienną, denerwującą, ale znajomą... Drogą do domu. Nie mogłabym zabłądzić nawet z opaską na oczach.

I nagle tu, gdzie nigdy bym się tego nie spodziewała, w miejscu znajomym do bólu, gdzie nie zdarzają się niespodzianki, los podstawia mi nogę. Jak zwykle czai się za zakrętem, tasuje karty.

Omal się nie wywracam, opony piszczą, skuter się przechyla, a ja razem z nim, starając się nie

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

wywalić. Kierownica robi, co chce, i o mało nie wjeżdżam...

W niego.

Widzieliście kiedyś, jak słońce rodzi się z wody? To przepiękny spektakl, każdy promień zaprasza cię, by gapić się jeszcze chwilę w to światło czerwone jak krew. Ale zbyt długie patrzenie może być niebezpieczne: choć oczy chcą podziwiać przepiękny widok, rozum podpowiada, że blask może ci uszkodzić wzrok.

Właśnie taki jest on.

Siedzi na ławce po turecku, czyta książkę, odrobinę unosi głowę, zupełnie nieprzejęty tym, że jakaś wariatka z włosami zjeżonymi ze strachu i jej skuter minęli go o milimetr.

Niewzruszony, unosi brew ozdobioną srebrnym piercingiem.

Wygląda jak posąg, a może to ja jestem jeszcze pod halucynogennym wpływem ciastek Ginevry, upału, strachu czy też wszystkiego razem.

Jest jak skamieniały – tak jak ja.

Nie śmieje się, nie wrzeszczy... ale kim jest? I skąd się tu wziął?

To na pewno turysta.

Ma idealną skórę, jak błyszczący jedwab.

Jasne, bardzo jasne włosy, w kolorze niemal nienaturalnym i pięknym; nie sądziłam, że w ogóle istnieje taki kolor. Rysy jego twarzy są słodkie, delikatne jak naszkicowane węglem na płótnie: wydatne kości policzkowe, wargi pełne, jakby nadąsane.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

W tej chwili patrzy w moje oczy. Jego są jak studnia. Czarne, tak piękne, że aż boli.

Uciekaj.

Wewnętrzny nakaz brzmi w mojej głowie, jakbym znalazła się twarzą w twarz z najokrutniejszym z morderców przystawiającym mi nóż do gardła, a nie z najpiękniejszym chłopakiem, jakiego widziałam w życiu.

Uciekaj. Szybko!

Turysta piękny jak róża na pustyni wciąż na mnie patrzy.

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z sytuacji.

Ja.

Która o mało go nie przejechałam.

Sterczę przy wywróconym skuterze, ściskając w dłoniach wykręconą kierownicę.

I gapię się na niego jak idiotka…

Podnoszę skuter, uruchamiam go i zmykam w sekundę.

Przejeżdżam kilka kilometrów i się zatrzymuję. Również dlatego, że z tego wstydu pojechałam złą drogą.

Zawracam.

Mam nadzieję, że chłopak nie jest obcokrajowcem, chociaż, z drugiej strony, wysłuchiwanie obelg w języku, którego nie znam, byłoby chyba łatwiejsze do zniesienia.

Skręcam w stronę ławki. Wyłączam silnik i rozglądam się, osłupiała.

Zniknął.

Jadąc właściwą drogą do domu, wciąż zadaję sobie pytanie, kim mógł być ten tajemniczy facet.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

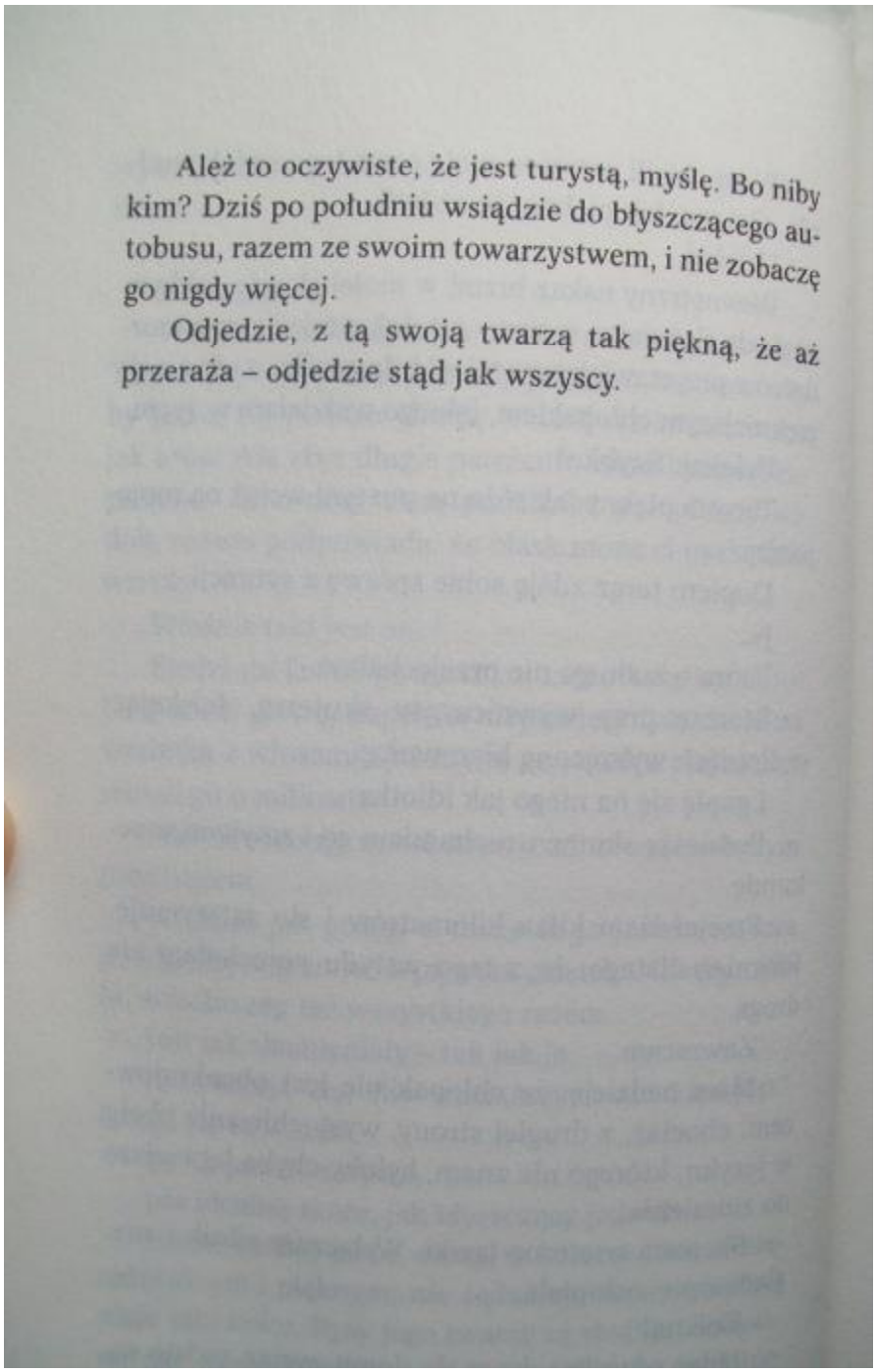

Ależ to oczywiste, że jest turystą, myślę. Bo niby kim? Dziś po południu wsiądzie do błyszczącego autobusu, razem ze swoim towarzystwem, i nie zobaczę go nigdy więcej.

Odjedzie, z tą swoją twarzą tak piękną, że aż przeraża – odjedzie stąd jak wszyscy.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Nigdy nie będziesz taka jak oni

Jutro zaczyna się szkoła. A ja zupełnie nie mam apetytu na filozofię. Ale teraz to nieważne.

Wtykam słuchawki do uszu i włączam iPoda.

Muzyka, lekarstwo i trucizna, ale przede wszystkim wierna towarzyszka życia.

Podkręcam głośność i słucham swojej ulubionej kapeli, pozwalam się pieścić i kołysać znajomym nutom i temu głosowi, który tak kocham.

W ten sposób może nie będę myśleć ani o filozofii, ani o niczym innym.

Czasami myślenie sprawia mi ból. A dzisiaj jest jeden z moich dni na „nie". Nie stało się nic szczególnego, jeśli nie liczyć zniknięcia CD *My Chemical Romance*, który, obawiam się, zaginął na zawsze. To po prostu jeden z tych dni, kiedy świat kręci się nie tak, jak trzeba, a przynajmniej mój świat, a ja obserwuję go z boku i czuję się jak kosmitka.

Obca w świecie, gdzie wszyscy są jednakowi.

Wszystko, co robię, wszystko, co mnie spotyka, przypomina mi, że jestem inna. Każdy epizod, każde słowo jest krzykiem, który rozdziera ciszę i który podkreśla moją inność. Brutalnym krzykiem, który

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

wciąż mi przypomina: zawsze będzie ci czegoś brakować. I nigdy nie będziesz taka jak oni.

Na przykład dzisiaj przed obiadem: ojciec szukał terminarza, po chwili znalazła go Elena.

– Był pod papierami, koło segregatora, tatusiu – powiedziała.

Ojciec wziął terminarz i plasnął się dłonią w czoło okolone złotymi lokami.

– Ależ oczywiście, co za idiota, sam go tam położyłem...

Podszedł do Eleny, pogłaskał ją po głowie i po policzkach, jakby ciągle była małą dziewczynką.

– Dzięki, mój aniołku – szepnął do niej.

Mama odwróciła się od kuchenki, na której gotowała obiad, i spojrzała na nich z pełnym miłości uśmiechem.

Wyglądali prawie jak z reklamy. Byli doskonali, przepiękni, kochający...

A ja stałam w drzwiach i patrzyłam na tę wzruszającą scenkę rodzinnej bliskości.

Z zewnątrz.

Nie brałam w niej udziału.

Stałam w progu. Na marginesie pokoju. Na marginesie ich życia. Jak nieproszony gość, który przez dziurkę od klucza podgląda świat i życie, w którym nie uczestniczy, i w którym nie widzi dla siebie miejsca.

Wzdycham i włączam najbardziej romantyczną piosenkę, która może mnie pocieszyć, zamykam oczy i widzę siebie, prowadzoną za rękę przez melodię, obejmowaną przez dźwięki gitary i basu.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

W tej błogiej chwili moja siostra wpada do pokoju. Przestraszona otwieram oczy, a ona z furią wrzeszczy coś, czego nie słyszę.

– Hę? Co?

Ściąga mi słuchawki z głowy.

– Hej! Co robisz? – protestuję.

– Ile razy ci mówiłam, że nie wolno ci brać moich rzeczy? Masz tu wieczny bajzel, a ja jestem spóźniona!

Zaczyna patroszyć moje szuflady.

– Co ty gadasz, co licha? Nie wzięłam niczego twojego!

Wywala moje rzeczy, powiększając jeszcze – o ile to możliwe – bałagan panujący w pokoju.

– Elena, przestań! Czego szukasz, do diabła? Przestań w tej chwili, nigdy nie biorę twoich rzeczy!

– Tia, jasne, mojej ładowarki nie widziałam przez trzy tygodnie, zanim mi ją oddałaś.

– Ale przecież cię pytałam, czy mogę pożyczyć! Poczekaj, słuchaj…

Rzuca mi w twarz bluzę, prosto z szafy, którą rozmontowuje po kawałku jak regał z IKEA. Teraz już jestem wściekła.

– Słuchaj, a mogę przynajmniej wiedzieć, czego szukasz? – pytam grzecznie spod ciuchów, którymi mnie przysypała.

– Moich białych dżinsów z kieszeniami.

Spoglądam na nią z wyższością.

– A, tych – mówię bardzo spokojnym tonem. – Tych, których nie włożyłabyś w życiu, choćby cię torturowali, i które leżą na samym wierzchu w koszu z prasowaniem przynajmniej od czterech dni.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Deszcz ciuchów ustaje.

Jasnowłosy anioł, z którym, na moje nieszczęście, żyję pod jednym dachem, spogląda na mnie.

– Mogłaś powiedzieć od razu.

– Mogłaś zapytać!

– Już się uspokój.

– Ja się mam uspokoić? To ty się wściekasz przez każdą bzdurę, też mi anioł, który się zachowuje jak demon!

Elena sztywnieje, zaciska usta w grymasie wściekłości.

– Jesteś głupia. Z pewnych rzeczy się nie żartuje.

Wychodzi, trzaskając drzwiami, bardziej rozgoryczona niż zła. A ja nie rozumiem, dlaczego moje słowa były takie straszne, takie porażające?

– Elena, co ja takiego powiedziałam?

Otwieram drzwi, idę za nią korytarzem i potykam się o wazon (w tym domu jest stanowczo za dużo wazonów).

– Odpowiedz mi, co ja takiego powiedziałam?

– Nic, nic.

Przygładza dłonią włosy jasne jak zboże. Chce mnie spławić, ale ja nie odpuszczam.

– Elena, powiedz.

– Nie ma po co. I tak nie zrozumiesz!

Zatrzymuję się.

To jest jak cios pałką w głowę. Ona dobrze wie, jaki efekt wywierają na mnie te słowa. I dobrze wie, jak to wykorzystać.

Spuszczam głowę i wracam do pokoju.

Zamykam się.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

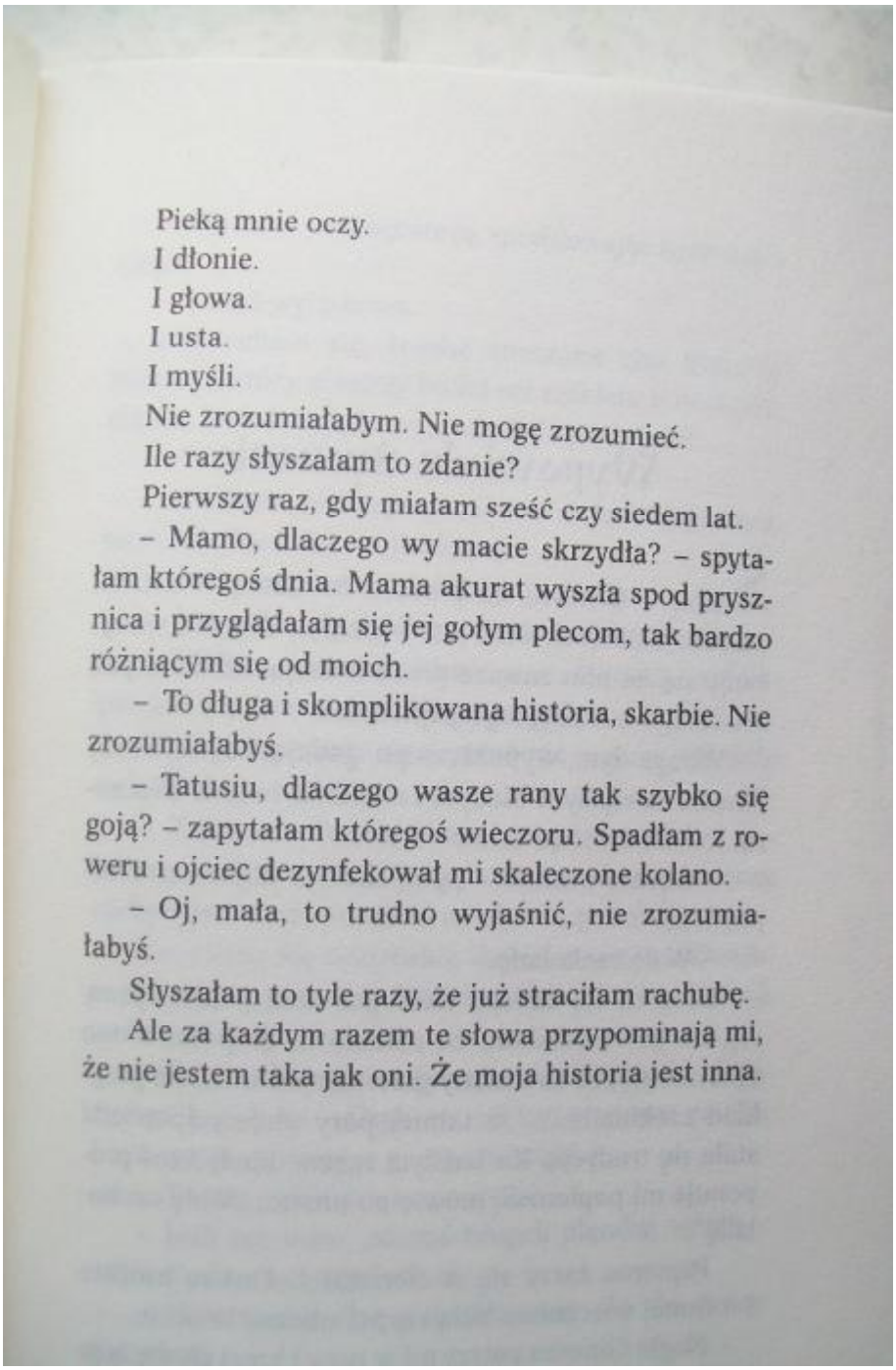

Pieką mnie oczy.
I dłonie.
I głowa.
I usta.
I myśli.
Nie zrozumiałabym. Nie mogę zrozumieć.
Ile razy słyszałam to zdanie?
Pierwszy raz, gdy miałam sześć czy siedem lat.
– Mamo, dlaczego wy macie skrzydła? – spytałam któregoś dnia. Mama akurat wyszła spod prysznica i przyglądałam się jej gołym plecom, tak bardzo różniącym się od moich.
– To długa i skomplikowana historia, skarbie. Nie zrozumiałabyś.
– Tatusiu, dlaczego wasze rany tak szybko się goją? – zapytałam któregoś wieczoru. Spadłam z roweru i ojciec dezynfekował mi skaleczone kolano.
– Oj, mała, to trudno wyjaśnić, nie zrozumiałabyś.
Słyszałam to tyle razy, że już straciłam rachubę.
Ale za każdym razem te słowa przypominają mi, że nie jestem taka jak oni. Że moja historia jest inna.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Wypowiedz życzenie

Siedzę z Ginevrą na placu z fontanną w ostatni wieczór wolności. Plac jest blisko jej domu i spotykamy się na nim zawsze przed kolacją. Ginevra pali ostatniego wakacyjnego papierosa.

Wciąga dym, wypuszcza go, gadając; dym tworzy fikuśne zawijasy w bladym i miękkim świetle wieczoru. Jest za dziesięć ósma.

– Chcesz macha? – pyta, chociaż dobrze zna odpowiedź.

– Wolę czekoladę.

Ginevra się śmieje. Któregoś dnia pokłóciłyśmy się, bo powiedziałam, że palenie to głupota, a ona upierała się, że to drobny grzeszek jak inne, na przykład czekolada... Od tamtej pory moja odpowiedź stała się tradycją. Za każdym razem, kiedy ktoś proponuje mi papierosa, mówię po prostu: „Wolę czekoladę".

Papieros żarzy się w ciemności. Dni są krótsze i o ósmej wieczorem palą się już uliczne latarnie.

Nagle Ginevra patrzy mi w oczy i kręci głową, a ja wiem, że w tej głowie jest myśl gotowa się zwerbalizować.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– No mów – zachęcam ją, spodziewając się wszystkiego.

– Jesteś wyjątkowa.

Uśmiecham się, trochę speszona tym komplementem, który niestety budzi też całkiem inne skojarzenia. Jesteś wyjątkowa, jedyna bez skrzydeł.

– W jakim sensie? – pytam.

– Unikasz niebezpieczeństwa w każdej postaci, nawet najbardziej… niewinnej.

– Ach, mówisz o paleniu.

– Nie tylko. Ty nigdy nie podejmujesz ryzyka.

– Może mam wyjątkowe geny. I rzeczy niebezpieczne po prostu mnie nie pociągają!

Papieros rozjarza się jeszcze raz – mały, jadowity świetlik.

– Tak jest – dodaję z przekonaniem. – Mam wyjątkowo silny instynkt samozachowawczy, rzeczy niebezpieczne zwyczajnie mi się nie podobają.

Śmiejemy się beztrosko; dzisiaj naszym największym problemem jest świadomość, że jutro budzik zadzwoni o siódmej.

– Tak, widocznie. – Ginevra kończy palić, drżący ognik gaśnie. – Czyli co, od jutra znowu piekło, hm? – pyta, wyjmując gumę z torebki.

– To jest pytanie retoryczne?

– Jeśli nie masz jakichś innych planów, to tak – odpowiada z westchnieniem.

– Ucieczka z domu i załapanie się do pracy w cyrku?

– To też jakaś opcja – mówi ze śmiechem. – Chcę, żeby w tym roku było inaczej.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Chcesz przemalować ściany w klasach? Nie zachwyca cię już psychiatryczna zieleń?

Śmiejemy się obie.

– Chcę, żeby to był piękny rok. Nie żeby ten poprzedni był brzydki... to tylko takie rozmowy od czapy, jakie prowadzi się zawsze przed rozpoczęciem roku szkolnego, trochę jak sylwestrowe postanowienia noworoczne. – Patrzy zamyślona na czubki swoich czarnych baletek.

– To jest pomysł! – wykrzykuję.

– Niby który?

– Twój, głupia. To jest wigilia nowego roku szkolnego, więc zróbmy listę noworocznych postanowień.

– Właśnie mówiłam, że te postanowienia niczemu nie służą... ale dobra, i tak nie mamy nic lepszego do roboty. Zobaczymy. Może ja zacznę... – ciągnie moja przyjaciółka. – Chcę powiedzieć Callisti, co naprawdę o niej myślę.

Callisti to profesorka, której wszyscy się boją.

– Lubisz igrać z ogniem, co? Ale lepiej, żebyś z tym poczekała do ostatniego dnia szkoły, żeby miała trzy miesiące wakacji na zapomnienie. Może wtedy cię nie usadzi. Co dalej?

– Dalej... niech pomyślę... A, chcę przybić do ściany Lavinię! – mówi Ginevra.

– I to mają być szczytne postanowienia?

Ginevra wylicza dalej swoje lepsze lub gorsze pomysły i siedzimy tak sobie, gadając i śmiejąc się. Ale w pewnej chwili milknie ze wzrokiem wbitym w horyzont. Złota zorza oświetla jej twarz i zmięk-

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

cza spojrzenie, nadając kasztanowym oczom łagodną barwę miodu.

– Ostatni promień słońca – szepcze, jakby nagle zatonęła w myślach o czymś zupełnie innym.

Patrzę na nią i widzę, że ma rację.

O nie.

Nie da się o tym nie pomyśleć.

Nie, nie, nie, nie.

Co za dół.

Lato właśnie się skończyło, ostatni promień słońca gaśnie, zabierając ze sobą naszą wolność… wycieczki na skuterze do dzielnicy San Pellegrino o drugiej w nocy, popołudniowe spacery bez końca, aż do bólu nóg, dni nad jeziorem, papierosy wypalane pod markizą na plaży, a przede wszystkim letnie noce, rozjaśniane niezliczonymi gwiazdami, z piaskiem w oczach i z wilgotnymi włosami. Wieczory w dyskotekach, gdzie bawisz się świetnie, nawet jeśli nie umiesz tańczyć, wariackie podrygi na parkiecie, a potem powrót do domu na piechotę, z sandałami na dwunastocentymetrowych obcasach w ręce, i piosenki wyśpiewywane na całe gardło do wtóru dzwonków z komórki… A jeśli jutro nie dasz rady zwlec się z wyrka, kogo to obchodzi.

Lato, pora roku najpiękniejsza ze wszystkich.

Kończy się.

– Wypowiedz życzenie – szepcze moja przyjaciółka, zanim ostatni promień znika za wzgórzem.

– Co?

– Wypowiedz życzenie, zanim zgaśnie ostatni promień słońca. Podobno wtedy się spełni.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– To jakaś legenda? – pytam sceptycznie.

– A nawet jeśli…

Okej, życzenie może się znajdzie.

Wbijam wzrok w to złote światło, coraz słabsze i słabsze.

Pozwalam, żeby weszło w moje źrenice, żeby mnie oślepiło.

Chcę się zakochać.

Słońce, ostatni letni promieniu, nie proszę cię o przygodę, nie proszę cię o zauroczenie – proszę cię o miłość, tę prawdziwą.

Tę przez duże M, tę, o której nie wiem nawet, czy istnieje, i której boję się, że nigdy nie znajdę.

Tę, która nie pozwala spać po nocach, która nie pozwala myśleć w dzień, która zmienia człowieka w szczęśliwego niewolnika.

Która nadaje kształt snom i każe wierzyć, że możesz ich dotknąć.

Która każe liczyć gwiazdy, jedną po drugiej, a potem zgubić rachubę.

Która każe nienawidzić nienawiści.

I której tym więcej chcesz, im więcej jej masz.

Patrzę na Ginevrę, obrysowaną pomarańczowym światłem zachodu, i myślę o niej i o Lorenzu: o dwóch połówkach, które tworzą jedność, dwóch duszach, które się uzupełniają. Tego właśnie pragnę.

Czy na świecie istnieje moja druga połówka? Lustrzane odbicie anioła bez skrzydeł – ktoś wystarczająco silny, by mnie wspierać, wystarczająco cierpliwy, żeby mnie zrozumieć? Jeśli istnieje, chcę go spotkać.

Ostatni promień znika, ostatni dzień lata umiera.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Boże, już późno... – mówię, przytomniejąc i wracając do rzeczywistości.

Dociera do mnie, że już ósma, muszę pędzić do domu, bo będę miała przechlapane. Rodzice nie tolerują spóźnień, a moja siostra zawsze jest punktualna.

Zrywam się jak na sprężynie.

– Jedziemy jutro razem do szkoły? – pyta Ginevra.

– Jasne – mówię.

– To po ciebie przyjadę.

– Okej, ale teraz już idę, a raczej biegnę!

– Leć! – woła za mną ze śmiechem.

Co za ironia. Udaje jej się zmusić mnie do uśmiechu.

– Do jutra.

– Do jutra, aniołku.

A ja biegnę, biegnę, biegnę.

Biegnę po ulicach miasta.

Biegnę i nie widzę niczego, tylko drogę przed sobą, która wije się, wydłuża.

Biegnę i nie czuję niczego, nie licząc kamieni pod butami, wiatru na twarzy.

Biegnę i nie myślę o niczym.

A już na pewno nie myślę o tym, czego przed chwilą sobie życzyłam.

A szkoda, bo może przypomniałabym sobie pewne piękne zdanie, które przeczytałam kiedyś, dawno temu: „Uważaj, czego sobie życzysz, bo możesz to otrzymać. I będziesz musiał ponieść konsekwencje".

Jestem już prawie na miejscu; może uda mi się uniknąć awantury. Zwalniam i opieram się o latarnię,

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

żeby odzyskać oddech. Wdycham wielkie hausty chłodnego, wieczornego powietrza, pachnącego i wilgotnego.

I kiedy tak stoję pod tą latarnią, zdarza się coś dziwnego.

Słyszę jakiś dźwięk. Unoszę wzrok i przez mgnienie wydaje mi się, że widzę cień. Przez chwilę stoję nieruchomo i czekam, ale nie słyszę ani nie widzę nic więcej. Jestem już spóźniona, więc postanawiam nie marudzić tu dłużej i biegnę dalej.

Tym sposobem nie czuję na sobie tego wzroku. Nie czuję, jak te oczy przewiercają mnie na wylot niczym aparat rentgenowski. Nie czuję ich palącego spojrzenia, jak za pierwszym razem, kiedy je widziałam, i może to dobrze. Bo nie wiedziałabym, jak zareagować.

Nie widzę srebrnego kolczyka wpiętego w złocistą brew.

Nie czuję ciepłego oddechu tak blisko mojej twarzy.

A przede wszystkim nie widzę twarzy osłoniętej kapturem bluzy.

I dobrze, bo by mnie wystraszyła, obudziła tyle sprzecznych emocji.

Wstyd. Że nie przeprosiłam go, że o mało go nie rozjechałam.

Osłupienie. Bo wierzyłam, że wyjechał, a nawet że w ogóle go tu nie było, tylko go sobie wyobraziłam.

Strach. Bo zawsze łatwo mnie przestraszyć, a rzeczy nieznane, nawet jeśli piękne, budzą mój niepokój.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

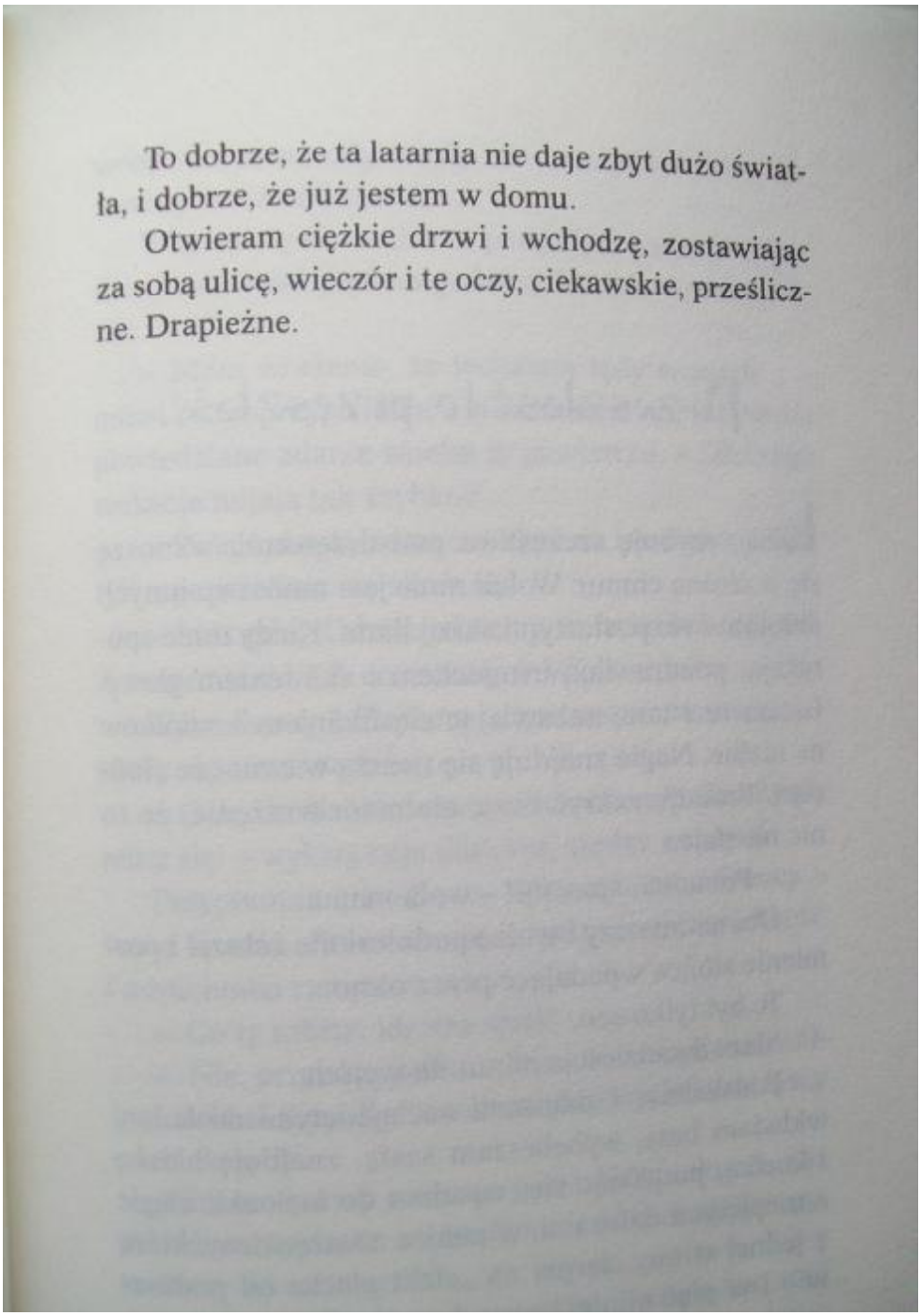

To dobrze, że ta latarnia nie daje zbyt dużo światła, i dobrze, że już jestem w domu.

Otwieram ciężkie drzwi i wchodzę, zostawiając za sobą ulicę, wieczór i te oczy, ciekawskie, prześliczne. Drapieżne.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Przeszłość to przeszłość

Lecę, szybuję szczęśliwa nad drzewami, wznoszę się w stronę chmur. Wokół mnie jest mnóstwo innych aniołów z rozpostartymi skrzydłami. Kiedy mnie spotykają, pozdrawiają uśmiechem i skinieniem głowy. Latam tu i tam, zabawiając się fikaniem koziołków na niebie. Nagle znajduję się twarzą w twarz ze słońcem. Próbuję zakryć oczy, ale mam wrażenie, że to nic nie daje.

– Pobudka, śpiochu! – woła mama.

Otwieram oczy i widzę podniesione żaluzje i promienie słońca wpadające przez okno.

To był tylko sen.

Mam dwadzieścia minut do wyjścia.

Podskakuję z dżinsami naciągniętymi do kolan, wkładam buty, wybebeszam szafę, znajduję bluzkę i kurtkę, potykając się, wpadam do łazienki, ciągle z rozpiętymi dżinsami, w panice czeszę włosy, które z jednej strony cierpią na „efekt placka od poduszki". I w pięć minut jestem gotowa, jeśli można tak powiedzieć...

Ginevra przyjeżdża po mnie mikroskopijnym samochodem, wariackim środkiem lokomocji, który

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

woził nas przez cały zeszły rok, jeszcze bardziej narowistym niż mój skuter.

Włącza się do ruchu w porannym szczycie i pędzi czterdzieści pięć na godzinę, bo tyle wyciąga silnik.

– Mam wrażenie, że jechałam tędy wczoraj... – mówi moja przyjaciółka z westchnieniem; jej niedopowiedziane zdanie zawisa w powietrzu. – Dlaczego wakacje mijają tak szybko?

– Żebyś mogła zacząć czekać na następne, kiedy tylko poprzednie się skończą.

– Słusznie! Gdzie jedziemy w ferie świąteczne? A noworoczne? A co robimy w Wielkanoc?

Wybuchamy śmiechem, a tymczasem nasze autko toczy się coraz wolniej.

– Och, do diabła, brakowało jeszcze korka. Spóźnimy się! – wykrzykuje Ginevra, sapiąc ze złości.

Przypomina mi się sen, który miałam tej nocy – ten o lataniu. Przez moment znów czuję tę lekkość i odruchowo zamykam oczy.

– Co ty robisz, idziesz spać?

– Nie, przypomniałam sobie, co mi się dzisiaj śniło. Miałam skrzydła i latałam. A właściwie wszyscy mieli skrzydła.

Ginevra patrzy na mnie przez kilka sekund, a ja już wiem, że zaraz zastrzeli mnie swoim stałym pytaniem:

– Ale myślisz, że tak naprawdę latanie jest niemożliwe? Znaczy dla aniołów?

– Ty znowu to samo? Już ci tłumaczyłam i Lorenzo też ci to w kółko mówi, że rozpostarcie skrzydeł

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

to jest trudna sprawa, bo gdyby tak nie było, wszyscy latalibyśmy sobie w najlepsze, i baj baj samochody, skutery i mięśnie nóg.

– Tak, tak, wiem, ale to mi się wydaje takie dziwne. Zresztą, w przeszłości...

– Przeszłość to przeszłość.

I naprawdę tak to wygląda. Nasz gatunek jest coraz słabszy i nie potrzeba geniusza, żeby to zrozumieć. Minęło zbyt wiele lat, zbyt wiele pokoleń dzieli nas od naszych przodków, naprawdę potężnych. Jesteśmy tylko wyblakłym, kruchym wspomnieniem wielkich potęg, które istniały kiedyś, istot niezwyciężonych, zdolnych wyleczyć każdy rodzaj cielesnej niemocy, a nie tylko powierzchowne rany, a przede wszystkim zdolnych rozwinąć skrzydła w sekundę, bez całego tego wysiłku i bez bólu, jaki teraz powoduje ich rozpostarcie.

A im anioł jest młodszy, tym bardziej cierpi.

Im bardziej pragniesz korzystać ze skrzydeł, tym obficiej płynie krew, kiedy już zdołasz je rozłożyć. Ból, który pali ci plecy, jest potworny, przeszywa cię aż do serca, rozrywa skórę. A blizny, które zostają na ciele, kiedy już złożysz skrzydła z powrotem, są głębokie jak zadane nożem z ząbkami.

Ale wiem na ten temat tylko tyle. Tylko tyle powiedziano mi przy tych rzadkich okazjach, kiedy moje pytania nie spotkały się ze zwykłą odpowiedzią: i tak nie zrozumiesz.

Prowadzimy życie spokojne, nowoczesne i monotonne, ale ja z pewnością nie płaczę za minionymi czasami – czasami wojen i bitew – również dlatego,

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

że nie wiem o nich prawie nic. Takie tematy są swego rodzaju tabu w moim domu. Mimo to wiem, że jesteśmy tylko mizernym cieniem tego, czym byliśmy kiedyś.

Ginevra skręca na parking w swoim zwykłym stylu.

Na jezdnię wybiega kot.

– Ginni, uważaj na kota!

Moja przyjaciółka skręca gwałtownie, hamuje i zatrzymuje samochód dwa centymetry od jakiegoś chłopaka. O mało go nie walnęła.

Chłopak się odwraca.

– O Boże!

Rzucam się pod deskę rozdzielczą, żeby mnie nie zobaczył. To nie może być prawda. To nie może znowu być on. Niemożliwe, że za każdym razem kiedy go widzę, jestem o włos od zabicia go.

– Dlaczego ty się chowasz?

– Cicho, bądź cicho, mnie tu nie ma.

– Co ty wygadujesz?

– Skręć. Skręć, odjedź, wynieś się stąd, później ci wyjaśnię.

– Pozwól mi przynajmniej przeprosić tego gościa, o mało go nie rozjechałam.

– Nieeee!

Unoszę głowę na tyle, żeby widzieć ulicę. Pusta.

– To niemożliwe! – piszczę.

– Ale gdzie on się podział? Zniknął – dziwi się Ginevra.

– Taki ma zwyczaj.

– Zwyczaj?

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Odwracam się, rozglądam na wszystkie strony, ale po nim nie ma śladu. Nie wiem, czy to powinno mnie cieszyć, czy niepokoić. Człowiek nie może tak sobie dwa razy być o włos od śmierci, a potem znikać – w sekundę rozpłynąć się w powietrzu.

Ginevra wrzuca bieg i parkuje.

– Wyjaśnisz mi, co ci odbiło? – pyta, kiedy silnik jest już wyłączony.

Wysiada i bierze torbę z książkami.

– To jest ten chłopak, w którego o mało nie wjechałam na skuterze.

– Co takiego?

– I tym razem też zniknął! Dosłownie wyparował...

– Ba, i nic dziwnego, już drugi raz usiłujesz go zabić!

– To ty go o mało nie zabiłaś.

– No tak, ale ty byłaś ze mną i jak jakaś idiotka się schowałaś.

– Mówisz, że mnie widział?

– Myślę, że tak.

– Mam nadzieję, że go więcej nie zobaczę.

– Na jego miejscu też bym miała taką nadzieję. Ale tak swoją drogą, jest niezły. Jeśli za trzecim razem w końcu go przejedziesz, może zaprosi cię na kolację.

– To nie jest zabawne, moja droga.

Również dlatego, że widok tego gościa wzbudza we mnie dziwne uczucia, ale tego nie mam najmniejszego zamiaru jej powiedzieć.

Na placu przed szkołą są wszyscy – przyjaciele, koledzy z klasy, towarzysze w dniach chwały

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

i w dniach porażek. Witamy się, ściskamy, wydaje się, jakbyśmy nie widzieli się od stu lat.

Jak miło zobaczyć te zaufane twarze, usłyszeć te przyjazne głosy, spotkać na nowo całe to miłe towarzystwo.

– Cześć, skarbie.

No, prawie całe.

– Cześć, Lavinia – witam ją, starając się ukryć irytację, którą we mnie budzi.

Nie jest zła, to tylko wina rodzinnych genów, że jest, jaka jest. Nie jest zła, najwyżej trochę rozpuszczona i może trochę egoistyczna.

– Kopę lat, całkiem nieźle wyglądasz, zupełnie jak nie ty.

I może trochę złośliwa.

Ale to córka najlepszych przyjaciół twoich rodziców, więc staraj się nie wdawać w awanturę.

Lavinia przeczesuje dłonią swoje lśniące włosy wystudiowanym, perfekcyjnym gestem, zbliża do mnie prześliczną, idealnie umalowaną twarz.

Daje mi dwa całusy w policzki, oczywiście nawet mnie nie dotykając.

– No więc, skarbie, jak się miewasz?

– Dobrze, nie narzekam.

Zostawia mnie w połowie odpowiedzi, żeby przywitać się z Lorenzem, który właśnie zjawił się, trzymając Ginevrę za rękę.

Lavinia pozdrawia go z wielkim entuzjazmem.

Przeciąga dłonią po biodrze, usiłując zahipnotyzować Lorenza fiołkowymi oczami, w których utonęło już tylu chłopaków.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Nie dziwi mnie, że Ginevra nie cierpi jej jeszcze bardziej niż ja.

Lavinia jest poniekąd przeciwieństwem anioła: przeciętna w nauce, a przy tym kusicielka, niesamowicie seksowna.

Anioły nie są kanibalami, ale Lavinia jest pożeraczką mężczyzn, a raczej ich serc.

Gadamy wszyscy naraz, czekając, aż przydzielą nam sale. Woźny stoi już na schodach, żeby było go dobrze widać, i trzyma w dłoni kartkę z numerami sal.

Wszyscy mają cichą nadzieję, że nie wylądują w tej, która nazywana jest „grobowcem". Ostatnia na końcu korytarza, na ostatnim piętrze.

Tylko nie grobowiec. Błagam, tylko nie grobowiec!

Myśli tak każdy uczeń na placu.

Błagam, byle nie grobowiec.

Rozmawiamy jeszcze chwilę i w końcu woźny zaczyna czytać.

Kolejne klasy, kolejne sale. Napięcie rośnie.

W grobowcu ławki są tak małe, że nie mieszczą się w nich nogi. Jeśli ześlą mnie do tego kurnika, przysięgam, przyniosę sobie krzesło z domu!

– A ten to kto? – Słyszę nagle szept Lavinii.

Odwracam się, zaciekawiona, i wybałuszam oczy.

On. Kimkolwiek jest, do diabła. Z torbą na książki na ramieniu.

I czeka, aż wyczytają jego klasę.

W tej szkole!

– Trzecia D, ostatnie piętro, na końcu po prawej.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

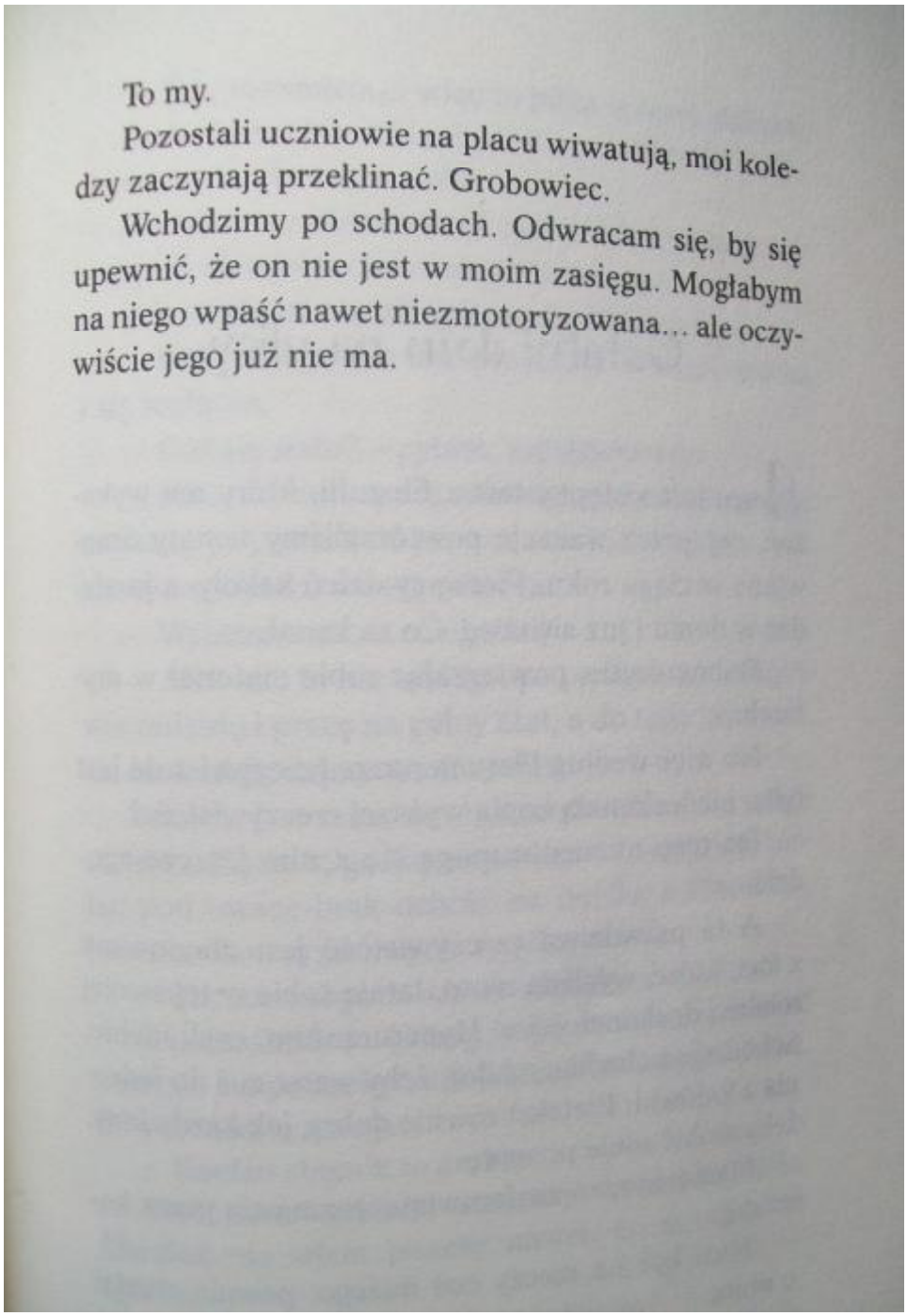

To my.

Pozostali uczniowie na placu wiwatują, moi koledzy zaczynają przeklinać. Grobowiec.

Wchodzimy po schodach. Odwracam się, by się upewnić, że on nie jest w moim zasięgu. Mogłabym na niego wpaść nawet niezmotoryzowana... ale oczywiście jego już nie ma.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Ostatni dom na ulicy

Jutro jest wstępny test z filozofii, który ma wykazać, czy przez wakacje powtórzyliśmy tematy omawiane w ciągu roku. Pierwszy dzień szkoły, a ja siedzę w domu i już się uczę. Co za kanał.

Dobra, myślę, powtarzając sobie materiał w myślach:

No więc według Platona nasza rzeczywistość jest tylko niedoskonałą kopią wyższej rzeczywistości.

Do tego momentu mogę się z nim jeszcze zgodzić.

A ta prawdziwa rzeczywistość jest zbudowana z idei, które, wygląda na to, latają sobie w tej swojej totalnej doskonałości w Hyperuranium, czyli niebie. Schodzę na chwilkę na dół, żeby wziąć coś do jedzenia z lodówki. Pretekst równie dobry, jak każdy inny, żeby zrobić sobie przerwę...

Mama, bardzo zaaferowana, rozmawia przez komórkę.

Musi być na rzeczy coś dużego, pewnie chodzi o pracę.

Mama pracuje w kancelarii notarialnej.

Szczerze mówiąc, wygląda na przejętą.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

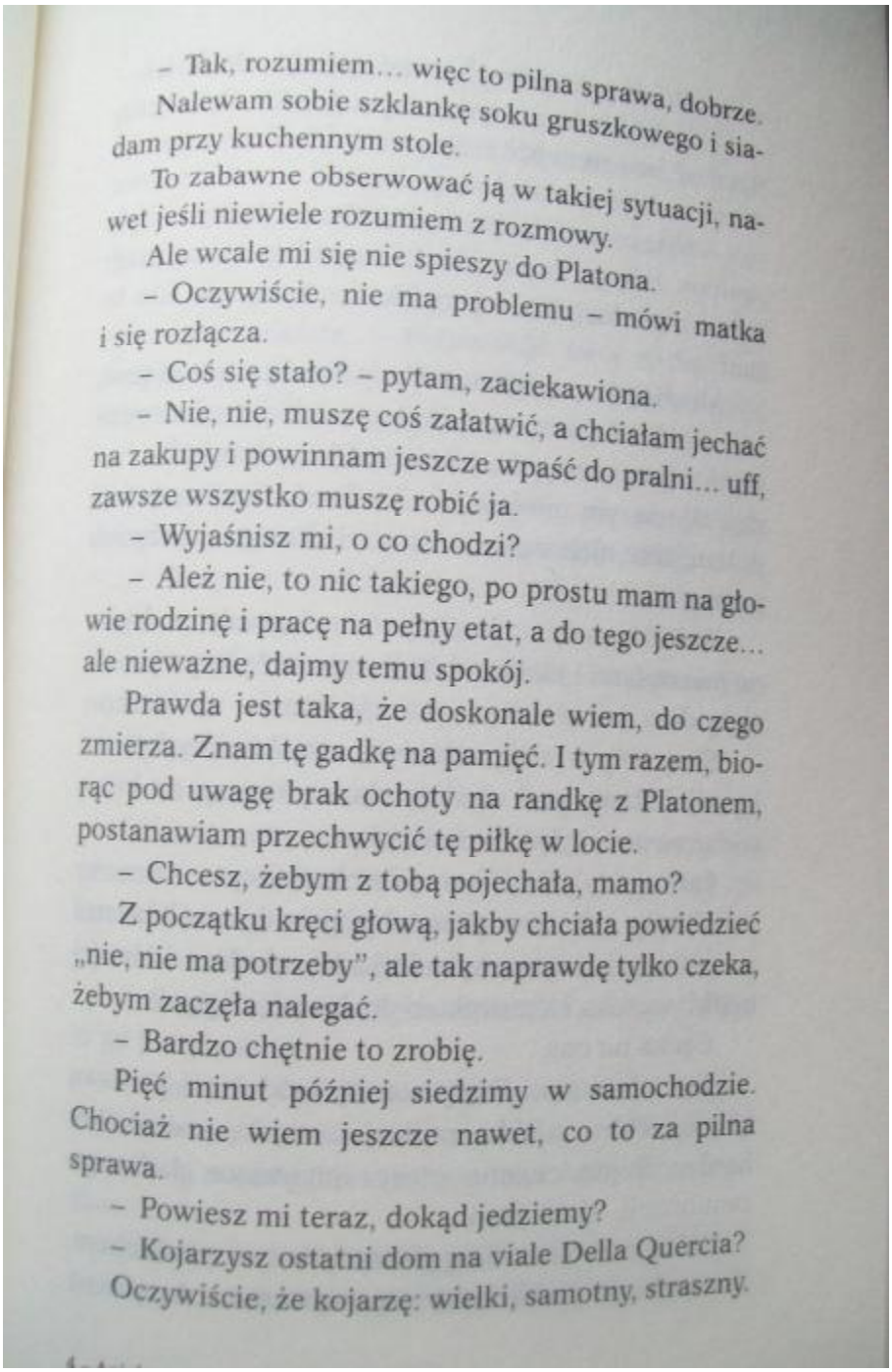

– Tak, rozumiem... więc to pilna sprawa, dobrze.

Nalewam sobie szklankę soku gruszkowego i siadam przy kuchennym stole.

To zabawne obserwować ją w takiej sytuacji, nawet jeśli niewiele rozumiem z rozmowy.

Ale wcale mi się nie spieszy do Platona.

– Oczywiście, nie ma problemu – mówi matka i się rozłącza.

– Coś się stało? – pytam, zaciekawiona.

– Nie, nie, muszę coś załatwić, a chciałam jechać na zakupy i powinnam jeszcze wpaść do pralni... uff, zawsze wszystko muszę robić ja.

– Wyjaśnisz mi, o co chodzi?

– Ależ nie, to nic takiego, po prostu mam na głowie rodzinę i pracę na pełny etat, a do tego jeszcze... ale nieważne, dajmy temu spokój.

Prawda jest taka, że doskonale wiem, do czego zmierza. Znam tę gadkę na pamięć. I tym razem, biorąc pod uwagę brak ochoty na randkę z Platonem, postanawiam przechwycić tę piłkę w locie.

– Chcesz, żebym z tobą pojechała, mamo?

Z początku kręci głową, jakby chciała powiedzieć „nie, nie ma potrzeby", ale tak naprawdę tylko czeka, żebym zaczęła nalegać.

– Bardzo chętnie to zrobię.

Pięć minut później siedzimy w samochodzie. Chociaż nie wiem jeszcze nawet, co to za pilna sprawa.

– Powiesz mi teraz, dokąd jedziemy?

– Kojarzysz ostatni dom na viale Della Quercia?

Oczywiście, że kojarzę: wielki, samotny, straszny.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Musimy dostarczyć notarialny akt własności.

– Co? Mówimy o tym samym domu? Opuszczonym od lat i na wpół zrujnowanym? Chcesz powiedzieć, że ktoś odważył się go kupić?

– Nie, rzeczywiście, chyba nikt nie byłby na tyle szalony, żeby go kupić. Chodzi o spadek, muszę przekazać akt własności tej osobie i... zobaczyć, kto to taki.

Mówiąc to, przygładza włosy dłonią – jest to gest, który dobrze znam, świadczący o lekkim zdenerwowaniu. Teraz wszystko jasne, coś jednak było na rzeczy. W naszym mieście nowi mieszkańcy oznaczają potencjalne niebezpieczeństwo. I dlatego należy ich przepytać.

Wokół tego domu krążyły różne legendy, podsycane przesądami i plotkami. Tak naprawdę to po prostu stary dom, jak zresztą większość domów w Viterbo.

Skręcamy w aleję osłoniętą wysokimi cyprysami i podjeżdżamy pod ciężką żelazną bramę, za którą widać ciemną sylwetkę budynku.

Parkujemy przed bramą i wchodzimy.

U stóp schodów prowadzących do wejścia stoi prześliczna kobieta, chyba kilka lat młodsza od mojej matki, wysoka i szczupła, o doskonałej figurze.

Czeka na nas.

Jest ubrana w długą czarną spódnicę i perłową bluzkę, która miękko otula jej wiotką postać. Ma bardzo długie, ciemne włosy, spływające gładko po ramionach, aż do pasa.

Wita nas skinieniem głowy i bladym uśmiechem. Bez wahania podaje rękę mojej matce.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Witam panią, zawiadomiono mnie, że pani przyjedzie. – Jej głos jest tak samo suchy, jak jej ciało, mówi spokojnie i pewnie. – Miło mi panią poznać, jestem Nora.

Za to moja matka stara się zachowywać tak serdecznie, jak tylko umie.

– Cała przyjemność po mojej stronie, witamy w naszym mieście. – Przywołuje swój najbardziej promienny uśmiech. – Przywiozłam akt własności, żeby wszystkie sprawy były już uporządkowane.

– Świetnie, może dokończymy rozmowę w środku? Jest jeszcze straszny bałagan, nie przyjechały wszystkie nasze rzeczy, ale mamy gdzie usiąść.

– Oczywiście, dzięki temu będę mogła poznać także pani męża.

– Prawdę mówiąc, jestem wdową – wyjaśnia zimno kobieta.

O kurde, mamo, ale wtopa.

– Mieszkam z siostrzeńcem.

Odwraca się, żeby spojrzeć mi prosto w oczy i jej przenikliwy wzrok trochę mnie peszy. Nie mogę nie zwrócić uwagi na jej przepiękne oczy, o nieokreślonym kolorze, wpadającym w ciemną szarość.

– Guglielmo jest chyba w twoim wieku, później ci go przedstawię.

– Ależ oczywiście – wykrzykuje moja matka, zadowolona, że może zmienić temat. – Skarbie, daj nam dwie minuty, musimy przejrzeć kilka dokumentów.

– Mamy tu przepiękny ogród – mówi Nora. – Jest trochę zdziczały, wymaga pracy, ale jest w nim wiele

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

rzadkich roślin. Jeśli chcesz, możesz po nim pospacerować.

Mama posyła mi spojrzenie pełne zachęty, jakby chciała powiedzieć „no, idź, zrób, jak prosi ta pani".

– Jeśli pójdziesz prosto tym korytarzem – dodaje Nora, wskazując ciemny korytarz – znajdziesz przeszklone drzwi do ogrodu.

Nie mam najmniejszej ochoty zwiedzać domu ani oglądać ogrodu z „rzadkimi" roślinami, ale wygląda na to, że nie mam wyboru. Matka wciąż patrzy na mnie i kiwa głową, więc idę.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Oczy czarne jak ropa naftowa

Ogród jest cudowny. Trawa jest wysoka i zdziczała – ogród długo nie był pielęgnowany – ale jest naprawdę piękny. Jego uroda jest eteryczna i odrobinę tajemnicza, nieuchwytna.

Są tu krzewy różane, żywopłoty o przeróżnych kształtach, teraz oczywiście już nierozpoznawalnych. Wyglądają jak wielkie zwierzęta, znieruchomiałe w rozmaitych pozach, ciche i senne.

Wysokie drzewa tworzą coś w rodzaju dachu, ogromny i bardzo wysoki baldachim, przez który ledwie widać niebo: światło popołudnia dociera tu przytłumione i porwane na strzępy, przeciskając się między gałęziami.

Po całym terenie rozsiane są kamienne rzeźby i ławki oplecione pnączami; czas i brak ludzkiej ręki niemal przywróciły je do stanu naturalnego, kiedy były jeszcze blokami kamienia. Nie wydają się już nie na miejscu, należą do tego ogrodu jak każdy krzew, drzewo czy kamień wystający z ziemi.

Ma się wrażenie, że ogród rozwijał się sam od czasu, kiedy ktoś go pielęgnował.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Siadam na ławce, w miarę odsłoniętej i nie do końca zarośniętej zielskiem, i odwracam się, żeby popatrzeć na dom.

Tutaj, z bliska, właściwie nie budzi strachu, najwyżej lekki niepokój, napięcie. Ma mnóstwo pokoi i czuje się to tak z zewnątrz, jak i będąc w środku.

Otwieram podręcznik do filozofii, chociaż daleko mi do skupienia. Ale jutro mam test, a nie wiem nic; niby jak się wytłumaczę? Że nie mogłam się skupić w domu, który wygląda jak plan filmowy?

Uczę się, a przynajmniej próbuję. W sumie to niemal przyjemne, siedzieć tak sobie na dworze w piękny wieczór w końcu lata, a poza tym podoba mi się to miejsce, wydaje się schronieniem poza czasem, zakątkiem jak ze snu.

Ale mam wrażenie, że mojej matce ta sprawa zajmuje trochę za dużo czasu. To dziwne, zwykle tego rodzaju formalności załatwia się dość szybko.

Unoszę głowę, żeby spojrzeć, czy nie wychodzi, ale nic z tego. Spoglądam w okna domu. Odruchowo.

I krew ścina mi się w żyłach.

Bicie serca ustaje, oddech zamiera mi w gardle. Spuszczam głowę i chowam ją między ideami Platona, szukam schronienia w Parmenidesie i proszę Fajdrosa, żeby mnie obronił, ale wszystko na nic.

Czuję, jak serce wariuje mi w piersi.

Dwoje ciemnych oczu, czarnych jak ropa naftowa, jak dno studni i szczyt nieoświetlonej wieży wpatruje się we mnie z jednego z okien.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Oddychaj, oddychaj i uspokój się. Nie wpadaj w panikę, a przede wszystkim nie zachowuj się jak idiotka. Odetchnij głęboko i spójrz w to okno jeszcze raz.

Wcale nie jest powiedziane, że to on.

Może to tylko, bo ja wiem, jakiś pomagier w domu, może tragarz, który pracował przy przeprowadzce i teraz porządkuje piętro, albo – to już najgorsza hipoteza – halucynacja.

Może i tak – unieś te przeklęte, strachliwe oczy i się przekonaj.

Niepewnie spoglądam na okno, czując, jak krew łomocze mi w skroniach. Wyraźnie widzę srebrzysty błysk jego kolczyka, zanim znika za grubą kotarą.

Zasłania te oczy.

O Boże.

Kładę rękę na sercu, które wariuje; zaraz zrobi mi się słabo. Przestań, szepczę, masując skronie; już poszedł. Poszedł, wmawiam sobie na próżno.

Muszę stąd iść.

Wstaję z ławki; gdyby znów przyszła mu ochota wyjrzeć przez okno, nie będę musiała znosić tego spojrzenia. Nogi trochę mi drżą. Przyciskam książkę do piersi jak tarczę.

Idę przez ogród, nie wiedząc dokładnie, w którą stronę się kierować, docieram pod przepiękną wierzbę. W innych okolicznościach pewnie rozgarnęłabym ręką te delikatne gałązki i usiadła pod nimi. Ale teraz idę dalej, między żywopłotami i krzewami; niektóre posągi mnie obserwują – unikam ich spojrzeń, marmurowych i pustych, prawie jakbym i im bała się spojrzeć w oczy.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Zatrzymuję się pod krzewem różanym, którego gałęzie ozdobione kwiatami splatają się i spływają kaskadą ku ziemi.

Wyciągam rękę do rośliny i głaszczę szkarłatny kwiat, miękki jak aksamit, o barwie intensywnej jak czerwień krwi.

Większość pąków, jak ten, którego dotknęłam, jest otwarta, skierowana na zewnątrz, u szczytu swojej urody. A mimo to krzak wydaje mi się trochę niezwykły... czy róże nie powinny kwitnąć w maju?

Muskam palcami kolejny kwiat, przebiegam opuszką palca po delikatnej łodydze, najeżonej kolcami aż do łodyżki liścia, i nagle orientuję się, że to, co mam przed sobą, wcale nie jest krzewem.

Nie może być krzewem, bo pod kwiatami, pod łodyżkami i liśćmi, i kolcami nie czuję kolejnych liści, jak mogłabym się spodziewać.

Nie rozumiem.

Zbliżam się o dwa kroki, żeby sprawdzić, na czym oplotły się te wspaniałe róże, i przed oczami mam najbardziej zaczarowane zjawisko, jakie natura i czas mogły stworzyć w tej zapomnianej willi, z dala od wszystkiego i wszystkich.

Łodygi, z których wyrastają szkarłatne kwiaty, wiją się na rzeźbie z białego marmuru.

Pnące, kolczaste łodygi wspinają się po marmurowym aniele, po jego rozpostartych skrzydłach, których kształtu ledwie można się domyślić, kwiaty i łodygi otulają profil ze śnieżnobiałego kamienia.

Anioł z bielutkiego marmuru, z rozpostartymi skrzydłami, pokryty czerwonymi różami i kolcami.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Muskam dłonią twarz rzeźby i dziwię się, że została zesłana tutaj, do tego ukrytego zakątka ogrodu.

Robię krok w tył, wciąż jeszcze osłupiała z zachwytu, żeby móc mu się lepiej przyjrzeć.

I wpadam na coś.

Książka wysuwa mi się z rąk, a ja sama padam jak długa.

– Ależ się uwzięłaś.

Panikuję.

Odwracam się.

Jego oczy, czarne i głębokie jak dwa jeziora, wpatrują się w moje.

Błysk piercingu wita mnie drwiąco z uniesionej brwi. Jego jasne włosy błyszczą jak platyna; jest już wieczór, więc to nie słońce je rozświetla.

Stoi przede mną, spokojny, i nagle schyla się po moją książkę. Podaje mi ją, więc biorę, uważając, żeby nie dotknąć jego dłoni. Przyciskam książkę do piersi, jakby to była tarcza, a nie plik kartek.

Znowu czuję jego spojrzenie utkwione we mnie, chociaż bardzo staram się nie patrzeć mu w oczy. Wreszcie podnoszę się z trawnika i otrzepuję dżinsy ze źdźbeł trawy.

Unoszę głowę, żeby na niego spojrzeć.

Potworny błąd.

Jest naprawdę piękny, Lavinia miała rację. Muszę mu to przyznać.

Wysoki, chudy, ma na sobie czarne obcisłe dżinsy, które leżą na nim jak marzenie, i czarną bluzę... wygląda jak model.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

I ta jego twarz. Wizja jeszcze bardziej nieznośna, niż ją zapamiętałam. Cudowne usta, wysokie kości policzkowe, delikatny, złoty łuk brwi, rysujący się miękką linią. A prawa brew cały czas uniesiona, ozdobiona srebrnym kółkiem.

– Cześć – wita mnie neutralnym tonem.

– Ehm... cześć – odpowiadam speszona.

Znów mi się przygląda; prześwietla mnie wzrokiem czy co? Marszczy czoło, unosi brew jeszcze bardziej; jest seksowny nie do zniesienia, kiedy robi taką minę, i sądzę, że doskonale o tym wie.

– Ty jesteś tą dziewczyną...

Wbijam wzrok w buty i się czerwienię.

– Tą na skuterze.

Zaczynam nerwowo nawijać na palec końce włosów. Kaszlę i wzdycham głośno.

Ale przynajmniej gramy w otwarte karty.

– I w samochodzie...

– Tak, pamiętam – odpowiada on i pozwala sobie na uśmieszek.

W tej chwili mój mózg stosuje jedyną, a zarazem najgłupszą strategię, jaką zna, żeby przezwyciężyć zażenowanie: zaczynam gadać jak nakręcona...

– Bardzo cię przepraszam, ale wcale nie chciałam cię przejechać dwa razy z rzędu, a zresztą samochód nie jest mój, tylko mojej przyjaciółki Ginevry, która jeździ jak wariatka i jest poniekąd zagrożeniem dla wszystkich, z całą pewnością nie jesteś pierwszą osobą, której o mało nie walnęła, a za pierwszym razem też zawróciłam, żeby się wytłumaczyć, ale ty już zniknąłeś, może i dzisiaj rano w szkole mogłam cię

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

ostatecznie przeprosić, ale nie wiem, co mi odbiło, więc...

O nie, na litość boską, niech mnie ktoś zatrzyma; dlaczego za każdym razem, kiedy tracę zdolność myślenia, dostaję słowotoku?

On się do mnie zbliża.

Dlaczego się zbliża?

– Zawsze mówisz tak szybko, kiedy jesteś zdenerwowana? – szepcze mi do ucha.

– Tak, zdecydowanie, takie są fakty, a na dodatek nikt nie może zrozumieć, co wygaduję, i to jest jakiś absurd, bo nawet ja nie bardzo rozumiem, a właściwie rozumiem, ale nie wszystko, więc gadam dalej, chociaż jakaś część mnie każe mi przestać i...

I znowu to robię, chociaż wiem, na jaką idiotkę wychodzę. On kładzie mi palec na ustach.

Jego palec na moich ustach. Nogi się pode mną uginają.

– Oddychaj – szepcze. – Wystarczy zwykłe „przepraszam".

Jego głos ma teraz w sobie coś miękkiego, coś delikatnego, czy tylko ja sobie to wyobrażam?

Zdejmuje palec z moich ust.

Usta protestują.

Zmuszam się do uporządkowania myśli.

– No więc, przepraszam – mówię w końcu.

Między drzewami, między gałązkami róż przemyka lekki wietrzyk, opływa nas, bawi się jego włosami. On szybko odsuwa kosmyk z twarzy.

Obserwuję jego dłonie, szczupłe, z wypielęgnowanymi paznokciami pomalowanymi na czarno. Kolejny

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

podmuch wiatru, tym razem silniejszy, zupełnie jakby zabawiał się wkurzaniem nas – wkurzaniem mnie – bo on zupełnie się tym nie przejmuje.

– Czyli... ty jesteś Guglielmo.

To bardziej pytanie niż stwierdzenie. Ale kim innym mógłby być?

Lekko kiwa głową i wciąż wpatruje się we mnie przenikliwie.

– A ty jesteś...

– Vichi... Vittoria. – Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć, ale nie chcę stać w milczeniu, więc dodaję: – Te róże, które wyrosły na rzeźbie, są prześliczne.

Robi krok w stronę posągu anioła i staje obok, odrywając wreszcie ode mnie hebanowe oczy.

Głaszcze marmurową twarz anioła. Mam ochotę się roześmiać, bo jego twarz jest o wiele bardziej fascynująca i wyrazista; jego uroda jest delikatna, wyrafinowana jak wszystko w nim, nawet najdrobniejszy gest.

– No więc, Vichi... Vittorio – mówi z uśmiechem, pewny siebie.

Kiedy wymawia moje imię, dreszcz przebiega mi po kręgosłupie... to pewnie wina wiatru. Odruchowo chowam ręce do kieszeni.

– Czemuż zawdzięczam przyjemność najazdu na mój ogród?

– Przyjechałam z mamą, która przywiozła twojej cioci akt własności domu.

Wciąż głaszcze palcami marmurowe oblicze anioła, w górę i w dół, bardzo powoli, delikatnie, hipnotycznie.

– I nie miałaś nic lepszego do roboty?

Przez chwilę milczę, zastrzelona tym pytaniem.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Nie chciałem być niegrzeczny – kaja się pospiesznie i patrzy na mnie przenikliwe, z powagą, może czekając, aż mu wybaczę. – Uczyłaś się? – pyta mnie wreszcie, nie przestając muskać smukłymi palcami twarzy posągu.

Kiwam głową, zahipnotyzowana jego dłońmi.

Dociera do mnie, że jest już wieczór. Już prawie całe niebo jest granatowe, światło zgasło jakiś czas temu i zrobiło się chłodno. Prawdopodobnie jest późno, chociaż matka zapewniała mnie, że nie zajmie nam to dużo czasu.

– Ja... absolutnie muszę już iść.

Odwracam się, żeby odejść – mam nadzieję, że wybrałam właściwą ścieżkę, tę, którą tu przyszłam.

– Vichi.

Zatrzymuję się. Odwracam.

– Przeczytaj to, to lepsze niż podręcznik.

Rzuca mi coś, co wyjął z kieszeni bluzy: książkę. Udaje mi się złapać ją w locie i nie upuścić mimo ciemności... To już niezbity dowód, że jestem w stresie. Obracam ją w rękach; okładka jest miękka, trochę zmięta, jakby książka była czytana wiele, wiele razy, kartki są grube, z papieru bez dodatku plastiku, jak robiono je kiedyś.

– Uważaj na kolce – dodaje on. W ciemności nie widzę go, jest tylko dalekim głosem.

– Kolce? Jakie kolce? – pytam. – Ale on, Guglielmo, jak zwykle, już zniknął. Jestem sama, z książką w ręce.

Czytam tytuł: *Uczta* Platona.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Uważaj na Bolce

Dlaczego to tyle trwało? – pytam matkę, kiedy jesteśmy już w samochodzie.

– Nie zauważyłam, że już jest tak późno, skarbie, przepraszam.

– Więc Nora jest sympatyczna, skoro w jej towarzystwie czas minął ci tak szybko.

– Nie wiem, czy „sympatyczna" to właściwe słowo na jej określenie, ale jest osobą bardzo silną, skoro zniosła utratę męża w tak młodym wieku i przeprowadziła się do obcego miasta sama, tylko z siostrzeńcem... Poznałaś go w końcu? – Patrzy na mnie. – Mam na myśli Guglielma.

Czy go poznałam? Czy to można nazwać znajomością?

Nie.

Można to określić jako krótki, niespodziewany, żenujący dialog, podczas którego padłam ofiarą jego czarodziejskiego uroku.

Wydaję z siebie dziwny dźwięk, który może oznaczać cokolwiek, chociaż i on ledwie przechodzi mi przez gardło.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Mimo wszystko – ciągnie mama – nie powiedziała mi wiele. Mam tylko nadzieję, że nie ma się czym przejmować.

Mama jest dość niespokojna, poznaję to po tym, że zwierza mi się ze wszystkich swoich myśli, zamiast poczekać, aż dojedziemy do domu, i wywnętrzyć się przed tatą.

– To znaczy?

– Ta kobieta jest miła, ale zadawała mi mnóstwo pytań i czułam się dość nieswojo w jej towarzystwie… ale może po prostu byłam spięta.

Więc mama też czuła się spięta w obecności Nory, tak jak ja w towarzystwie jej siostrzeńca. Ciekawe.

– Sądzę, że ta nowa rodzina będzie… obiektem niemałego zainteresowania w mieście.

Śmieję się.

– A kto nie byłby obiektem zainteresowania w tym mieście? Tutaj ludzie patrzą na ciebie podejrzliwie, nawet jeśli tylko zmienisz fryzurę…

– Też racja – przyznaje mama ze śmiechem. – Ale powiedz mi, jak ten chłopiec został przyjęty w szkole? Jest w twojej klasie?

Nie! Chwała Bogu, nie jest, jeszcze tego by brakowało… Jak miałabym się skupić, gdyby on był tak blisko, w sali, gdzie siedzi się trzydzieści centymetrów od wszystkich, nawet od katedry. Niemożliwe.

– Nie, i nie mam pojęcia, jak został przyjęty, nie zauważyłam nawet, że w ogóle jest w szkole.

To prawie prawda: nigdy go nie zauważam i dlatego bez przerwy na niego wpadam…

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Obracam w rękach książkę i myślę o tym, że prędzej czy później będę musiała mu ją oddać. Może zostawię w skrzynce pocztowej.

A poza tym, gdyby Guglielmo był w mojej klasie, Lavinia zachowywałaby się jak kotka w rui przez cały czas, dzieląc uwagę między niego i Lorenza. A może dałaby spokój Lorenzowi i całkowicie skupiła się na nowym.

Przygryzam wargę, zamyślona.

Nie wiem dlaczego, ale na pierwszy rzut oka Guglielmo nie zrobił na mnie wrażenia faceta, który dałby się pożreć Lavinii na jeden kęs.

Wysiadamy z samochodu, nareszcie w domu – jest raptem ósma wieczorem. Idę do swojego pokoju, a matka rozmawia z ojcem, jednocześnie przygotowując kolację.

– Ja nie mam czasu jeść – mówię. Ledwie mnie słyszą, pogrążeni w rozmowie.

Włączam wieżę, cichutko, ściągam bluzę i rzucam ją na krzesło, i wreszcie siadam po turecku na łóżku.

Odkładam podręcznik do filozofii i biorę *Ucztę*. Po raz enty obracam niewielką książeczkę w rękach, jakbym chciała znaleźć coś, co być może umknęło mi za pierwszym razem, ale to zwykła książka, cienka, trochę zniszczona od częstego czytania.

Dobrze wiem, o czym mówi *Uczta*: mówi o miłości.

Ale co miało znaczyć to „uważaj na kolce"?

I skąd Guglielmo wiedział, że uczę się filozofii?

Zwykły zbieg okoliczności?

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

A może kiedy wyglądał przez okno, przeczytał tytuł książki, którą miałam na kolanach? Mimo odległości? Mimo słabego przedwieczornego światła?

A może zawsze nosi w kieszeni *Ucztę* Platona...

A może on też miał wstępny test z tego materiału; nasza szkoła nie może się pochwalić zbytnią inwencją w różnicowaniu programów poszczególnych klas.

Otwieram książkę.

Szybko przewracam kartki.

Na kolana wypada mi róża.

Zapiera mi dech.

Biorę ją do ręki i kłuję się w palec.

Aj!

Pojawia się maleńka kropla krwi.

A przecież mi mówił: uważaj na kolce.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Jestem ci winna dwie przysługi

Pytania są różne, dotyczą zagadnień, które omawialiśmy w zeszłym roku. Każdy arkusz koncentruje się na jednym konkretnym dziele Platona. Wszystko jasne?

Klasa milczy, gdy profesor kończy rozdawać test.

– No więc, dzieciaki, owocnej pracy.

Profesor jest bardzo sympatyczny, a do tego dość wyrozumiały. Więc dlaczego, kiedy kładzie odwrócony arkusz na mojej ławce, mam wielką ochotę go udusić i uciec przez okno?

– A, zapomniałbym, oczywiście każdy test jest inny – dodaje profesor.

Odwracam arkusz i czytam.

I czytam jeszcze raz.

Co za pokręcone, obłędne, niesamowite szczęście.

Zakrywam usta ręką, by ukryć radość i osłupienie.

To niemożliwe.

Zadanie, moje zadanie, jest na temat… *Uczty* Platona.

Dialogu, który czytałam przez pół nocy, zanim zasnęłam, i który dzięki temu dobrze znam.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Śmieję się, skołowana i wdzięczna.

Możliwe?

Zaczynam pisać.

Odpowiadam, stawiam krzyżyki, wybieram między możliwymi odpowiedziami.

Staram się pisać spokojnie i czytam odpowiedzi przynajmniej trzy razy, a mimo to po dwudziestu minutach jestem już gotowa. Unoszę głowę z wymownym uśmiechem rozsmarowanym na twarzy i napotykam spojrzenie profesora.

– Już skończyłaś? – pyta mnie z lekkim zdumieniem.

– Prawdę mówiąc... tak.

– Dobrze, bardzo dobrze, w takim razie oddaj kartkę.

Wstaję z arkuszem w dłoni, podaję go profesorowi.

Choćbym go przeczytała i sto razy, nie zmieniłabym ani przecinka.

– Świetnie, Vittorio – mówi profesor, a ja czuję na plecach osłupiałe spojrzenia kolegów.

Siadam już w ławce, kiedy profesor woła mnie z powrotem.

– Vittoria, wyświadczysz mi przysługę? Możesz zanieść te dokumenty pani profesor Gildi? Ale nie wiem, w której jest sali, musisz sprawdzić.

Biorę cztery kartki, które mi podaje, i wychodzę.

Zadowolona, oddycham pełną piersią. Idę do biurka woźnego na parterze, gdzie jest grafik zajęć profesorów. Zaczynam czytać krzyżówkę kratek, symboli i nazwisk.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

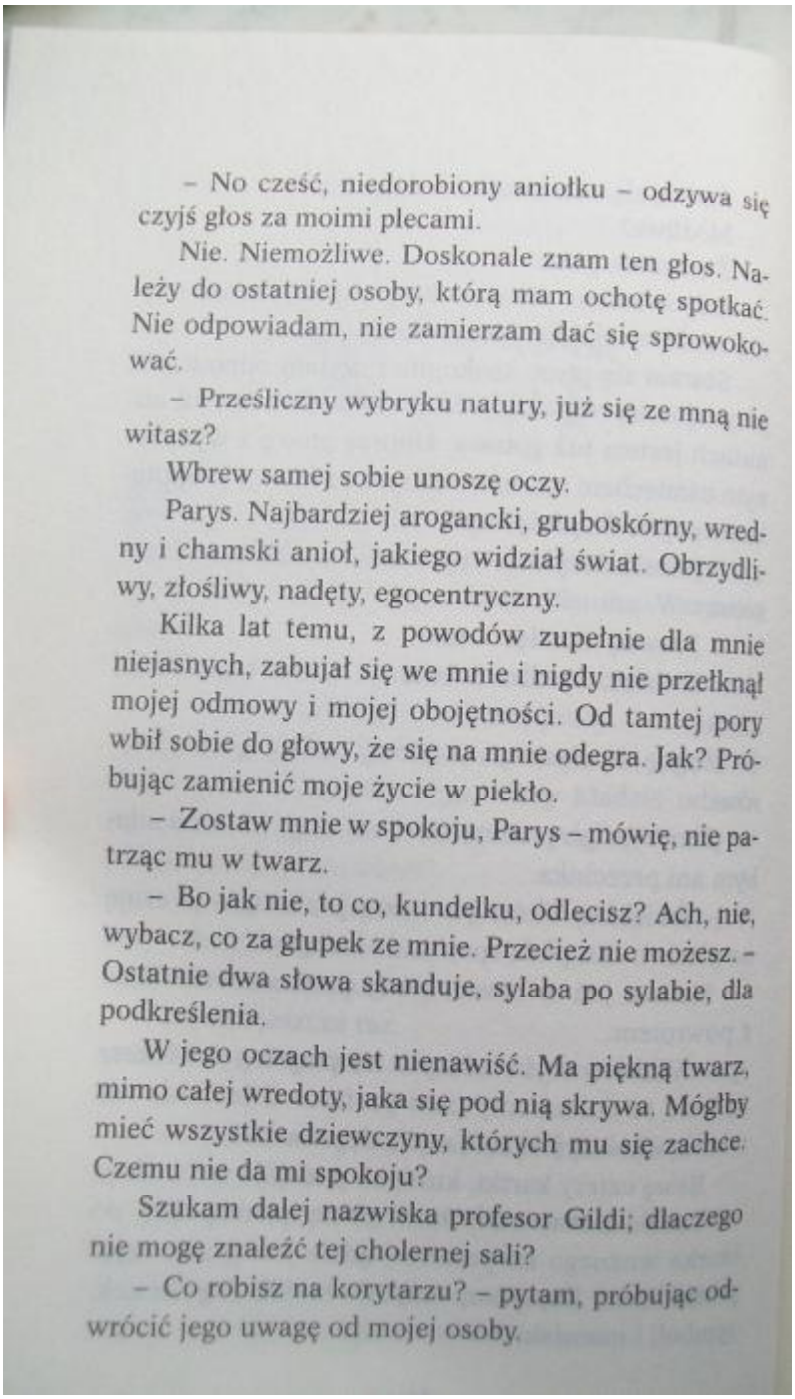

– No cześć, niedorobiony aniołku – odzywa się czyjś głos za moimi plecami.

Nie. Niemożliwe. Doskonale znam ten głos. Należy do ostatniej osoby, którą mam ochotę spotkać. Nie odpowiadam, nie zamierzam dać się sprowokować.

– Prześliczny wybryku natury, już się ze mną nie witasz?

Wbrew samej sobie unoszę oczy.

Parys. Najbardziej arogancki, gruboskórny, wredny i chamski anioł, jakiego widział świat. Obrzydliwy, złośliwy, nadęty, egocentryczny.

Kilka lat temu, z powodów zupełnie dla mnie niejasnych, zabujał się we mnie i nigdy nie przełknął mojej odmowy i mojej obojętności. Od tamtej pory wbił sobie do głowy, że się na mnie odegra. Jak? Próbując zamienić moje życie w piekło.

– Zostaw mnie w spokoju, Parys – mówię, nie patrząc mu w twarz.

– Bo jak nie, to co, kundelku, odlecisz? Ach, nie, wybacz, co za głupek ze mnie. Przecież nie możesz. – Ostatnie dwa słowa skanduje, sylaba po sylabie, dla podkreślenia.

W jego oczach jest nienawiść. Ma piękną twarz, mimo całej wredoty, jaka się pod nią skrywa. Mógłby mieć wszystkie dziewczyny, których mu się zachce. Czemu nie da mi spokoju?

Szukam dalej nazwiska profesor Gildi; dlaczego nie mogę znaleźć tej cholernej sali?

– Co robisz na korytarzu? – pytam, próbując odwrócić jego uwagę od mojej osoby.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Przyszedłem dopiero teraz, matematyka nieszczególnie mnie interesuje.

– Ach, no tak.

– Co tak…?

Chwyta mnie za podbródek i zmusza, żebym spojrzała mu w oczy. Są zupełnie bez wyrazu, mimo złości i arogancji; w tym intensywnym błękicie nie ma żadnej głębi. Poza tą przejrzystą powierzchnią rozciąga się tylko pustynia.

– Nic – mamroczę.

– Na pewno? – syczy przez zęby.

– Tak.

Ściska mocniej mój podbródek.

Gdzie się podziewa woźny, kiedy jest potrzebny? I nie ma mowy, żeby przechodził jakiś profesor… Wyskakują z klas tylko w najmniej odpowiednich momentach.

– No więc? – pyta mnie prowokacyjnie. Czuję na twarzy jego oddech.

– Parys… to boli – szepczę, próbując się uwolnić.

– To, co ty mi zrobiłaś, też bolało… bardzo bolało, pamiętasz?

Nie, to nieprawda, wszystko zrobiłeś sobie sam, to nie moja wina, że jesteś takim nieznośnym, narcystycznym kretynem.

– Pamiętasz? – powtarza.

Z lekkim skrzypieniem otwierają się drzwi i pojawia się woźny z wiadrem i mopem w ręce. Sprzątał łazienki nauczycieli, oto gdzie był przez cały ten czas. Parys puszcza mnie; nie jest taki głupi, żeby zarobić

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

uwagę drugiego dnia szkoły. Korzystam z tych paru sekund, kiedy odwraca się, żeby przepuścić woźnego, i puszczam się biegiem korytarzem. Wiem, że za chwilę znowu będę go miała za plecami, więc przyspieszam.

Nagle, tuż obok mnie, otwierają się drzwi, czyjaś ręka chwyta mnie, wciąga do środka i błyskawicznie zamyka drzwi. Próbuję krzyczeć, ale miękka, ciepła dłoń zakrywa mi usta.

– Ćśśś – szepcze cichutko ten ktoś.

Wybałuszam oczy i z początku nie wiem, gdzie się znajduję, chociaż chyba wiem z kim.

– Guglielmo?

Odczytuje pytanie z ruchu moich osłupiałych warg na dłoni, którą ciągle jeszcze zasłania mi usta.

– Tak, ale nie bój się... nie krzycz – dodaje ledwie słyszalnym szeptem.

Powoli kiwam głową, by wiedział, że się zgadzam.

– Dobrze. Chyba nie chcesz, żeby tamten typ cię znalazł?

Energicznie kręcę głową.

– Świetnie – szepcze bliziutko mnie.

Powoli zabiera rękę z mojej twarzy i puszcza mnie. Teraz wreszcie mogę się zorientować, gdzie jesteśmy: w starym laboratorium chemicznym, sporej sali z czterema rzędami stołów ustawionych w półkole. Wzdłuż ścian, na wysokich regałach, stoją przeróżne buteleczki i niepotrzebne graty. Nikt tu nigdy nie przychodzi.

Stoimy bardzo blisko siebie.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

On patrzy na mnie tymi swoimi oczami, widzę tę jego piękną twarz; słabe światło padające z małego, zakratowanego okienka podkreśla jego wysokie kości policzkowe, idealną skórę i cudowne usta, z dolną wargą odrobinę pełniejszą od górnej, przez co sprawia wrażenie wiecznie nadąsanego.

Ta sytuacja jest nierealna, czuję się jak w jednym z tych snów, w których człowiekowi wydaje się, że może decydować, co stanie się dalej, ale nie jest do końca pewny. Jak wczoraj wieczorem, w ogrodzie jego domu, kiedy spotkałam go pierwszy raz.

Czerwienię się jeszcze bardziej w tym rozproszonym świetle.

Guglielmo unosi dwoma palcami mój podbródek. Płonę już jak pochodnia, serce wali mi jak głupie. Unoszę twarz, a on spogląda mi w oczy.

– Wszystko w porządku? – pyta; jego głos jest jak najpiękniejsza melodia.

– Tak… ale gdybyś otworzył te drzwi, kiedy akurat przebiegałam, mogłabym walnąć w nie twarzą.

Uśmiecha się.

Nigdy jeszcze nie widziałam, jak się uśmiecha.

Jego twarz rozjaśnia się totalnie, począwszy od idealnych warg, które rozchylają się, ukazując wspaniałe, błyszczące zęby aż po kości policzkowe i oczy, które rozbłyskają światłem.

– To by było zabawne. Co robiłaś na korytarzu?

– Szukałam profesorki, żeby dać jej dokumenty od mojego nauczyciela.

– W takim razie będziesz miała kłopoty, jeśli zajmie ci to za dużo czasu…

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Nie, nie, już napisałam test… i nie uwierzysz, miałam pytania z *Uczty*.

– Co za fart – odpowiada niewzruszony.

– Właśnie. A co ty tu właściwie robisz? Twoja sala jest na parterze?

Kręci głową.

– Piętro wyżej, ale nie znalazłem bardziej odpowiedniego miejsca niż to.

– Odpowiedniego do czego?

Czubkiem buta pokazuje mi niedopałek papierosa.

– Och, okej.

Znów na mnie patrzy, jeszcze bardziej przenikliwie niż przed chwilą, jakby naprawdę chciał mnie zahipnotyzować. Te jego oczy to nie są oczy; to dwa czarne pociski, które przebijają cię na wylot i przygważdżają duszę.

– To nie jest fajny nałóg – mruczy.

– Wiem.

Długa chwila ciszy.

– Nigdy nie zaczynaj – dodaje, nie przestając mi się przyglądać. Ale to nie brzmi jak polecenie, raczej jak prośba.

– Nie mam tego w planach – zapewniam go z ironią. Nie mogę uwierzyć, że stoję z nim tutaj twarzą w twarz i rozmawiam z nim tak swobodnie, z taką pewnością siebie. A przecież to ten sam chłopak, którego nie chciałam już nigdy spotkać… bo to jest ten sam chłopak, prawda?

On znów się uśmiecha, nie tak radośnie jak przedtem – dostrzegam tylko tę samą iskrę w hebanowym spojrzeniu.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– W takim razie co masz w planach? – szepcze, zbliżając się jeszcze odrobinę.

– Wrócić do klasy cała i zdrowa.

– Ten palant już sobie poszedł, możesz być tego pewna – dodaje szybko. Czuję jego ciepły oddech.

– Więc chyba muszę ci podziękować – mówię, ryzykując spojrzenie w atramentowe źrenice.

Patrzy na mnie, lekko zdezorientowany, unosi prawą brew, kolczyk błyszczy tak samo jak jego oczy.

– Jestem ci winna dwie przysługi: pomogłeś mi zgubić Parysa i uratowałeś mnie przed niedostatecznym z filozofii.

Uśmiecham się, chociaż wiem, że mój uśmiech nigdy nie będzie tak rozbrajający jak jego.

– Do usług – mówi, składając mi lekki ukłon, okraszony szelmowskim spojrzeniem.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Piękne rzeczy robią przywódcy

Rozlega się ostatni dzwonek. Wszyscy wysypujemy się na dwór. Cała szkoła jest jak w delirium, wydaje się, że to nie drugi, wstrętny dzień szkoły, ale ostatni. Wszyscy leją się wodą bez opamiętania, może dlatego, że jest tak gorąco? Jest chyba ze trzydzieści stopni w cieniu.

Ginevra i Camilla, które wyszły przede mną, są już mokre od stóp do głów. Ukryty obok wejścia stoi chłopak z ostatniej klasy, z prawie pustym wiadrem w dłoni.

Dziewczyny ociekają wodą jak zmokłe kury, a ja śmieję się jak wariatka: udało mi się schować za Lorenzem, który ma metr osiemdziesiąt wzrostu.

– Nie żyjesz! – wrzeszczą moje przyjaciółki. Wyciągają butelki i zaczynają mnie gonić po całym placu.

– Ale ja nic nie zrobiłam!

Śmieję się na całe gardło, uciekając, żeby uniknąć prysznicu.

– Ale i tak zapłacisz!

Lądują na mnie jakieś dwa litry lodowatej wody; na szczęście jest ciepło. Jestem przemoczona i za-

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

czyna mi spływać kredka do oczu. Nie przestając się śmiać, robię unik przed zawartością wiadra, która trafia prosto w Lorenza.

I w tej chwili znów go widzę.

Jest jak zjawa.

Siedzi okrakiem, suchutki, na wspaniałym motorze, piękny jak grecki bóg, i przygląda się tej absurdalnej scenie, w której biorę udział, przemoczona do suchej nitki, z kredką spływającą po policzkach, z oczami à la panda, z włosami przylepionymi do czoła, z dżinsami klejącymi się do nóg.

Patrzy na mnie, unosi kąciki ust w uśmiechu, wkłada kask i odjeżdża. Po sekundzie znika w ulicznym ruchu.

Docieram do domu przemarznięta.

Ginevra, równie mokra jak ja, żegna się ze mną przed wejściem.

– Weź prysznic! – krzyczy za mną, ruszając swoim bolidem.

– Mówisz, że jeden nie wystarczy? – odpowiadam ze śmiechem. Szamoczę się z kluczami. Otwieram drzwi i ruszam do góry po kamiennych schodach.

Buty pełne wody wydają dziwaczne piski. Czuję się jak kaczka. Przed drzwiami mieszkania wpadam na sąsiadkę, która akurat wychodzi. To starsza pani, bardzo miła i bardzo wścibska: wie o wszystkim, co się dzieje w dzielnicy.

– Święci pańscy, Vittoria… a cóż ci się stało?

– Dzień dobry, pani Marcelli, proszę się nie przejmować, to tylko woda.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Dlaczego te drzwi się nie otwierają?

– Tak, tego się akurat domyśliłam. Ale dlaczego jesteś cała mokra?

– To wina dwóch takich z wiadrami, nic poważnego – próbuję ją zbyć.

– W moich czasach pewnych rzeczy się nie robiło.

W pani czasach nie było jeszcze bieżącej wody, pani Marcelli.

Drzwi, otwórzcie się, błagam.

– Twoja siostra nigdy nie wróciła ze szkoły w takim stanie. Powinnaś brać z niej przykład, to wspaniała dziewczyna.

Zamek nareszcie puszcza. Wpadam do mieszkania, ale zanim udaje mi się zamknąć drzwi za sobą, sąsiadka wtyka nogę za próg. Jak na osiemdziesięcioparolatkę jest zwinna jak fretka.

– Vittoria, jeszcze jedno, ten typek zupełnie mi się nie podoba.

– Jaki typek?

Nasadza na nos okularki w srebrnej oprawie.

– Ja mam oko i widzę, kiedy coś się dzieje.

– Tego nikt nigdy nie podaje w wątpliwość, pani Marcelli.

– I mam oko do ludzi, a ten typek... nie podoba mi się, jego twarz nie budzi zaufania... Za ciemna i jakaś podejrzana. Stał pod waszymi drzwiami, a potem sobie poszedł.

– Może to był listonosz, pani Marcelli.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie umiem rozpoznać listonosza?

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Nie, ależ skąd.

– Był za młody i miał kask pod pachą, i to coś wpięte w brew… jak wy to nazywacie? Pirfing!

Blednę.

– Dobrze się czujesz, dziecko?

– Przepraszam, pani Marcelli, zimno mi. Ale dziękuję za informację, do widzenia.

Wreszcie udaje mi się wejść do domu i zostawić za drzwiami starą plotkarę.

Guglielmo u mnie w domu?

Znaczy, przed moim domem? Po co?

Marcelli na pewno się pomyliła.

Ale przecież mówimy o Marcelli, która ma słuch jak nietoperz i wzrok jak jastrząb, widzi i słyszy wszystko i nie myli się nigdy.

Ale, do licha, po co on tutaj przyszedł? Nie rozumiem.

W tej chwili zauważam kopertę na podłodze.

Schylam się, żeby ją podnieść. Bez nadawcy, bez znaczka, bez adresu.

Otwieram ją.

Jest w niej odręczny liścik.

Pierwsza przysługa: wysusz się i nie przezięb.

Opieram się o drzwi, bo trzęsą mi się nogi i nie wiem, czy to z zimna od przemoczonych dżinsów.

Rozrywam kopertę.

W dłoń wpada mi kolejny kwiatek szkarłatnej róży.

Obracam bilecik; z tyłu nie ma podpisu, tylko kolejne zdanie.

I proszę cię, tym razem uważaj na kolce!

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Wstawiam różę razem z tą pierwszą do małego wazonika na swoim biurku. Jest piękna, bardzo piękna – aż za bardzo. I tak jak wszystkie piękne rzeczy, jeśli nie będziesz uważać, zrobi ci krzywdę.

Róże mają upajający zapach, ale i ostre kolce, gotowe zranić cię do krwi. Słońce daje życie, ale jeśli z nim przesadzisz, poparzysz się. Woda gasi pragnienie i topi, tworzy i niszczy.

Piękne rzeczy robią krzywdę, ale kiedy ich nie ma, odczuwasz ich brak.

Ich przeklęty brak.

Głaszczę płatki kwiatów, uważając, żeby nie dotykać kolców.

Proszę was: nie zwiędnijcie nigdy.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Miłość jest demonem

Dzisiejszy dzień zaczyna się wielką nowiną. Która wychodzi z naszej klasy. Rozłazi się korytarzami. Przekracza drzwi i okna. Przeskakuje przez żelazną furtkę. Leci na sąsiednie posesje. Z ust do ust. Z ucha do ucha.

Marco urządza imprezę.

To nie jest zwykła impreza.

To jest impreza u Marca.

– Idziesz? – pytam Lorenza na matematyce.

– Tak, obiecałem mu.

Marco jest jednym z jego najlepszych kumpli.

Profesorka patrzy na nas z ukosa, więc udaję, że wgryzam się w równanie, które na próżno usiłuję rozwiązać.

– To ja też przyjdę…

– Ale kto będzie? – pyta Ginevra.

– Cała szkoła, mniej więcej, przecież wiesz, że Marco lubi iść na całość…

Cała szkoła?

Cała cała?

Ja już mam na myśli jeden wyjątek, bardziej niż prawdopodobny.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

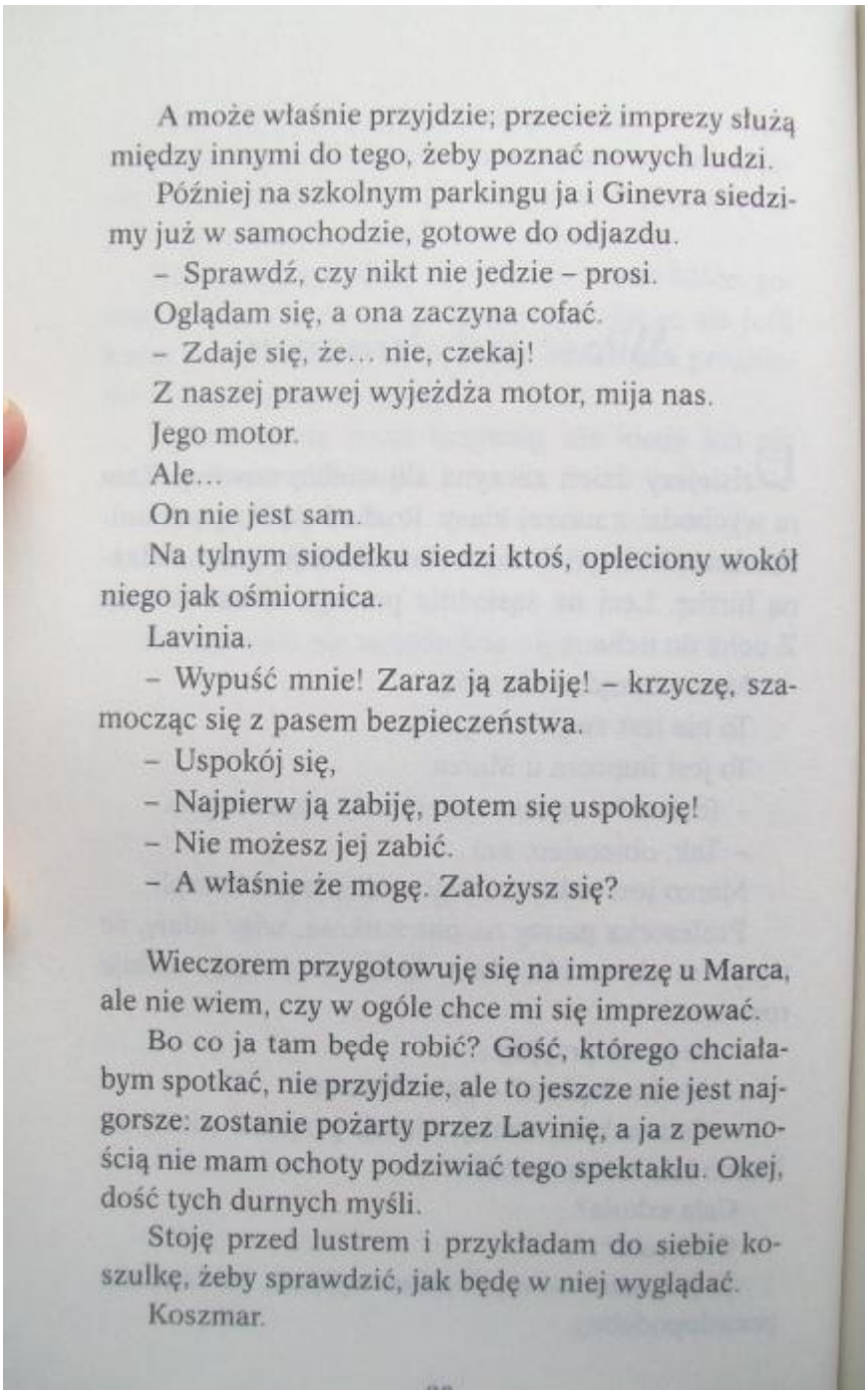

A może właśnie przyjdzie; przecież imprezy służą między innymi do tego, żeby poznać nowych ludzi.

Później na szkolnym parkingu ja i Ginevra siedzimy już w samochodzie, gotowe do odjazdu.

– Sprawdź, czy nikt nie jedzie – prosi.

Oglądam się, a ona zaczyna cofać.

– Zdaje się, że... nie, czekaj!

Z naszej prawej wyjeżdża motor, mija nas.

Jego motor.

Ale...

On nie jest sam.

Na tylnym siodełku siedzi ktoś, opleciony wokół niego jak ośmiornica.

Lavinia.

– Wypuść mnie! Zaraz ją zabiję! – krzyczę, szamocząc się z pasem bezpieczeństwa.

– Uspokój się,

– Najpierw ją zabiję, potem się uspokoję!

– Nie możesz jej zabić.

– A właśnie że mogę. Założysz się?

Wieczorem przygotowuję się na imprezę u Marca, ale nie wiem, czy w ogóle chce mi się imprezować.

Bo co ja tam będę robić? Gość, którego chciałabym spotkać, nie przyjdzie, ale to jeszcze nie jest najgorsze: zostanie pożarty przez Lavinię, a ja z pewnością nie mam ochoty podziwiać tego spektaklu. Okej, dość tych durnych myśli.

Stoję przed lustrem i przykładam do siebie koszulkę, żeby sprawdzić, jak będę w niej wyglądać.

Koszmar.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Rzucam ją do kąta na dwadzieścia poprzednich.

Dzisiaj we wszystkim wyglądam koszmarnie.

A na dodatek włosy mi sterczą w trzech różnych kierunkach. Wyglądam jak ananas.

Koszmar do kwadratu.

Obejmuję poduszkę.

A jeszcze wczoraj wieczorem byłam taka zadowolona…

Przeklęte emocje, gdybym była kawałkiem lodu, nie miałabym tych wszystkich problemów.

Może i byłabym przez całe życie samotna jak pies, ale bez problemów uczuciowych.

Ludzie mówią, że miłość jest aniołem.

Miłość nie może być aniołem: sprowadza cierpienie, sprowadza płacz.

Sprawia, że ma się ochotę mordować.

Jak coś tak destruktywnego może być aniołem?

Coś tak niebezpiecznego, niepewnego, zdradliwego i podłego.

Miłość nie jest aniołem – wręcz przeciwnie, jest demonem, pięknym i uwodzicielskim, ale jednak demonem.

O czarnych skrzydłach ochlapanych krwią.

Platon miał rację.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Muzyka mnie nakręca

Słyszę muzykę już w połowie ulicy i jest to muzyka typowa dla imprez u Marca: czysty house. Monotonny rytm, energetyczny i przenikliwy. Który płynie i powtarza się bez żadnych ograniczeń: hipnotyzuje zmysły, mąci i wymazuje myśli.

Zaczynasz się poruszać, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, ten rytm wciąga i zmusza do tańca każdego.

Docieram na miejsce; brama jest otwarta, za bramą całe rzędy skuterów i kilka samochodów. Dom Marca jest parterowy, ma spory ogród i obszerne podcienie, teraz pełne ludzi. W jednym końcu jakiś gość, którego znam wyłącznie z widzenia, obsługuje konsoletę, bawiąc się w didżeja.

Witam się z paroma osobami i z gospodarzem, który tańczy z kubkiem w dłoni.

Odnajduję wzrokiem Ginevrę, Lorenza, Francescę i Camillę siedzących w kącie i idę prosto do nich.

Muza jest za głośna, żeby dało się rozmawiać, można najwyżej próbować wrzeszczeć sobie nawzajem do uszu.

Ginevra próbuje coś do mnie mówić.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Co? – pytam.

– Może unikniesz dzisiaj rozlewu krwi, Lavinii nie ma – powtarza głośniej, usiłując przekrzyczeć łomot, od którego pękają bębenki.

Prawie się duszę od tytoniowej siekiery wiszącej w powietrzu. Moje płuca straciły już nadzieję na uniknięcie choroby.

– Tańczymy? – proponuje Francesca.

– Okej. – Wygląda na to, że tym razem jakoś przeżyję.

Rzucamy się wszyscy w tłum ludzi, w splątany kłąb ciał, rąk i nóg.

Muzyka mnie nakręca, eksploduje z głośników, a potem na nowo w żyłach i skroniach, serce i oddech usiłują za nią nadążyć, dotrzymać kroku temu nienaturalnemu elektronicznemu rytmowi.

Kolorowe światła zamontowane obok didżeja rzucają fluorescencyjne, nieistniejące cienie, pulsują wyrazistymi kolorami, jaskrawymi błyskami. Przerwa, światło, przerwa, ciemność, światło. Jakby ktoś z wielkim aparatem fotograficznym bez przerwy strzelał zdjęcia.

Oczy z trudem przyzwyczajają się do tych wszystkich bodźców, mam wrażenie, że nie jestem już w ogrodzie Marca.

Falujemy razem ze wszystkimi, Marco mija nas z zielonym fluorescencyjnym świetlikiem w ustach, który tworzy dziwaczny kontrast z jego bursztynową skórą i ciemnymi lokami.

Rzuca się na Lorenza i obejmuje go ręką za szyję.

– Blondynek, przyjacielu!

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Jeszcze jest w stanie mówić. Na razie.

Lorenzo łapie w locie świetlik, który wypadł z ust Marca.

– Marco, nie znasz umiaru, jak zwykle – mówi ze śmiechem.

Marco bierze od niego świetlik, udając, że to papieros.

– Bawcie się ładnie! – wykrzykuje, nie zwracając uwagi na wymówkę kumpla. I odchodzi, zataczając się.

Jest strasznie ciasno i ledwie mogę oddychać. A Francesca zapala kolejnego papierosa.

Nie, po prostu nie zniosę kolejnego kłębu dymu. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

– Idę się czegoś napić – wrzeszczę.

– Co?

Podnoszę do ust wyimaginowaną szklankę.

– Okej!

Wydostaję się z trudem z tego podrygującego muru i podchodzę do stołu z napojami. Stoi tu mnóstwo butelek z mocnymi trunkami, plastikowe kubki i wiaderka z lodem. Każdy obsługuje się sam. Udaje mi się wywalczyć trochę miejsca przy stole i nalewam sobie drinka. W tej chwili ktoś popycha mnie w plecy. To Alessia – zatacza się i mam wrażenie, że nie czuje się najlepiej. Ona pewnie też przesadziła.

Znam Alessię od zawsze, przyjaźniłyśmy się od dziecka i chodziłyśmy do jednej klasy aż do średniej szkoły. W ogólniaku wylądowała w innej klasie i ja, i Ginevra trochę straciłyśmy ją z oczu. Przyjaźń rozluźniła się z czasem, ale zawsze bardzo się lubiłyśmy.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

i w sumie jesteśmy bardzo podobne. Chociaż ona jest „prawdziwym" aniołem ze skrzydłami, mamy włosy w tym samym kasztanowym odcieniu i trochę podobne rysy twarzy. Od dziecka brano nas za siostry.

– Vichi! – wita mnie bełkotliwie.

– Hej, wszystko w porzo? – pytam ją i odstawiam kubek na stół, żeby pomóc jej się utrzymać na nogach.

Przytakuje głową z większym entuzjazmem niż potrzeba.

– Ale, słuchaj, to nie jest moja wina – mówi, wciąż się chwiejąc na nogach.

– O czym ty mówisz?

Opiera się całym ciężarem na moim ramieniu; jest maksymalnie wcięta.

Pociąga łyk z butelki, którą trzyma w ręce. Na szczęście to woda; to znaczy, że próbuje jakoś dojść do siebie.

– Przepraszam, idiotka ze mnie. Za dużo wypiłam.

– Zobaczysz, zaraz ci przejdzie. Odprowadzić cię do łazienki?

– Nie, nie, posłuchaj… – mówi, przecierając ręką czoło. – Przepraszam, powiedz Marcowi, jeśli go zobaczysz… ale ja nie mam z tym nic wspólnego, okej? To był ich pomysł, zawsze tak robią… a on wie, że jeśli będzie jakieś bagno…

Alessia wlewa w siebie kolejną wodę.

– Hej, ale o czym ty mówisz? Nie nadążam, kto co zrobił?

– Parys. Idzie tu. Ze swoimi kumplami.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Naprawdę chciałaś o to zapytać

Jakieś dziesięć metrów ode mnie, za kłębiącymi się ludźmi i dymem dostrzegam cień, który wydaje mi się znajomy – przemknął się do domu bocznym wejściem.

Próbuję dostrzec w tym cieniu długi profil Guglielma, ale w końcu kręcę głową, otumaniona dymem i paskudnym drinkiem, którego wypiłam. Jako barman jestem do niczego. Widzę kilka koleżanek, które tańczą niezmordowanie tam, gdzie je zostawiłam. Dołączam do nich i wtapiam się w tłum, zaczynam się poruszać. Ginevra i Lorenzo gdzieś zniknęli, natomiast widzę Parysa i jego kolegów, podjeżdżających gęsiego na skuterach.

Rozchodzą się między ludźmi, gadają, śmieją się. Ludzie rozstępują się na ich widok i bez szemrania znoszą ich żarty. Chociaż nie wygląda na to, żeby mieli złe intencje, to wiem, że dla mnie zabawa się skończyła.

Tańczę, a raczej staram się utrzymać na nogach, a resztę załatwia tłum dokoła, falujący mniej więcej w jednym rytmie.

Świat wiruje, a ja próbuję dotrzymać mu kroku. Popełniam błąd i zatrzymuję się w środku tego wiru.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

bo brakuje mi tchu. Jeśli wypadniesz z rytmu, który cię unosi, i zatrzymasz się na chwilę, widzisz tylko grupę ludzi podrygujących wokół ciebie i słyszysz tylko potężne pulsowanie, które przenika ci do nóg, zapraszając do tańca. Tylko to.

Strasznie chce mi się pić. Drink, którego wypiłam, zostawił mi dziwny słodkawy posmak w ustach. Gardło mnie piecze, jakby kłuły je setki szpilek.

Na stole, wśród powywracanych kubków i na wpół opróżnionych butelek, nie została ani kropla wody. Wchodzę do domu, przecinam salon niepraw-dopodobnie zatłoczony. Nie pamiętam dobrze rozkładu domu Marca, nie wiem, gdzie jest kuchnia.

Wchodzę w korytarz i otwieram jakieś drzwi na chybił trafił.

I popełniam potworny błąd.

To pokój Marca, a przynajmniej tak mi się zdaje, biorąc pod uwagę wystrój.

I nie jest pusty. Ktoś siedzi na łóżku.

– Cześć – wita mnie, zamykając książkę i wpychając ją do kieszeni ciemnych dżinsów.

Patrzę na niego, osłupiała.

Przyszedł. Więc to nie była halucynacja.

Opieram się pokusie, żeby zamknąć drzwi i zwiać, bo to nadałoby temu spotkaniu zbytnią wagę, a nie chcę, żeby wiedział, jak jest ważny.

– Cześć – mówię. Mam wrażenie, że mój głos dobiega z sąsiedniego pokoju.

Gdzie zostawiłeś Lavinię? I dlaczego przyszedłeś? – chciałabym zapytać, ale się powstrzymuję.

Uśmiecha się trochę słodko, trochę złowróżbnie.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Jak to możliwe, że zawsze spotykamy się w tak niezwykłych okolicznościach? – pyta mnie jak gdyby nigdy nic.

Nie odpowiadam. Powinnam?

Unosi brew, tę z kolczykiem.

– Szukałam kuchni.

Kiwa głową.

Mam wielką ochotę sobie iść, ale czuję się, jakby nie pozwalała mi na to jakaś obca siła; nie mogę się ruszyć.

– A ty? Przyszedłeś…

– Zostałem zaproszony, ale nieszczególnie mi się podoba całe to zamieszanie.

Wykonuje gest, jakby wskazywał to wszystko, co dzieje się poza pokojem.

Tym razem ja przytakuję.

– Jak ci się mieszka w nowym domu? – rzucam chłodno.

Przez sekundę patrzy mi prosto w oczy; to spojrzenie jest precyzyjne jak pchnięcie sztyletem.

Milczy przez chwilę, a w końcu wybucha śmiechem.

Co w tym takiego śmiesznego? Przecież nic, zupełnie nic.

Wstaje i podchodzi do mnie. Za blisko. Kładzie rękę na ścianie, o którą się opieram, i zbliża twarz do mojej twarzy. Nie mogę się cofnąć. Nie mogę zwiększyć dystansu.

– Naprawdę chciałaś o to zapytać?

Stoję nieruchomo.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Jak mi się mieszka w nowym domu? – powtarza, na wypadek gdyby umknął mi sens jego prowokacyjnego pytania.

Łomot muzyki przenika przez ścianę, stłumiony i odległy; mam wrażenie, że jesteśmy o całe lata świetlne od imprezy.

– A nie chciałabyś przypadkiem wiedzieć, dlaczego dzisiaj podwiozłem twoją koleżankę?

Moje serce zamiera, oddech grzęźnie mi w gardle, które wciąż piecze.

Na sekundę pogrążam się w otchłani wstydu, a w następnej chwili zaczyna we mnie wzbierać złość.

Za kogo ty się uważasz, do diabła? Kto cię zna i kto by chciał cię znać?

I kto cię o cokolwiek pytał?

Wychodzę i trzaskam drzwiami.

Idę szybko korytarzem; między mną i Guglielmem jest coraz więcej pokoi i coraz więcej zamkniętych drzwi. Wychodzę do ogrodu; gardło pali mnie teraz także od łez złości, które tkwią tam gdzieś, powstrzymywane.

Do licha, gdzie są Ginevra i Lorenzo?

Na dworze jest za duże zamieszanie. Przynajmniej w tej kwestii Guglielmo miał rację, niech go szlag.

Biorę ze stołu pierwszy lepszy kubek i wlewam w siebie zawartość jednym haustem, próbując ugasić ogień, który piecze mnie w gardle.

I popełniam kolejny fatalny błąd. Cokolwiek to było, piecze jeszcze bardziej. Krzywię się z obrzydzeniem i podpieram się ręką o stół, bo kręci mi się

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

w głowie. Dotykam szyi; pali, jakbym miała na niej za ciasny, ognisty krawat.

Wokół mnie jest za duże zamieszanie. Nic już nie rozumiem. Wszyscy wrzeszczą, a muzyka jest za głośna. Postanawiam wrócić do środa, ale poruszam się z trudem. Ściany falują, nieostre, rozmywają się. Zaraz zemdleję, myślę wystraszona, w przebłysku przytomności.

Ściana przechyla się coraz bardziej.

Na każdym centymetrze mojej skóry rozpalają się tysiące parzących iskier.

Nie czuję już podłogi pod stopami.

Otwieram jakieś drzwi i zamykam je za sobą.

W pokoju jest ciemno; rzucam się na fotel, podciągam kolana pod brodę.

Oddycham z trudem, jestem rozpalona; ognisty krawat ściska mi gardło coraz ciaśniej, na czole czuję krople potu.

Pokój wiruje, a ja modlę się, żeby to wszystko okazało się koszmarem, z którego zaraz się obudzę.

Półmrok, który spowija pokój, obrzeżony jest drżącą obwódką czerni, która migoce mi w oczach. Masuję skronie, w których krew pulsuje jak szalona.

Powtarzam sobie, że to minie. Szybko minie, prawda?

W mojej głowie eksplodują bomby bólu, niemal jakby chciały zaprzeczyć.

Słyszę skrzypnięcie klepek parkietu.

Ktoś wszedł.

– Ginevra? – pytam ledwie słyszalnym głosem. – Lorenzo?

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Cisza.

Próbuję się podnieść, ale padam z powrotem na poduchy.

Śmiech. Ostry, nieprzyjemny, rozlega się jak grzmot w mojej głowie.

– Parys… idź sobie – błagam.

Śmieje się znów, tym razem z zadowoleniem.

– Źle się czuję – szepczę, niemal do samej siebie.

– Oczywiście, że się źle czujesz.

Głos jest coraz bliżej.

– Idiotko, sama się o to prosiłaś – stwierdza twardo.

Czuję, jak opuszczają mnie resztki sił.

– Idiotka – powtarza ze złością.

Podchodzi jeszcze bliżej.

– Smakował ci drink, którego kazałem dla ciebie przygotować?

– Co? Co ty mówisz?

– Ach, no tak, wybacz – ciągnie z sarkazmem. – Nie chcę sobie przypisywać całej zasługi. Drinka zrobiłaś sobie sama. Ja tylko postarałem się, żeby był w nim… mój osobisty wkład.

– Ty gnoju!

– Uważaj, do kogo mówisz – cedzi powoli. Jego głos coraz bardziej rwie się ze złości, jest coraz bardziej bełkotliwy; on też pił.

– Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy wczoraj rano?

Nagle zaczynam się bać.

Parys ciska szklanką o podłogę; szło się tłucze, zasypując podłogę ostrymi odłamkami.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Chwyta mnie za nadgarstki i wrzeszczy mi prosto w twarz:

– Pamiętasz?

– Parys, za dużo wypiłeś – szepczę przerażona. Przerażona kwaśnym zapachem jego oddechu, jego nieobliczalnym zachowaniem i faktem, że nie mam siły nawet krzyczeć; a zresztą nikt by mnie tu nie usłyszał.

Ściska moje nadgarstki coraz mocniej. Staram się nie stracić przytomności; pokój wokół nas pulsuje jak ogromne czarne serce.

– Bądź cicho – syczy Parys przez zaciśnięte zęby. – Rozmawialiśmy o tym, jaki mi zadałaś ból, pamiętasz? Pamiętasz, prawda?

Kiwam głową, roztrzęsiona, próbuję mu się wywinąć, ale nie dałabym rady, nawet gdybym była w pełni sił.

Głowa mi eksploduje, łzy zbierają się w kącikach oczu; powstrzymuję je, przyciskając język do podniebienia.

– Dobrze.

Śmieje się.

Kompletnie oszalał z wściekłości.

– Chcesz, żebym ci go opisał? Może w ten sposób lepiej to zrozumiesz...

Ściska mi szyję.

Szarpię się, przerażona, ale jest o wiele silniejszy ode mnie i trzyma mocno.

Kontury pokoju pulsują coraz mocniej.

Szamoczę się, tłumię krzyk.

– To tępy ból, trochę jak ten.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Brakuje mi powietrza.

– Na początku. Ale potem się zmienia, przybiera na sile.

Puszcza moje gardło.

Padam na podłogę, na kolana, i oddycham z wysiłkiem. Znów mnie chwyta, uniemożliwiając jakikolwiek ruch.

– Taki jak ten.

Chwyta odłamek szkła, dość duży i przerażająco ostry.

Widzę błysk szkła w jego dłoni.

– Nie!

Krzyczę ze strachu, usiłuję się uwolnić, szamoczę się jak zwierzę w pułapce. Parys przysuwa szkło do mojego ramienia. Moje łzy kapią na podłogę. Ostry szpic jest centymetr od mojej skóry. Przez mózg przemykają mi tysiące obrazów.

Krew, przede wszystkim.

Staje mi przed oczami wspomnienie pierwszego razu, kiedy się skaleczyłam, jeszcze jako dziecko, sztywną kartką. Mama przylepiła mi plasterek i być może wtedy zaczęła mieć pierwsze wątpliwości co do mojej anielskiej natury. W tym wieku powinnam już mieć zdolność do gojenia drobnych zadrapań.

Dławię kolejny krzyk, wierzgam jak koń, ale to na nic.

Szkło jest pół centymetra ode mnie.

Widzę coraz mniej, jakbym patrzyła przez maleńkiego judasza.

Zamykam oczy.

Nagle słyszę głośny łomot. I kolejny.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Otwieram oczy i dostrzegam wysoką, smukłą postać. Parys leży na ziemi kilka metrów ode mnie, z nogami przyciśniętymi nocną szafką Marca, jakby nagłe trzęsienie ziemi przewróciło na niego mebel.

Drzwi są otwarte na oścież, smuga światła z korytarza rozjaśnia jego idealny profil, jego twarz wykrzywioną gniewem i pogardą.

Wygląda jak anioł, myślę. Przypomina anioła o wiele bardziej niż ja, Lorenzo, Elena czy mój ojciec.

– Nie żyjesz! – wrzeszczy obolały Parys, zbierając się z podłogi. – Nie pokazuj się w szkole, bo cię zabiję!

Guglielmo nawet na niego nie patrzy.

– Możesz mieć pewność, że tego pożałujesz, zapłacisz mi za to…

Parys wypada wściekły z pokoju, o mało nie przewracając po drodze Ginevry.

Guglielmo ociera mi czoło dłonią, głaszcze mnie po policzku.

– Co jej jest? – pyta moja przyjaciółka, przerażona.

– Wygląda na naćpaną.

– Co?

– Vichi… – szepcze mi do ucha Guglielmo. – Staraj się nie zasypiać, cokolwiek by się działo, proszę cię, nie zasypiaj.

Dostrzegam tysiąc refleksów w jego oczach z czarnego lodu, tysiąc odcieni i jedną wielką niepewność.

– Proszę cię – dodaje, przeczesując palcami moje włosy.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Kiwam głową, żeby wiedział, że zrozumiałam, o co mu chodzi.

Odwraca się do moich przyjaciół. Ginevra stoi sparaliżowana strachem obok Lorenza, który obejmuje ją i próbuje uspokoić.

– Nie możemy jej odstawić do domu, przynajmniej dopóki nie poczuje się lepiej. I nie może zostać sama. Nie można pozwolić jej zasnąć, dopóki to, co wzięła, nie przestanie działać... ale trzeba się stąd szybko zmywać, zanim Parys wróci ze swoimi kolesiami – mówi Lorenzo.

– Zabierzmy ją do mnie – proponuje Ginevra.

Lorenzo kręci głową.

– Nie możemy ryzykować, że twoi rodzice się zorientują.

– Więc do ciebie.

– Ten sam problem – odpowiada Lorenzo. – Jeśli moi starzy ją zobaczą w takim stanie, będziemy mieli przechlapane.

– Więc co robimy?

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Czuję bicie jego serca

Wspomnienie imprezy jest już zamazane jak sen: nieostre, odległe jak panorama przesłonięta mgłą, jak zdjęcie wyblakłe od słońca i zmyte deszczem. Dom Marca oddala się coraz bardziej – błyszczący, hałaśliwy punkt, falująca latarnia.

Podobno mózg może reagować na narkotyki w bardzo różny sposób. Niektóre substancje powodują imponujące jazdy, wywołują halucynacje, wyraziste i przerażające, piękne i straszne, kolorowe i pogmatwane.

Ja nie widzę różowych słoni i to jest chyba pocieszające. Świństwo, które wrzucili mi do szklanki, chyba jednak nie było zbyt mocne. Ale za to mam wrażenie, że ledwie panuję nad własnym ciałem. To dziwaczne uczucie, jakby dusza z trudem w nim pozostawała i tylko czekała na odpowiedni moment, żeby odlecieć.

Zmysły mam wyostrzone; czuję na skórze chłodne powietrze wieczoru, gęste, niemal namacalne, jak gruba, mokra szmata.

Czuję zapach ulicy, wilgoci, kurzu, aromat roślin i nocy.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Kolory mieszają się, błyszczą, zlewają w moich oczach.

Słyszę westchnienia, szuranie i szepty; są wymieszane, nie rozróżniam ich. Wszystkie z wyjątkiem jednego, najbliższego.

Słyszę bicie jego…

Tuż przy swoim lewym uchu.

…serca.

Słyszę bicie jego serca.

Kiedy niesie mnie na rękach, skuloną jak szczeniaka, przytuloną do piersi.

Puk… puk… puk.

Rytm jest regularny. Miękki. Jak oddech.

Puk… puk… puk.

Dźwięk delikatny, jakby bał się zakłócać mi wypoczynek.

Pierwszy dźwięk wydawany przez człowieka: rytm życia. Pierwszy hałas i pierwsza muzyka.

Przyciskam głowę mocniej do jego piersi.

Znów bije.

Więc ma serce, myślę.

On, taki piękny i chłodny jak lodowiec, taki dziwny i fascynujący, chwilami tak przerażający, ma serce, które bije, które żyje.

Ma serce.

Serce, by móc czuć emocje, serce, które ktoś mógłby kiedyś zranić.

Serce, które mogłoby krwawić.

– Co robisz? – pyta mnie.

– Nic, słucham.

– Słuchasz mnie?

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Tak, słucham ciebie.

Słucham muzyki twojego życia.

Dowodu, że nie jesteś posągiem, obrazem, snem czy koszmarem.

– I podoba ci się?

Kiwam głową.

Zamykam oczy, kołysana tym dźwiękiem; powieki zaczynają mi ciążyć.

– Nie – szepcze, muska je dłonią, każe mi je otworzyć. – Staraj się nie zasnąć, mała...

– Ale tak strasznie mi się chce – marudzę jak małe dziecko.

– Jesteśmy na miejscu.

Widzę ogromny cień, trochę straszny, jego domu, który majaczy w ciemności.

Wchodzimy przez furtkę; Guglielmo pokonuje chodnik, otwiera wielkie drzwi, wciąż przyciskając mnie do siebie.

W środku jest ciemno i cicho, dom mógłby się wydawać niezamieszkany, gdyby nie meble, które świadczą o obecności lokatorów.

Idziemy długim korytarzem.

Guglielmo otwiera drzwi.

– No, możesz zostać tutaj.

To pokój, jeden z wielu. Guglielmo kładzie mnie na zabytkowym łóżku, wysokim i szerokim, zajmującym pół pomieszczenia. Oprócz łóżka w pokoju są jeszcze szafa i fotel. Wielkie okno wychodzi na ogród. Czy to jest ten pokój, z którego wyglądał kilka dni temu, odsuwając ciężkie kotary?

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Kładzie mnie ostrożnie.

Łóżko jest miękkie, ale zimne w porównaniu z jego objęciami.

W pokoju jest ciemno; rozjaśnia go tylko światło księżyca wpadające przez okno i rozlewające się plamą na podłodze.

– Lampa mogłaby ci przeszkadzać i zwiększyć ból głowy.

Tak, głowę chętnie bym sobie odkręciła, rzeczywiście lepiej nie pogarszać sytuacji.

Chce mi się spać, strasznie. Nie wiem, czy to wina tego świństwa, które wypiłam, ale dosłownie nie jestem w stanie utrzymać uniesionych powiek... ja, która najchętniej żyłabym nocą, jak nietoperze, i wcale nie chodziła spać.

Guglielmo siada na łóżku obok mnie. Materac ugina się pod jego ciężarem.

– Nie zasypiaj – powtarza.

– Nie wiem, czy dam radę.

– Musisz dać.

– Myśli mnie bolą.

– Słucham?

– Myśli – powtarzam – naciskają na czaszkę i na oczy, wrzeszczą i palą...

Chyba się uśmiecha; wyczuwam to po tym, jak mówi.

– To nie myśl.

– A jak mam nie zasnąć?

Cisza.

– Kiedy masz urodziny? – pyta mnie nagle.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Hę? – pytam osłupiała.

– Kiedy masz urodziny? Jak mają na imię twoi rodzice? Jesteś jedynaczką?

– Co ty wygadujesz?

– Zadaję ci pytania.

– Zauważyłam, ale dlaczego?

– W ten sposób będziesz mówić bez namysłu i nie zaśniesz.

Wyciąga się na łóżku obok mnie, odwraca w moją stronę i opiera na łokciu, żeby patrzeć mi prosto w twarz. Ośmielona ciemnością, zaczynam opowiadać. Mówię o sobie, o mojej rodzinie, o Elenie, o tym, że chętnie bym ją udusiła. Opowiadam mu o Ginevrze, o Lorenzu, o szkole.

On zadaje pytania, a ja odpowiadam.

Mówię o wszystkim: co mi się podoba, czego nie cierpię i dlaczego, jak się czuję. Mówię mu o rzeczach, o których nie mówiłam nawet samej sobie. O tym, że często czuję się gorsza od Eleny, wiecznie porównywana z nią, która rzekomo jest doskonała. On słucha mnie z zainteresowaniem, łagodnie przypominając mi, żebym otworzyła oczy, kiedy powieki opadają mi ze zmęczenia, i pyta, i pyta.

Opowiadam mu, że chciałabym czasami być taką córką, jakiej chcieliby rodzice – gdybym tylko mogła. A znów czasami cieszę się, że jestem tym, kim jestem – kimkolwiek jestem.

– Dlaczego tak mówisz? Kim jesteś? – pyta mnie w tej chwili, ale tym razem to nie jest pytanie, mające tylko zmusić mnie do mówienia. W jego głosie słychać nowo rozbudzoną ciekawość.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– W jakim sensie?

– Powiedziałaś „kimkolwiek jestem".

To pytanie mnie zaskakuje. W tym chaosie, który mąci mi myśli, muszę znów sobie uświadomić, że jestem inna, że tego, kim jestem, nie widać z zewnątrz.

– Jestem aniołem.

Przy słowie „anioł" on nagle sztywnieje. Zabiera dłoń z mojej twarzy, którą głaskał delikatnie, żebym nie wpadła w objęcia Morfeusza.

– Wiem, tego nie widać – wyjaśniam. – Mam kasztanowe włosy i w sumie nie jestem idealnym aniołem.

Guglielmo przymyka oczy, na jego czole pojawiają się drobne zmarszczki. Kręci głową i uśmiecha się, ale ten uśmiech jest inny niż zwykle. Jest w nim coś dziwnego.

– Więc jesteś aniołem.

– Tak – potwierdzam. – Smutnym aniołem, bo inni nie dostrzegają, że nim jestem.

– Inni nie dostrzegają wielu rzeczy – stwierdza enigmatycznie. Znów zaczyna mnie głaskać po policzku i kiwa głową, jakby sam do siebie, kto wie dlaczego.

Czas znów zaczyna płynąć, Guglielmo wraca do zadawania mi pytań.

A ja mówię, mówię, mówię, ledwie kojarząc, o czym, bo jestem strasznie senna – ale coraz przytomniejsza. Narkotyk przestaje działać. Po długim, długim czasie milknę. Czekam na setne pytanie, które nie pada. Spoglądam w bok.

Zasnął.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

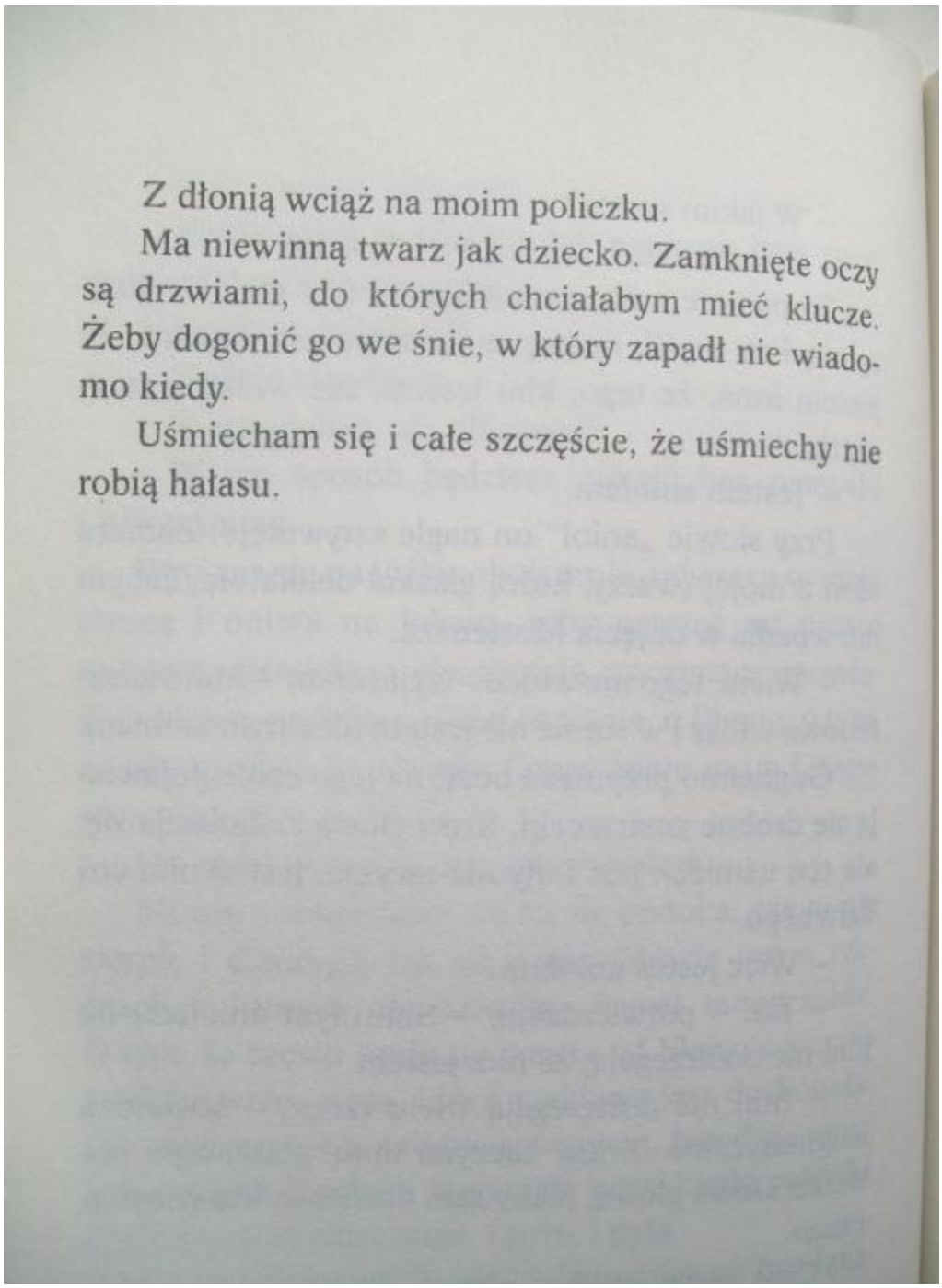

Z dłonią wciąż na moim policzku.

Ma niewinną twarz jak dziecko. Zamknięte oczy są drzwiami, do których chciałabym mieć klucze. Żeby dogonić go we śnie, w który zapadł nie wiadomo kiedy.

Uśmiecham się i całe szczęście, że uśmiechy nie robią hałasu.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Anioł bez skrzydeł

Budzę się i nie wiem, gdzie jestem.

– Dzień dobry – mówi znajomy głos za moimi plecami.

Zrywam się gwałtownie; dopada mnie zawrót głowy. Zaciskam powieki i masuję skronie, próbując uśmierzyć ból głowy.

– Która godzina? – pytam.

– Druga.

– Co? Strasznie późno!

– Spokojnie, Ginevra powiedziała twoim rodzicom, że zostałaś u niej. Jak się czujesz?

– Chyba dobrze.

– Poczekaj tu na mnie, zaraz wracam – mówi i wychodzi z pokoju.

Po kilku minutach wraca ze szklanką wody i słonymi krakersami.

– To nie jest zbyt wypasione śniadanie, ale w twoim stanie takie jest najlepsze.

Wypijam wodę i natychmiast czuję się lepiej. Guglielmo patrzy na mnie z uśmiechem, kręcąc głową.

– Co jest?

– Nic, nic, myślałem o ostatniej nocy.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Ostatecznie twój plan podziałał – mówię. – Nie zasnęłam.

– Ale to wszystko, co mi mówiłaś… pamiętasz?

– Tak, pewnie, mniej więcej.

– I to… ehm, wszystko jest prawdą?

Nie rozumiem sensu tego pytania, ale kiwam głową. Raczej nie potrafiłabym ściemniać w takim stanie.

Przeciąga dłonią po czole, zamykając oczy; jego uśmiech wydaje mi się trochę melancholijny.

W milczeniu chrupię krakersa.

Obserwuję jego rękę, kiedy się odwraca, żeby ułożyć się na łóżku; patrzę na nadgarstek wystający z mankietu bluzy. Skupiam spojrzenie na przejrzystej skórze, poprzecinanej zawiłym wzorem żył. I zauważam, że jest na niej mały rysunek, jakby symbol czy litera.

– To jest tatuaż?

Spogląda na swój nadgarstek, jakby sam zauważył go dopiero teraz.

– Tak… tatuaż – odpowiada obojętnie. Ale w następnej chwili zasłania nadgarstek rękawem.

– Ładny – stwierdzam. Patrzy na mnie zdumiony.

– Tak, tak – mówi zamyślony. – To pamiątka, czy raczej przypomnienie.

Milczy przez kilka sekund, przez cały czas zakrywając nadgarstek drugą dłonią. Jego słowa budzą moją ciekawość, ale postanawiam nie naciskać, bo mam wrażenie, że on nie chce kontynuować tej rozmowy, chociaż bardzo chciałabym wiedzieć, co oznacza ten symbol.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Ale tatuaże nie są dla aniołów – mówi nagle Guglielmo dziecinnym głosikiem, wygłupiając się z rozmysłem.

– Cóż, ja nie jestem klasycznym aniołem. Dżinsy, kolorowe bluzy, bransoletki, trampki, nikt nie zwróciłby na mnie uwagi, choćbym jutro przyszła do szkoły z wielkim tatuażem na czole.

– Mimo wszystko zawsze pozostaje się tym, kim się jest – stwierdza on enigmatycznie, kto wie dlaczego.

– Albo kim się nie jest – dodaję kwaśno.

– No cóż, ty jesteś aniołem.

Zdejmuję bluzę.

Kładę ją na brzegu łóżka, wstaję, odwracam się do niego plecami i podciągam koszulkę, żeby odsłonić łopatki.

– Co widzisz? – pytam.

– Widzę twoje plecy – odpowiada lekko zażenowany.

– No właśnie.

Opuszczam koszulkę, która zsuwa się na plecy, wkładam bluzę i poprawiam rozczochrane włosy. Siadam na łóżku i czekam.

– Nie masz skrzydeł – mówi on, ale takim tonem, jakby sam siebie chciał przekonać do jakiegoś absurdu.

Jego niewzruszony spokój jest wystawiony na ciężką próbę przez to odkrycie. Jego spojrzenie błądzi przez chwilę po pokoju; wygląda, jakby starał się sformułować pytanie, które chce mi zadać.

– Po prostu tak mam – wyjaśniam z prostotą. – Więc te wszystkie stwierdzenia, kim się jest i kim się

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

nie jest, w moim przypadku nie mają zastosowania. Bo niby kim jestem?

Patrzy na mnie, skołowany, a ja jestem zdumiona, z jaką swobodą znów mówię mu o sobie.

Czas jakby się rozciąga, sekundy i minuty rozwlekają się i cisza wypełnia pokój; moje pytanie zawisa w próżni. Rozglądam się wokół siebie i zauważam, że podłogę pokoju, w którym siedzimy, zaścielają całe stosy książek, płyt i otwartych okładek po kompaktach.

Spoglądam na niego; wydaje się pochłonięty jakąś myślą, która przyszła mu do głowy.

Im dłużej patrzę w tę twarz, tym lepiej dostrzegam jej niezliczone maski; niezliczone tajemnice, pułapki i zasłony. Nie odkrywa się całkowicie, nie składa broni – wręcz przeciwnie: choć patrzę i patrzę, ciągle wydaje mi się, że jest coś jeszcze, coś, co wciąż mi umyka. Ta twarz oczarowuje i uwodzi; po trosze budzi lęk, po trosze zaufanie, bierze w niewolę, a kiedy odwracam wzrok, czuję się, jakby coś mi zabrano.

– Anioł bez skrzydeł – mówi Guglielmo, przerywając milczenie.

– Słucham?

– Spytałaś mnie, kim jesteś. Odpowiedziałem. To nic trudnego.

– Ale anioł powinien mieć skrzydła.

– A dlaczego to dla ciebie taki problem?

– To nie jest problem dla mnie. To jest problem dla innych, tych, którzy widzą we mnie tylko... kogoś wybrakowanego.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– To normalne, że ludzie starają się każdemu przylepić etykietkę. Robią to ze strachu. Boją się ciebie, bo nie potrafią cię zdefiniować.

– Właśnie tego nie rozumiem. Ja nie chcę mieć etykietki. Za dużo wymagam?

– Nie, ale to nie zawsze jest możliwe, nie zawsze ma się tę możliwość.

– W jakim sensie?

– Chodzi mi o to, że jeśli jesteś tygrysem, a zachowujesz się jak najmilszy kociak, i tak zawsze będziesz tygrysem. I ludzie to wiedzą. Nie zdołasz ich przekonać, że jesteś kotkiem. A jednocześnie inne tygrysy traktują cię podejrzliwie.

– Ale jeśli tygrys nie rozszarpuje innych zwierząt, dlaczego wszyscy się go boją?

– Nie wiem. Ty mi to powiedz.

– Nie ma żadnego powodu. Tygrys, który nie poluje, nie powinien budzić strachu.

Uśmiecha się.

– A skąd możesz mieć pewność, że nie zacznie polować lada chwila?

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Lulla w czasie

Chodź – mówi, wstając z łóżka i biorąc mnie za rękę. – Pokażę ci dom.

Wychodzimy z pokoju; Guglielmo zamyka za sobą drzwi i zaczyna się bawić w przewodnika.

Czuję się strasznie mała wśród tych wszystkich urządzonych z przepychem korytarzy, taka nieważna, i to dziwne, bo przecież mieszkam w mieście pełnym zabytkowych budynków, które mogłyby budzić we mnie podobne odczucia, i to po stokroć silniejsze. Pewnie dlatego, że w ich murach nie czuję się jak gość, który wszedł przez służbowe wejście do cudzego życia, wtargnął w rzeczywistość kogoś z innego wieku, z innego świata...

Tutaj, zwiedzając pokoje, które wyglądają jak przeniesione z dawnych czasów, mam wrażenie, że kradnę kroki kogoś innego, że naruszam prywatność dawnych właścicieli tego domu, którego drzwi nie były otwierane przez wiele lat.

Może jeśli uważniej spojrzę w jedno z tych luster, zobaczę skrawek sukni znikający za rogiem.

Od takich myśli dostaję dreszczy.

– Zimno ci? – pyta Guglielmo.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Nie, tylko twój dom robi dziwne wrażenie.

– Szkoda. – Posyła mi spojrzenie niewiniątka. – Myślałem, że może to ja tak na ciebie działam.

Śmieję się dość głośno, żeby ukryć rumieniec.

– Chodź, pokażę ci najpiękniejszą rzecz w tym domu.

Schodzimy po szerokich kamiennych schodach na parter. Zatrzymujemy się przed wielkimi drzwiami z kamienną futryną, bardziej ozdobną od innych.

Guglielmo wyciąga wielki żelazny klucz, wkłada go w potężny zamek i otwiera drzwi.

– Jest tu trochę kurzu, nie mieliśmy jeszcze czasu posprzątać wszystkiego.

Wyciąga rękę, jakby chciał mi zaprezentować skarb, jak prawdziwy przewodnik wycieczki.

– To jest pokój, który podoba mi się najbardziej ze wszystkich.

Wchodzę.

I ostatecznie tracę kontakt z realnym światem: ten pokój jest jak luka w czasie.

Posadzka z błyszczącego, polerowanego marmuru i dwa kominki z tego samego materiału w dwóch końcach sali, masywne biurka z ciemnego drewna, nadgryzione zębem czasu, fotele obite grubą, haftowaną tkaniną. A każdy centymetr ścian zasłonięty jest ogromnymi regałami na książki sięgającymi pod sam sufit. I wszędzie książki – całe tony książek.

Pan domu podchodzi do jednej ze ścian i muska palcami okładki, jakby je pieścił.

– Tu jest wszystko. Cała masa tekstów, o których istnieniu nie wiedziałem, również na temat tego miasta.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Idzie do wielkiego biurka stojącego w kącie.

– Lubię tu przychodzić, to bardzo relaksujące miejsce.

Siadam w fotelu.

– Domyśliłam się, że lubisz czytać.

Nie tyle domyśliłam, co widziałam na własne oczy: chodzi wiecznie z książką w kieszeni.

– Nie tylko lubię; uwielbiam.

Uśmiecham się. To jest nas dwoje.

– Czytanie jest jak krew w moich żyłach, jak narkotyk i jest… magiczne.

Przewraca zniszczone kartki tomiszcza, które ma przed sobą.

– Kiedy czytasz, świat przestaje istnieć, możesz udawać, że to, co jest w książce, jest rzeczywistością, albo że rzeczywistość po prostu znika. Możesz być tym, kim chcesz, dowolnym bohaterem książki…

Podciągam nogi i opieram głowę na kolanach. Guglielmo idzie do kąta pokoju i w tej chwili zauważam śpiącego kociaka.

– Tu jesteś, Schwartz – mówi Guglielmo, biorąc go delikatnie na ręce. Kotek przeciąga się w jego dłoniach, Guglielmo go głaszcze. – Ciągle gdzieś łazisz…

Mija wielkie okno, przez które wpada promień słońca, tworząc stożek światła; świetlista smuga sięga aż do niego, tańczą w niej maleńkie drobinki kurzu, unoszące się w powietrzu.

Jest wręcz nierzeczywisty.

Światło pada na jego jasne włosy, rzeźbiąc je delikatną grą cieni; kolczyk błyszczy jak brylant opra-

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

wiony w jego czole. Kurz unoszący się wokół niego lśni jak okruchy kryształu.

– Byłaś ze mną szczera – mówi, burząc czar tego zjawiska. – Ja też chcę być szczery.

Głaszcze kotka czarnego jak smoła, który wpatruje się we mnie oczami drapieżnika, żółtymi jak agat; wpatrują się też we mnie winylowe oczy jego pana.

– Jestem siostrzeńcem Nory, mieszkam z nią, bo moi rodzice nie żyją, ale nie dlatego przyjechaliśmy do tego miasta, o którym wiem o wiele więcej, niż sądzisz, i więcej niż wiesz ty sama.

Milknie na chwilę; kot przymyka oczy, które zmieniają się w dwie szparki. A ja nie oddycham.

– Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz.

Jego oczy przeszywają mnie niczym dwie błyskawice, jak za pierwszym razem, kiedy go widziałam, już prawie miesiąc temu, na ławce, kiedy jechałam skuterem. To nie są ludzkie oczy; są jak dwa ciemne, lodowe pociski, które przenikają moje ciało i moje myśli.

– Naprawdę sądzisz, że anioły to najpotężniejsze stworzenia, które egzystują na tym świecie? Że są jedynymi istotami, których można się bać?

Także jego głos brzmi jak tamten, którego kiedyś się bałam. Uczucia, które we mnie budzi, są te same, co przy naszym pierwszym spotkaniu: niepokój, zmieszanie, nie strach, ale coś zupełnie innego, coś o wiele trudniejszego do uchwycenia i zdefiniowania.

– Zawsze jest się tym, kim się jest... i trzeba się z tym pogodzić.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

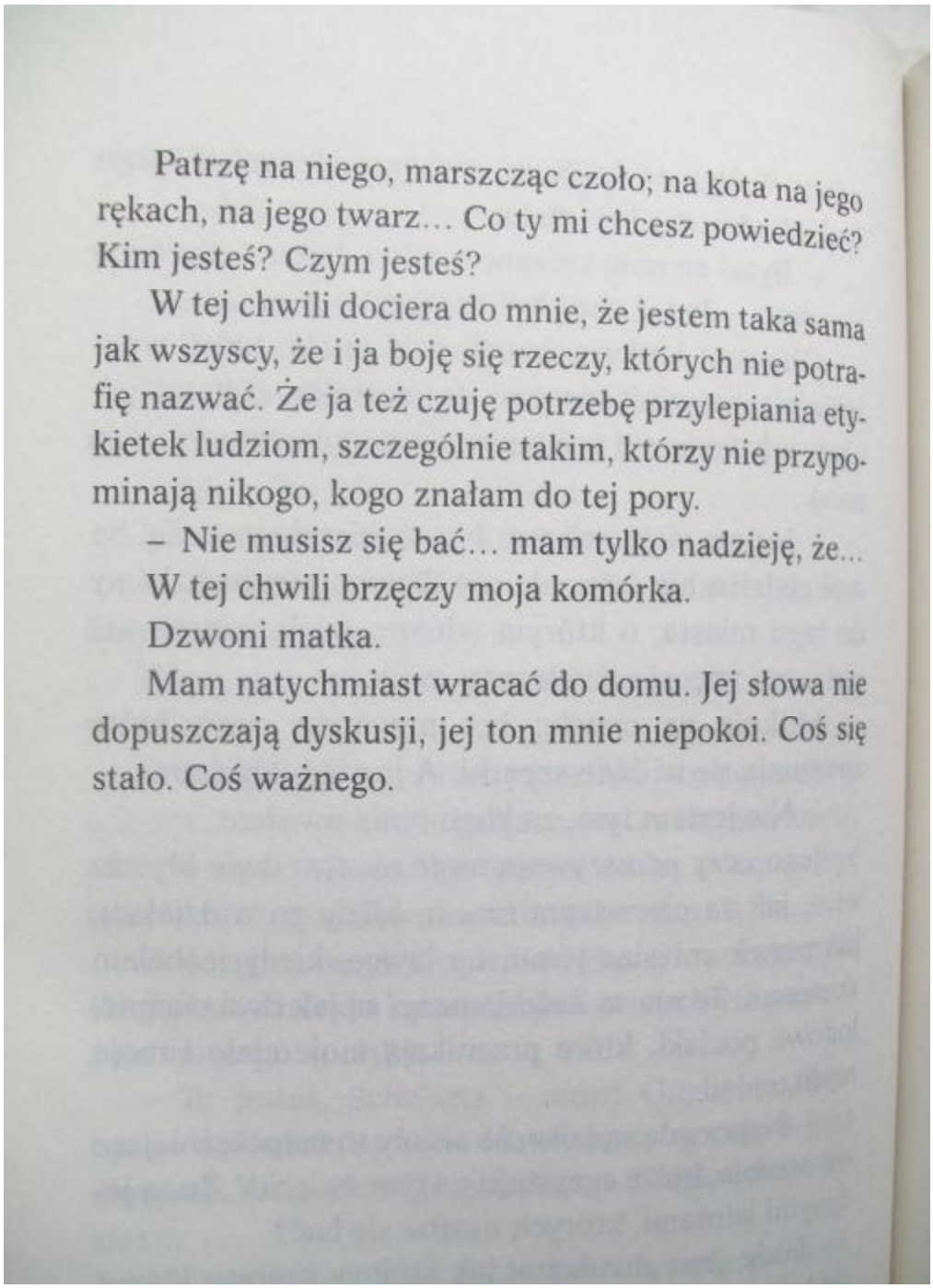

Patrzę na niego, marszcząc czoło; na kota na jego rękach, na jego twarz… Co ty mi chcesz powiedzieć? Kim jesteś? Czym jesteś?

W tej chwili dociera do mnie, że jestem taka sama jak wszyscy, że i ja boję się rzeczy, których nie potrafię nazwać. Że ja też czuję potrzebę przylepiania etykietek ludziom, szczególnie takim, którzy nie przypominają nikogo, kogo znałam do tej pory.

– Nie musisz się bać… mam tylko nadzieję, że…

W tej chwili brzęczy moja komórka.

Dzwoni matka.

Mam natychmiast wracać do domu. Jej słowa nie dopuszczają dyskusji, jej ton mnie niepokoi. Coś się stało. Coś ważnego.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Prawda jest inna

Czas znów płynie, nic nie może go zatrzymać. Nawet serce dziewczyny – nawet serce dziewczyny, które przestaje bić. Serce dziewczyny młodej i niewinnej.

Nie płaczę. Nie odzywam się.

Nawet nie oddycham.

Prześladuje mnie wciąż ten sam obraz.

Alessia, trochę wcięta, rozmawia ze mną; obejmuję ją, żeby ją podtrzymać, ledwie kilka godzin temu.

Mojej przyjaciółki już nie ma.

Siedzę zamknięta w pokoju od dwóch dni, nie odsłaniam okna. Dzień od nocy odróżnia wyłącznie sen, a raczej koszmar, który czeka na mnie co wieczór.

Ginevra zadzwoniła do mnie, zapłakana; wysłuchałam jej w milczeniu, bo co mogłam powiedzieć?

Koszmar wciąż tu jest.

Siedzi obok mnie, przerażający i cierpliwy, kiedy zamykam oczy, rzuca się na mnie ze swoimi szponami.

I zadaje ból, bo jesteś w nim ty, Alessio.

Żegnam cię na stacji, wsiadasz do pociągu, który wywozi cię na zawsze z naszego życia.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Wsiadasz i odjeżdżasz.

Ale najpierw obejmujesz mnie i mówisz: uważaj.

Uśmiechasz się smutno; nie wyjeżdżasz na wspaniałe wakacje i wiemy to obie.

– Uważaj na serce.

Nie rozumiem, o co ci chodzi; myślę tylko o tym, że pociąg odjedzie jak co noc, a ja tego nie chcę.

– No coś ty, proszę cię, zostań – błagam cię głosem rwącym się od szlochu.

Ty powoli kręcisz głową, przepełniona pewnością, której ja nie mam; pokazujesz mi dziurę pod lewą łopatką, wielką ranę, czerwoną i głęboką. Znów uśmiechasz się ze smutkiem.

– Uważaj na serce – powtarzasz.

Wsiadasz i pociąg odjeżdża.

Budzę się z kluchą w gardle, bez tchu, na poduszce mokrej od łez.

To już trzeci dzień tej agonii; jutro muszę wrócić do szkoły.

Na myśl, że w klasie będzie puste miejsce, robi mi się słabo.

– Możemy chwileczkę porozmawiać, skarbie? – pytają mnie rodzice. Elena już siedzi obok nich.

Kiwam głową.

– Vittorio, wiemy, że jesteś w szoku, ale musimy porozmawiać o tym, co się stało. Dasz radę?

Znów przytakuję, chociaż wcale nie jestem pewna, czy będę mogła wymówić jej imię, nie wybuchając płaczem.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– To wszystko nie było dokładnie tak, jak ci opowiedzieliśmy…

Ból cichnie na chwilę, bo ta informacja wydaje mi się absurdalna. Co chcą mi powiedzieć? Niby jak to było?

– To nie było samobójstwo – mówi sucho moja matka.

– Więc co? Kto to był? Prowadzą śledztwo? I dlaczego mnie okłamaliście?

– Poczekaj, kochanie, zaraz ci wszystko powiemy. Musisz nam zaufać, nie mogliśmy postąpić inaczej. Uznano, że to było samobójstwo, bo okoliczności, w jakich znaleziono ciało, pozwalały zakładać, że tak właśnie mogło być. Policja wyciągnęła własne wnioski, a społeczność aniołów nie wyprowadzała ich z błędu. Ale prawda jest inna… Anioł nie umiera tak po prostu, z powodu byle rany.

Wypowiadając ostatnie słowa, matka pochyla głowę, jakby przygnieciona ciężarem tego, co ma mi wyznać. W pokoju zapada nienaturalna cisza. Ojciec, siedzący obok niej, nie patrzy na mnie. Żadne z nich nie jest w stanie mówić dalej.

– No więc? Powiecie mi wreszcie, co się stało, do diabła? – pytam zdesperowana.

– Kochanie, my… nie jesteśmy jedynymi potężnymi istotami, których należy się bać na tym świecie.

Ze wszystkich możliwych kombinacji słów moja matka musiała wybrać akurat to zdanie; na sekundę staje mi przed oczami on, i ogarnia mnie to samo uczucie, jak podmuch lodowatego powietrza z okna, otwartego nagłym porywem wiatru.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Demony – dodaje ojciec. – Jedyna istota, która może zabić anioła, to demon.

Pokazuje mi rysunek w książce, której nigdy nie widziałam w naszym domu; kto wie, gdzie była schowana.

Dwie postacie, kobieca i męska. Ona ma bardzo jasne włosy i płomienne oczy, paznokcie długie i czarne; stoi w eleganckiej, onieśmielającej pozie. On jest na czworakach, jak drapieżnik gotowy do skoku, ma czarne włosy, czarne paznokcie i oczy jak popiół. Oboje mają smoliste skrzydła, a dziewczyna ma znak na biodrze, odcinający się od alabastrowej skóry. Niewielki symbol, który coś mi przypomina... Możliwe, że...? Nie, niemożliwe.

Każdy jest tym, kim jest. To jego własne słowa.

Nie chcę w to wierzyć. Nie mogę uwierzyć, że właśnie on...

Demon.

To słowo śmieje się ze mnie; drwi ze mnie i zachwyca się samo sobą: demon.

Pokój robi się czarny i nieostry, zwija się w rulon i mnie połyka. W następnej chwili czuję podłogę pod plecami. I ciemność.

Ciemność.

Ciszę.

Ja też umarłam, myślę.

Ale ciemność szybko się otwiera, rozdziera, wpuszczając spiralkę światła. Widzę nad sobą pochyloną twarz – twarz mojej siostry.

– Vichi?

Nie odpowiadam.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

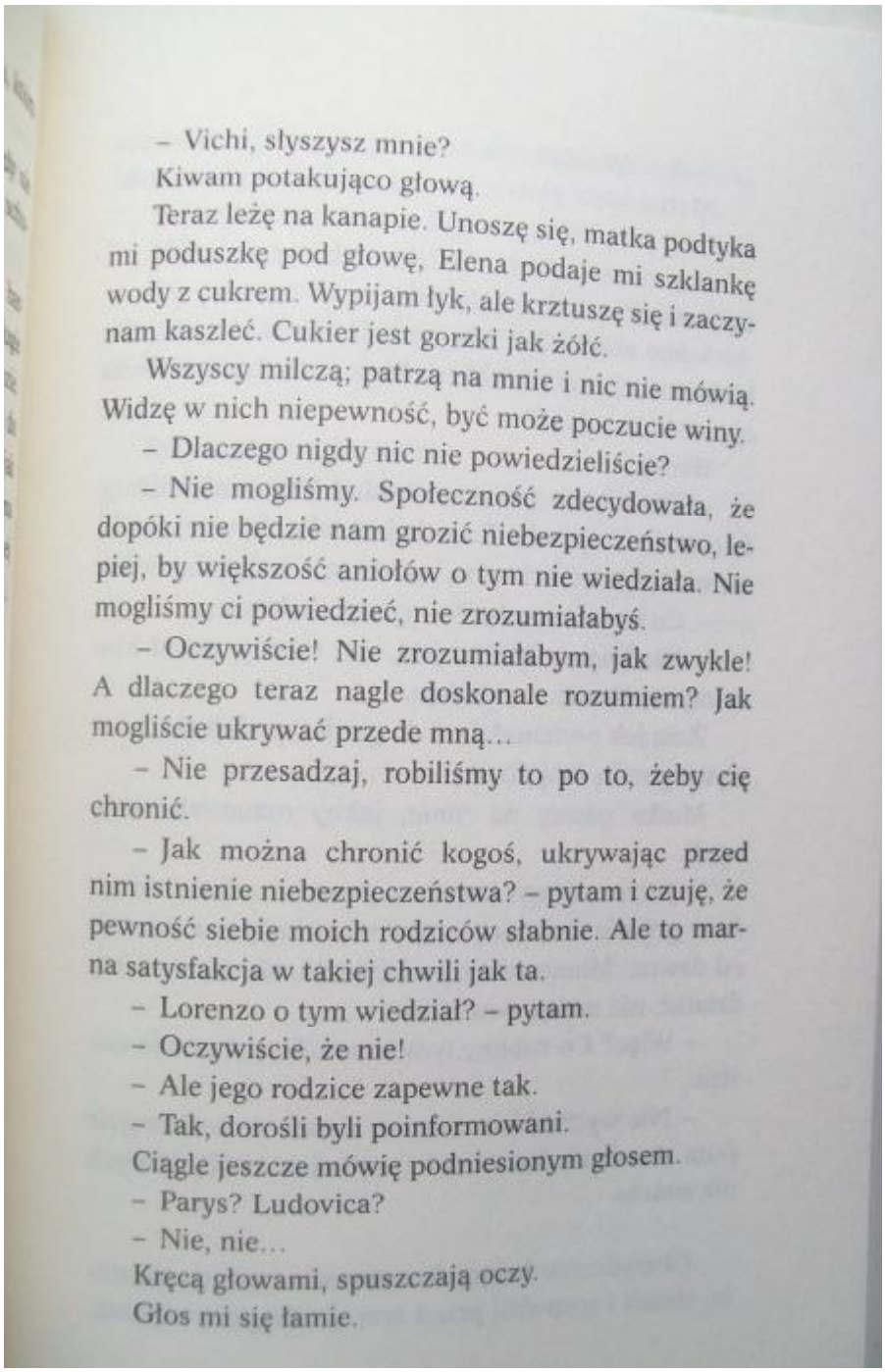

– Vichi, słyszysz mnie?

Kiwam potakująco głową.

Teraz leżę na kanapie. Unoszę się, matka podtyka mi poduszkę pod głowę, Elena podaje mi szklankę wody z cukrem. Wypijam łyk, ale krztuszę się i zaczynam kaszleć. Cukier jest gorzki jak żółć.

Wszyscy milczą; patrzą na mnie i nic nie mówią. Widzę w nich niepewność, być może poczucie winy.

– Dlaczego nigdy nic nie powiedzieliście?

– Nie mogliśmy. Społeczność zdecydowała, że dopóki nie będzie nam grozić niebezpieczeństwo, lepiej, by większość aniołów o tym nie wiedziała. Nie mogliśmy ci powiedzieć, nie zrozumiałabyś.

– Oczywiście! Nie zrozumiałabym, jak zwykle! A dlaczego teraz nagle doskonale rozumiem? Jak mogliście ukrywać przede mną…

– Nie przesadzaj, robiliśmy to po to, żeby cię chronić.

– Jak można chronić kogoś, ukrywając przed nim istnienie niebezpieczeństwa? – pytam i czuję, że pewność siebie moich rodziców słabnie. Ale to marna satysfakcja w takiej chwili jak ta.

– Lorenzo o tym wiedział? – pytam.

– Oczywiście, że nie!

– Ale jego rodzice zapewne tak.

– Tak, dorośli byli poinformowani.

Ciągle jeszcze mówię podniesionym głosem.

– Parys? Ludovica?

– Nie, nie…

Kręcą głowami, spuszczają oczy.

Głos mi się łamie.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– A... Alessia?

Matka kręci głową, niemal niedostrzegalnie, niemal jakby się bała poruszyć powietrze: nie.

Łzy znowu płyną; miałam nadzieję, że udało mi się je zamknąć gdzieś głęboko.

– Nie wiedziała? Nie żyje... i nawet nie wiedziała, że coś jej zagraża? Musieliście czekać z tą rewelacją, aż ktoś zginął?

Wstaję.

– Vittorio, tu nie o to chodzi! Nie wiedzieliśmy, że one się tu zjawiły! Prawda jest taka, że w tej chwili nie mamy pojęcia, kim są i gdzie są – wyjaśnia ojciec.

– Co to ma znaczyć? – pytam skołowana.

– Nie wiemy, kto to jest, nie wiemy, przed kim mamy się bronić... – dodaje.

Żołądek podchodzi mi do gardła, podejrzenie napływa gorzką falą do ust.

Matka patrzy na mnie, jakby rozumiała moje myśli.

– Jedyne, czego jesteśmy pewni – mówi – to to, że w grę nie wchodzą osoby mieszkające w mieście od dawna. Mamy swoje podejrzenia, ale nie możemy działać, nie mając dowodów.

– Więc? Co robimy tymczasem? – pyta moja siostra.

– Nie wychodźcie z domu same, nie zostawajcie poza domem wieczorami i unikajcie osób, których nie znacie.

Obrzydzenie i smutek z powodu tego, co się stało, strach i niepokój przed tym, co mogłoby się stać,

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

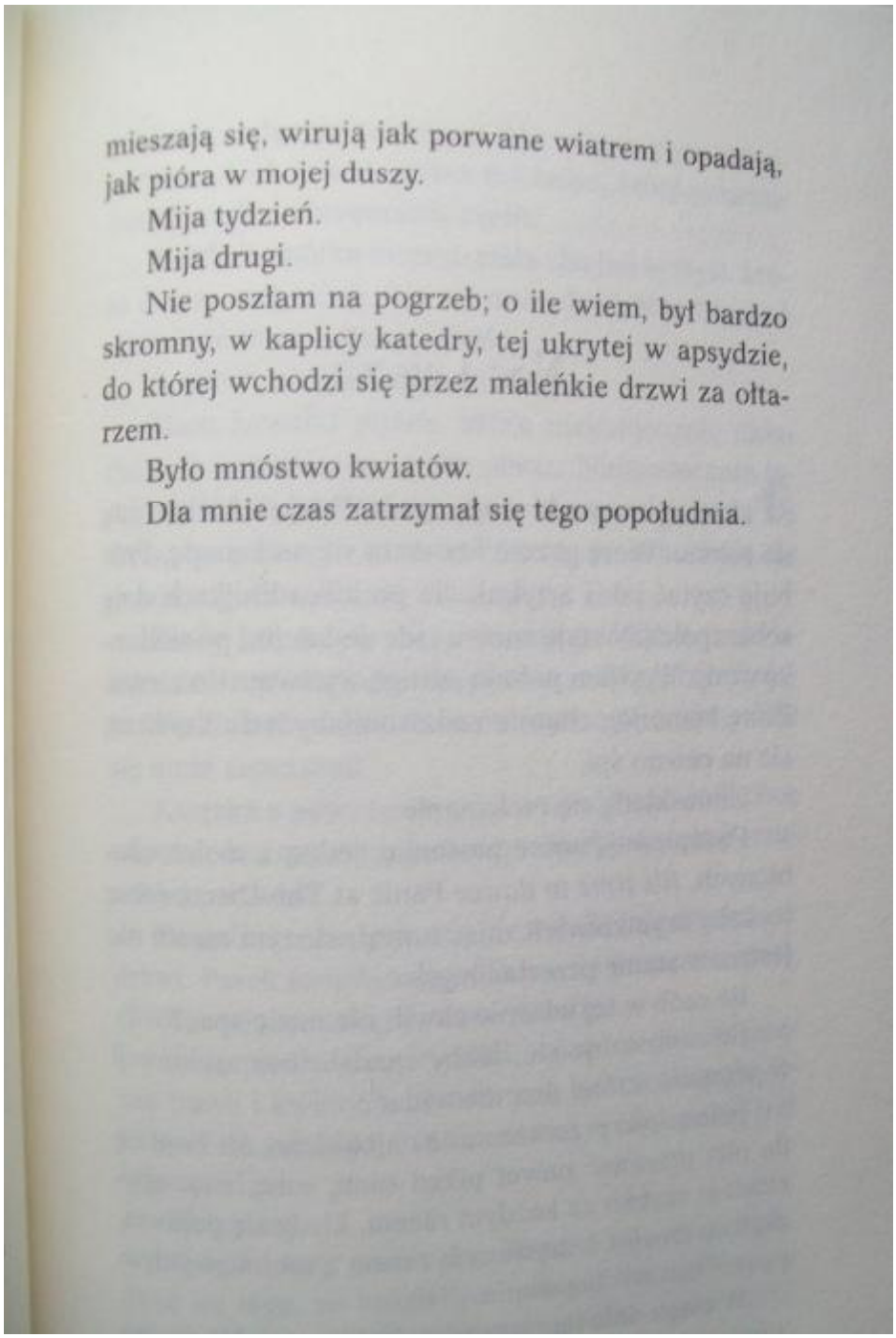

mieszają się, wirują jak porwane wiatrem i opadają, jak pióra w mojej duszy.

Mija tydzień.

Mija drugi.

Nie poszłam na pogrzeb; o ile wiem, był bardzo skromny, w kaplicy katedry, tej ukrytej w apsydzie, do której wchodzi się przez maleńkie drzwi za ołtarzem.

Było mnóstwo kwiatów.

Dla mnie czas zatrzymał się tego popołudnia.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Noc i cisza

Także tej nocy nie mogę spać. Wstaję z łóżka i idę do salonu. Biorę gazetę i rzucam się na kanapę. Próbuję czytać jakiś artykuł, ale po kilku linijkach daję sobie spokój. Wstaję znowu i idę do kuchni po szklankę wody. Wypijam połowę, drugą wylewam do zlewu. Biorę komórkę; chętnie zadzwoniłabym do Lorenza, ale na pewno śpi.

Znów kładę się na kanapie.

Podśpiewuję sobie piosenkę, jedną z moich ulubionych, *It's time to dance* Panic at The Disco; robię to, żeby czymkolwiek zająć umysł, ale tym razem nie jestem w stanie przestać myśleć.

Ile osób w tej właśnie chwili nie może spać?

Ile osób czuje się, jakby spadało bez asekuracji w przepaść, której dna nie widać?

Jedna myśl przeraża mnie najbardziej, ale boję się do niej przyznać nawet przed samą sobą, więc spycham ją szybko za każdym razem, kiedy się pojawia, czyli co chwilę. Ukrywam ją razem z moim zwykłym poczuciem wyobcowania.

W ciągu dnia jest łatwiej, wystarczy zrobić trochę zamieszania, powiedzieć coś, przesunąć talerz czy

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

szklankę, włączyć telewizor. Ale nocą... nocą panuje cisza. A cisza jest gorsza niż hałas, który przynajmniej maskuje brzęczenie myśli.

Każda komórka mojego ciała zna już tę myśl, która dręczy mój mózg. Ale nie mam dowodów. Chociaż właściwie mam jeden, malutki.

A nawet nie taki malutki.

Mam kawałki puzzli, które niekoniecznie układają się w ten wzór, w ten obraz. Niekoniecznie łączą się w ten właśnie wniosek. Mam nadzieję, że się mylę, bo jeśli nie, oznaczałoby to, że zakochuję się w moim potencjalnym zabójcy.

Kiedy tak krążę niespokojnie po domu, zauważam, że drzwi do gabinetu ojca są ledwie przymknięte. Wąskie ostrze światła, niezwykłe o tej porze, zdaje się mnie zapraszać.

Książka z pewnością gdzieś tam jest. A jeśli chcę odpowiedzi, czy przynajmniej więcej informacji, muszę jej poszukać.

Pomalutku popycham palcami ciężkie drewniane drzwi. Pasek światła na podłodze się poszerza. Przez chwilę stoję niezdecydowana w progu.

Stoję na skraju przepaści; wszędzie rośnie jeszcze trawa i kwiaty, a przede mną tylko ciemność otchłani i nieznanego. Ale może tam, za drzwiami, jest odpowiedź.

Wchodzę.

Książka leży na biurku. Podchodzę, waham się, boję się tego, co mogłabym odkryć. Przyglądam się uważniej, jak jakiejś nieznanej istocie, która może okazać się niebezpieczna.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Jest dość duża, pewnie też sporo waży, brzegi są trochę podniszczone, okładka raczej nijaka; to stara księga, stronice noszą ślady czasu i wilgoci. Tytuł jest wypisany kursywą, chyba odręcznie, zwykłym tuszem.

Istoty mityczne i legendarne.

Otwieram na chybił trafił. Przewracam stronice, aż znajduję tę ilustrację. Jest tak szczegółowa, że postacie wydają się żywe, jakby lada moment miały się oderwać od papieru.

Moje drżące spojrzenie pada na ich oczy, przede wszystkim jego oczy, niesamowicie podobne do oczu Guglielma, choć nie tak wyraziste... ale cóż mogłoby imitować przenikliwość i magnetyzm jego oczu?

Symbol na skórze dziewczyny jest doskonale widoczny i boleśnie znajomy.

Wzdycham i odrywam oczy od obrazka. Ale ciekawość jest silniejsza od bólu, który powoduje to odkrycie.

Zamykam książkę, ale natychmiast znów ją otwieram. I czytam.

Również Platon, Pitagoras, Ksenokrates i Chryzyp za antycznymi teologiami utrzymują, że demony obdarzone są siłą przewyższającą ludzką i że są znacznie potężniejsze, ale element boski, który mają w sobie, nie manifestuje się nigdy w czystej i jednorodnej postaci, zdeterminowany jest natomiast czy to przez istotne cechy ducha, czy przez predyspozycje ciała, i tym samym zmienny, zależnie od doświadczeń, przyjemnych lub bolesnych. Nieprzewidywalne

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

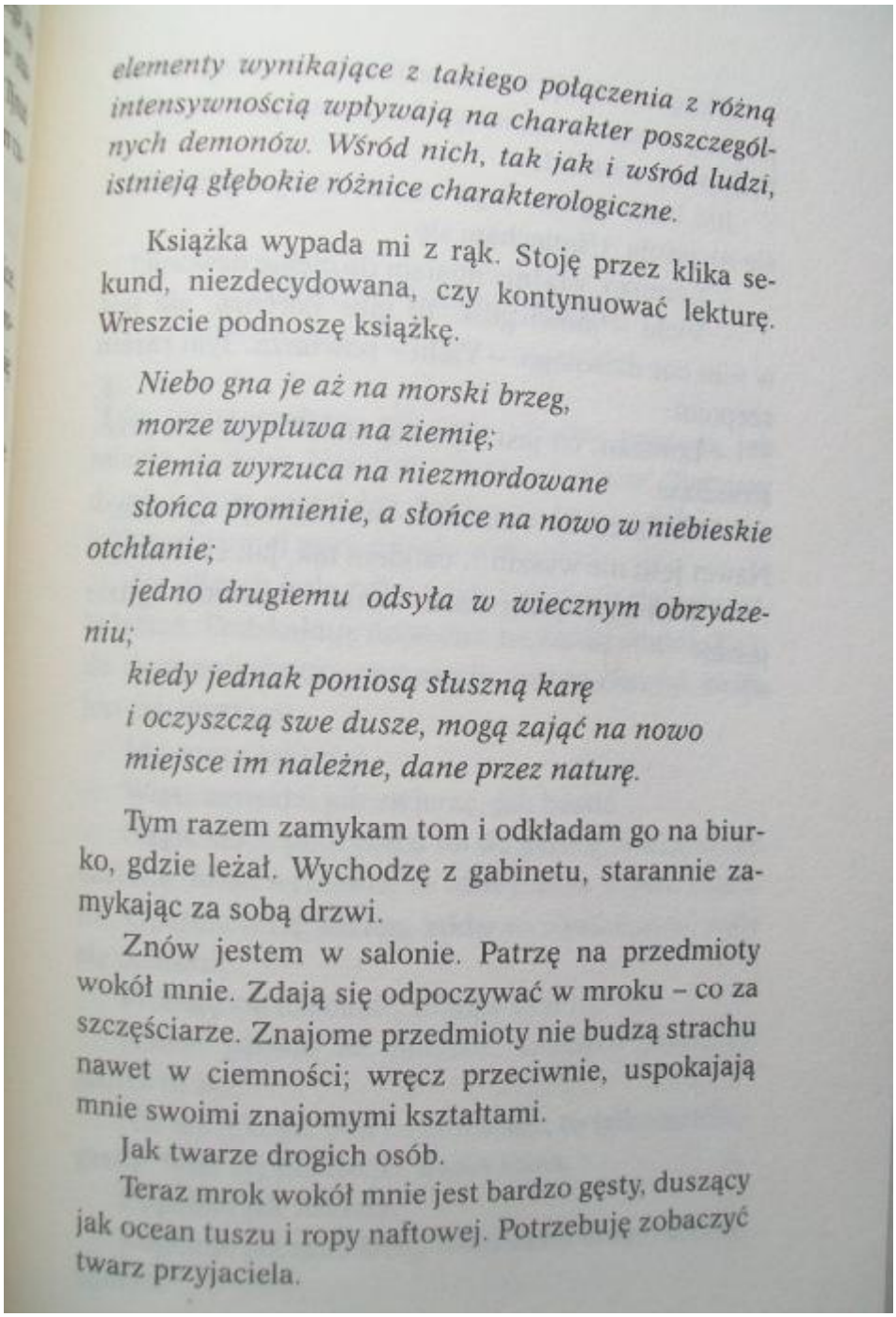

elementy wynikające z takiego połączenia z różną intensywnością wpływają na charakter poszczególnych demonów. Wśród nich, tak jak i wśród ludzi, istnieją głębokie różnice charakterologiczne.

Książka wypada mi z rąk. Stoję przez klika sekund, niezdecydowana, czy kontynuować lekturę. Wreszcie podnoszę książkę.

Niebo gna je aż na morski brzeg,
morze wypluwa na ziemię;
ziemia wyrzuca na niezmordowane
słońca promienie, a słońce na nowo w niebieskie otchłanie;
jedno drugiemu odsyła w wiecznym obrzydzeniu;
kiedy jednak poniosą słuszną karę
i oczyszczą swe dusze, mogą zająć na nowo
miejsce im należne, dane przez naturę.

Tym razem zamykam tom i odkładam go na biurko, gdzie leżał. Wychodzę z gabinetu, starannie zamykając za sobą drzwi.

Znów jestem w salonie. Patrzę na przedmioty wokół mnie. Zdają się odpoczywać w mroku – co za szczęściarze. Znajome przedmioty nie budzą strachu nawet w ciemności; wręcz przeciwnie, uspokajają mnie swoimi znajomymi kształtami.

Jak twarze drogich osób.

Teraz mrok wokół mnie jest bardzo gęsty, duszący jak ocean tuszu i ropy naftowej. Potrzebuję zobaczyć twarz przyjaciela.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Biorę komórkę; nawet jeśli śpi, to wiem, że nie jest to prawdziwy odpoczynek, i jestem pewna, że nie będę mu przeszkadzać.

Już mam wybrać jego numer, kiedy wyświetlacz się rozjaśnia. Uśmiecham się.

– Lorenzo, właśnie miałam do ciebie dzwonić!

– Vichi – mówi głos. To głos Lorenza, ale jest w nim coś dziwnego. – Vichi – powtarza. Tym razem szeptem.

– Lorenzo, co jest? Co się stało? – pytam przestraszona.

– Zrobiłem to… dla was – mówi słabym głosem. – Nawet jeśli nie wyszło… całkiem tak, jak chciałem.

– Lorenzo, przerażasz mnie! Powiedz, gdzie jesteś!

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Szkarłatne pióra

Idę opustoszałymi ulicami. Viterbo wygląda jak miasto duchów. Noc jest wilgotna i zimna. Pierwszy dzień szkoły został już daleko za nami, wydaje się, jakby od tamtej pory minęła wieczność.

Na ulicach hula tylko wiatr i mrugają słabe światła latarń. Podskakuję nerwowo na każdy odgłos. Każde skrzypnięcie czy stuknięcie, każdy chrzęst żwiru jest jak wystrzał.

Idę coraz szybciej.

Wiatr zawodzi jak zwierzę, jak bestia.

Nagle serce podchodzi mi do gardła; łomocze jak szalone. Mam wrażenie, że ktoś jest za moimi plecami. Opatulam się kurtką, jakby to wystarczyło, żeby się ochronić.

Próbuję się uspokoić: nikogo tam nie ma.

Jestem prawie na miejscu. Lorenzo powinien gdzieś tu być.

Nie ma nikogo, powtarzam sobie, to tylko autosugestia. Nikt cię nie śledzi, jesteś sama.

Zupełnie jak Alessia.

Zupełnie jak ona, kiedy wracała do domu. Zanim zginęła.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

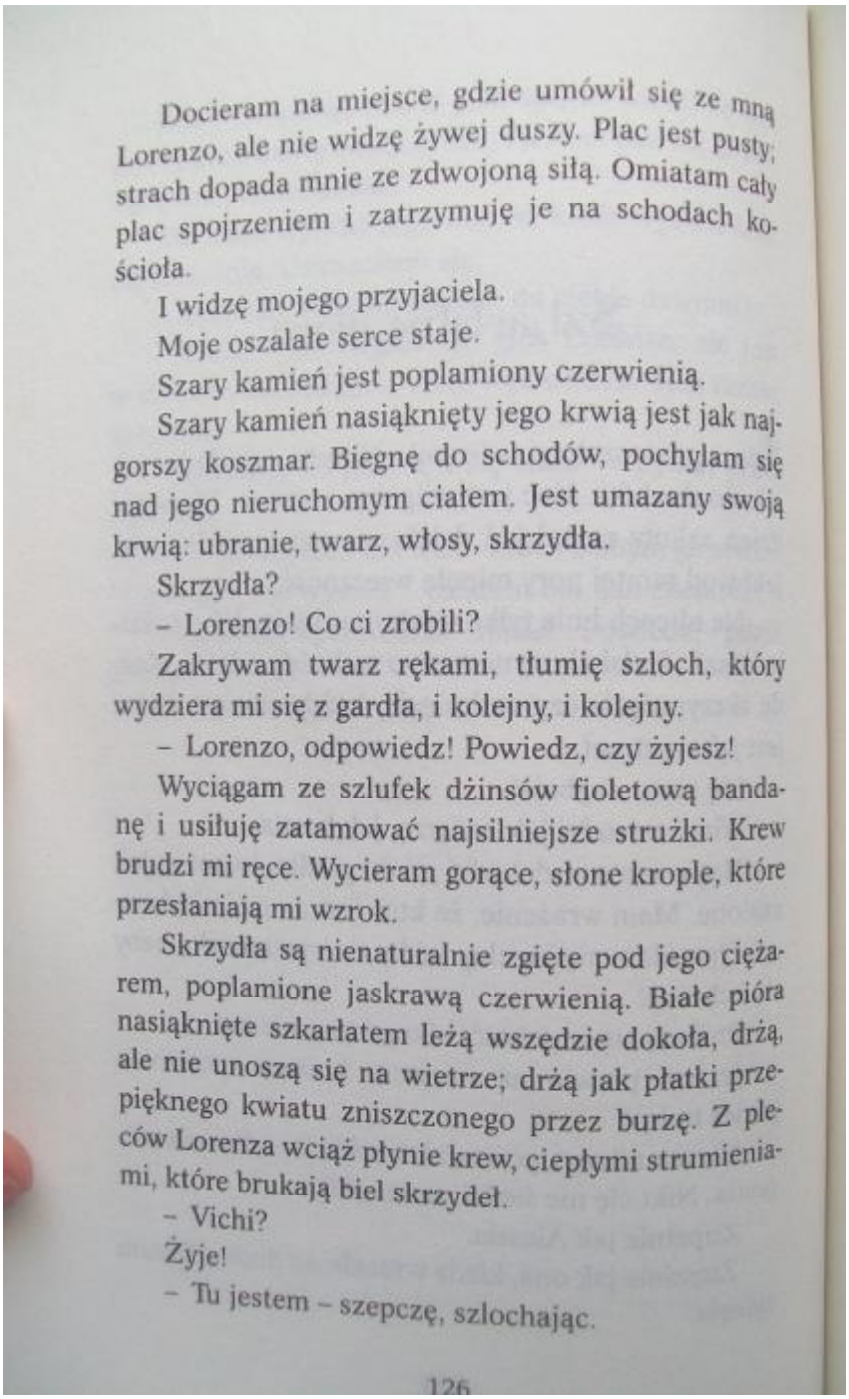

Docieram na miejsce, gdzie umówił się ze mną Lorenzo, ale nie widzę żywej duszy. Plac jest pusty; strach dopada mnie ze zdwojoną siłą. Omiatam cały plac spojrzeniem i zatrzymuję je na schodach kościoła.

I widzę mojego przyjaciela.

Moje oszalałe serce staje.

Szary kamień jest poplamiony czerwienią.

Szary kamień nasiąknięty jego krwią jest jak najgorszy koszmar. Biegnę do schodów, pochylam się nad jego nieruchomym ciałem. Jest umazany swoją krwią: ubranie, twarz, włosy, skrzydła.

Skrzydła?

– Lorenzo! Co ci zrobili?

Zakrywam twarz rękami, tłumię szloch, który wydziera mi się z gardła, i kolejny, i kolejny.

– Lorenzo, odpowiedz! Powiedz, czy żyjesz!

Wyciągam ze szlufek dżinsów fioletową bandanę i usiłuję zatamować najsilniejsze strużki. Krew brudzi mi ręce. Wycieram gorące, słone krople, które przesłaniają mi wzrok.

Skrzydła są nienaturalnie zgięte pod jego ciężarem, poplamione jaskrawą czerwienią. Białe pióra nasiąknięte szkarłatem leżą wszędzie dokoła, drżą, ale nie unoszą się na wietrze; drżą jak płatki przepięknego kwiatu zniszczonego przez burzę. Z pleców Lorenza wciąż płynie krew, ciepłymi strumieniami, które brukają biel skrzydeł.

– Vichi?

Żyje!

– Tu jestem – szepczę, szlochając.

126

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Wszystko dobrze – mówi ledwie słyszalnym głosem.

Ma zamknięte oczy, grymas bólu zaprzecza jego słowom.

– Nie jest dobrze, Lorenzo…

– Tak… tak, nic mi nie jest.

Wreszcie otwiera oczy.

– Nie płacz… to nic.

Jego głos jest ledwie słyszalny, ale zdecydowany jak zawsze.

Strumień krwi z jego pleców jakby się zmniejsza.

– Daj mi chwilkę… wiem, że… – Nie daje rady dokończyć zdania. Odwraca głowę i marszczy czoło z bólu.

W kilka sekund skrzydła znikają. O ich istnieniu przypominają tylko szkarłatne pióra na schodach, i krew wszędzie dookoła.

Oddech Lorenza jest coraz bardziej regularny; staram się opatrzyć rany, które ma na ciele. Dwa wielkie rozdarcia, które przecinają mu plecy, usiłują się zamknąć.

Milczymy. W powietrzu słychać tylko mój tłumiony szloch.

Moje myśli pędzą tysiąc kilometrów na godzinę. Mózg wyobraża sobie scenę, której nie był świadkiem, domyśla się jej, widzi ją jak żywą.

Widzę cię samego, tutaj, na pustej średniowiecznej starówce, jak czekasz na mnie. Widzę cię odwróconego tyłem, może zamyślonego. Widzę cień, którego chwilę przedtem sama się wystraszyłam – wydłuża się, próbuje cię dosięgnąć. Widzę, jak walczysz, by

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

w nim nie utonąć. Każda kostka w moim ciele drży z przerażenia.

– Lorenzo, błagam... powiedz mi, co się stało. Kto to był? Kto ci to zrobił?

Odwraca twarz w moją stronę. Błękitne oczy, pełne zdumienia, a zarazem siły, dziwnej siły.

– Nie, Vichi, nie rozumiesz... To wszystko... sam sobie to zrobiłem.

Życie czasem przypomina mi układanie domina. Kiedy już wszystkie klocki stoją na baczność w równym rządku, jeden przy drugim, wystarczy przewrócić pierwszy i natychmiast jeden po drugim przewracają się wszystkie. Od jakiegoś miesiąca mam wrażenie, że nasze życie, takie zwyczajne, się rozpada: nic już nie jest pewne, jedno wydarzenie prowokuje kolejne jak pchnięty klocek domina.

To wszystko nie ma sensu!

Jego mięśnie napinają się z wysiłku, kiedy siada, i w tej chwili zauważam, że drobniejsze rany już się zamknęły, nawet ich nie widać. Została już tylko czerwona szrama na prawym ramieniu i głębokie zadrapanie na czole.

I dwie ciemne, krwawe smugi przecinające mu plecy.

Jego zielona bluza ma dwa wielkie rozdarcia z tyłu, w miejscach, gdzie wyrwały się spod niej skrzydła.

Lorenzo bierze ją do ręki i się śmieje.

– Do licha, to była moja ulubiona.

Zdejmuję kurtkę.

– Trzymaj. Będzie trochę ciasna, ale przynajmniej jest ciepła.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Nie chciałem, żebyś mnie znalazła w takim stanie... przepraszam.

– Ale dlaczego... ja nic nie rozumiem. Zechcesz mi wyjaśnić, co się stało?

– Zrobiłem to dla was – mówi bardzo cicho, nie patrząc mi w oczy; ledwie słyszę jego głos. – Dla was... Dla ciebie i Ginevry... bo Alessia zginęła, zginęła, chociaż nie wiedziała, że w ogóle powinna bać się śmierci, zginęła, bo nie miała nikogo, kto mógłby ją obronić...

Mówi coraz głośniej.

– A ja nie wiem, co to jest, to coś, czego musimy się bać, i jestem wściekły, że tego nie wiem, ale jeśli ktoś albo coś spróbuje wam zrobić krzywdę, jeśli spróbuje...

Już prawie krzyczy.

– To ja na pewno chcę być tam wtedy z wami i spojrzeć w twarz temu potworowi, i wydrzeć z niego życie choćby gołymi rękami, choćbym sam miał przy tym zginąć, jeśli to będzie konieczne. Dlatego przyszedłem tu dzisiaj, w nocy, daleko od domu, żeby ćwiczyć, żeby przygotować się na wszystko... żeby móc was bronić. Dlatego rozwinąłem skrzydła. Żeby tego dnia, kiedy stanę z nim oko w oko, wiedzieć, co robić.

– Oko w oko z kim? O kim ty mówisz?

– O demonie – odpowiada i to słowo wybucha w mojej głowie jak oskarżenie. – Nie zaatakował zwykłej dziewczyny, tylko anioła... Zaatakował jedyną istotę, która potrafiła go zabić. Gdyby tylko wiedziała, może nie byłaby taka... bezbronna.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

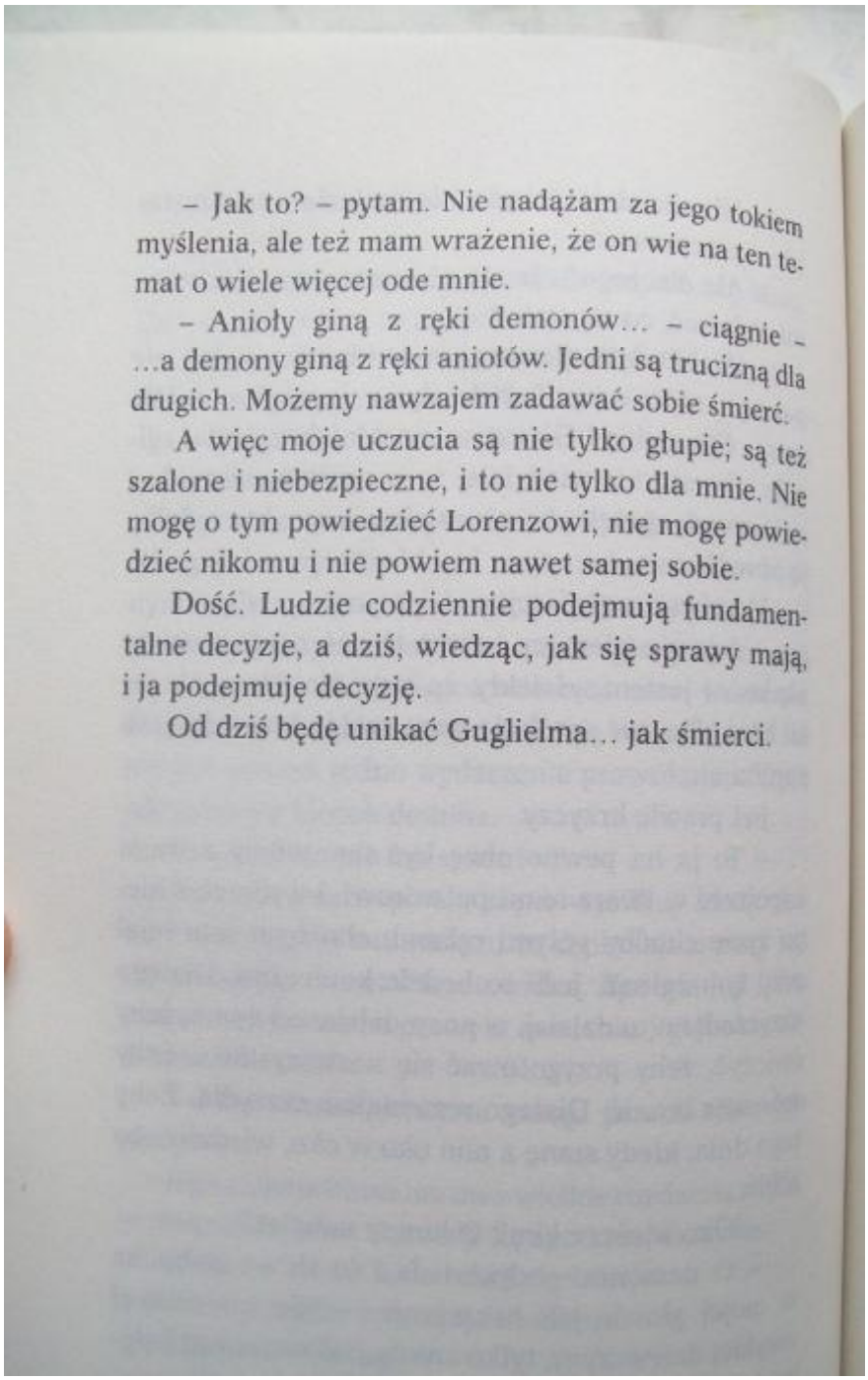

– Jak to? – pytam. Nie nadążam za jego tokiem myślenia, ale też mam wrażenie, że on wie na ten temat o wiele więcej ode mnie.

– Anioły giną z ręki demonów... – ciągnie – ...a demony giną z ręki aniołów. Jedni są trucizną dla drugich. Możemy nawzajem zadawać sobie śmierć.

A więc moje uczucia są nie tylko głupie; są też szalone i niebezpieczne, i to nie tylko dla mnie. Nie mogę o tym powiedzieć Lorenzowi, nie mogę powiedzieć nikomu i nie powiem nawet samej sobie.

Dość. Ludzie codziennie podejmują fundamentalne decyzje, a dziś, wiedząc, jak się sprawy mają, i ja podejmuję decyzję.

Od dziś będę unikać Guglielma... jak śmierci.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Nie mogę ci tego obiecać

Mija kilka dni. Życie toczy się dalej, jak gdyby nic się nie stało. Porywa mnie w swój wir. Wkręca mnie w swój mechanizm.

A ja pozwalam się porwać.

Pozwalam się wciągnąć w codzienne zajęcia, w szkołę, w naukę. Interesuję się sprawami swojej rodziny, nawet bardziej niż zwykle, i swoich przyjaciół. Czuję się tą samą dziewczyną co zawsze, wiodącą to samo życie, z tymi samymi myślami w głowie. Idę naprzód z uśmiechem na ustach, z moich oczu nie wygląda cień, skrzętnie ukrywam swoje uczucia.

Idę z uśmiechem na ustach.

Ale wieczorem, kiedy jestem sama w swoim pokoju, opuszczam ostatnią kurtynę, gaszę ostatni reflektor na mojej osobistej scenie i wychodzę z roli, którą z zapałem gram całymi dniami. Spod pancerza wyłazi ból, który tłumię w sobie.

Ból małej dziewczynki, która się boi, bo nie wie, czego chce. A może wie i doskonale zdaje sobie sprawę z absurdalności swoich pragnień.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Jest dwadzieścia po ósmej rano, ja i Ginevra wchodzimy do szkoły spóźnione, ale bez przesady jak na nas: choć ten jeden raz nie przypominamy Alicji pędzącej za Białym Królikiem. I nie my jedne się spóźniłyśmy.

Jest też on.

Czyta – co za niespodzianka – siedząc na ostatnim schodku, z plecami opartymi o kolumnę przy wejściu. Wygląda jak posąg.

Jakaś koza z pierwszej klasy patrzy na niego oczami, które totalnie wyszły z orbit, inna o włos unika zderzenia z wazonem. A sprawca zamieszania w ogóle tego nie zauważa. Za to doskonale zauważa nas dwie. I unosi głowę.

Ginevra uśmiecha się i pozdrawia go gestem.

On grzecznie odpowiada uśmiechem.

Po czym spogląda na mnie, wciąż uśmiechnięty, i chyba czeka na pozdrowienie, przynajmniej skinienie głowy. Na próżno.

Uśmiech gaśnie, spojrzenie traci blask jak piękne, zmatowione szkło. Zdezorientowane oczy szukają moich, ale ja unikam jego wzroku i pospiesznie wbiegam po schodach.

Pędzę po dwa stopie naraz, a Ginevra za mną.

– Ej, zwolnij! Co jest? Dopiero teraz się zorientowałaś, że jesteśmy spóźnione? – pyta mnie żartobliwie.

– Tak, chodź, pospieszmy się – odpowiadam, próbując zachowywać się naturalnie. Ale się nie nabiera.

– Stało się coś, o czym nie wiem?

– A co?

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Dlaczego nie przywitałaś się z Guglielmem? Ledwie na niego spojrzałaś... Mam ci przypomnieć, że prawie uratował ci życie?

– Nie przesadzajmy...

– Nie przesadzajmy? Gdyby nie on, kto wie, jak długo byłabyś w tym pokoju, naćpana do nieprzytomności, z Parysem, który pomylił cię z deską do krojenia!

– Tak, oczywiście, nie chciałam powiedzieć, że... – W ogóle nic nie chciałam powiedzieć.

– W takim razie wybacz, ale zupełnie nie rozumiem twojego zachowania.

Na szczęście w tej chwili jesteśmy już w sali, dzięki czemu mogę zakończyć tę rozmowę.

Życie zero, Vittoria jeden.

Ale życie bierze rewanż.

– Dlaczego mnie unikasz?

Guglielmo wyrasta za moimi plecami, a ja podskakuję prawie pod sufit, słysząc jego głos.

– Nie unikam cię.

– Nie rozmawiasz ze mną.

– Teraz z tobą rozmawiam.

Bierze mnie za rękę. Tego kontaktu nie przewidziałam; zmuszam się do zachowania spokoju.

– Jak tam rana? – pyta cichutkim szeptem. Podciąga o parę centymetrów rękaw mojej koszulki i odkrywa ramię, żeby sprawdzić na własne oczy.

Delikatna kreska skaleczenia jeszcze jest widoczna, nie jest już czerwona, ale wciąż wyraźna, chociaż minęło sporo czasu.

Guglielmo przeciąga palcem po świeżej bliźnie, a ja czuję lekki dreszcz przebiegający po plecach.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Odsuwam się od niego.

Jego spojrzenie szuka mojego, widzę dezorientację w jego grafitowych oczach.

– Chcesz, żebym sobie poszedł?

Leciutkie skinienie głową wymaga ode mnie nieprawdopodobnej siły.

– I chcesz, żebym więcej nie wracał?

Jeszcze większy wysiłek, jeszcze słabsze skinienie.

Czuję, jak jego oczy spopielają mi serce, kiedy szepcze:

– Nie mogę ci tego obiecać...

Wychodzi, znika i sala robi się pusta. Naprawdę pusta. Jakby w miejscu, w którym stał, otworzyła się przepaść.

Guglielmo wychodzi ze szkoły pierwszy – siedzi już na swoim motorze. Szanując naszą dziwną umowę, natychmiast odjeżdża. Silnik ryczy, oddalając się, jakby wyrażał zły humor jeźdźca.

– Na pewno dobrze się czujesz? – pyta mnie Lorenzo. – Jesteś strasznie blada.

– Nic mi nie jest – zapewniam go, ale zdradza mnie ton głosu.

Czuję się koszmarnie, ale zasłużyłam sobie, a poza tym właściwie zawsze czuję się koszmarnie.

Ręka mnie boli, blizna muśnięta palcami Guglielma pali, jakbym pocięła się przed chwilą. Ale niedługo zagoi się zupełnie, tak jak zapełni pustka po nim.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Każdy tylko nie on

Ignorowanie go staje się z każdym dniem łatwiejsze, a jednocześnie coraz bardziej bolesne. Ale człowiek może się przyzwyczaić do wszystkiego: i do sytuacji przyjemnych, i do tych rozpaczliwych. Ciało przyjmuje wszystko, powoli, ale nieuchronnie, przywyka do entuzjazmu i do cierpienia, do radości i do łez. Pewnego pięknego dnia budzisz się i stwierdzasz, że nie zostało już nic. Nic.

A ja z nadzieją czekam, aż ten dzień nadejdzie.

– Co się dzieje, skarbie? – pyta mnie przejęta matka. Siedzimy przy stole, a ja nie tknęłam kolacji. Ojciec jest jeszcze w pracy, a Elena wyszła zjeść na mieście z przyjaciółmi.

– Nic, nie jestem głodna.

– Ale powinnaś jeść, jesteś wymizerowana.

– Tak, wiem, mamo, masz rację – mówię, żeby sprawić jej przyjemność.

– Stało się coś złego? – pyta, i szybko się poprawia: – Coś jeszcze?

Chciałabym jej powiedzieć, że stało się wszystko. Że odkąd pojechałam z nią do tego przeklętego domu, od kiedy poznałam Guglielma, nic nie jest

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

takie, jak powinno. Ale musiałabym wyjaśnić zbyt wiele spraw, a nie jestem w nastroju na zwierzenia.

– Idę do siebie – mówię, a ona pozwala mi na tę ucieczkę.

Mijają trzy tygodnie. Codziennie na przerwie on przechodzi naszym korytarzem do automatów z kawą, bierze kubek, ale nie wypija kawy, i wracając, zagląda przez nasze drzwi.

Na ucieczkę mam ledwie kilka sekund.

Liczę je w myślach, nie podnosząc głowy.

Liczę je, potem odliczam drugie tyle. Potem rozlega się dzwonek i znów mogę oddychać.

Któregoś ranka nauczycielka od historii wchodzi do sali z podejrzanie entuzjastyczną miną.

– Dzień dobry, kochani! – wita nas z nietypowym uśmiechem.

Klasa wstrzymuje oddech. Entuzjazm profesora rzadko oznacza radosne wydarzenie dla uczniów.

– Ja i pan profesor od historii sztuki postanowiliśmy połączyć siły, żeby w trochę inny sposób przekazać wam kilka tematów z historii i sztuki antycznej, związanych z naszą okolicą. Postanowiliśmy wysłać was do naszego stanowiska archeologicznego, żebyście przeprowadzili badania. Nic skomplikowanego, trochę obserwacji, parę zdjęć i szkiców, które potem w szkole porównacie z podręcznikami.

Nasze stanowisko archeologiczne: etruskie grobowce zapomniane przez wszystko i wszystkich.

– Oczywiście będziecie pracować w grupach – dodaje pospiesznie profesorka. – A właściwie w parach.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Potem każda para będzie musiała napisać szczegółowe sprawozdanie ze swoich badań.

Ginevra posyła mi porozumiewawcze spojrzenie, które odwzajemniam: będzie z nas zarąbista para archeologów.

– A, byłabym zapomniała, pary będą mieszane.

– Mieszane? – pyta ktoś z pierwszych ławek. Takiej akcji jeszcze nie było. Niby dlaczego pary miałyby być mieszane?

– To znaczy chłopak z dziewczyną? – pyta ktoś inny, by się upewnić, że dobrze zrozumiał.

– To znaczy wy i uczniowie z trzeciej H, z klasy pana profesora.

Kiedy nieporozumienie zostaje wyjaśnione, wszyscy zaczynają gadać z ożywieniem o takim czy innym chłopaku, czy dziewczynie, których znają z trzeciej H. Każdy wymyśla, z kim chciałby być w parze.

Oczywiście myślę o tym i ja.

Trzecia H. Klasa Guglielma.

– A teraz ścieśnijcie się trochę, trzecia H zaraz do nas dołączy, żebyśmy z profesorem mogli wam wyjaśnić szczegółowo, jak macie prowadzić badania. I oczywiście dobrać was w pary.

Dwadzieścia osób wchodzi do sali, w której swobodnie mieści się najwyżej osiem.

Wchodzą wszyscy. No, prawie wszyscy.

Guglielmo zostaje w drzwiach, bardziej na zewnątrz niż w środku. Profesorka zaczyna losowo dobierać nazwiska.

Nie znam ludzi z trzeciej H, ale wszystko mi jedno, odpowiada mi każdy, tylko nie on.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Nazwiska padają jedno po drugim, wylosowane pary przyglądają się sobie. Jedni są zadowoleni z doboru partnera, inni wyraźnie zawiedzeni. Zostało jeszcze z dziesięć osób, a ani ja, ani Ginevra nie zostałyśmy jeszcze wyczytane. Niestety, Guglielmo też nie.

– Spokojnie, już prawie skończyliśmy – mówi profesorka. – Teraz... Guglielmo i... Francesca.

Tak!

Ekstra!

Ha, ha, życie zero, Vittoria dwa!

– Nie, chwileczkę... – ciągnie profesorka. – Francesca, ty uprzedzałaś, że tego dnia nie będzie cię w szkole, masz jakiś wyjazd ze szkolnym chórem, zgadza się?

– Tak, pani profesor, właśnie miałam się przypomnieć.

– Jasne, jasne, rzeczywiście zapomniałam. Więc musimy cię wykreślić. Guglielmo i...

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Tworzą się lawiny

Po wyjściu ze szkoły pędzę w stronę głównej ulicy, nie patrząc na nikogo, z nikim się nie żegnając. Dlaczego los ciągle pcha mnie na tę drogę, z której postanowiłam zejść? Ja w jedną stronę, a los ciągnie w drugą. A przede mną wiecznie jest on.

Zamyślona wpadam na Ginevrę, która idzie naprzeciwko mnie z dziwną miną. Ponurą. Dziwną, bo nie w jej stylu.

– Hej, co jest? – pytam zaniepokojona.

– Nie odwiózł mnie do domu.

– Hę?

– Lorenzo. W każdą środę on mnie odwozi…

– Ach, no tak… a jak to się stało, że dzisiaj nie?

Ginevra kręci głową.

– Powiedział, że ma coś do załatwienia i zmył się w pół sekundy…

Widać na kilometr, że mu nie uwierzyła.

– Może się umówił z rodzicami – pocieszam ją, szukając wyjaśnienia tego wydarzenia, które samo w sobie z pewnością nie jest szczególnie dramatyczne. Ale znam Lorenza i takie zachowanie wydaje mi się dość niezwykłe.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Może...

Prawdę mówiąc, od tamtej nocy na placu Lorenzo jest trochę dziwny.

– Może po prostu źle się czuje – mówię. Nie mam zamiaru wygadać się o tym, co się stało tamtej nocy, kiedy znalazłam mojego przyjaciela na wpół wykrwawionego.

– Chodź, przejdziemy razem chociaż kawałek – proponuję. – Nie jestem Lorenzem, ale zawsze lepsze moje towarzystwo niż żadne.

– Tak, tak, dzięki – odpowiada Ginevra, wcale nieuspokojona.

Wyraźnie widzę paskudne, złe myśli, które jak czarne smugi wiją się w jej skołowanym, przestraszonym mózgu.

Kiedy człowiek jest w dołku, każde ziarenko piasku wydaje się wielkie jak góra – wiem to doskonale. A jak się tak zastanowić, góry powstają przecież z ziarenek piasku.

A z płatków śniegu tworzą się lawiny.

Patrzę na Ginevrę: jest taka piękna. Nawet ze ściągniętą twarzą i zmarszczonym czołem, pogrążona w myślach, których nie znam.

Chciałaby mi coś powiedzieć. Może zwierzyć się z wątpliwości, z jakiegoś podejrzenia, które zawisło na jej czerwonych wargach, zaciśniętych z niepokoju – ale się powstrzymuje. Nie dlatego, że to ja, ale dlatego, że myśl, póki pozostaje myślą, można ukryć wśród innych myśli, nawet przed samym sobą. Kiedy już się ją wypowie i zaakceptuje, w jakiś sposób nadaje się jej rzeczywisty wymiar i trzeba się z nią zmierzyć.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Żegnamy się na rogu ulicy, prowadzącej do jej domu.

– Cokolwiek by się działo... – mówię i unoszę rękę do ucha, imitując słuchawkę telefonu. Uśmiecham się.

Ginevra odwzajemnia uśmiech.

Dopiero wtedy zaczynam myśleć. Może mój kumpel naprawdę źle się czuje, a może po prostu mają trudny okres. Ostatecznie to trudny okres dla wszystkich.

Spokój, bezruch, uspokajająca normalność monotonii, w której żyliśmy, została naruszona.

Tok moich myśli przerywa pojawienie się samochodu, który o mało mnie nie rozjeżdża.

– Co jest, do diabła!

Samochód mija mnie, nawet nie zwalniając.

Rozpoznaję go.

To samochód Lorenza, w charakterystycznym kolorze morskiej zieleni, z prawym światłem lekko stłuczonym w wyniku nieudanego manewru na parkingu.

Ale nie jedzie w kierunku domu Lorenza. Kiedy się oddala, wbiegam na schodki kamienicy, wyciągam szyję i widzę wnętrze kabiny.

Widzę jasną głowę mojego przyjaciela.

To z całą pewnością jego samochód.

Patrzę na miejsce pasażera i krew ścina mi się w żyłach.

Obok Lorenza ktoś siedzi.

I z pewnością nie jest to Ginevra.

Lorenzo, co ty kombinujesz?!

Może wyciągam pochopne, paranoiczne wnioski, może to coś zupełnie niewinnego...

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Ale jeśli to coś niewinnego, to dlaczego nie powiedział o tym swojej dziewczynie?

Będę go śledzić…

Robię zdecydowany krok ze schodka, ale nagle się zatrzymuję. To nie są moje sprawy, to znaczy niby są, troszeczkę, ale tak czy inaczej, nie mam prawa naruszać niczyjej prywatności. Wchodzę z powrotem na schodek.

Ale przecież to nie będzie przestępstwo, jeśli „przypadkiem" pójdę w tę samą stronę i zobaczę, co jest grane.

Stopa zwisa ze schodka.

A zresztą, tak czy inaczej, muszę iść w tamtą stronę.

Zeskakuję na chodnik, wkładam kaptur na głowę i ruszam biegiem za samochodem, który, dzięki cudownemu stanowi naszych ulic – dziura na dziurze – nie jest jeszcze daleko.

Czuję się troszeczkę głupio, śledząc samochód, pędząc jak wariatka i kucając za byle murkiem czy krzakiem, kiedy się zatrzymuje.

Na skrzyżowaniu staje, żeby przepuścić kilka innych aut.

Chowam się za pojemnikiem na śmieci i próbuję przyjrzeć się lepiej tajemniczemu pasażerowi.

To dziewczyna – poznaję po włosach i ciuchach.

Rozmawiają z ożywieniem, śmieją się.

W tej chwili ona, kimkolwiek jest, wyciąga lepką łapkę i głaszcze policzek mojego przyjaciela.

– Jasna cholera! Co za idiota…

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Samochód rusza, ja na nowo podejmuję pościg. Niestety, przyspiesza, a prosty i pusty kawałek ulicy nie ułatwia mi sprawy.

Biegnę najszybciej jak mogę, żeby nie stracić ich z oczu. Samochód skręca i wreszcie się zatrzymuje.

Doganiam go, ale nie podchodzę zbyt blisko; i tak czuję, że zaraz padnę na zawał... Staję za rogiem, schowana za wielką donicą.

Patrzę w kierunku auta, które stoi zaparkowane przy krawężniku. Dwie postacie w środku gadają w najlepsze przez kilka minut. Wreszcie Lorenzo wysiada, obchodzi samochód, otwiera drzwiczki i pomaga wysiąść pasażerce.

Słońce oświetla ją od stóp do głów, więc nie mam nawet cienia wątpliwości. Ona się śmieje, a mnie spowija najczarniejsza noc.

Piorun uderza we wszystkie moje myśli, wszystkie uczucia.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Kocham cię

Teraz ją poznaję. Poznaję tę wielką bramę i widzę przez nią kawałek otoczonego murem ogrodu, w którym jako dzieci bawiłyśmy się, kiedy nasze mamy piły kawę i gawędziły.

To ogród, w którym ona w wieku sześciu lat porwała mojego ukochanego misia i przez pół dnia trzymała go w niewoli.

Lavinia.

W następnej chwili, jakby tego było mało, jakbym nie była już wystarczająco wściekła, skołowana i zniesmaczona, co robi nasz jasnowłosy dżin z lampy Aladyna w dżinsach i trampkach? Podstawia jej policzek na pożegnanie, a Miss Sympatia korzysta z tego skwapliwie i zamiast cmoknąć go niewinnie w tenże policzek, wyciska całusa na jego ustach.

Okej, teraz tam pójdę, wezmę ją za kudły i dam tej wiedźmie wycisk. Jak ona śmie?

Niestety, Lavinia znika w domu, nie dając mi czasu na wprowadzenie w czyn postanowienia.

Lorenzo wsiada do samochodu i zawraca.

Czekam za rogiem.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Kiedy nadjeżdża, wyskakuję mu przed maskę z groźną miną. On hamuje z piskiem i wybałusza oczy... jest tak zdziwiony, jakbym wyszła z portalu prowadzącego do równoległego świata.

– Cześć, Lorenzo, co za zbieg okoliczności! Podwieziesz mnie?

Wsiadam do auta i z hukiem zamykam drzwi.

Ma przechlapane; przysięgam, że jeśli cokolwiek zrobił, to go zlinczuję.

Powieszę go pod sufitem głową w dół i zrobię sobie z niego piñatę.

Mam w nosie, czy się wtrącam w jego sprawy i naruszam jego prywatność; między nami nie ma prywatności.

Lorenzo nerwowo zmienia bieg.

Patrzę na niego. Patrzę w jego oczy błękitne jak sierpniowe niebo, kiedy odbija się w okularach przeciwsłonecznych ludzi niczym świetlista, błękitna zorza, zabarwiając szkła szafirem i indygo.

Patrzę w te oczy i widzę, że są zgaszone. Smutne i puste jak dwie głębokie sadzawki, które nagle wyschły i pokazały dno. A nigdy nie widziałam w jego oczach dna. Nigdy.

Ani kiedy płakaliśmy jako dzieci, zanosząc się szlochem z najgłupszych, najbardziej infantylnych powodów, które w tym momencie są kwestią życia i śmierci.

Ani tego wieczoru, kiedy znalazłam go w kałuży krwi w dzielnicy San Pellegrino. Nawet wtedy nie były tak zgaszone. Ta pustka mnie przeraża.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– A więc… to coś poważnego – szepczę, lekko dotykając jego dłoni. Czuję kluchę w gardle. Moje ciało reaguje na tę sytuację nieokreślonym, ale niemal namacalnym dyskomfortem.

Lorenzo uśmiecha się, ale ten uśmiech jest równie pusty i gorzki, jak jego spojrzenie.

– Nie wiem…

Nienawidzę tych słów. Sokrates, taki zadowolony ze swojego „wiem, że nic nie wiem", raczej nie mówił o uczuciach.

Nerwowo przełyka ślinę, poprawia grzywkę, jeszcze bardziej nerwowo.

– Ale tak właściwie, o co… – Słowa zamierają mu na wargach. Zdaje sobie sprawę, że granie idioty i wciskanie mi tekstu w rodzaju „nie wiem, o co ci chodzi" na nic się nie zda.

– Ginevra właśnie mi powiedziała, że coś nie gra między wami, a chwilę potem zobaczyłam cię w samochodzie… w towarzystwie. Śledziłam was, przyznaję się, nie rozpoznałam pasażera, czy raczej pasażerki…

Samochód się zatrzymuje; nawet nie zauważyłam, kiedy przyjechaliśmy pod mój dom.

Lorenzo wyłącza silnik.

Odwraca się i patrzy mi prosto w oczy.

– Odwiozłem ją do domu.

Kiwam głową. Co mogę powiedzieć?

– To nie jest pierwszy raz, prawdę mówiąc, odwiozłem ją też kilka dni temu… Ale to nic poważnego, nie bój się, nie ma się czego bać.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Naprawdę?

– Tak, po prostu ostatnio czasami lubię z nią pogadać.

– Przyrzekniesz mi, że nie ma w tym nic więcej?

Nie mówię tonem policjanta na przesłuchaniu, to brzmi raczej jak błaganie, i chyba widać to też w moim przestraszonym, proszącym spojrzeniu.

Uśmiecha się, żeby mnie uspokoić.

– Ależ oczywiście…

– A ja… hm… co mam teraz zrobić?

To jest spory problem i dopiero teraz to do mnie dociera.

Bo znalazłam się w koszmarnej sytuacji, między młotem a kowadłem: mówimy o dwójce moich najlepszych przyjaciół. Oboje są mi jednakowo bliscy.

– Nie mów Ginevrze, nic się nie stało i nie chcę, żeby się przejmowała.

– Ale…

– Proszę cię, zapewniam, że to nie jest nic ważnego i nie ma żadnego powodu jej mówić.

O Boże, i co teraz?

Wbija we mnie błagalne spojrzenie.

Wisi oczami na moich ustach, nasłuchuje każdego oddechu.

– Przysięgnij mi, że nic się nie stało, że to nic.

– Zapewniam cię.

Szukam prawdy w jego oczach, w tych głębokich, spokojnych jeziorach, w których zawsze mogłam nurkować bez obawy. Zaglądam aż na dno, błądzę w poszukiwaniu najmniejszego światełka,

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

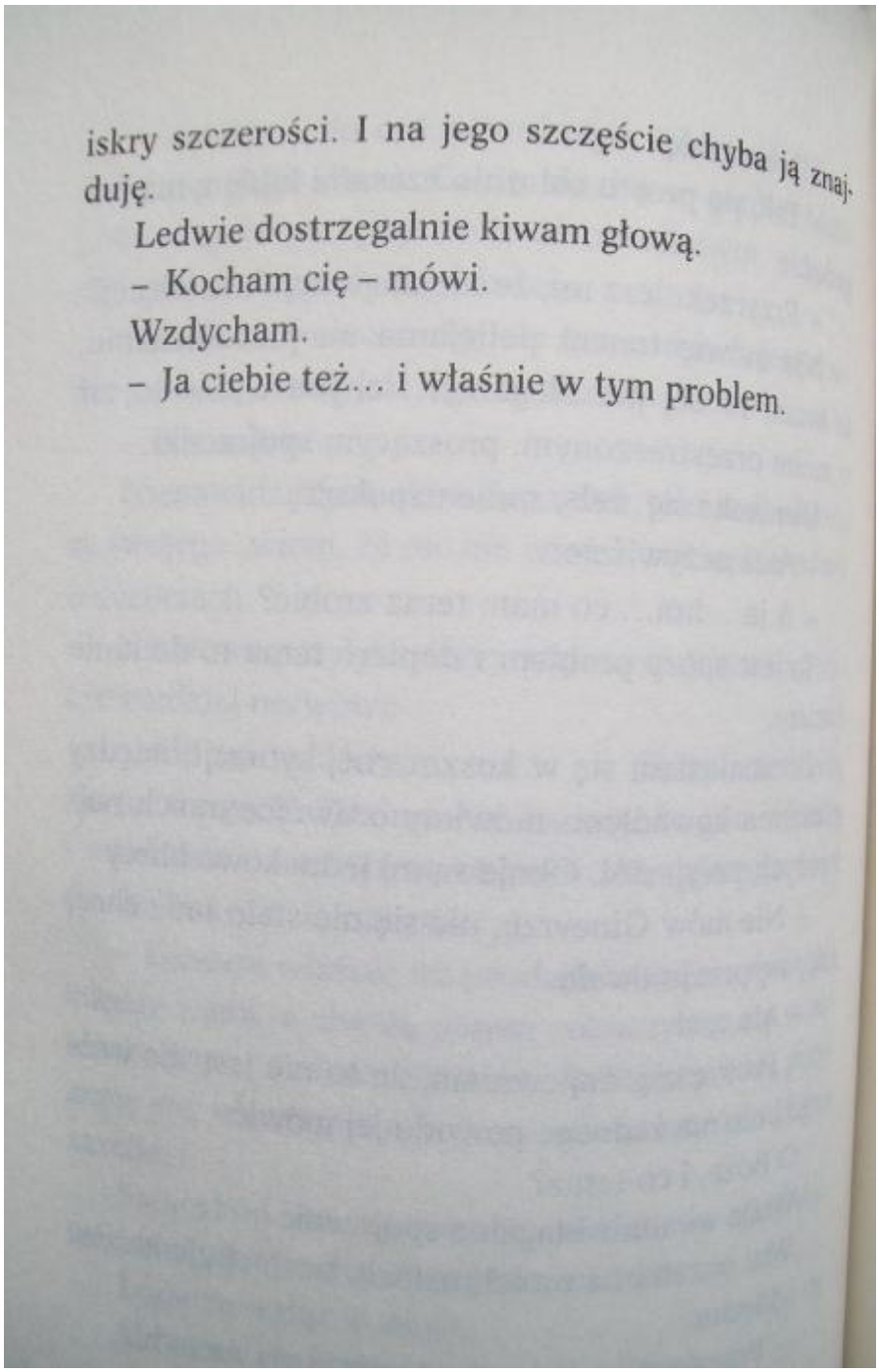

iskry szczerości. I na jego szczęście chyba ją znajduję.

Ledwie dostrzegalnie kiwam głową.

– Kocham cię – mówi.

Wzdycham.

– Ja ciebie też… i właśnie w tym problem.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

To niemożliwe

Siedzę w oknie.

Pada.

Krople bębnią w szyby coraz gęściej, jakby dobijały się do domu.

Nie rozmawiam z nim. Nie pozdrawiam go. Spuszczam wzrok, kiedy spotykam go na korytarzu, a im bardziej staram się go unikać, tym więcej o nim myślę. Im bardziej staram się nie myśleć, tym wyraźniej staje mi przed oczami tatuaż na nadgarstku. Dowód, że on jest moją śmiercią. Dowód, że kochać i umierać to w moim przypadku to samo. Kręcę głową, ale myśli nie chcą sobie pójść, odbijają się z jednej strony czaszki na drugą, robiąc coraz więcej hałasu. Jesteś głupia! – mówią mi. Nie ma się czego bać! Ale inne głosy szepczą, że muszę uważać, że mój strach nie jest głupi i że ból, który ściska mi żołądek jest tylko małym fragmentem tego uczucia, którego doświadczam, tego uczucia, które gotowe jest mnie pochłonąć, rozerwać, zadusić, zabić.

Demon. Anioł. To niemożliwe.

Ostatnia myśl każe mi wrócić na ziemię, do sytuacji moich przyjaciół: anioła i śmiertelniczki. Sądząc

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

po tym, jak w tej chwili mają się sprawy, nawet taki związek nie wydaje się możliwy.

Zaledwie wczoraj Lorenzo zapewniał mnie, że nie ma się czym martwić.

Dzisiaj się pokłócili.

Ich kłótnia, a przynajmniej ta część, której byłam świadkiem w szkole, nie wyglądała na nic poważnego. Ale nie wiem, jak się rozwija – jeśli się rozwija.

Ostatnio obydwoje są bardzo nerwowi, szczerze mówiąc wszyscy jesteśmy, może przez pogodę – burą, deszczową i melancholijną, która zmienia nas w naładowane atomy, nerwowo orbitujące wokół niczego. A może przez poczucie wiszącego nad nami niebezpieczeństwa, którym nasyciła atmosferę śmierć Alessii.

Ja jestem podminowana przez test z chemii: dlatego majaczę o atomach, myśląc o ludziach.

Ale też zawsze się denerwuję, kiedy ci dwoje się kłócą; przygnębia mnie to, trochę jakby kłócili się moi rodzice.

Wzdycham; para kondensuje się na szybie, więc rysuję na niej palcem smutną buźkę.

Świergoli telefon. Biorę komórkę do ręki i już wiem, że kłótnia trwa. Rozzłoszczona Ginevra pisze w esemesie:

Jest jeszcze zły o to, jak wrednie mu odpowiedziałam rano.

Jej odpowiedź może i była odrobinę jadowita, ale nie aż tak znowu… a poza tym wszyscy zmagaliśmy się z równaniem matematycznym, istną łamigłówką, i całkiem możliwe, że puszczały nam nerwy.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

A od tamtej pory pożarli się już na dobre, jak zawsze. Obydwoje są dumni i uparci i na tym polega ich problem.

Zastanawiam się, jak odpowiedzieć na esemes od przyjaciółki, chciałabym ją uspokoić, na ile się da. W tej chwili z komputera też słyszę sygnał.

Siadam z rozmachem przy biurku; krzesło na kółkach jedzie przez pół pokoju.

Z wysiłkiem turlam się na miejsce. Komunikator jest otwarty. Mam wiadomość od Lorenza – on też każe mi uczestniczyć w tej kłótni.

Czy ona nie rozumie, jak bardzo mnie ranią te jej odzywki?!

I emotka ze zbolałą miną.

Opieram głowę na dłoni i patrzę zrezygnowana to na komórkę, to na kompa; nagle przypadła mi rola terapeuty małżeńskiego…

Najpierw odpowiadam Ginevrze.

Wiesz, że jest wrażliwy na takie teksty, próbowałaś go przeprosić i wyjaśnić, że nie byłaś wściekła na niego, tylko na równanie?

Kładę telefon obok klawiatury i piszę do Lorenza.

Na pewno rozumie, po prostu nie zrobiła tego specjalnie, nie zamierzała cię zranić.

Dodaję emotkę, która energicznie kiwa głową, żeby było bardziej przekonująco.

Błyskawicznie przychodzi esemes od Ginevry. Czytam.

Tak, powtarzam mu to od dwóch godzin, ale on nie chce słuchać wyjaśnień, mówi, że to nie pierwszy raz i że jest tym zmęczony.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

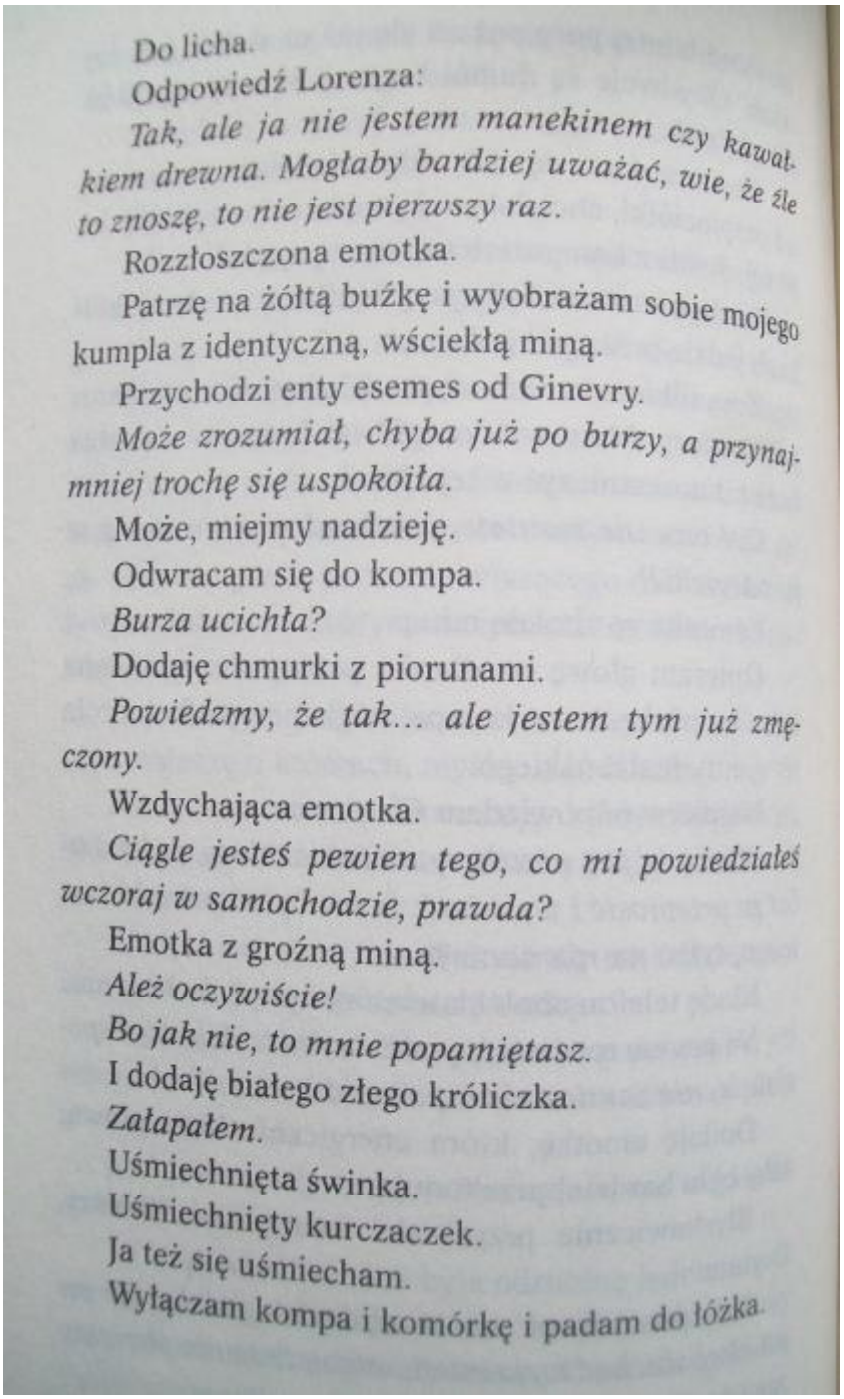

Do licha.

Odpowiedź Lorenza:

Tak, ale ja nie jestem manekinem czy kawałkiem drewna. Mogłaby bardziej uważać, wie, że źle to znoszę, to nie jest pierwszy raz.

Rozzłoszczona emotka.

Patrzę na żółtą buźkę i wyobrażam sobie mojego kumpla z identyczną, wściekłą miną.

Przychodzi enty esemes od Ginevry.

Może zrozumiał, chyba już po burzy, a przynajmniej trochę się uspokoiła.

Może, miejmy nadzieję.

Odwracam się do kompa.

Burza ucichła?

Dodaję chmurki z piorunami.

Powiedzmy, że tak... ale jestem tym już zmęczony.

Wzdychająca emotka.

Ciągle jesteś pewien tego, co mi powiedziałeś wczoraj w samochodzie, prawda?

Emotka z groźną miną.

Ależ oczywiście!

Bo jak nie, to mnie popamiętasz.

I dodaję białego złego króliczka.

Zatapałem.

Uśmiechnięta świnka.

Uśmiechnięty kurczaczek.

Ja też się uśmiecham.

Wyłączam kompa i komórkę i padam do łóżka.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Mam do ciebie prośbę

Następnego ranka Lorenzo i Ginevra są tacy jak zawsze, wygląda na to, że kryzys minął, chociaż mam wrażenie, że zachowują lekki dystans. Ale może to tylko moje wrażenie.

W szkole projekt naukowy z „mieszanymi parami" wisi nad moją głową jak miecz Damoklesa, więc w tajemnicy usiłuję przekupić Francescę.

– Fra, to tylko konkurs śpiewu, nie wolałabyś przypadkiem... no wiesz, nie wolisz jechać na tę historyczną wycieczkę?

– Jasne, już lecę! Według ciebie powinnam woleć wycieczkę do etruskich grobowców przy minus trzech stopniach? Zgłupiałaś?

I śmieje się, bo to nie ona musi bawić się w kreta w porze roku odpowiedniej dla pingwinów.

– No nie bądź taka, Fra, zapłacę ci, zrobię wszystko, co zechcesz – nalegam – ale błagam cię, odpuść sobie ten przeklęty konkurs i jedź na cmentarzysko!

– Przykro mi, ale nie mogę, nawet gdybym chciała, już się zadeklarowałam i nie mogę tak rzucić wszystkiego w ostatniej chwili.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Chodzę po klasie wzdłuż i wszerz – nie żebym miała do przejścia daleką drogę – i próbuję przekupić każdego, przekonać kogokolwiek, żeby zamienił się na partnera, ale nikt się nie chce zgodzić.

Historyczka jest jak w amoku przez ten swój projekt. Każe nam pogłębiać i powtarzać cały materiał, żebyśmy „przyjechali na miejsce przygotowani, bo inaczej nie odniesiemy z wycieczki żadnego pożytku". Bryka po klasie jak źrebak i rozdaje całe garście kserówek na temat życia, śmierci i cudów Etrusków.

Pod koniec lekcji widzę, że Ginevra znów jest zdenerwowana.

Chlasta kartkę markerem, jakby to był sztylet; Lorenzo też jest jakiś dziwny, widzę, jak drży mu noga; macha nią nerwowo, masakrując podeszwę prążkowanych vansów.

Szare deszczowe chmury znów bezlitośnie gęstnieją na niebie; wyraźny znak, że niepogoda i dziś nas nie oszczędzi. Zimne, sztuczne światło jarzeniówek w klasie niemal oślepia, a moi przyjaciele są nachmurzeni jak niebo.

Za to Lavinia promienieje. Wkurza mnie, że jest taka wesolutka, kiedy oni są tacy smutni, nawet jeśli jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

Kiedy tak siedzę, torturując ołówek i słuchając wykładu, doznaję olśnienia: Lavinia mogłaby być w parze z Guglielmem!

Prawdę mówiąc, będzie przeszczęśliwa i na pewno się zgodzi! Dobrze, dobrze, dobrze, zaproponuję jej to na przerwie.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Kiedy rozlega się dzwonek, odczekuję dwie sekundy, żeby sala opustoszała, po czym dopadam Lavinię w drzwiach.

– Hej, czekaj!

Obraca się i z pytającą miną otwiera szeroko piękne fiołkowe oczy.

– Co tam?

– Mam do ciebie prośbę…

Wracamy do jej ławki. Lavinia rozsiada się wygodnie, ja też biorę sobie krzesło, odwracam je i siadam przodem do niej. Czuję się jak przedstawiciel handlowy, zachwalający swoją ofertę potencjalnej klientce.

– Przez ten projekt z historii wszyscy dostają lekkiego świra, jeszcze parę kserówek i braknie mi miejsca w szafce – mówię żartobliwie. Okrążam temat, bo nie wiem, jak przejść do rzeczy.

– Tak, nie musisz mówić. Też mi się nie uśmiecha pomysł włóczenia się przez cały dzień po tym rumowisku…

Świetnie, rozmowa zaczęta.

– A skoro już o tym mowa, Lavinia, chciałam cię spytać… te pary, które dobrano do pracy grupowej, no… nieszczególnie się udały, nie sądzisz?

Czekam na potwierdzenie, ale na próżno; Lavinia poprawia sobie bransoletkę na lewym nadgarstku i nie patrzy na mnie.

– No więc, krótko mówiąc, nie jestem zbyt zadowolona, że trafił mi się Guglielmo, i zastanawiałam się, czy nie chciałabyś się zamienić…

Chociaż wysilam mózgownicę, za żadne skarby nie mogę sobie przypomnieć, kto ma być jej partnerem,

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

ale to nieważne, jak już powiedziałam, pasuje mi nawet kołek z płotu.

Lavinia znów łaskawie poświęca mi swoją uwagę i szeroko otwiera ametystowe oczęta.

– Czy ja dobrze zrozumiałam?

– Tak... a co?

Unosi wąskie brwi.

– Dziwi mnie, że nie chcesz z nim pracować... To przystojny chłopak, a poza tym... ciągle się koło ciebie kręci.

Czuję, że krew napływa mi do policzków i wcale mi się nie podoba to uczucie.

– Nie jest powiedziane, że to dobrze – mówię i odruchowo przygryzam wargę, żeby powstrzymać się przed kolejnymi niepotrzebnymi wyznaniami.

– Tak czy inaczej, to są twoje sprawy... Przykro mi, ale ja jestem zadowolona ze swojej pary.

Jak to możliwe? Sama powiedziała, że to przystojny chłopak, a zwykle nie potrafiła przejść obojętnie obok żadnego przystojniaka.

– Jesteś pewna, Lavinia?

– Całkowicie.

– Okej. Ale nie pamiętam... z kim jesteś w parze?

Na jej usta wypływa szeroki uśmiech, promienny i pełen zadowolenia.

– Klasy są nierówne, więc jedna grupa składa się z trzech osób, a jedna para musi się składać z dwóch osób z naszej klasy.

Nie rozumiem, do czego zmierza.

– Jestem w parze z Lorenzem.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

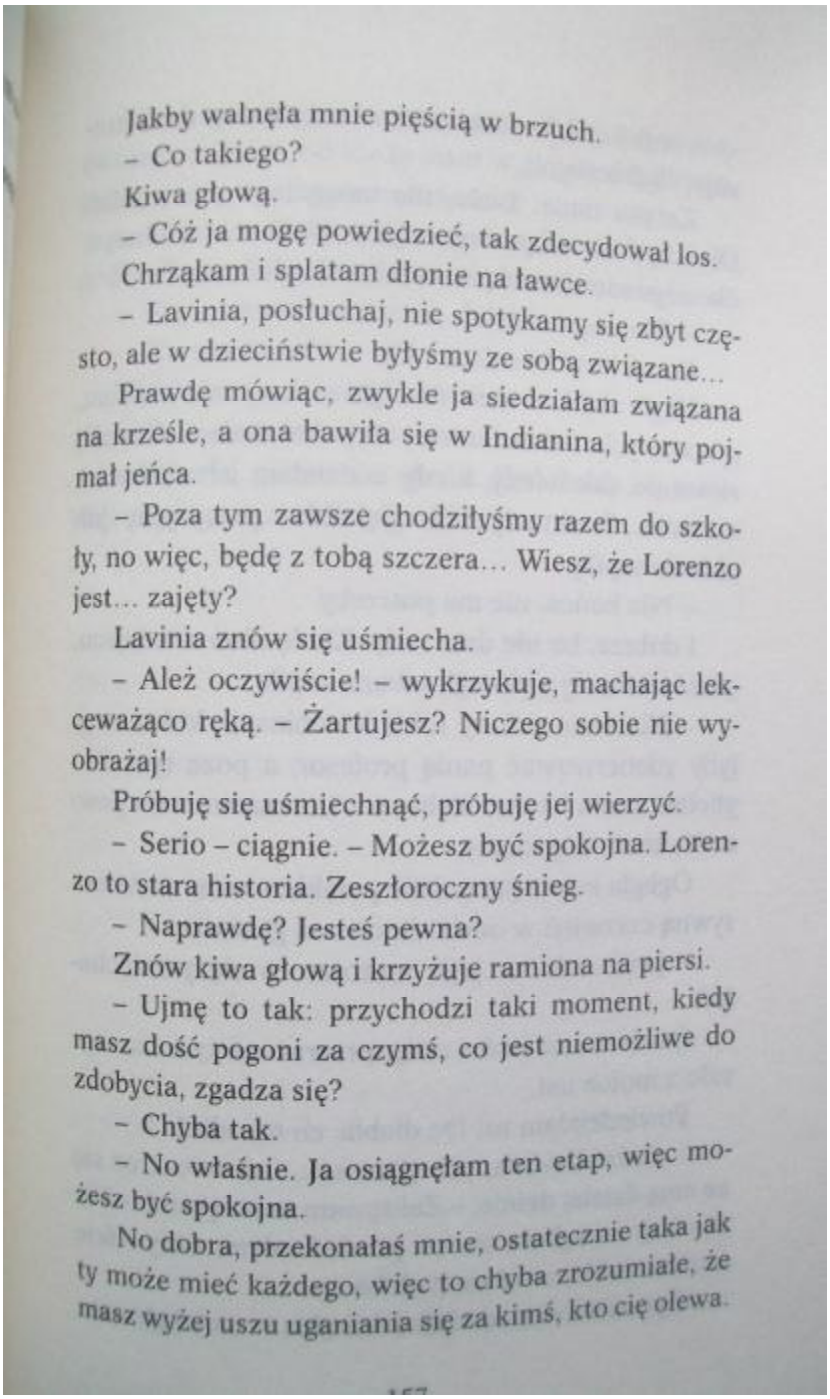

Jakby walnęła mnie pięścią w brzuch.

– Co takiego?

Kiwa głową.

– Cóż ja mogę powiedzieć, tak zdecydował los.

Chrząkam i splatam dłonie na ławce.

– Lavinia, posłuchaj, nie spotykamy się zbyt często, ale w dzieciństwie byłyśmy ze sobą związane...

Prawdę mówiąc, zwykle ja siedziałam związana na krześle, a ona bawiła się w Indianina, który pojmał jeńca.

– Poza tym zawsze chodziłyśmy razem do szkoły, no więc, będę z tobą szczera... Wiesz, że Lorenzo jest... zajęty?

Lavinia znów się uśmiecha.

– Ależ oczywiście! – wykrzykuje, machając lekceważąco ręką. – Żartujesz? Niczego sobie nie wyobrażaj!

Próbuję się uśmiechnąć, próbuję jej wierzyć.

– Serio – ciągnie. – Możesz być spokojna. Lorenzo to stara historia. Zeszłoroczny śnieg.

– Naprawdę? Jesteś pewna?

Znów kiwa głową i krzyżuje ramiona na piersi.

– Ujmę to tak: przychodzi taki moment, kiedy masz dość pogoni za czymś, co jest niemożliwe do zdobycia, zgadza się?

– Chyba tak.

– No właśnie. Ja osiągnęłam ten etap, więc możesz być spokojna.

No dobra, przekonałaś mnie, ostatecznie taka jak ty może mieć każdego, więc to chyba zrozumiałe, że masz wyżej uszu uganiania się za kimś, kto cię olewa.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Ale w takim razie, skoro Lorenzo cię nie interesuje, to dlaczego…

Zatyka mnie. Boże, nie mogę tego powiedzieć. Dlaczego nie mogę tego wydusić? To nic trudnego: dlaczego nie chcesz pracować z Guglielmem?

– Dlaczego nie…

Co mi jest? Nie dam rady.

Nagle myśl o nich dwojgu razem, sam na sam, pracujących nad zadaniem, niepokoi mnie, boli mnie strasznie, jak wtedy, kiedy widziałam ich razem na motorze. Punktowy ból, głęboki i precyzyjny jak ukłucie szpilą.

– Nie kończ, nie ma potrzeby.

I dobrze, bo nie dam rady. Kładę dłoń w miejscu, gdzie wbiła się wyimaginowana szpila.

– Nie mam ochoty robić kombinacji, które mogłyby zdenerwować panią profesor, a poza tym Guglielma znam bardzo słabo, a z Lorenzem mam pewność, że się dogadamy.

Ogląda swoje paznokcie polakierowane na intensywną czerwień w odcieniu owocu granatu.

– Jasne, ale na jego motorze to się przejechałaś!

Otwieram szeroko oczy, przerażona tym, co wyszło z moich ust.

Powiedziałam to! Do diabła, co mi odbiło?

– Boże, Lavinia, przepraszam… nie wiem, co się ze mną dzisiaj dzieje. – Zakrywam usta rękami. – Nie zwracaj uwagi na to, co powiedziałam, oczywiście możesz robić, co ci się podoba…

Byle nie z nim, dodaje jakiś głos w mojej głowie.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

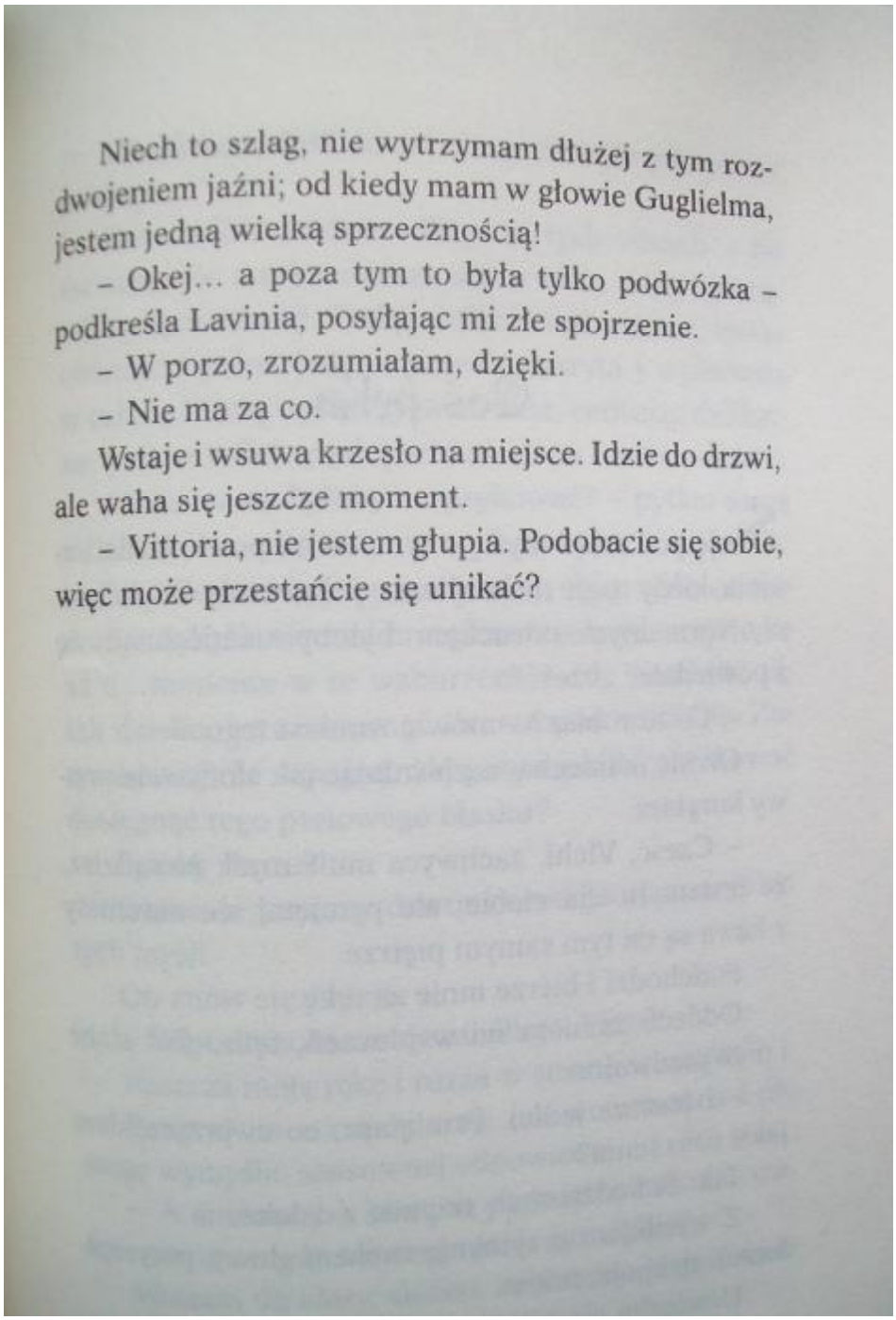

Niech to szlag, nie wytrzymam dłużej z tym rozdwojeniem jaźni; od kiedy mam w głowie Guglielma, jestem jedną wielką sprzecznością!

– Okej... a poza tym to była tylko podwózka – podkreśla Lavinia, posyłając mi złe spojrzenie.

– W porzo, zrozumiałam, dzięki.

– Nie ma za co.

Wstaje i wsuwa krzesło na miejsce. Idzie do drzwi, ale waha się jeszcze moment.

– Vittoria, nie jestem głupia. Podobacie się sobie, więc może przestańcie się unikać?

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Coś pęka

Stoję pod salą i myślę o tym, co mi powiedziała Lavinia, kiedy nagle na korytarzu pojawia się Guglielmo.

Normalnym odruchem byłoby uśmiechnąć się i powiedzieć „cześć".

– Co tu robisz? – mówię zamiast tego.

On się uśmiecha, rozjaśniając jak słońce ciemnawy korytarz.

– Cześć, Vichi, zachwyca mnie myśl, że sądzisz, że jestem tu dla ciebie, ale pamiętaj, że automaty z kawą są na tym samym piętrze.

Podchodzi i bierze mnie za rękę.

Oddech zamiera mi w płucach, tętno jest słabe i niewyczuwalne.

– I jeszcze jedno. Pamiętasz, co ci przyrzekłem jakiś czas temu?

Tak: że będziesz się trzymał z daleka.

Z wysiłkiem przytakuję ruchem głowy, przyszpilona jego spojrzeniem.

Uśmiecha się ironicznie, unosząc brew ze srebrnym kolczykiem.

– Przykro mi, ale nigdy nie byłem najlepszy w dotrzymywaniu obietnic.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Unosi moją dłoń do ust, nie przestając patrzeć mi w oczy.

Ileż cudów można odkryć w tych oczach... Ile światła i ile mroku miesza się w nich, dając początek tysiącu emocji. Tysiąc próśb o wybaczenie, tysiąc obietnic i jedna jedyna prawda, ukryta i wpleciona w całą tę resztę – przemyka na dnie, emitując delikatne, piękne refleksy jak perła niesiona nurtem rzeki.

Może warto byłoby zaryzykować? – pytam samą siebie.

Może warto byłoby pocierpieć, żeby wyłowić ten skarb? Schylić się nad brzegiem rzeki, zanurzyć rękę aż do ramienia w te wzburzone wody, wychylić się tak daleko, by aż musnąć twarzą powierzchnię. Zaryzykować, że wpadnę, ale przynajmniej spróbować dosięgnąć tego perłowego blasku?

Byłoby warto?

Brutalnie brzęczy dzwonek, odrywając mnie od tych myśli.

On znów się śmieje.

– Więc do zobaczenia niedługo, Vichi.

Puszcza moją rękę i rusza w stronę schodów.

Przez dwie sekundy stoję jak wmurowana i nie mogę wymyślić sensownej odpowiedzi.

– A automaty z kawą są w drugim końcu! – wołam za nim, kiedy nie może mnie już słyszeć.

Wracam do klasy, siadam na swoim miejscu i nie potrafię stłumić uczucia szczęścia.

Ale później dwójka moich najlepszych przyjaciół znów się kłóci, tym razem na poważnie. Mówią

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

ściszonymi głosami, starają się powstrzymywać, ale udaje im się tylko częściowo i niektóre słowa eksplodują trzy oktawy wyżej niż reszta rozmowy. Bardzo zły znak.

Siedzą ze schylonymi głowami przynajmniej od godziny.

Kolejni nauczyciele grożą im uwagami, proszą, żeby przestali, ale bez rezultatu.

Kłótnia dotyczy wciąż tego samego: wycieczki.

Marco, siedzący za mną, nachyla się do mojego ucha.

– Hej, Vichi... ty coś z tego rozumiesz?

– Tak, to jest podobne do koncepcji Parmenidesa, tak sądzę...

– Nie! Ja pytam o to, co się dzieje z Ginevrą i Lorenzem.

– A...

Profesor zerka groźnie w stronę naszego rzędu. Pochylam głowę nad książką, ale on nie daje się nabrać.

– Jeśli zaraz nie przestaniecie, wy tam, możecie kontynuować pogawędkę na korytarzu! Wyrażam się jasno?

– Tak, przepraszam, panie profesorze.

Tym razem nikt więcej nie waży się odezwać. Moja przyjaciółka robi wszystko, co w jej mocy, żeby powstrzymać łzy i stłumić szloch, mój najlepszy przyjaciel gapi się obojętnie w ścianę. Stwierdzam z goryczą, że tym razem między nimi coś pękło na dobre.

I we mnie coś pęka.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Nienawidzić i kochać

Leżę wyciągnięta na łóżku i patrzę w sufit. Przynajmniej od godziny.

Jutro wycieczka do etruskiej nekropolii.

Nie mogę spać. Jak zawsze, kiedy jestem sfrustrowana czy niespokojna.

Albo kiedy jakaś myśl puka i skrobie do drzwi, robi słodkie oczy i skomli, błagając o schronienie i obronę.

Więc jutro jest ten wielki dzień.

Przez okno widzę wąski pasek nieba. Ile jest gwiazd?

Nie wiem i nie sądzę, żeby dało się je policzyć. Czy to zadziała jak z baranami? Jeśli zacznę liczyć, zasnę? Zaraz spróbuję.

Jedna gwiazda.

Dwie gwiazdy.

Trzy gwiazdy.

Cztery gwiazdy.

Nie, nie działa, są zbyt piękne, gapiłabym się tak na nie aż do świtu i powieki nie zaczęłyby mi ciążyć.

A zresztą już zgubiłam rachubę.

Odwracam się na bok, po czym natychmiast przekręcam się z powrotem na plecy, oddycham; pościel

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

jest świeża, pachnie jak drobne kwiatki, które są na niej nadrukowane, jak setka maleńkich niezapominajek.

Wyciągam rękę spod ciepłej kołdry, drżę, ale zostawiam ją na wierzchu.

Jak pachną niezapominajki?

Dociera do mnie, że nie wiem, że nigdy ich nie wąchałam. Kto wie, czy w ogóle pachną, czy są równie pachnące, jak piękne. Chowam z powrotem zmarzniętą rękę pod kołdrę, przyciskam ją do piersi razem z drugą.

Zamykam oczy, ale zaraz je otwieram.

Jutro wycieczka.

Czy można jednocześnie cieszyć się i martwić tą samą rzeczą?

Czy to tak jak w ostatni dzień szkoły, kiedy cieszysz się na wakacje i długie lato, ale i smucisz, bo wiesz, że przez kilka tygodni nie zobaczysz wielu kolegów?

Nie, inaczej. W tamtym wypadku te dwa uczucia są wywołane przez dwie różne rzeczy.

Czy można nienawidzić i kochać jednocześnie?

I to tę samą osobę?

Katullus mówi, że tak, a skoro mówi to tak wielki poeta jak on, to chyba można mu wierzyć. Powtarzam sobie w pamięci tych kilka wersów:

Nienawidzę i kocham. Czemu tak się dzieje –
spytasz. Nie wiem. Lecz czuję, że tak jest. I cierpię.*

* Katullus, LXXXV, przekład: Jerzy Ciechanowicz (przyp. tłum.)

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

I cierpię.

Powtarzam.

Cierpię.

Nienawidzić i kochać tę samą osobę w tej samej chwili.

Wzdycham i wtulam twarz w poduszkę.

Może Katullus też miał siedemnaście lat, kiedy po raz pierwszy przyszło mu to do głowy.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Jak kwiat na wietrze

Budzik nie dzwoni. On też jeszcze śpi w najlepsze. Ale jak może zakładać, że sama się obudzę? Na szczęście moja siostra wpada do pokoju, oczywiście szuka czegoś swojego, czego nie znajduje gdzie indziej, bo z pewnością nie z troski o moje sprawy.

Słyszę ją, dopiero kiedy zrywa ze mnie kołdrę i zaczyna mnie potrząsać za ramiona.

– Vichi! Vichi! Obudź się, musisz wstać.

Nawet nie otwieram oczu.

– Daj mi spokój, Elena, proszę cię. – Obejmuję poduszkę i chowam w niej twarz. – Nie wzięłam nic twojego, dziewięćdziesiąt procent twoich dżinsów jest zawsze w koszu z praniem, a ładowarka jest w szufladzie...

Zapadam się jeszcze głębiej w poduszkę.

– Vichi, co ty mówisz? Nie chodzi o to... po prostu musisz wstawać, nie słyszałaś budzika?

Moja siostra bierze w długie, smukłe palce mały zegarek. Przykłada go do ucha.

– Zdaje się, że przestał chodzić.

– Doskonale. W takim razie zróbmy tak: ja się nie obudziłam, ty nie przyszłaś mnie ściągnąć z łóżka

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

i nie pójdę dzisiaj bawić się w kreta w etruskich grobowcach, okej?

Mój głos, stłumiony przez poduszkę, brzmi jak podziemny lament.

– Co ty wygadujesz? No już, ruchy, bo się spóźnisz!

Elena ściąga mi poduszkę z twarzy, więc odwracam się zrezygnowana. Otwiera szeroko piękne oczy i wpatruje się we mnie przez sekundę z poduszką w ręce. Wreszcie rzuca ją na krzesło i siada obok mnie na łóżku. Głaszcze mnie po policzku i odsuwa z czoła zbuntowany kosmyk włosów.

– Siostrzyczko, ty płakałaś… co się dzieje?

Delikatnie zakłada mi kosmyk za ucho i przygląda się, zmartwiona.

– Nie, wcale nie… – Przeciągam dłonią po policzku. – Och, może i tak…

Czuję pod palcami pozostałości tych nocnych bezwiednych łez; mam smugi soli na twarzy i spuchnięte oczy. Przecieram policzki rękawem piżamy i pociągam nosem.

Rzeczywiście płakałam, stwierdzam.

– Oj… to nic… nic ważnego – mówię smętnie.

– Nic ważnego? – pyta takim tonem, jakbym powiedziała coś absurdalnego. – Vichi, płakałaś przez sen i to ci się nie wydaje ważne?

Pokonana, wzruszam ramionami.

Elena delikatnie unosi moją twarz, żeby spojrzeć mi w oczy.

Kim jesteś, słodki, miły aniele? I co zrobiłeś z moją siostrą?

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Nie powiesz mi, co się dzieje? – nalega Elena.

Długo patrzę w jej twarz, w tę twarz, w której ostatecznie ciągle jeszcze rozpoznaję siebie, mimo dzielących nas różnic i lat. Czuję, jak łzy napływają mi do oczu i zanim udaje mi się je powstrzymać, płyną po policzkach.

Czuję ich lekko piekący smak. Zmuszam się do mówienia.

– Wszystko idzie nie tak.

Łzy płyną coraz silniejszym strumieniem. Nie mogę go zatrzymać, zaczyna mną wstrząsać nieopanowany szloch.

– Wszystko nie tak…

Nie mogę mówić, akurat teraz, kiedy chcę to zrobić. Sylaby zmieniają się w szloch, rozmywają się. Siostra obejmuje mnie i próbuje uspokoić, niemal huśta mnie w objęciach, aż trochę mi przechodzi i moją piersią przestają szarpać spazmatyczne wdechy.

Oddycham już prawie normalnie. Przez chwilkę siedzę jeszcze z twarzą w jej miękkich włosach i wreszcie puszczam ją i wycieram dłońmi mokre, spuchnięte powieki.

– Lepiej?

Kręcę głową.

– Jeden wielki kanał.

Głos mam zachrypnięty, na pewno wyglądam jak zmora, jak wiedźma.

– Lorenzo i Ginevra kłócą się przez cały czas i co chwilę na siebie napadają… i to nie przez zwykłe bzdury. Nie wiem, czasami wydaje mi się, że tak się

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

od siebie oddalili... I jeszcze oczekują, że stanę po stronie jednego albo drugiego! Ale jak mam to zrobić? Nie mogę... nie chcę.

Mój wybuch jest jak szloch, słychać w nim wszystkie te łzy, którymi nasiąknięty jest jeszcze mój głos.

– Nie jestem w stanie znieść tej sytuacji, kocham jednakowo oboje... Nie rozumiem, co się dzieje. A dzisiaj jeszcze jest ta przeklęta wycieczka historyczna... Nie wiem, czy chcę jechać... Nie wiem, czego chcę!

Chowam twarz w zmarzniętych dłoniach.

Elena, która w milczeniu wysłuchała moich chaotycznych wyznań, powoli kręci głową.

– Czasami wydaje nam się, że nie wiemy, czego chcemy naprawdę – zaczyna swoim spokojnym, melodyjnym głosem. – Kiedy tak naprawdę, może... – Przygładza mi ręką rozczochrane włosy. – Może tylko boimy się przyznać przed samymi sobą do tego, o czym serce zdecydowało już dawno.

Przyglądam się jej uważnie przez zasłonę mokrych rzęs.

– Ale... jeśli są sprzeczne sygnały?

Moja siostra zastanawia się chwilę nad odpowiedzią.

– Wtedy musisz spróbować wyczuć, który sygnał jest silniejszy. Vichi, mówimy o uczuciach, prawda?

Ledwie dostrzegalnie kiwam głową, moja szyja zgina się jak łodyga kwiatu na wietrze.

– No właśnie, uczucia są skomplikowaną sprawą, i to bardzo. Są potężne i zwodnicze, fascynujące i sprzeczne, nie ujawniają się od razu, a czasami

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

nie ujawniają się nigdy. Bawią się w subtelne pułapki, żebyś wpadła w ich sieci, oczarowują, a jednocześnie dezorientują. Nie dają żadnej pewności, wręcz przeciwnie. Są kusicielami, przepięknymi, ale niebezpiecznymi. – Uśmiecha się słodko. – Z pewnością nie jesteś pierwszą osobą, która dała się złapać w tę pułapkę, i nie ostatnią. Miłość nie jest słodkim uczuciem z bajek. W rzeczywistości księżniczki nie zakochują się w sekundę w swoim księciu, kiedy tylko go spotkają. Spędzają nieprzespane noce, zadając sobie pytania, życząc księciu wszystkiego, co najlepsze i przeklinając go na czym świat stoi. Miłość naprawdę jest niebezpieczna, nie jest żartem, nie jest kwiatem, nie jest aniołem…

Kiwam głową. Ma świętą rację.

– Miłość jest demonem – szepczę ledwie słyszalnie, jeszcze raz cytując to zdanie, które nie chce opuścić moich myśli.

Elena nie wybucha gniewem, dostrzega aluzję wyłącznie do dzieła wielkiego greckiego myśliciela, a nie do nowego mieszkańca naszego miasta.

– Dokładnie, kochany Platon nie mógł jej lepiej określić. Ale to wcale nie oznacza, że musisz przed nią uciekać. Musisz tylko… iść za nią, dać się prowadzić sercu. Serce nie może się mylić.

Serce nie może się mylić.

Mam tylko nadzieję, że moja siostra ma rację.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Prosto w jego ramiona

Stanowisko archeologiczne z etruskimi grobowcami położone jest kawałek za miastem, wśród pól. Jadę tam na skuterze.

Jak dla mnie jest na swój sposób piękne. Naprawdę ma się tu wrażenie, że zanurzyło się w życie tego prastarego, tajemniczego ludu. Grobowce nie przypominają cmentarza, raczej miasto, z tymi kryptami wykutymi w tufie, z płaskorzeźbami i ulicą, która wynurza się z ziemi i przecina czerwonawe, miękkie skały jak ostrze noża, pozostawiając z jednej strony dolinę, z drugiej wulkaniczną ścianę podziurawioną wejściami i porośniętą krzewami.

Przyspieszam. Zaraz zamarznę. Słońce ledwie w połowie wyszło zza chmur, które zatrzymują jego blade promienie.

Parkuję na placu przed wykopaliskami i poznaję kilka skuterów moich kolegów i samochód profesorki. Zsiadam ze skutera i natychmiast ogarnia mnie niepokój, po plecach przebiega mi dreszcz, uginają się pode mną kolana, ale staram się wziąć w garść. Pokonuję pierwszą część drogi wśród roślin i skał i po minucie docieram na placyk, gdzie zebrały się już obie klasy.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Biegnę, żeby dołączyć do kolegów. Nauczycielka patrzy na mnie z wyrzutem.

– No dobrze, skoro nareszcie jesteśmy wszyscy… – mówi, a z jej ust wypływa chmurka pary – możemy zaczynać.

Jest zimno, koszmarnie zimno. A pod ziemią, w grobowcach, będzie jeszcze zimniej.

– Proszę, dobierzcie się parami.

Lavinia staje koło Lorenza, który spogląda w moje oczy i uśmiecha się, żeby mnie uspokoić, dać do zrozumienia, że nie mam się czego obawiać.

Szukam wzrokiem Guglielma i go nie widzę. Ściska mnie w żołądku.

– Chciałaś mi zafundować samotne zwiedzanie?

Jego głos. Jego przeklęty głos, czasami tak obrzydliwie miły, dramatycznie piękny. Czasami przenikliwy i twardy, czasami lekki i jasny, delikatny i migotliwy jak kryształ. To słodki, to okrutny. To poważny, to żartobliwy. Ten sam głos, który dziś w nocy, jestem tego pewna, mówił do mnie w snach i w koszmarach.

– A więc, tak… – mówi profesorka, przeglądając gruby plik kartek. – Vittoria i Guglielmo…

Podchodzi i wtyka mi w rękę mapkę stanowiska archeologicznego. Zaczynam się jej przyglądać, ale nie mogę się połapać, jak się ma do terenu.

– My jesteśmy tutaj – mówi profesorka, wskazując kropkę na kartce, na dole, po prawej.

A, dobrze, teraz wszystko jasne.

– Wy zbadacie grobowiec, który znajduje się… – Palec błądzi po mapce, aż zatrzymuje się w naj-

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

dalszym punkcie, u góry, po lewej. – Dokładnie tutaj.

– Najdalszy... – mówię zamyślona.

– I owszem, najdalszy – potwierdza nauczycielka trochę kwaśno. – Ale też najpiękniejszy.

Niby co to ma znaczyć? Wszystkie są mniej więcej jednakowe: ciemne, głębokie i wilgotne.

– Macie czas do pierwszej. Tylko proszę was, bądźcie ostrożni.

– Oczywiście, pani profesor, będziemy pilnie pracować i będziemy ostrożni – mówi Guglielmo słodkim głosem, posyłając jej olśniewający uśmiech.

Ruszam pospiesznie wzdłuż czerwonawych skał w stronę grobowca. Nie czekam na niego.

– Hej, zaczekaj! – krzyczy Guglielmo, biegnąc za mną.

Udaję, że go nie słyszę i szybko idę drogą pod górę.

– Vichi, czekaj.

Nie odwracam się; wbijam wzrok w popękaną ziemię i idę przed siebie wielkimi krokami. Zimny wiatr rozwiewa mi włosy, słońce wyszło zza chmur, ale jest jeszcze strasznie blade.

– Zaczekaj na mnie – nalega. – Ty masz mapkę!

– Boisz się, że się zgubisz? Widzisz grobowiec? To tamten, łatwo tam dojść: idź prosto i wpadniesz na niego.

– Vichi!

Odwracam się nagle, coraz bardziej wściekła.

– Co jest?

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Ze zwykłą sobie gracją potykam się czubkiem buta o korzeń wystający spomiędzy kamieni na samym środku ścieżki. Typowe.

Chwieję się, zaczynam wymachiwać rękami jak oszalałe ptaszysko skrzydłami.

– Cholera…

Przeklinam, spodziewając się, że w tym surrealistycznym, zwolnionym tempie padnę na skalistą ziemię.

Zamykam oczy.

– Uważaj!

Wpadam prosto w jego ramiona.

Nie na skały.

Otwieram niepewnie oczy, ale on trzyma mnie mocno, delikatnie, ale stanowczo, chociaż już nie grozi mi upadek.

Wybuchamy śmiechem; patrzymy sobie w oczy, ja w jego czarne, on w moje zielone, toniemy w swoich spojrzeniach. Ropa naftowa rozlewa się po morzu, morze wśród ciemności. Stoimy tak, nieruchomo, z zapartym tchem.

Wreszcie zaczynam oddychać, powietrze wydostaje się z moich ust i kondensuje się przed moją twarzą. On też oddycha. Dwie chmurki pary mieszają się; jest tak blisko, że czuję jego zapach.

– Wszystko dobrze? – mruczy, ale ja wciąż stoję i patrzę na parę wydobywającą się z jego ust.

Śmieje się. Podoba mi się, że umiem go rozbawić – podoba mi się od chwili, kiedy pierwszy raz widziałam jego uśmiech, kilka miesięcy temu, w jego ogrodzie.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

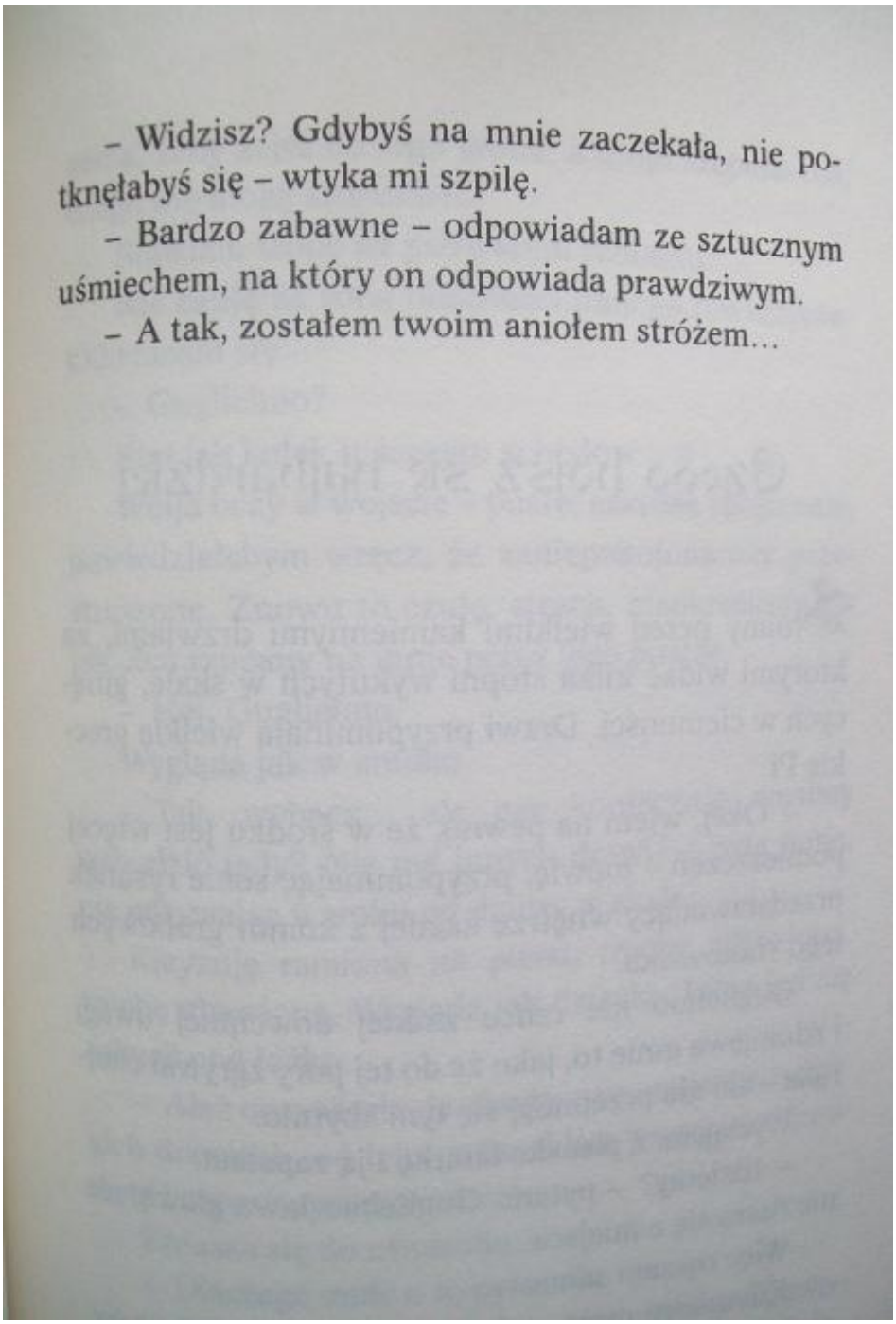

– Widzisz? Gdybyś na mnie zaczekała, nie potknęłabyś się – wtyka mi szpilę.

– Bardzo zabawne – odpowiadam ze sztucznym uśmiechem, na który on odpowiada prawdziwym.

– A tak, zostałem twoim aniołem stróżem...

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

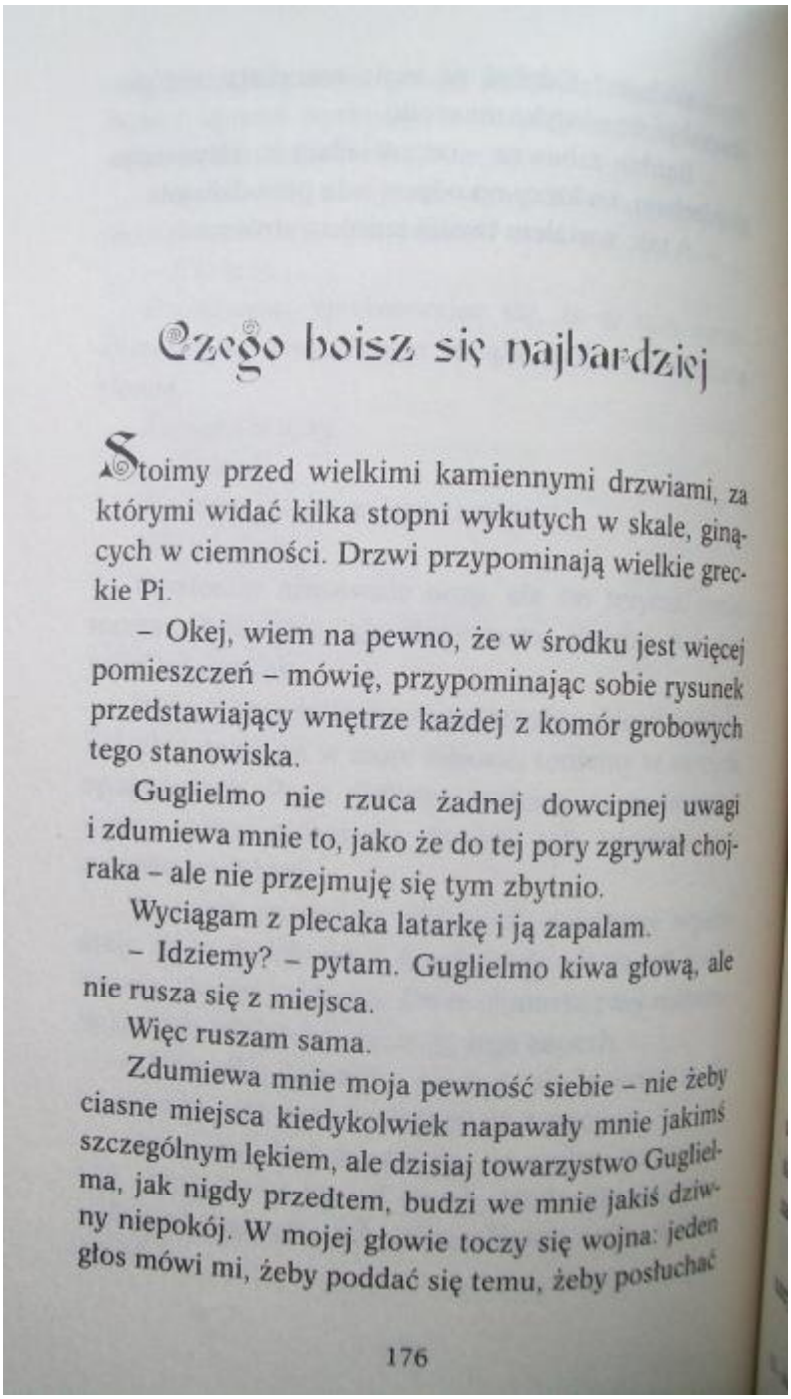

Czego boisz się najbardziej

Stoimy przed wielkimi kamiennymi drzwiami, za którymi widać kilka stopni wykutych w skale, ginących w ciemności. Drzwi przypominają wielkie greckie Pi.

– Okej, wiem na pewno, że w środku jest więcej pomieszczeń – mówię, przypominając sobie rysunek przedstawiający wnętrze każdej z komór grobowych tego stanowiska.

Guglielmo nie rzuca żadnej dowcipnej uwagi i zdumiewa mnie to, jako że do tej pory zgrywał chojraka – ale nie przejmuję się tym zbytnio.

Wyciągam z plecaka latarkę i ją zapalam.

– Idziemy? – pytam. Guglielmo kiwa głową, ale nie rusza się z miejsca.

Więc ruszam sama.

Zdumiewa mnie moja pewność siebie – nie żeby ciasne miejsca kiedykolwiek napawały mnie jakimś szczególnym lękiem, ale dzisiaj towarzystwo Guglielma, jak nigdy przedtem, budzi we mnie jakiś dziwny niepokój. W mojej głowie toczy się wojna: jeden głos mówi mi, żeby poddać się temu, żeby posłuchać

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

serca, żeby zejść do tego grobu, a drugi szepcze coś, czego nie mogę zrozumieć.

Stawiam stopę na pierwszym schodku.

Nie czuję za sobą obecności mojego towarzysza. Odwracam się.

– Guglielmo?

Stoi jak kołek u szczytu schodów.

Wbija oczy w wejście – puste, szkliste spojrzenie, powiedziałabym wręcz, że zaniepokojone czy przestraszone. Znowu to czuję: strach, nieokreślony lęk jak cień rzucany na mnie przez jego postać.

– Hej, Guglielmo.

Wygląda jak w amoku.

– Tak, wybacz... ale czy koniecznie musimy wchodzić tędy? Nie ma innych drzwi? – pyta mnie, nie odrywając wzroku od dziury w skale.

Krzyżuję ramiona na piersi, trochę zdziwiona, trochę ubawiona. Wygląda jak dziecko, które boi się zajrzeć pod łóżko.

– Ależ oczywiście, ja głupia, zapomniałam o drugich drzwiach, od tyłu, z daszkiem przeciwdeszczowym i czerwonym dywanem!

Zmusza się do uśmiechu.

– Dlaczego mnie o to pytasz?

– Tak sobie, bez żadnego szczególnego powodu... – mówi. Mija mnie i schodzi po stopniach, przeskakując po dwa naraz. Idę za nim zdziwiona tym zachowaniem, tak niezwykłym dla niego.

Wchodzimy do korytarza i wyłaniamy się w pierwszej komorze pogrążonej w półmroku.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Sklepienie jest bardzo niskie, a ściany komnaty giną w ciemności.

– Okej, tu nie ma zbyt wiele – mówię, celując latarką prosto przed siebie.

Idę dalej ścieżką sztucznego światła. Guglielmo zapala swoją latarkę i podąża za mną w milczeniu.

– Ciekawsze rzeczy, płaskorzeźby, resztki fresków i sarkofagów są niżej.

– Wiem – odpowiada z powagą.

Wchodzimy do drugiej sali. Tutaj sufit jest wyżej, komora jest większa, a światło jest tylko małą plamą na zakurzonej podłodze.

Idę dalej, aż do końca komnaty. Jest tu coś w rodzaju wnęki, sklepienie wznosi się jeszcze wyżej i pozwala iść z wyprostowanymi plecami, ale światło dają już tylko nasze latarki.

– Okej, jesteśmy już prawie na miejscu. Możemy pójść do samego końca, a potem wrócić na górę – proponuję.

– Jak chcesz... idę za tobą.

Jego głos jest bardzo cichy.

– Wszystko w porządku? – pytam, bo zaczynam już myśleć, że naprawdę coś jest nie tak.

– Jasne, a co?

– Nic, nic.

Idę przed siebie i docieramy do końca grobowca.

Wyjście zostało spory kawałek za nami, razem ze światłem dnia.

Jest strasznie zimno i strasznie ciemno. Naciągam kaptur bluzy i przesuwam przełącznik latarki.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

tak, że światło nie pada tylko wąskim promieniem, a tworzy jasny krąg, jak latarnia.

– Jesteśmy na miejscu.

Wyciągam notes i długopis, zaczynam notować pierwsze wrażenia. Na myśl, że jestem w środku kamiennego grobu wykutego w skale, dostaję gęsiej skórki.

Latarka zwisa na pasku zaczepionym o mój nadgarstek. Przy każdym ruchu ręki latarka buja się, słabe, żółtawe światło tańczy i drży na ścianach i sarkofagach. Przełykam ślinę i notuję dalej.

Mój towarzysz wciąż jest dziwnie spięty. Spaceruje powoli, rozglądając się dokoła. Chwilami wchodzi w jasny krąg, chwilami znika w ciemności, w miejscach, gdzie nie dociera światło latarki.

Przychodzi i odchodzi, pojawia się i znika, światło, ciemność.

Wygląda jak duch tych grobów, jeden z tych, których spokój zakłócamy – błąka się po komorze, obserwując, jak z obojętną miną robię notatki na temat jego śmierci.

Zatrzymuje się u mojego boku i wpatruje się uważnie w ścianę.

Światło podkreśla jego rysy, wydobywając z mroku tylko profil: czoło, kości policzkowe, wargi, połowę szyi wyłaniającej się z ciemnoszarego szalika.

Boże, ależ jest piękny, myślę, nie przestając pisać.

Unosi rękę – rozproszone światło obrysowuje jej kontur – opiera ją na skalnej ścianie, przesuwa, jakby

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

głaskał kamień. Ma wspaniałe dłonie, o długich, smukłych palcach.

Pracowicie bazgrzę w notesie, a on ogląda ścianę. Latarka huśta się pod moim nadgarstkiem. Cisza jest nieziemska, nawet długopis chciałby zamilknąć.

Łamię czubek wkładu; zgrzyt pękającego plastiku eksploduje w ciszy.

– Nie robisz notatek? – pytam, odruchowo ściszając głos i nie odrywając oczu od notesu.

– Robię.

Patrzę na niego, więc uśmiecha się do mnie.

– Mam dobrą pamięć – mówi i oddala się, znikając w ciemności.

Przyglądam się płaskorzeźbom i malunkom, wyblakłym i zniszczonym przez czas, wyobrażając sobie jego, pogrążonego w ciemności, uosobienie gracji.

– Fajnie wyglądasz, kiedy tak pilnie notujesz.

Nic nie mówię; przestaję pisać w połowie słowa.

Czerwienię się w ciemności.

– W jakim sensie?

– Niektórzy ludzie wyglądają głupio z notesem w ręce, nie potrafią nawet trzymać go przyzwoicie, opierają się tu i tam, kiwają się i łażą jak kulawy struś.

Więc nie ja jedna robię idiotyczne porównania.

– A ty robisz notatki zupełnie naturalnie.

– A ty potrafisz powiedzieć „kulawy struś" i nie wyglądać przy tym na kretyna.

Śmieje się – salę zalewa czysty dźwięk setki srebrnych wisiorków.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Nie widziałam jego uśmiechu, myślę ze smutkiem. Wciąż jest ukryty w mroku.

– Całe szczęście, że się nie boisz ciemności – mówię ubawiona.

– Fakt, ale ty też nie, chociaż... w dzieciństwie strasznie się jej bałaś i sypiałaś nakryta kołdrą po czubek głowy.

– A ty skąd to wiesz? – pytam, odwracając się, zdumiona.

– Sama mi powiedziałaś, razem z całym mnóstwem innych rzeczy, tamtej nocy... Spytałem cię, czego się boisz, a ty odpowiedziałaś, zaczynając od lęku z dzieciństwa, czyli ciemności.

– Ale metoda z kołdrą na głowie podziałała – stwierdzam. – Nigdy mnie nie ugryzł żaden wampir.

Tak naprawdę bałam się właśnie wampirów, a nie ciemności; wszystko przez horror, który obejrzałam, kiedy byłam bardzo mała.

– O tak, to najlepsza metoda – przyznaje mi rację ze śmiechem i mówi dalej, poważniejąc: – Ale to lęk atawistyczny, ciemność, znaczy, nie wampiry. W sumie to lęk przed nieznanym: nie wiesz, co może się kryć przed tobą...

No właśnie, myślę, bo wciąż go nie widzę i rozmawiam z głosem bez twarzy.

– A... chcesz poznać dalszy ciąg swojej odpowiedzi?

– Jasne – przytakuję, odrobinę niepewnie.

– Kiedy mówiłaś, czego boisz się teraz, powiedziałaś coś bardzo pięknego, i chyba nigdy nie zapomnę twojego tonu, kiedy wypowiadałaś to zdanie.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

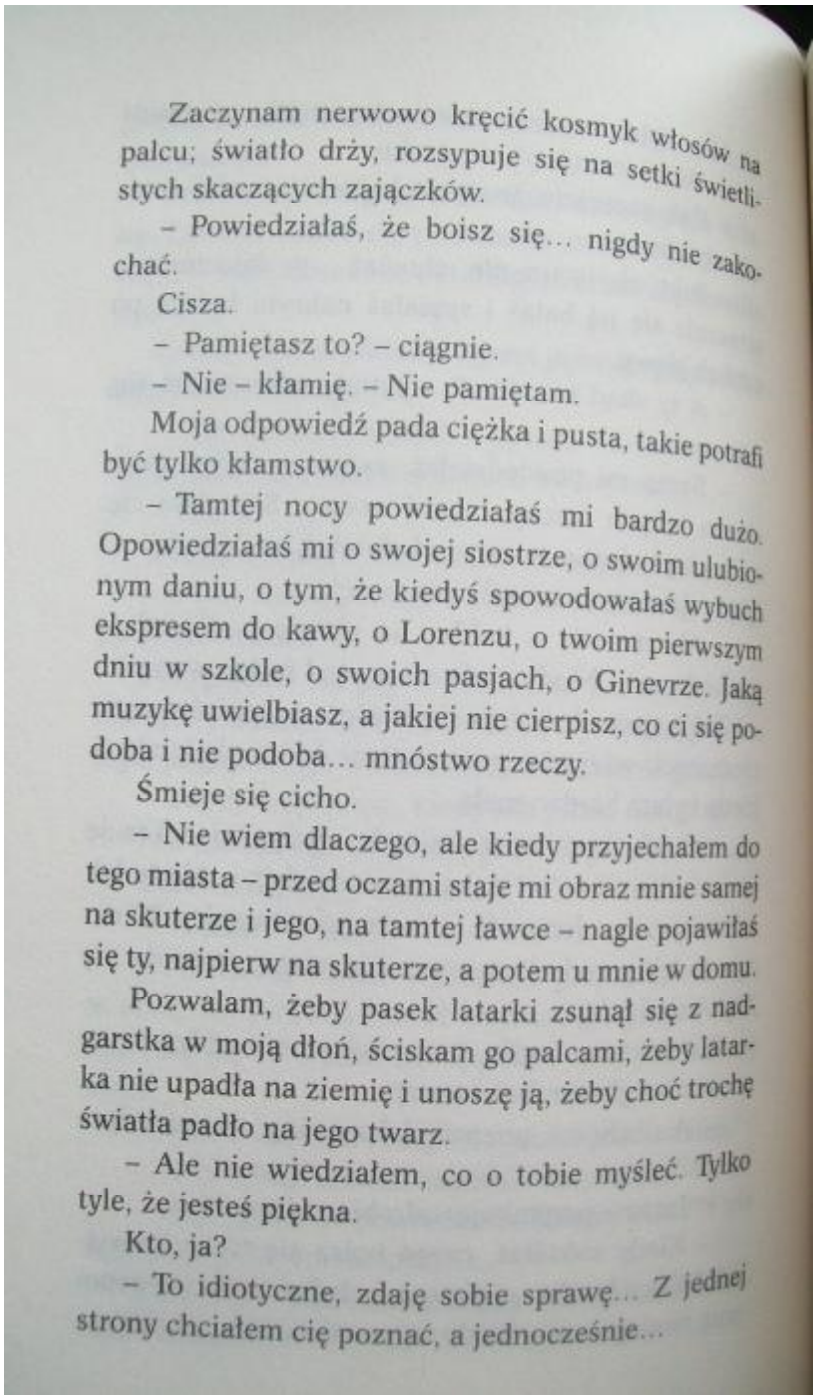

Zaczynam nerwowo kręcić kosmyk włosów na palcu; światło drży, rozsypuje się na setki świetlistych skaczących zajączków.

– Powiedziałaś, że boisz się... nigdy nie zakochać.

Cisza.

– Pamiętasz to? – ciągnie.

– Nie – kłamię. – Nie pamiętam.

Moja odpowiedź pada ciężka i pusta, takie potrafi być tylko kłamstwo.

– Tamtej nocy powiedziałaś mi bardzo dużo. Opowiedziałaś mi o swojej siostrze, o swoim ulubionym daniu, o tym, że kiedyś spowodowałaś wybuch ekspresem do kawy, o Lorenzu, o twoim pierwszym dniu w szkole, o swoich pasjach, o Ginevrze. Jaką muzykę uwielbiasz, a jakiej nie cierpisz, co ci się podoba i nie podoba... mnóstwo rzeczy.

Śmieje się cicho.

– Nie wiem dlaczego, ale kiedy przyjechałem do tego miasta – przed oczami staje mi obraz mnie samej na skuterze i jego, na tamtej ławce – nagle pojawiłaś się ty, najpierw na skuterze, a potem u mnie w domu.

Pozwalam, żeby pasek latarki zsunął się z nadgarstka w moją dłoń, ściskam go palcami, żeby latarka nie upadła na ziemię i unoszę ją, żeby choć trochę światła padło na jego twarz.

– Ale nie wiedziałem, co o tobie myśleć. Tylko tyle, że jesteś piękna.

Kto, ja?

– To idiotyczne, zdaję sobie sprawę... Z jednej strony chciałem cię poznać, a jednocześnie...

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Mów dalej, błagam cię. Głos, delikatny jak kwiat i twardy jak lód, kontynuuje:

– A jednocześnie wręcz przeciwnie, budziłaś we mnie nieomal onieśmielenie, strach…

Strach: to słowo brudne od pajęczyn, ciemności i krwi zawisa między nim a mną i przeszywa mnie jak ostrze noża. Bo dokładnie takie same uczucia on budził we mnie.

– Chciałem cię, nie chciałem cię, pożądałem cię, bałem się ciebie…

Unosi ręce do twarzy rzeźbionej z nefrytu i kości słoniowej, do włosów jasnych jak światło poranka.

– A potem, tamtego wieczoru…

Jego głos jest jak miękki aksamit, prześlizgujący się między palcami krawca.

Czy to się dzieje naprawdę? – myślę, walcząc ze łzami, które napływają mi do oczu, nie wiem nawet od kiedy.

Naprawdę mówi mi to wszystko kilka metrów pod ziemią, w grobie?

– Tamtego wieczoru…

Unosi twarz; jego czarne oczy są błyszczące jak krople ametystu albo czarnego lodu na dnie kieliszka.

– …kiedy w domu Marca wpadłem na twoich zaniepokojonych przyjaciół i zrozumiałem, że pewnie jest z tobą ten drań.

Jeśli to jest tylko cholerny sen, myślę nagle, albo koszmar, wytwór mojego chorego, pokręconego umysłu, jeśli to nie jest rzeczywistość, a tylko perwersyjny żart uśpionych myśli, to życzę sobie tylko jednego: rano niczego nie pamiętać.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Pomogłem ci. Po prostu pomogłem człowiekowi w niebezpieczeństwie, ale potem, w drodze do domu…

Mówi cicho, z przerwami, powoli i z wysiłkiem.

– Może nie bałem się już, bo źle się czułaś, byłaś słaba i bezbronna, nie mogłaś mi nic zrobić, choćbyś chciała. Z każdą mijającą minutą bardziej pragnąłem twojej obecności przy mnie, narastało we mnie uczucie, mocne, czyste. Chciałem tylko być blisko ciebie i sprawić, żebyś poczuła się lepiej, przynajmniej w tej chwili. Reszta nie była ważna, nie istniało nic innego. A im dłużej cię słuchałem, im dłużej zmuszałaś mnie do śmiechu i do myślenia, tym bardziej chciałem być przy tobie, nie zważając na nic, nie zważając na to, kim jestem i kim być może jesteś ty.

Nie rozumiem.

– Dopóki nie powiedziałaś mi, czego się boisz najbardziej.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

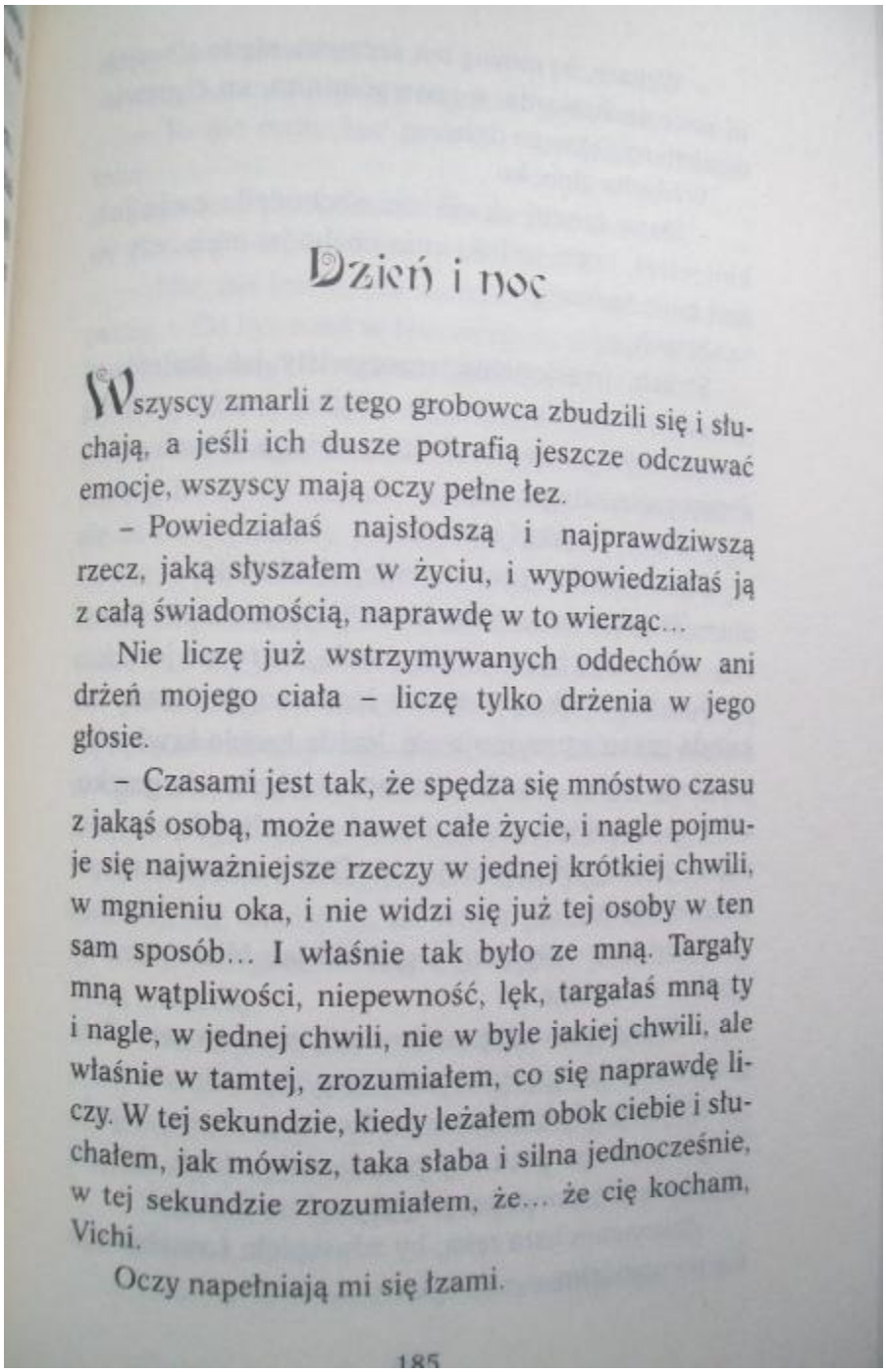

Dzień i noc

Wszyscy zmarli z tego grobowca zbudzili się i słuchają, a jeśli ich dusze potrafią jeszcze odczuwać emocje, wszyscy mają oczy pełne łez.

– Powiedziałaś najsłodszą i najprawdziwszą rzecz, jaką słyszałem w życiu, i wypowiedziałaś ją z całą świadomością, naprawdę w to wierząc...

Nie liczę już wstrzymywanych oddechów ani drżeń mojego ciała – liczę tylko drżenia w jego głosie.

– Czasami jest tak, że spędza się mnóstwo czasu z jakąś osobą, może nawet całe życie, i nagle pojmuje się najważniejsze rzeczy w jednej krótkiej chwili, w mgnieniu oka, i nie widzi się już tej osoby w ten sam sposób... I właśnie tak było ze mną. Targały mną wątpliwości, niepewność, lęk, targałaś mną ty i nagle, w jednej chwili, nie w byle jakiej chwili, ale właśnie w tamtej, zrozumiałem, co się naprawdę liczy. W tej sekundzie, kiedy leżałem obok ciebie i słuchałem, jak mówisz, taka słaba i silna jednocześnie, w tej sekundzie zrozumiałem, że... że cię kocham, Vichi.

Oczy napełniają mi się łzami.

185

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Wybacz, że mówię tak szczerze, ale to ci wyjaśni moje zachowanie, a szczególnie to, co ci powiedziałem następnego dnia…

Wzdycha głęboko.

– Bo w tamtej chwili nie obchodziło mnie już, kim jesteś, czym jesteś… nie obchodzi mnie, czy jesteś moją śmiercią.

Strach.

Strach, irracjonalny, rzeczywisty jak śmierć, ta prawdziwa, wyciąga swoje ohydne macki w moją stronę, bierze mnie w kościste ramiona. Strach prawdziwy i wszechogarniający.

– Nie… to jakaś bzdura.

Strach ściska coraz mocniej, dusi mnie.

– To jakaś bzdura, bo ja nie jestem niczyją śmiercią… nie mogę być twoją śmiercią, bo ty nie jesteś…

Każda cząstka powietrza lodowacieje, każda sekunda czasu zatrzymuje się, każda kropla krwi tężeje, kiedy widzę, jak Guglielmo uśmiecha się gorzko, odrywa wzrok od moich oczu i powoli, jak we śnie, unosi prawą rękę, podaje mi dłoń i odsuwa rękaw czarnej bluzy.

I oto jest – wyraźny i głęboki jak blizna, czarny symbol na skórze.

– Demonem – szepcze krystalicznym głosem. Cała moja nadzieja rozpryskuje się na tysiąc odłamków.

Oddech więźnie mi w gardle, na czoło występują krople zimnego potu, łzy przesłaniają widok, drżące, zbyt przestraszone, żeby wypłynąć na policzki.

Zakrywam usta ręką, by zdusić lęk. Latarka buja się po wariacku.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– To nieprawda.

Guglielmo zakrywa nadgarstek rękawem.

– To nie może być prawda! – krzyczę zdruzgotana.

Jego oczy przepełnia niezmierzony smutek.

Kręcę głową; nie chcę w to wierzyć.

– Nie, nie jesteś, nie możesz być – mówię z rozpaczą. – Co byś robił w tym mieście, gdyby tak było? Jesteś obłąkany? To niemożliwe...

Wszystkie moje lęki, wszystkie wątpliwości i skrupuły znikają nagle zmiażdżone tą prawdą. Niezaprzeczalną, bo to on sam mi to mówi, on sam przyznaje się do swojej natury. Jest się tym, kim się jest, to jego słowa; są jak trucizna, która czekała nieaktywna w jakimś zakątku mojej głowy i która teraz błyskawicznie rozchodzi się po moich żyłach, pulsuje w moim sercu, paraliżując je. Przed moimi oczami przesuwają się splątane obrazy: jego dom, róża z kolcami, rzeźba w ogrodzie, a potem szkoła, Lorenzo w kałuży krwi, książka z tym rysunkiem, który wolałabym zignorować, ten symbol, który jest znakiem jego natury, nie ludzkiej, nie anielskiej, ale wręcz przeciwnie – natury, która jest przeciwieństwem życia. Jest śmiercią. Moją śmiercią.

– Niestety, tak jest – mówi dalej Guglielmo. – Zastanów się, Vichi, jakie miejsce mogłoby być lepsze niż to, gdzie nigdy byście nie szukali, gdzie nikt na świecie nigdy by nie szukał...

– Najciemniej jest pod latarnią – mówię właściwie do samej siebie.

– Robimy to samo, co wy. Ukrywamy się.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Więc dlaczego mi to mówisz? Przecież wiesz, kim jestem! Czym jestem! – krzyczę. – Ależ byłam głupia...

– Bo to w niczym nie zmienia tego, co czuję, powtarzam ci – mówi sfrustrowany; na jego twarzy maluje się zdecydowanie, jest poważna, tak piękna, że aż boli.

Wrzeszczymy i płaczemy kilka metrów pod ziemią, w kamiennym grobie.

– Poza tym musiałem ci to powiedzieć... byłaś przekonana, że nie jestem demonem.

– Bałam się, że nim jesteś... od samego początku. Ale udawałam, że nie słyszę tego głosu w mojej głowie, który kazał mi uciekać, udawałam, że nie rozumiem. Wierzyłam... wierzyłam, że moje serce się nie myli, więc czekałam, pozwoliłam, żebyś znalazł sobie miejsce w moim życiu, nie będąc tak naprawdę jego częścią.

Moja dusza rozdziera się na strzępy.

– A potem zaczęłaś mnie unikać...

– A czego oczekiwałeś? – krzyczę przez łzy, tak głośno, że trzęsą się ściany. – Może jednak nie jestem taka głupia, i skoro serce nie miało zamiaru mnie uratować, musiałam się ratować sama.

Kręci głową.

– Ale dzisiaj byłaś inna, taka spokojna...

Krzyżuję ramiona na piersi.

– Wysłuchałam głupiego wykładu na temat miłości. To był błąd, którego więcej nie popełnię. Ale dlaczego nie powiedziałeś mi od razu? Dlaczego pozwoliłeś, żebym wierzyła, że nie jesteś... – Słowa zamierają mi na wargach.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Że nie jestem...?

– Nie baw się mną, Guglielmo. Nie proś, żebym dokończyła to zdanie.

W gardle mnie ściska, gdy przechodzi przez nie to słowo jak zimny, gorzki kęs jedzenia; wstrząsa mną dreszcz, zamykam oczy i otwieram je, szukając odwagi, której nie mam.

– Demonem – mówię. – Jest się tym, kim się jest.

Kęs dociera do przełyku, do płuc, żołądka, brzucha: rozdziera pazurami, bezlitosny i bolesny jak lodowaty nóż.

– To nic nie znaczy – mówi on, ale nie wydaje się całkiem przekonany.

– Nic nie znaczy? – powtarzam przerażona. – Jesteś wariatem, nie rozumiesz? – wrzeszczę, nie panując nad sobą. – Nie rozumiesz? Jesteśmy jak dzień i noc! Jesteśmy jak dwie trucizny bez antidotum. Ja jestem twoim potencjalnym zabójcą! A ty...

Flesz.

Oślepia mnie nagły blask.

Alessia.

Moja przyjaciółka... martwa.

Anioł... zabity.

Dopiero teraz dociera do mnie najbardziej przerażający fakt. Dociera do mnie, gdzie jestem, z kim jestem.

Prawdziwego strachu nie rozumie się tak naprawdę, dopóki się go nie przeżyje.

Dopóki się go nie doświadczy.

Rzuca się na ciebie jak potwór z kłami unurzanymi we krwi, dusi cię, jak to potrafi tylko przerażenie.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

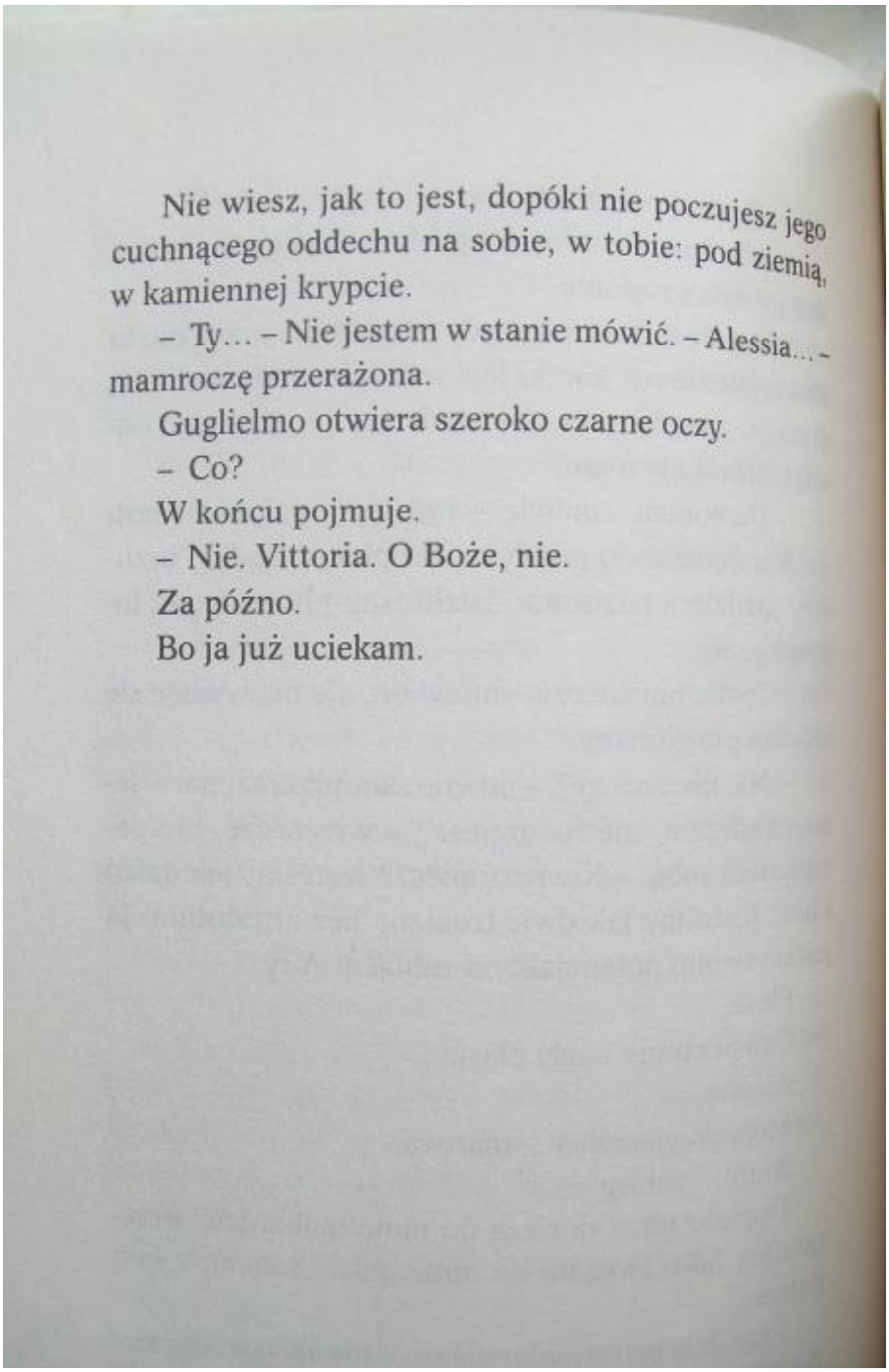

Nie wiesz, jak to jest, dopóki nie poczujesz jego cuchnącego oddechu na sobie, w tobie: pod ziemią, w kamiennej krypcie.

– Ty… – Nie jestem w stanie mówić. – Alessia… – mamroczę przerażona.

Guglielmo otwiera szeroko czarne oczy.

– Co?

W końcu pojmuje.

– Nie. Vittoria. O Boże, nie.

Za późno.

Bo ja już uciekam.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Już nic nie widzę

Biegnę tak szybko, jak się da, przez ciasne i niskie galerie z twardej skały. Wpadam na ściany i ocieram sobie rękę; latarka co chwilę uderza o kamień. Nie mogę się potknąć, nie mogę upaść w tym przeklętym grobowcu.

On biegnie za mną i krzyczy:

– To nie byłem ja! Nie mam z tym nic wspólnego, nic nie zrobiłem! Vittoria, proszę cię, stój!

Widzę światło wyjścia.

Biegnę po zakurzonej nierównej podłodze, potykam się, uderzam się w kolano. Biegnę dalej.

Nagle jeden mały kamień staje mi na drodze, malutki, podstępny kamień.

Wpada mi pod stopę w chwili, kiedy Guglielmo łapie mnie za ramię. Ledwie dwa metry od wyjścia. Odwracam się i lecę tyłem na ścianę przy drzwiach; plecy i głowa uderzają o kamienie, a on trzyma mnie za rękę; jego twarz jest ledwie trzydzieści centymetrów od mojej.

Z krzykiem odwracam głowę, płaczę, zaciskam powieki; byle dalej od jego twarzy, byle jej nie widzieć.

– Vichi!

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Nie słucham go, płaczę i kopię. Mocniej ściska moje ramię.

– Spójrz na mnie, popatrz na mnie! Przecież wiesz, że to nie byłem ja! Przecież wiesz! – powtarza rwącym się głosem. – Jak mógłbym to zrobić? Byłem z tobą, kiedy to się stało! Nie rozumiesz? Byłem z tobą, kiedy to się stało!

Odwracam się i spoglądam na niego, otwierając oczy zmęczone płaczem. Powstrzymuję krzyk przerażenia, bo nigdy go nie widziałam w takim stanie. Złociste włosy opadają mu na czoło, sięgają aż do czarnych brwi; wszystkie mięśnie szyi są napięte, oczy płoną jak czarny, niegasnący ogień.

Jęczę ze strachu.

Nigdy wcześniej nie wydawał mi się tak przerażający, a jednocześnie tak absurdalnie pociągający – czuję się jak samobójczyni, która zachwyca się ostrzem noża.

– Ty się mnie boisz.

Nie zamykam oczu, ale wciąż się trzęsę.

– Jesteś przerażona – mówi głosem łamiącym się od smutku i łez, którym nie pozwala popłynąć. – Boisz się, że mogę ci zrobić krzywdę, teraz, mimo wszystkiego, co ci powiedziałem…

Przełyka ból i gniew.

– Nie mógłbym, rozumiesz? Nie mógłbym… nigdy! A mimo to jesteś przerażona, myślisz, że mogę cię zabić. Ale nie rozumiesz, że to… zabija mnie! – krzyczy na całe gardło. Puszcza moje ramię i wali pięścią w ścianę przy wejściu, wyładowując na niej całą swoją wściekłość, cały swój ból i frustrację.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

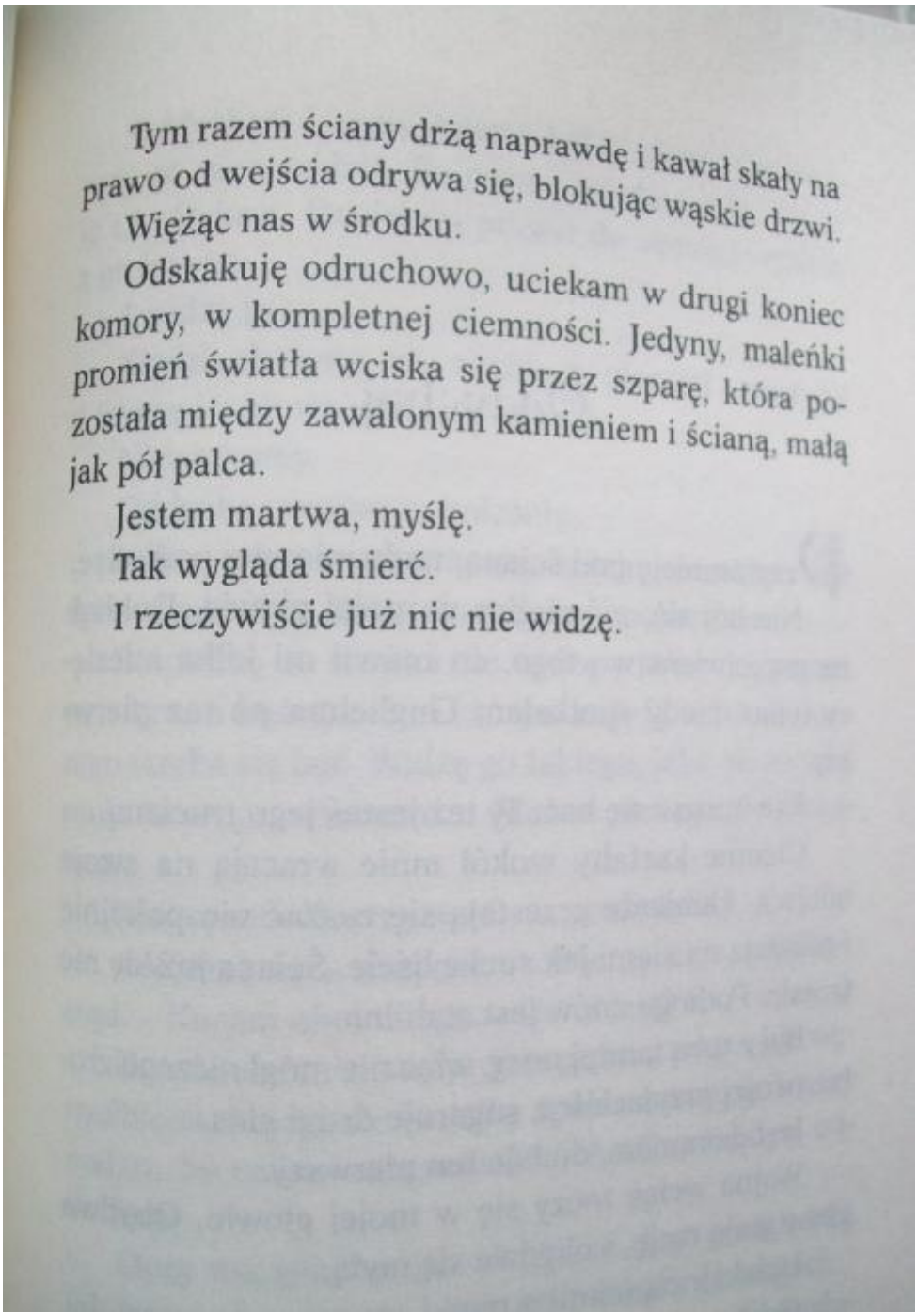

Tym razem ściany drżą naprawdę i kawał skały na prawo od wejścia odrywa się, blokując wąskie drzwi. Więżąc nas w środku.

Odskakuję odruchowo, uciekam w drugi koniec komory, w kompletnej ciemności. Jedyny, maleńki promień światła wciska się przez szparę, która pozostała między zawalonym kamieniem i ścianą, małą jak pół palca.

Jestem martwa, myślę.

Tak wygląda śmierć.

I rzeczywiście już nic nie widzę.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Oddychaj

Przytomnieję pod ścianą, na kamiennej podłodze.

Nie bój się, mówi głos w mojej głowie. Dokładne przeciwieństwo tego, co mówił mi kilka miesięcy temu, kiedy spotkałam Guglielma po raz pierwszy.

Nie musisz się bać. Ty też jesteś jego trucizną.

Ciemne kształty wokół mnie wracają na swoje miejsca, kamienie przestają się ruszać niespokojnie i osiadają na ziemi jak suche liście. Ściana już się nie trzęsie. Podłoga znów jest stabilna.

Był z tobą tamtej nocy, więc nie mógł niczego zrobić twojej przyjaciółce, sugeruje drugi głos.

Jest demonem, dodaje ten pierwszy.

Wojna wciąż toczy się w mojej głowie. Obydwa głosy mają rację. I obydwa się mylą.

Uciekaj, zapomnij o nim.

Gdyby miał ci zrobić krzywdę, to już by zrobił.

Próbuję wstać, boli mnie prawa noga, pulsuje boleśnie pod dżinsami. Dotykam kolana i czuję ciepło krwi pod szorstkim materiałem spodni. Nie ma światła, nie słychać niczego. Gdzie on się podział? Przecież nie mógł wyjść.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Oddycham i czuję dziwny ból w piersi. Nie dam rady go nienawidzić. Po prostu nie dam rady. Wstaję i kuśtykam. Docieram prawie do samego wyjścia z grobowca.

I widzę go.

Siedzi skulony na ziemi, z plecami opartymi o ścianę i z głową ukrytą w rękach.

Nieruchomy.

Oddycha nierówno, boleśnie.

Nagle role się odwracają, kolejny przeklęty raz życie stroi sobie żarty, absurdalne i pokręcone.

Bo patrzę na niego i nie widzę potwora, koszmaru z krwi i kości, przed którym należy uciekać, którego trzeba się bać. Widzę go takiego, jaką on widział mnie tamtego wieczoru u Marca: słabego, bezbronnego.

Wierzę mu. Wierzę w to, co powiedział.

– Wierzę ci – szepczę. – Wierzę ci... wyjdźmy stąd. – Kucam obok niego. – Co ci jest?

Unosi twarz, tę swoją przepiękną twarz jak wyrzeźbioną, której nie umiałby sportretować najlepszy malarz, bo zmienia się w każdej chwili, z każdym oddechem.

Oczy ma spuchnięte od płaczu, jego wargi drżą jak kwiaty na wietrze, błyszczące od słonej wilgoci.

– Nie wiem, czy dam radę – mruczy ledwie dosłyszalnie, z goryczą. – I to wszystko jest moja wina... nie ma już wyjścia.

Oddycha z coraz większym wysiłkiem. Wygląda, jakby nie mógł nabrać powietrza, jakby się dusił, a przecież to niemożliwe, bo tlenu tu nie brakuje.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Chwyta powietrze ustami jak ryba, pierś faluje mu spazmatycznie, policzki bledną.

– Guglielmo, co się z tobą dzieje?

Nagle odwraca głowę i szeroko otwiera oczy, w których widzę przerażenie. Odskakuję do tyłu, przestraszona, ale nagle do mnie dociera.

– Ty masz… klaustrofobię.

To wyjaśnia jego wahanie, zanim wszedł w te ciasne korytarze. I to dlatego, kiedy wszyscy siedzieliśmy ściśnięci w mojej sali, mającej ledwie parę metrów kwadratowych, wolał stać w drzwiach, bardziej w korytarzu niż w pomieszczeniu.

Słowo „klaustrofobia" wywołuje u niego kolejny spazm. Rozpaczliwie usiłuje nabrać powietrza, wstrząsa nim kolejny silny dreszcz, od którego o mało się nie przewraca. Nagle zrywa się na równe nogi i zaczyna drapać paznokciami kamienną ścianę, przygryzając wargi. Widzę, że nienawidzi samego siebie za to, co robi, co czuje.

– Cholerny kamień… to moja wina – mówi zduszonym głosem. Chwyta się za gardło, policzki ma sine.

– Ale w takim razie dlaczego tu zszedłeś? Dlaczego nic nie powiedziałeś?

Jestem przerażona, nie wiem, co robić, żeby go uspokoić.

– Bo jestem idiotą – szepcze zasapany, ściskając rękami głowę i osuwając się plecami po ścianie.

Znów się boję, ale tym razem o niego. Czuję się bezradna i nie wiem, co robić.

Zrywam się na nogi i w pierwszym odruchu zaczynam napierać na kamienie. Wszystko na nic.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Nie ruszy się – jęczy Guglielmo.

– Wezwijmy pomoc – proponuję. Sama zaczynam się niepokoić.

Ale jak mogą nas usłyszeć? Jesteśmy bardzo daleko od wszystkich, a kiedy tamci zorientują się, że nas nie ma, może już być za późno.

Co mam robić? Co mogę zrobić?

Oddech Guglielma brzmi już jak rzężenie.

– Przedtem zawaliłeś te skały całkiem niechcący, tylko dlatego, że byłeś wkurzony. To możliwe, że teraz nie możesz ich ruszyć?

– Nie… nie mogę… – Już prawie nie jest w stanie mówić. – Gniew wzmacnia siłę… strach ją odbiera.

Muszę go uspokoić, bo długo tak nie wytrzyma.

Kucam obok niego i unoszę jego twarz. Łagodnie rozplatam jego ramiona, kurczowo ściskające kolana, żeby mógł łatwiej nabierać powietrza.

Pozwala mi działać, jest jak szmaciana lalka.

Ale jego oddech wciąż się rwie, wargi ma pogryzione i czerwone.

– Okej, teraz spróbujemy się uspokoić – mówię cichym, kojącym głosem, chociaż sama jestem zdenerwowana i moje słowa nie przekonują nawet mnie.

Klękam, żeby widzieć jego twarz.

Delikatnie, końcami palców, głaszczę go po włosach. Mięśnie szyi wciąż ma napięte, ale siedzi już bardziej swobodnie.

– Wszystko będzie dobrze – szepczę i kładę mu dłonie na szyi, starając się rozmasować napięte mięśnie.

Czuję, jak pulsują mu żyły, serce bije jak młotem, krew krąży w żyłach za szybko i uderza do mózgu.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Tu jest mnóstwo powietrza, świeżutkiego powietrza, wilgotnego i chłodnego.

Patrzy na mnie – w oczach ma łzy.

– Popatrz, ja oddycham zupełnie swobodnie, no, rób jak ja... – Biorę głęboki wdech i wydech. – Widzisz? Oddycha się doskonale. – Znów robię wdech i wydech, wciąż tak samo spokojnie i głęboko. – No już, Guglielmo, spróbuj, rób jak ja.

Wdech, wydech. Próbuje mnie naśladować, powoli, wstrząsany dreszczami.

– No widzisz, brawo, jeszcze raz. Wdech, wydech. O tak, doskonale... – Wdech, wydech. – Widzisz, ile tu powietrza? Oddychaj, świetnie ci idzie.

Robi, co może, starając się odzyskać kontrolę nad płucami.

Żyły na szyi wciąż mocno pulsują, jakby biegł bardzo szybko i zatrzymał się nagle. Skronie wyglądają, jakby miały eksplodować.

– Brawo, nie przestawaj, świetnie ci idzie – zapewniam go, powoli przesuwając dłonie na jego czoło, a potem na skronie. – Nie przestawaj, proszę.

Wypełnia moje polecenia. Wdech, wydech.

Czuję na sobie jego oczy, pełne łez i wdzięczności.

– To powinno cię trochę uspokoić – mówię cicho.

Robię to zawsze z Ginevrą, kiedy świruje przed odpytywaniem, co zdarza się dosyć często. Może to i bzdura, ale na nią działa.

Kładę opuszki palców na jego skroniach. Pulsują jak szalone. Zaczynam masować, leciutko, powoli, zakreślając małe kółka.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Tylko nie przestawaj oddychać.

Masuję pomalutku, delikatnie. Mam nadzieję, że uspokoję go choć trochę.

Masuję tak przez kilka minut, przy wtórze jego głośnego oddechu, coraz bardziej regularnego.

Drżenie w końcu ustaje i Guglielmo zaczyna oddychać normalnie.

Skronie już nie pulsują, szyja nie jest już napięta. Policzki nie są już sine. Czuje się lepiej. Chociaż jest załamany.

Przerywam masaż.

– Lepiej?

Kiwa głową i przełyka ostatni szloch.

Przeciera rękawem twarz, usuwając ślady łez, od których miał mokre policzki.

Jest jeszcze trochę roztrzęsiony, ale doszedł do siebie.

Czasami rozwiązania są proste, czasami są tuż obok, chociaż nawet nie podejrzewamy. Sama nie dam rady usunąć kamienia, a on i tak nie jest w stanie mi pomóc, ale teraz przynajmniej już się nie boję.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Zero centymetrów

Przez kilka minut siedzimy w milczeniu – każde wsłuchane w siebie. Guglielmo oddycha głęboko, widać, że jeszcze nie czuje się całkiem dobrze, ale chyba kontroluje swój lęk.

To dziwne, siedzimy zamknięci zaledwie od jakiejś godziny, a mnie się wydaje, że minął wiek.

– Teraz się już nie boisz? – pyta mnie ledwie słyszalnym szeptem.

– Nie. Teraz już nie. – I taka jest prawda. W tej chwili się go nie boję. Nie wiem, czy to się jeszcze zmieni. Teraz jesteśmy blisko siebie i tak jest dobrze.

Zapada cisza.

– A ty mnie? – pytam.

– Nie, ja się nie boję od tamtej imprezy…

Kładę dłonie na nogach, poruszam nimi, zaciskam pięści.

– Tamtego wieczoru była taka chwila, kiedy ja też się nie bałam… – szepczę bardziej do siebie niż do niego, ale wiem, że mnie słyszy. Śmieję się cicho, chyba z własnej szczerości. – Może dlatego, że nie byłam sobą, a może… szczerze mówiąc, nie wiem dlaczego,

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

ale wszystko się zaczęło w tamtej chwili, wszystko się zmieniło w tej jednej chwili...

Nie wiem, dlaczego mu o tym mówię; może zimne i ciemne kamienne groty zachęcają do zwierzeń, a może po prostu zwariowałam.

Zakładam sobie kosmyk włosów za ucho i mówię dalej.

– To było wtedy, kiedy kompletnie odleciałam, kiedy czułam się tak strasznie i nie mogłam się utrzymać na nogach. Trzymałeś mnie w ramionach i wygadywałam głupoty, i wszystko było dziwne, pokręcone... Byłam z tobą sama, totalnie niezdolna do obrony, gdyby zaszła taka potrzeba, a mimo wszystko byłam spokojna... czułam się bezpieczna.

Kręcę głową, zażenowana; na szczęście ciemność ukrywa mój rumieniec.

– Vichi... dzięki.

Jedno słowo: dzięki. Takie proste, takie bezpretensjonalne, a potrafi dać tyle radości. On mi dziękuje. Dziękuje mi tonem autentycznie pełnym wdzięczności, pokornym i szczerym.

– Życie za życie, spłaciłam swój dług.

Kładzie dłoń na mojej dłoni.

Niektóre złośliwości nie ranią, niektóre objęcia nie otulają, niektóre uśmiechy nie rozweselają, a czasem dłoń na dłoni nie oznacza niczego... Oczywiście to zależy od tego, czyja to dłoń. I dlatego ten dotyk, lekki i delikatny, parzy mnie.

Znów patrzymy sobie w oczy.

Może któregoś dnia przywykniemy do tych naszych spojrzeń i wtedy nie będą już miały tajemniczych,

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

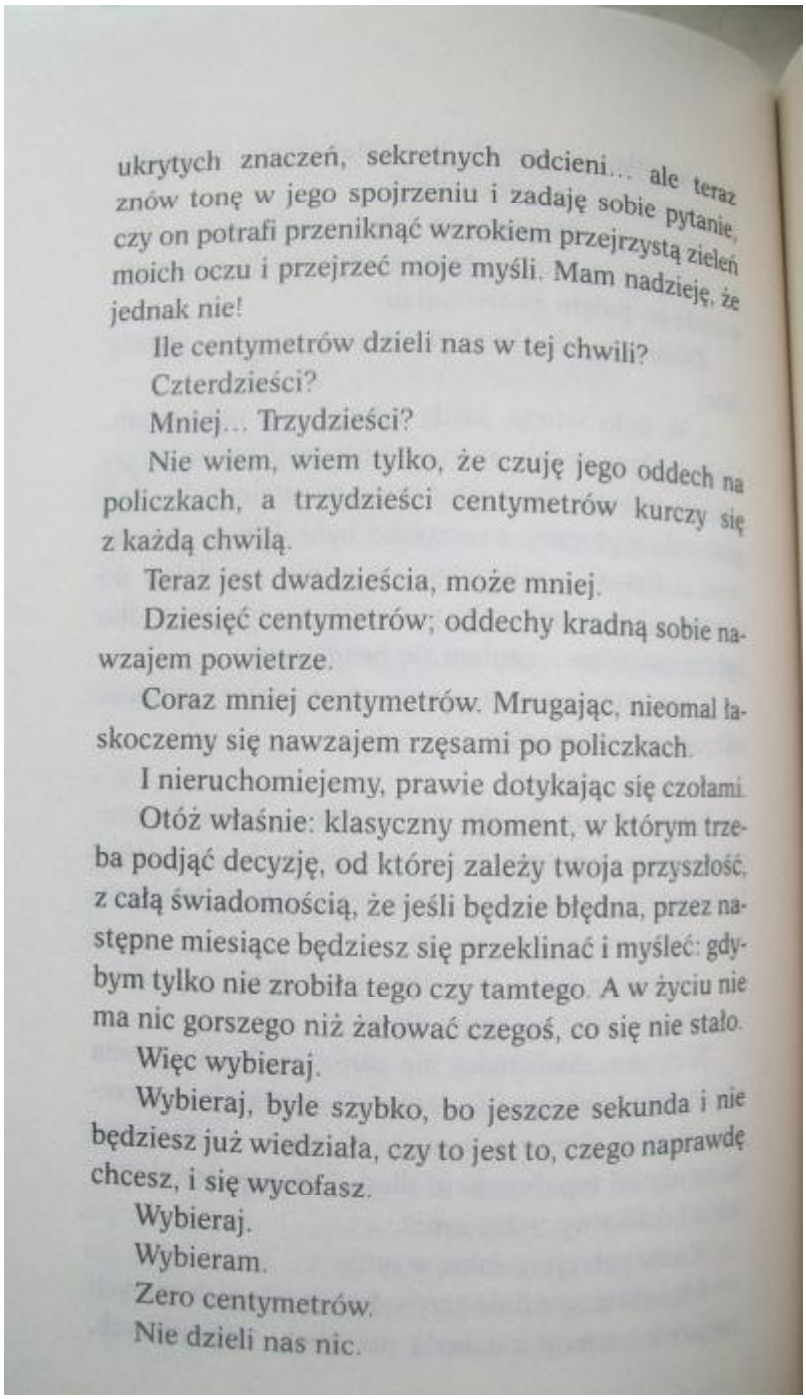

ukrytych znaczeń, sekretnych odcieni... ale teraz znów tonę w jego spojrzeniu i zadaję sobie pytanie, czy on potrafi przeniknąć wzrokiem przejrzystą zieleń moich oczu i przejrzeć moje myśli. Mam nadzieję, że jednak nie!

Ile centymetrów dzieli nas w tej chwili?

Czterdzieści?

Mniej... Trzydzieści?

Nie wiem, wiem tylko, że czuję jego oddech na policzkach, a trzydzieści centymetrów kurczy się z każdą chwilą.

Teraz jest dwadzieścia, może mniej.

Dziesięć centymetrów; oddechy kradną sobie nawzajem powietrze.

Coraz mniej centymetrów. Mrugając, nieomal łaskoczemy się nawzajem rzęsami po policzkach.

I nieruchomiejemy, prawie dotykając się czołami.

Otóż właśnie: klasyczny moment, w którym trzeba podjąć decyzję, od której zależy twoja przyszłość, z całą świadomością, że jeśli będzie błędna, przez następne miesiące będziesz się przeklinać i myśleć: gdybym tylko nie zrobiła tego czy tamtego. A w życiu nie ma nic gorszego niż żałować czegoś, co się nie stało.

Więc wybieraj.

Wybieraj, byle szybko, bo jeszcze sekunda i nie będziesz już wiedziała, czy to jest to, czego naprawdę chcesz, i się wycofasz.

Wybieraj.

Wybieram.

Zero centymetrów.

Nie dzieli nas nic.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Pocałunek. Wylano całe rzeki atramentu, usiłując opisać nieopisane, i nikomu się nie udało. Każdy pocałunek jest wyjątkowy, inny, piękny albo rozczarowujący.

Pocałunek, pocałunek, który smakuje cukrem i solą, morzem i słońcem, który smakuje snem, gwiazdami i muzyką, gwiazdami, które wybuchają wokół ciebie, kiedy toniesz w tym pocałunku, i nutami, które nie opuszczą już nigdy twojej głowy.

Pocałunek o smaku spełnionego snu, którego pragnęłaś, ale którego bałaś się skosztować.

Nasz.

Kilka mgnień, kilka sekund – sekund, które płoną w powietrzu, które błagają czas, żeby zwolnił.

Odsuwamy twarze od siebie, ale wciąż jesteśmy blisko.

– Uważaj, aniołku – szepcze do mnie jasnowłosy demon. – Właśnie wypiłaś łyk trucizny.

Srebrny kolczyk błyszczy, odbijając światło, którego nie ma.

– A ty właśnie pocałowałeś swoją śmierć.

– Gdyby śmierć miała taki smak, w tej chwili popełniłbym samobójstwo. – Posyła mi uśmiech, który wymazuje z mojej głowy wszystkie myśli.

– Niedługo nas uwolnią.

Kiwa głową.

– Ciągle jeszcze żałujesz, że tu przyjechałaś?

Splatamy palce; jego dotyk sprawia, że serce mi przyspiesza.

– Zostańmy tutaj. Nie mam ochoty wychodzić z tego grobowca…

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

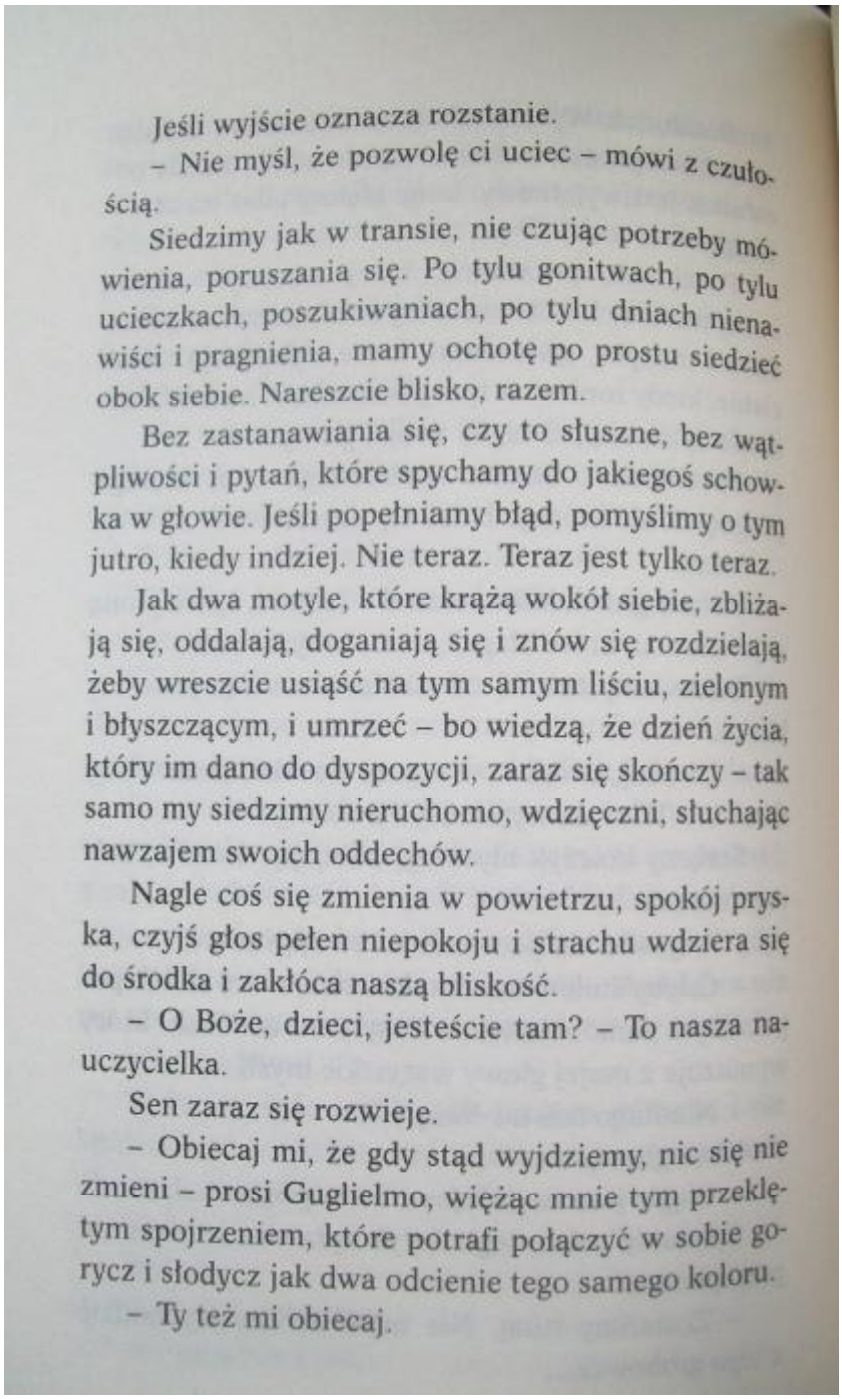

Jeśli wyjście oznacza rozstanie.

– Nie myśl, że pozwolę ci uciec – mówi z czułością.

Siedzimy jak w transie, nie czując potrzeby mówienia, poruszania się. Po tylu gonitwach, po tylu ucieczkach, poszukiwaniach, po tylu dniach nienawiści i pragnienia, mamy ochotę po prostu siedzieć obok siebie. Nareszcie blisko, razem.

Bez zastanawiania się, czy to słuszne, bez wątpliwości i pytań, które spychamy do jakiegoś schowka w głowie. Jeśli popełniamy błąd, pomyślimy o tym jutro, kiedy indziej. Nie teraz. Teraz jest tylko teraz.

Jak dwa motyle, które krążą wokół siebie, zbliżają się, oddalają, doganiają się i znów się rozdzielają, żeby wreszcie usiąść na tym samym liściu, zielonym i błyszczącym, i umrzeć – bo wiedzą, że dzień życia, który im dano do dyspozycji, zaraz się skończy – tak samo my siedzimy nieruchomo, wdzięczni, słuchając nawzajem swoich oddechów.

Nagle coś się zmienia w powietrzu, spokój pryska, czyjś głos pełen niepokoju i strachu wdziera się do środka i zakłóca naszą bliskość.

– O Boże, dzieci, jesteście tam? – To nasza nauczycielka.

Sen zaraz się rozwieje.

– Obiecaj mi, że gdy stąd wyjdziemy, nic się nie zmieni – prosi Guglielmo, więżąc mnie tym przeklętym spojrzeniem, które potrafi połączyć w sobie gorycz i słodycz jak dwa odcienie tego samego koloru.

– Ty też mi obiecaj.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

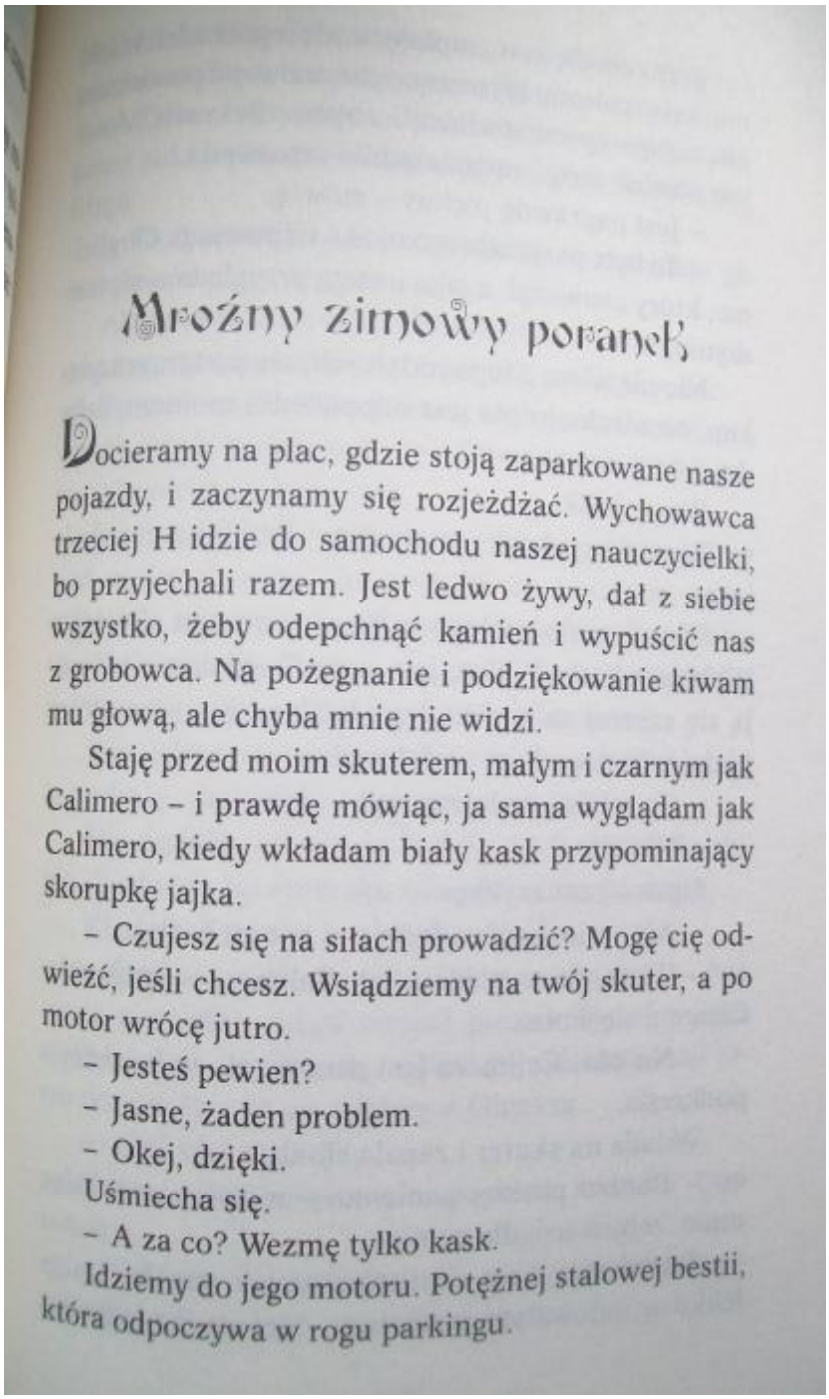

Mroźny zimowy poranek

Docieramy na plac, gdzie stoją zaparkowane nasze pojazdy, i zaczynamy się rozjeżdżać. Wychowawca trzeciej H idzie do samochodu naszej nauczycielki, bo przyjechali razem. Jest ledwo żywy, dał z siebie wszystko, żeby odepchnąć kamień i wypuścić nas z grobowca. Na pożegnanie i podziękowanie kiwam mu głową, ale chyba mnie nie widzi.

Staję przed moim skuterem, małym i czarnym jak Calimero – i prawdę mówiąc, ja sama wyglądam jak Calimero, kiedy wkładam biały kask przypominający skorupkę jajka.

– Czujesz się na siłach prowadzić? Mogę cię odwieźć, jeśli chcesz. Wsiądziemy na twój skuter, a po motor wrócę jutro.

– Jesteś pewien?

– Jasne, żaden problem.

– Okej, dzięki.

Uśmiecha się.

– A za co? Wezmę tylko kask.

Idziemy do jego motoru. Potężnej stalowej bestii, która odpoczywa w rogu parkingu.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

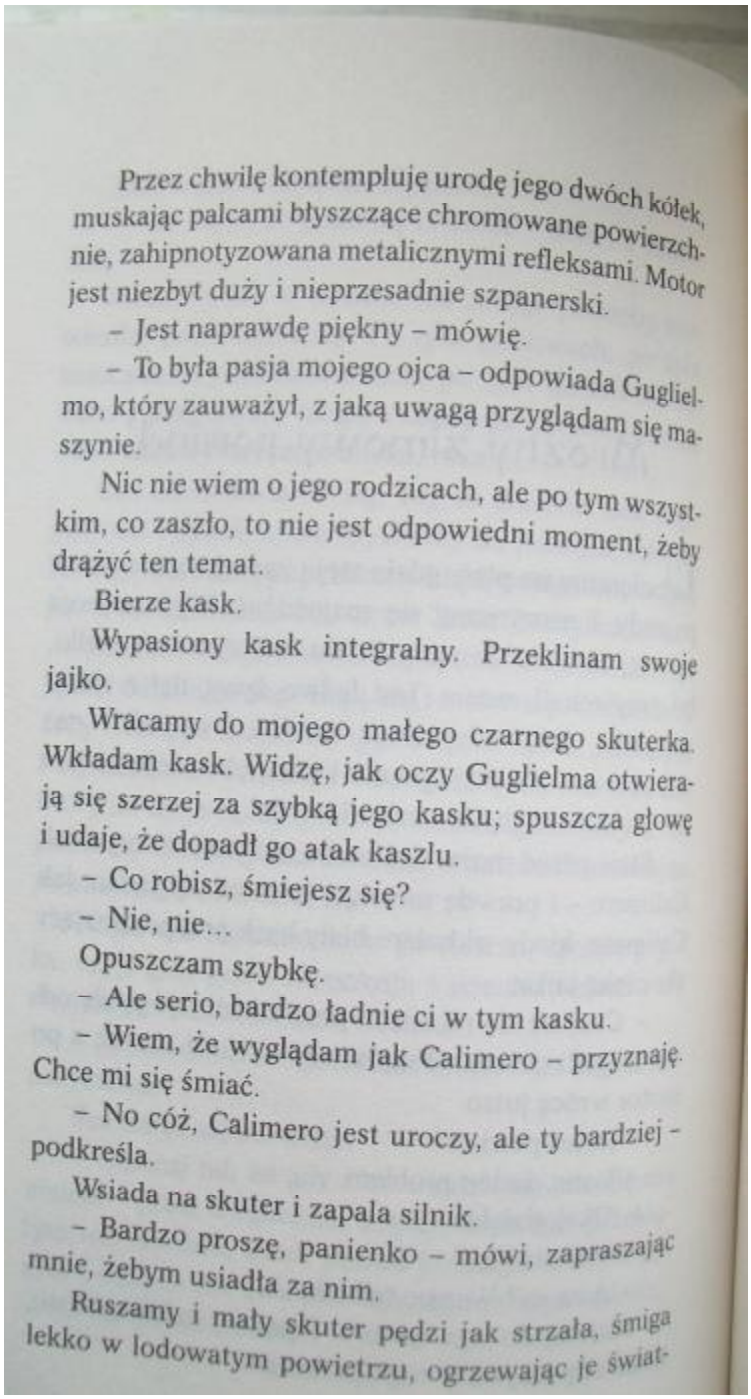

Przez chwilę kontempluję urodę jego dwóch kółek, muskając palcami błyszczące chromowane powierzchnie, zahipnotyzowana metalicznymi refleksami. Motor jest niezbyt duży i nieprzesadnie szpanerski.

– Jest naprawdę piękny – mówię.

– To była pasja mojego ojca – odpowiada Guglielmo, który zauważył, z jaką uwagą przyglądam się maszynie.

Nic nie wiem o jego rodzicach, ale po tym wszystkim, co zaszło, to nie jest odpowiedni moment, żeby drążyć ten temat.

Bierze kask.

Wypasiony kask integralny. Przeklinam swoje jajko.

Wracamy do mojego małego czarnego skuterka. Wkładam kask. Widzę, jak oczy Guglielma otwierają się szerzej za szybką jego kasku; spuszcza głowę i udaje, że dopadł go atak kaszlu.

– Co robisz, śmiejesz się?

– Nie, nie...

Opuszczam szybkę.

– Ale serio, bardzo ładnie ci w tym kasku.

– Wiem, że wyglądam jak Calimero – przyznaję. Chce mi się śmiać.

– No cóż, Calimero jest uroczy, ale ty bardziej – podkreśla.

Wsiada na skuter i zapala silnik.

– Bardzo proszę, panienko – mówi, zapraszając mnie, żebym usiadła za nim.

Ruszamy i mały skuter pędzi jak strzała, śmiga lekko w lodowatym powietrzu, ogrzewając je świat-

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

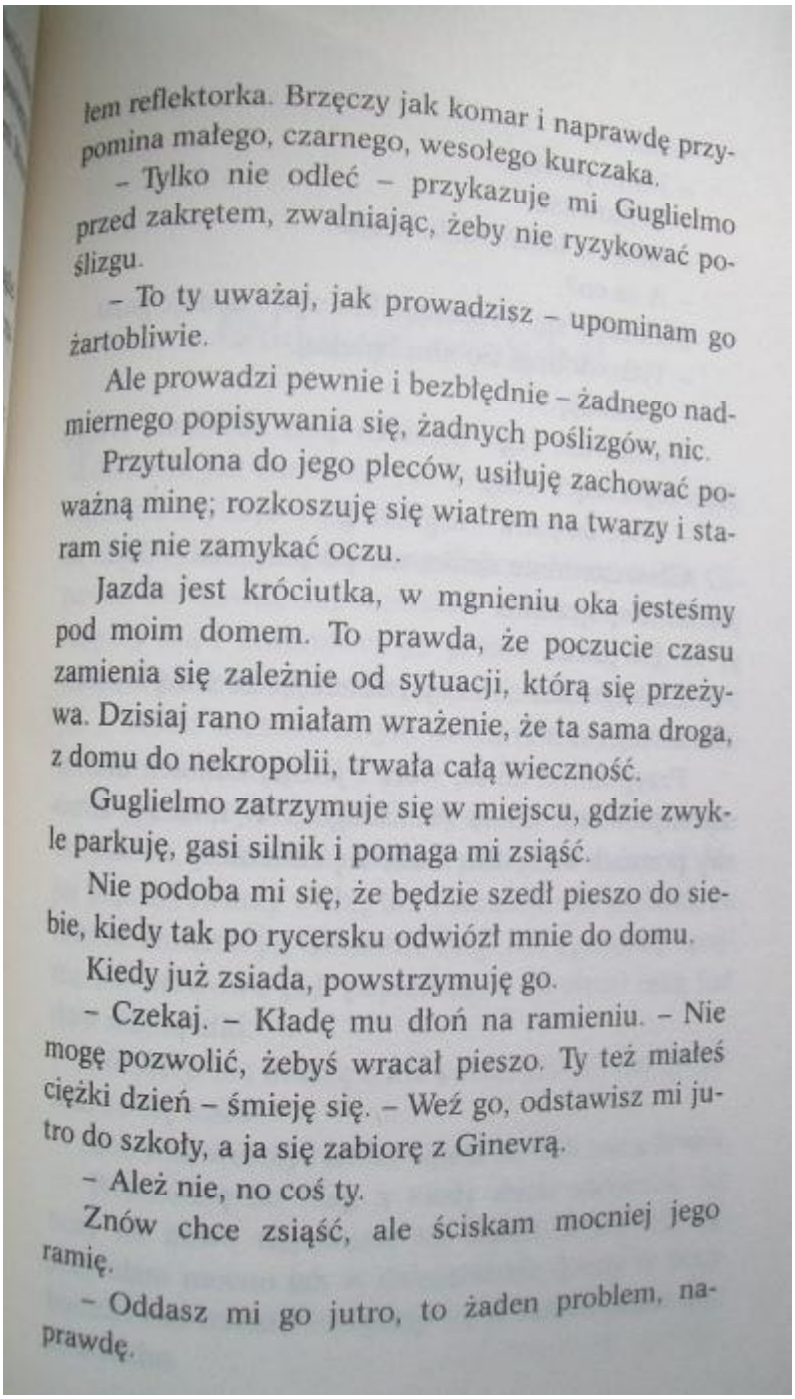

łem reflektorka. Brzęczy jak komar i naprawdę przypomina małego, czarnego, wesołego kurczaka.

– Tylko nie odleć – przykazuje mi Guglielmo przed zakrętem, zwalniając, żeby nie ryzykować poślizgu.

– To ty uważaj, jak prowadzisz – upominam go żartobliwie.

Ale prowadzi pewnie i bezbłędnie – żadnego nadmiernego popisywania się, żadnych poślizgów, nic.

Przytulona do jego pleców, usiłuję zachować poważną minę; rozkoszuję się wiatrem na twarzy i staram się nie zamykać oczu.

Jazda jest króciutka, w mgnieniu oka jesteśmy pod moim domem. To prawda, że poczucie czasu zamienia się zależnie od sytuacji, którą się przeżywa. Dzisiaj rano miałam wrażenie, że ta sama droga, z domu do nekropolii, trwała całą wieczność.

Guglielmo zatrzymuje się w miejscu, gdzie zwykle parkuję, gasi silnik i pomaga mi zsiąść.

Nie podoba mi się, że będzie szedł pieszo do siebie, kiedy tak po rycersku odwiózł mnie do domu.

Kiedy już zsiada, powstrzymuję go.

– Czekaj. – Kładę mu dłoń na ramieniu. – Nie mogę pozwolić, żebyś wracał pieszo. Ty też miałeś ciężki dzień – śmieję się. – Weź go, odstawisz mi jutro do szkoły, a ja się zabiorę z Ginevrą.

– Ależ nie, no coś ty.

Znów chce zsiąść, ale ściskam mocniej jego ramię.

– Oddasz mi go jutro, to żaden problem, naprawdę.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

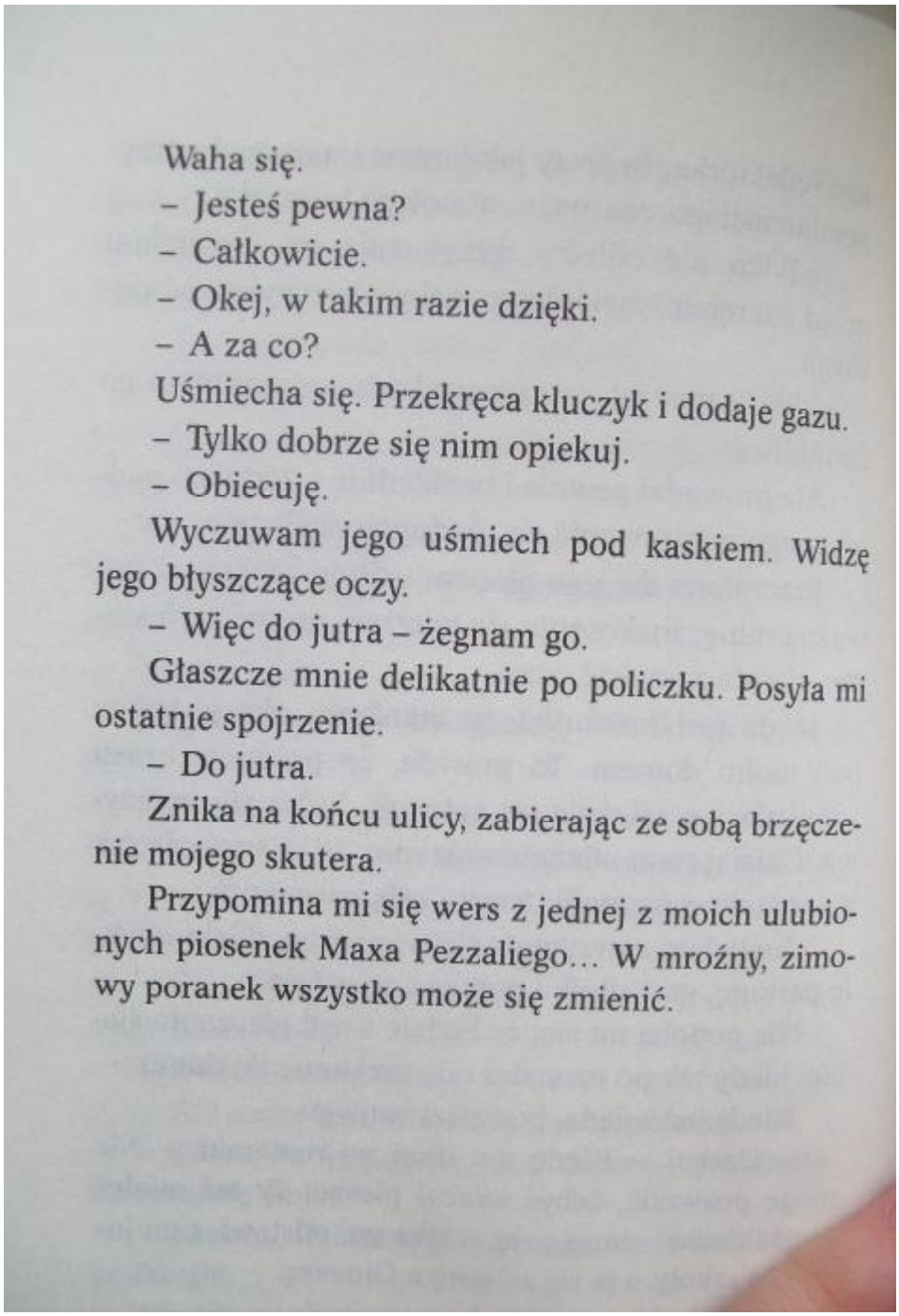

Waha się.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie.

– Okej, w takim razie dzięki.

– A za co?

Uśmiecha się. Przekręca kluczyk i dodaje gazu.

– Tylko dobrze się nim opiekuj.

– Obiecuję.

Wyczuwam jego uśmiech pod kaskiem. Widzę jego błyszczące oczy.

– Więc do jutra – żegnam go.

Głaszcze mnie delikatnie po policzku. Posyła mi ostatnie spojrzenie.

– Do jutra.

Znika na końcu ulicy, zabierając ze sobą brzęczenie mojego skutera.

Przypomina mi się wers z jednej z moich ulubionych piosenek Maxa Pezzaliego… W mroźny, zimowy poranek wszystko może się zmienić.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Oddaj mi swój ból

Idę lekka jak chmurka, jak kolorowy balonik, który łagodnie szybuje w niebo.

Za rogiem, przed bramą mojego domu, siedzi Ginevra. Na chwilę zapomniałam o tym, co dzieje się między nią i Lorenzem, po prostu cieszę się, że ją widzę i umieram z niecierpliwości, żeby opowiedzieć jej o moim niesamowitym dniu. Ale błyskawicznie wracam na ziemię.

Oczy mojej przyjaciółki są spuchnięte i czerwone od płaczu, policzki są blade i poznaczone łzami. Na jej pięknej twarzy widzę ból i smutek, tak głęboki, że niemal zmienia jej delikatne rysy. Ma zgaszone spojrzenie; nerwowo pali papierosa, a na ziemi leżą już dwa niedopałki.

Niestety, nie muszę o nic pytać. Jest aż nazbyt jasne, co się stało.

Balonik, wesoły i lekki, wpadł na kolczasty krzak.

Podchodzę do niej, a kiedy mnie zauważa, jej oczy na nowo napełniają się łzami. Obejmuję ją, przytulam mocno jak w dzieciństwie, kiedy w nocy budziła nas burza i tuliłyśmy się w łóżku, umierając ze strachu.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

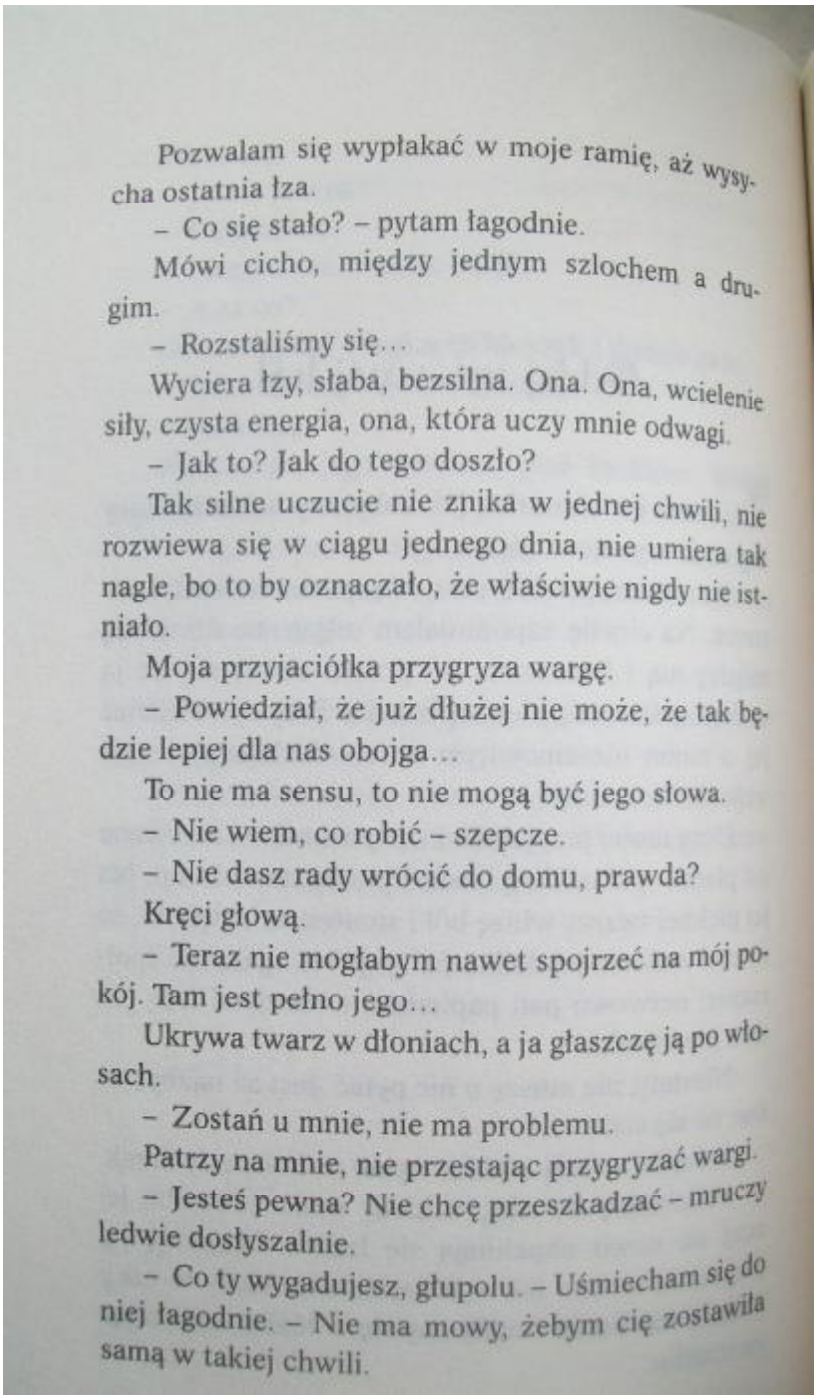

Pozwalam się wypłakać w moje ramię, aż wysycha ostatnia łza.

– Co się stało? – pytam łagodnie.

Mówi cicho, między jednym szlochem a drugim.

– Rozstaliśmy się…

Wyciera łzy, słaba, bezsilna. Ona. Ona, wcielenie siły, czysta energia, ona, która uczy mnie odwagi.

– Jak to? Jak do tego doszło?

Tak silne uczucie nie znika w jednej chwili, nie rozwiewa się w ciągu jednego dnia, nie umiera tak nagle, bo to by oznaczało, że właściwie nigdy nie istniało.

Moja przyjaciółka przygryza wargę.

– Powiedział, że już dłużej nie może, że tak będzie lepiej dla nas obojga…

To nie ma sensu, to nie mogą być jego słowa.

– Nie wiem, co robić – szepcze.

– Nie dasz rady wrócić do domu, prawda?

Kręci głową.

– Teraz nie mogłabym nawet spojrzeć na mój pokój. Tam jest pełno jego…

Ukrywa twarz w dłoniach, a ja głaszczę ją po włosach.

– Zostań u mnie, nie ma problemu.

Patrzy na mnie, nie przestając przygryzać wargi.

– Jesteś pewna? Nie chcę przeszkadzać – mruczy ledwie dosłyszalnie.

– Co ty wygadujesz, głupolu. – Uśmiecham się do niej łagodnie. – Nie ma mowy, żebym cię zostawiła samą w takiej chwili.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

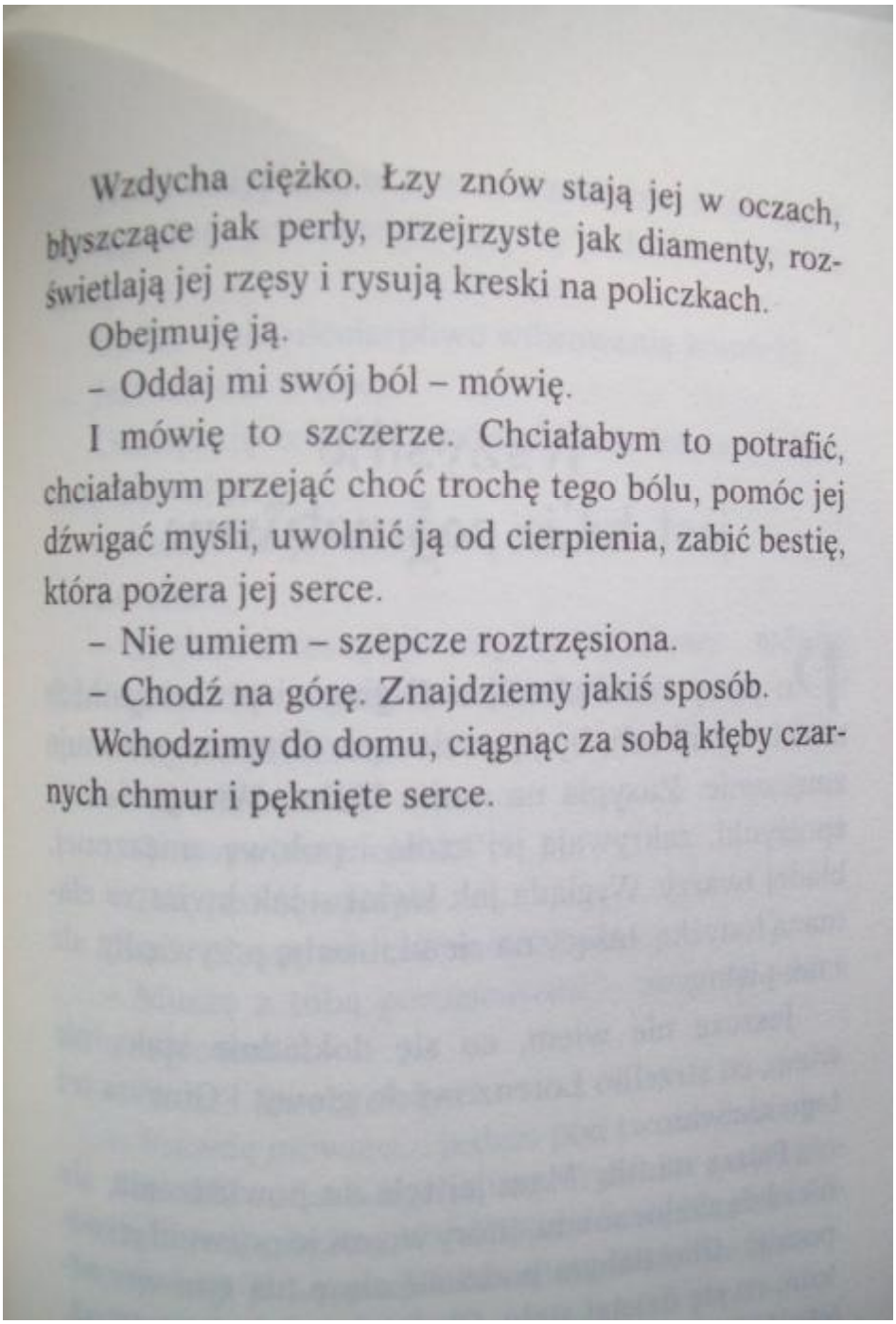

Wzdycha ciężko. Łzy znów stają jej w oczach, błyszczące jak perły, przejrzyste jak diamenty, rozświetlają jej rzęsy i rysują kreski na policzkach.

Obejmuję ją.

– Oddaj mi swój ból – mówię.

I mówię to szczerze. Chciałabym to potrafić, chciałabym przejąć choć trochę tego bólu, pomóc jej dźwigać myśli, uwolnić ją od cierpienia, zabić bestię, która pożera jej serce.

– Nie umiem – szepcze roztrzęsiona.

– Chodź na górę. Znajdziemy jakiś sposób.

Wchodzimy do domu, ciągnąc za sobą kłęby czarnych chmur i pęknięte serce.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

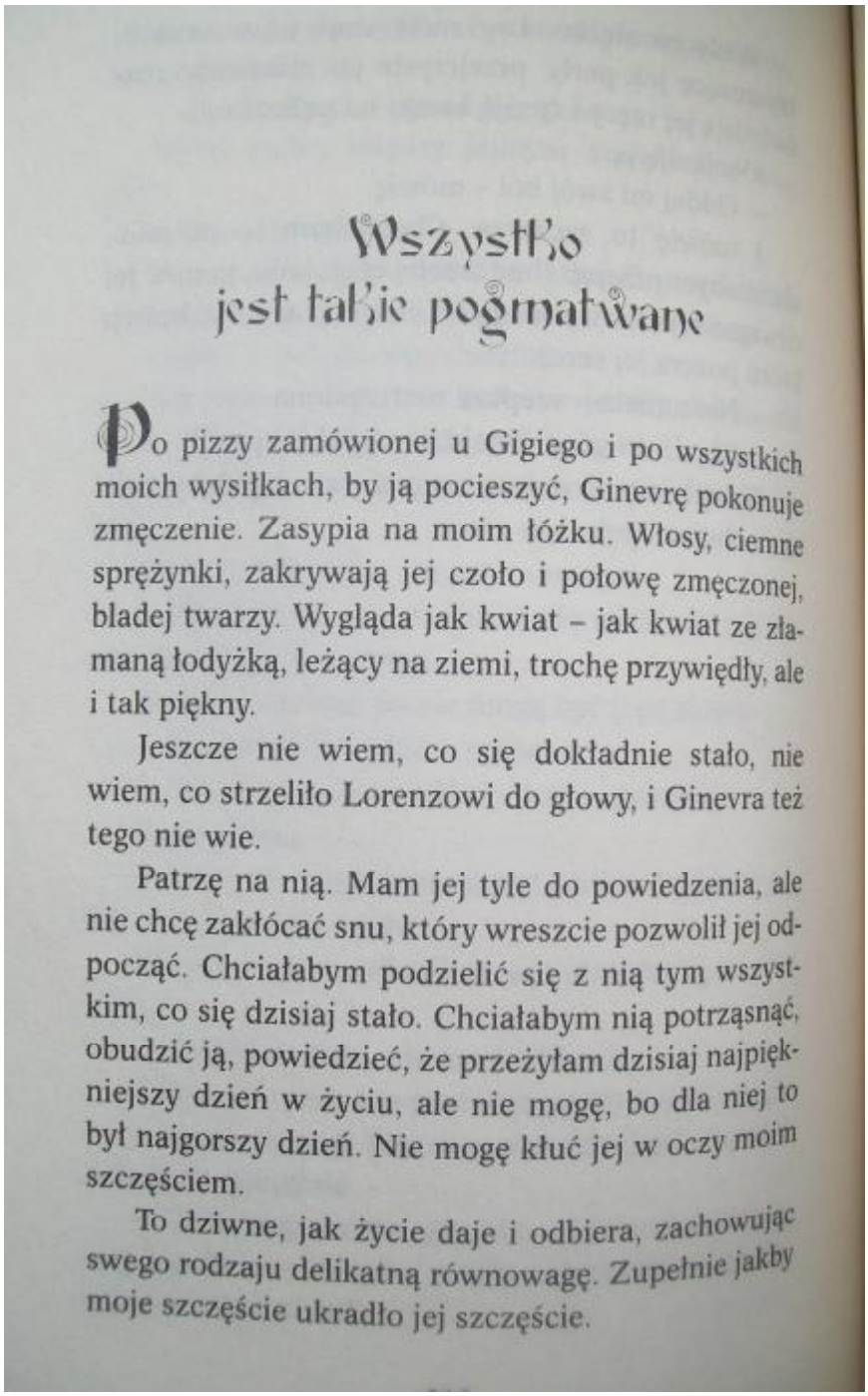

Wszystko jest takie pogmatwane

Po pizzy zamówionej u Gigiego i po wszystkich moich wysiłkach, by ją pocieszyć, Ginevrę pokonuje zmęczenie. Zasypia na moim łóżku. Włosy, ciemne sprężynki, zakrywają jej czoło i połowę zmęczonej, bladej twarzy. Wygląda jak kwiat – jak kwiat ze złamaną łodyżką, leżący na ziemi, trochę przywiędły, ale i tak piękny.

Jeszcze nie wiem, co się dokładnie stało, nie wiem, co strzeliło Lorenzowi do głowy, i Ginevra też tego nie wie.

Patrzę na nią. Mam jej tyle do powiedzenia, ale nie chcę zakłócać snu, który wreszcie pozwolił jej odpocząć. Chciałabym podzielić się z nią tym wszystkim, co się dzisiaj stało. Chciałabym nią potrząsnąć, obudzić ją, powiedzieć, że przeżyłam dzisiaj najpiękniejszy dzień w życiu, ale nie mogę, bo dla niej to był najgorszy dzień. Nie mogę kłuć jej w oczy moim szczęściem.

To dziwne, jak życie daje i odbiera, zachowując swego rodzaju delikatną równowagę. Zupełnie jakby moje szczęście ukradło jej szczęście.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Ja też zasypiam, w fotelu, z zeszytem wciśniętym w kręgosłup, porzuconym między poduchami kto wie kiedy.

Budzi mnie niecierpliwe wibrowanie komórki. Jest trzecia w nocy.

Odnajduję telefon wśród poduch fotela i odbieram, ziewając.

– Vichi? To ja. Wszystko dobrze?

Lorenzo.

– Spałam z zeszytem między łopatkami – mówię, tłumiąc kolejne cztery ziewnięcia.

– A, przepraszam.

– Nie ma za co.

– Ginevra jest u ciebie?

– Tak, jest tutaj, śpi.

Cisza. Słyszę oddech w słuchawce.

– Muszę z tobą porozmawiać – mówi w końcu słabym głosem.

– Teraz? Przez telefon?

– Prawdę mówiąc… jestem pod twoim domem.

Senność znika natychmiast. Trybiki w mojej głowie zaczynają się kręcić: jeśli rodzice się obudzą i zobaczą mnie z Lorenzem na ulicy w środku nocy… będzie piekło.

Jeśli on wejdzie do mnie, a Ginevra się obudzi i zobaczy go w pokoju, dostanie szału.

Okej, lepiej zejść i modlić się, żeby nikt niczego nie zauważył. Wkładam kurtkę na piżamę, pomalutku wychodzę z pokoju i zamykam za sobą drzwi.

Na paluszkach pokonuję korytarz. Schodzę na dół i widzę mojego przyjaciela opartego o samochód,

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

w grubej kurtce zapiętej pod szyję. Jest zimno jak diabli.

Wsiadamy do samochodu, który stał się już naszym konfesjonałem.

Lorenzo opiera dłonie o deskę rozdzielczą i patrzy tępo przed siebie.

– No więc… dobrze się czuje?

Kiwam głową.

– Tak, powiedzmy, że tak… teraz śpi… ale długo płakała.

Mylę się, czy błękitne oczy mojego przyjaciela też są wilgotne?

Zaciska nerwowo palce na kierownicy, aż bieleją mu kostki.

– Nie chciałem… to nie było łatwe także i dla mnie, nie myśl sobie.

– Ja nic nie myślę i nie osądzam cię, bo jesteś dla mnie jak brat, ale pytam cię tylko o jedną rzecz, i pytam cię o nią z ręką na sercu. – Bardzo ostrożnie dobieram słowa. – Jeśli chodzi o tę decyzję… żeby skończyć po tylu latach… jest ktoś trzeci?

Milczy, prostując palce i bębniąc nimi w deskę.

– No więc, Lore, to przez Lavinię? – pytam, też wpatrując się we własne dłonie.

Mija kilka sekund, zanim zdobywa się na odpowiedź.

– Nie jestem pewien… to wiele spraw, po części również to.

– Czujesz coś do niej?

– Nie wiem dokładnie co.

– Wiesz, że bardzo jej się podobasz, prawda?

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Może właśnie o to chodzi. – Kręci głową, jakby to mogło pomóc uporządkować myśli. – Ale wszystko jest takie pogmatwane i skomplikowane. Naprawdę nie wiem, co myśleć…

Wzdycham, ale mu wierzę.

– Zasadniczo chodzi o coś innego – wzdycha. – Rodzice od jakiegoś czasu zaczęli zadawać pytania, i to strasznie namolne, o mój związek z Ginevrą, o to, co on dla mnie znaczy, jak długo jeszcze będzie się to ciągnąć…

Patrzę na niego, osłupiała.

– Naprawdę?

– Tak, to trwa już od jakiegoś czasu, nie mówiłem ci, bo, szczerze mówiąc, uważałem te rozmowy za idiotyczne. – Głaszcze kierownicę, gapiąc się na własne palce. – Ale teraz wmieszał się w to jeszcze mój brat i to mnie na początku zabolało, ale potem zacząłem myśleć, że… no wiesz, brat mnie bardzo kocha i chce tylko mojego dobra.

– Jasne.

– No właśnie, nie wiem, jak ci to wyjaśnić… fakty są takie, że dołożył swoje trzy grosze, powiedział, że ta historia nie jest dla mnie dobra, że to tylko kwestia czasu, żebym i ja to zrozumiał, że idealizuję własne uczucia i że moje szczęście nie jest wystarczającym dowodem na to, że dokonałem właściwego wyboru. – Westchnął. – Bo z nim było inaczej…

Zaczynam rozumieć.

– To nie byli już mamusia i tatuś, dorośli ze swoją wizją świata, ale mój brat, jedna z najważniejszych

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

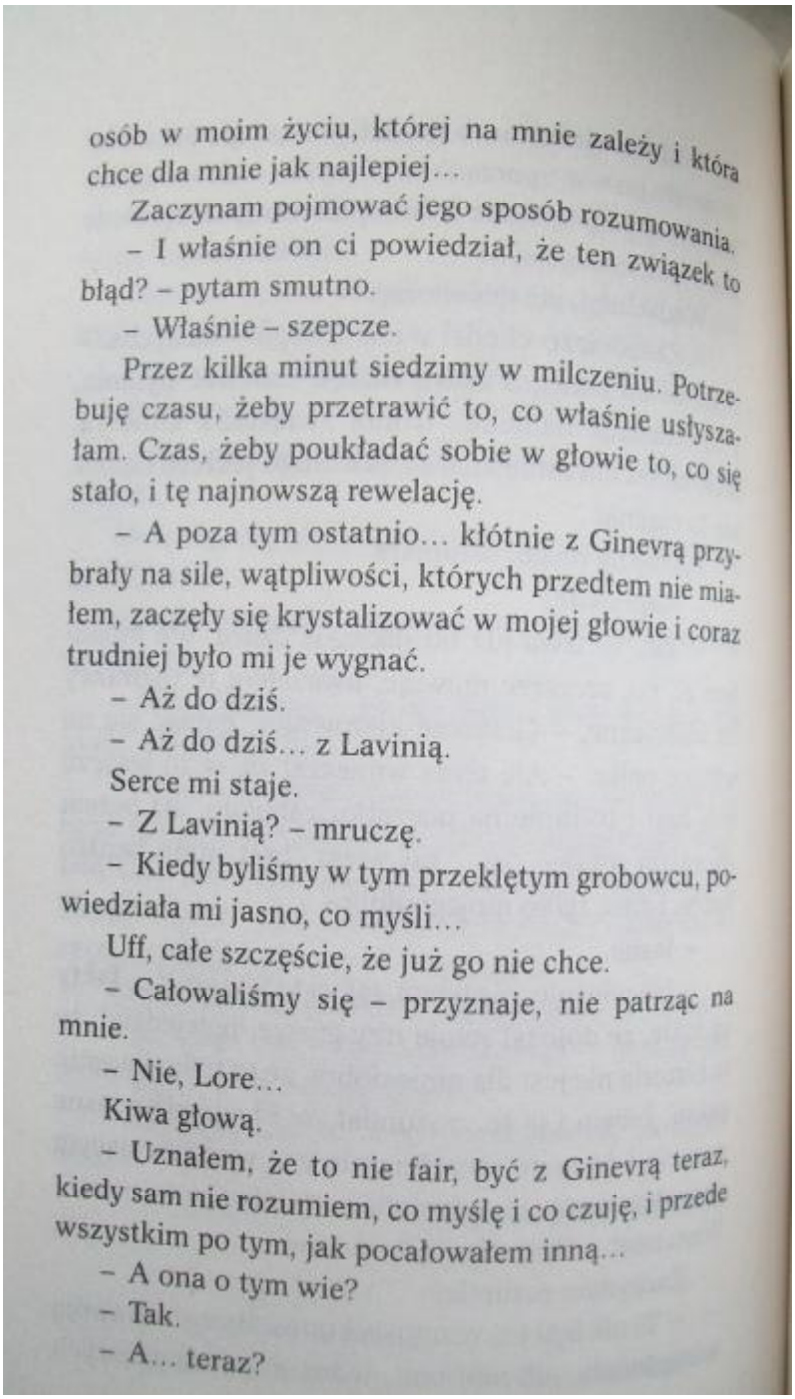

osób w moim życiu, której na mnie zależy i która chce dla mnie jak najlepiej…

Zaczynam pojmować jego sposób rozumowania.

– I właśnie on ci powiedział, że ten związek to błąd? – pytam smutno.

– Właśnie – szepcze.

Przez kilka minut siedzimy w milczeniu. Potrzebuję czasu, żeby przetrawić to, co właśnie usłyszałam. Czas, żeby poukładać sobie w głowie to, co się stało, i tę najnowszą rewelację.

– A poza tym ostatnio… kłótnie z Ginevrą przybrały na sile, wątpliwości, których przedtem nie miałem, zaczęły się krystalizować w mojej głowie i coraz trudniej było mi je wygnać.

– Aż do dziś.

– Aż do dziś… z Lavinią.

Serce mi staje.

– Z Lavinią? – mruczę.

– Kiedy byliśmy w tym przeklętym grobowcu, powiedziała mi jasno, co myśli…

Uff, całe szczęście, że już go nie chce.

– Całowaliśmy się – przyznaje, nie patrząc na mnie.

– Nie, Lore…

Kiwa głową.

– Uznałem, że to nie fair, być z Ginevrą teraz, kiedy sam nie rozumiem, co myślę i co czuję, i przede wszystkim po tym, jak pocałowałem inną…

– A ona o tym wie?

– Tak.

– A… teraz?

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Kręci głową.

– Na razie wiem tylko tyle, że muszę się zastanowić i... musiałem ci o tym powiedzieć.

Pocieram policzki dłońmi.

– Co ja ci mam powiedzieć...

Naprawdę nie mam pojęcia.

– Nic mi nie musisz mówić. Wiem, że to dla ciebie paskudna sytuacja, bo znalazłaś się pośrodku, ale absolutnie nie proszę cię, żebyś zrozumiała czy... dawała mi błogosławieństwo.

Wzdycham. Właśnie dziś, kiedy Lorenzo podejmuje taką decyzję, ja podjęłam zupełnie przeciwną. Kiedy on rezygnuje, ja postanowiłam spróbować.

– Źle się czuję – mówię, bo czuję na czole zimny pot i dreszcze.

Wracam do domu blada jak duch i na nowo zwijam się w fotelu, podciągając kolana do podbródka.

Trochę późno na takie wyznania, Lorenzo, po tylu latach.

Ile razy uśmiechałam się, szczęśliwa, widząc was razem i czując w głębi serca – przyznaję bez bicia – ukłucie zazdrości. Ból, który choć leciutki, nie dał się zignorować, który ze wszystkich sił starałam się tłumić, zadowalając się patrzeniem na was i wierząc, że to jest najważniejsze. Ilu całusów i pieszczot byłam świadkiem, szczęśliwa, że wy jesteście szczęśliwi, i trochę smutna, że mnie to nie jest dane.

Trochę późno na mówienie mi, że nie wiesz, czy to było szczęście. Trochę późno.

Kto zadaje się z zakochanymi, uczy się, jak się zakochać.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

To była piękna historia

Ranek. Ja i Ginevra jedziemy do szkoły jej samochodem. Jestem w proszku po nocy spędzonej w fotelu i zaledwie paru godzinach snu.

Przyznałam się Ginevrze, że Lorenzo ze mną rozmawiał i że powiedział mi to samo, co powiedział jej.

Moja przyjaciółka wciąż ma na twarzy ślady łez, ale w świetle słońca wszystko jest łatwiejsze, nawet najgorsze sytuacje, a przynajmniej tak się wydaje.

– Chce lecieć za tą pindą z błogosławieństwem braciszka? Jego sprawa.

Zmienia bieg, jakby wbijała nóż.

Ewidentnie przeszłyśmy do fazy drugiej: złości.

Bierze zakręt nieomal na dwóch kołach.

Wbijam paznokcie w siedzenie. Zaczynam się trochę bać.

Ginevra wyrzuca z siebie stek przekleństw nie do powtórzenia.

– Okej – mówię. – Dobrze robisz, że nie dusisz tego w sobie.

To działa terapeutycznie i z pewnością jest bezpieczniejsze niż jazda, jakby się chciało podpalić asfalt i połamać dźwignię biegów.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Cholerna wycieczka! A może i nie... błogosławiona wycieczka; gdyby nie to, to kto wie, ile czasu jeszcze by to ciągnął i udawał idiotę!

– Ehm, tak à propos wycieczki...

Ostatniej nocy, kiedy bezskutecznie usiłowałam zasnąć w najgłupszych pozycjach, zrozumiałam, że nie ma sensu z nią nie rozmawiać, nawet jeśli jest mi przykro z powodu tego, co się dzieje w jej życiu.

– Wiesz, że ja i Guglielmo zostaliśmy uwięzieni grobowcu?

Patrzy na mnie, zdumiona.

– Boże, dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Wczoraj priorytet miały twoje sprawy i słusznie... ale nie stało się nic złego, a nawet wręcz odwrotnie, nie licząc strachu i profesora, który, próbując nas uwolnić, o mało się nie przekręcił. Guglielmo też, skoro już o tym mowa...

– Jezu, coś sobie zrobił?

– Nie, ale odkryłam, że ma klaustrofobię.

– Ach, to dlatego nieszczególnie się czuł w naszej sali nabitej po brzegi.

– No właśnie.

Wyciągnęła dokładnie ten sam wniosek, co ja.

– Ale w takim razie jest głupi! Ma klaustrofobię i schodzi do katakumb?

– Ja też tak pomyślałam...

Wzdycham ciężko i wszystko jej opowiadam.

Wszystko, od początku, od jego strasznego wyznania, aż do końca, aż do chwili pod moim domem, tuż przed spotkaniem z nią.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Jesteśmy już na parkingu, silnik jest zgaszony, i na całe szczęście tym razem nie jesteśmy spóźnione, więc nie musimy pędzić do wejścia jak sprinterki.

Ginevra jest skołowana, ledwie wierzy w moje słowa.

– No i... co teraz?

Nie wie, co powiedzieć. Witamy w klubie.

– Ja wiem tylko, że nawet jeśli wasz związek jest skończony, to była piękna historia i nigdy nie przysporzyliście sobie żadnych problemów, byliście szczęśliwi, nie zwracaliście uwagi na sytuację i na to, co mówią inni... wybacz, że się wtrącam, ale chcę, żebyś wiedziała, jak ja to widzę.

– Ale... z wami jest inaczej, to poważniejsza sprawa... wy możecie się nawzajem zabić.

– Każdy może zabić każdego, jeśli zechce.

Mówię z pewnością siebie, której wcale nie czuję.

– To prawda, ale...

Na samą myśl mam dreszcze, ale staram się je opanować.

Ginevra wzdycha i masuje sobie skronie.

– Nie jestem odpowiednią osobą, żeby ci mówić, że popełniasz błąd.

Kiwam głową.

Przygryza wargę i odwraca się do okna. Przygnębienie wróciło. Spogląda na mnie oczami, w których zaraz pojawią się łzy.

– Mogę cię spytać tylko o jedną rzecz? Jesteś teraz szczęśliwa? Szczęśliwsza niż wczoraj czy przedwczoraj?

Zastanawiam się nad tym i smętnie kiwam głową.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

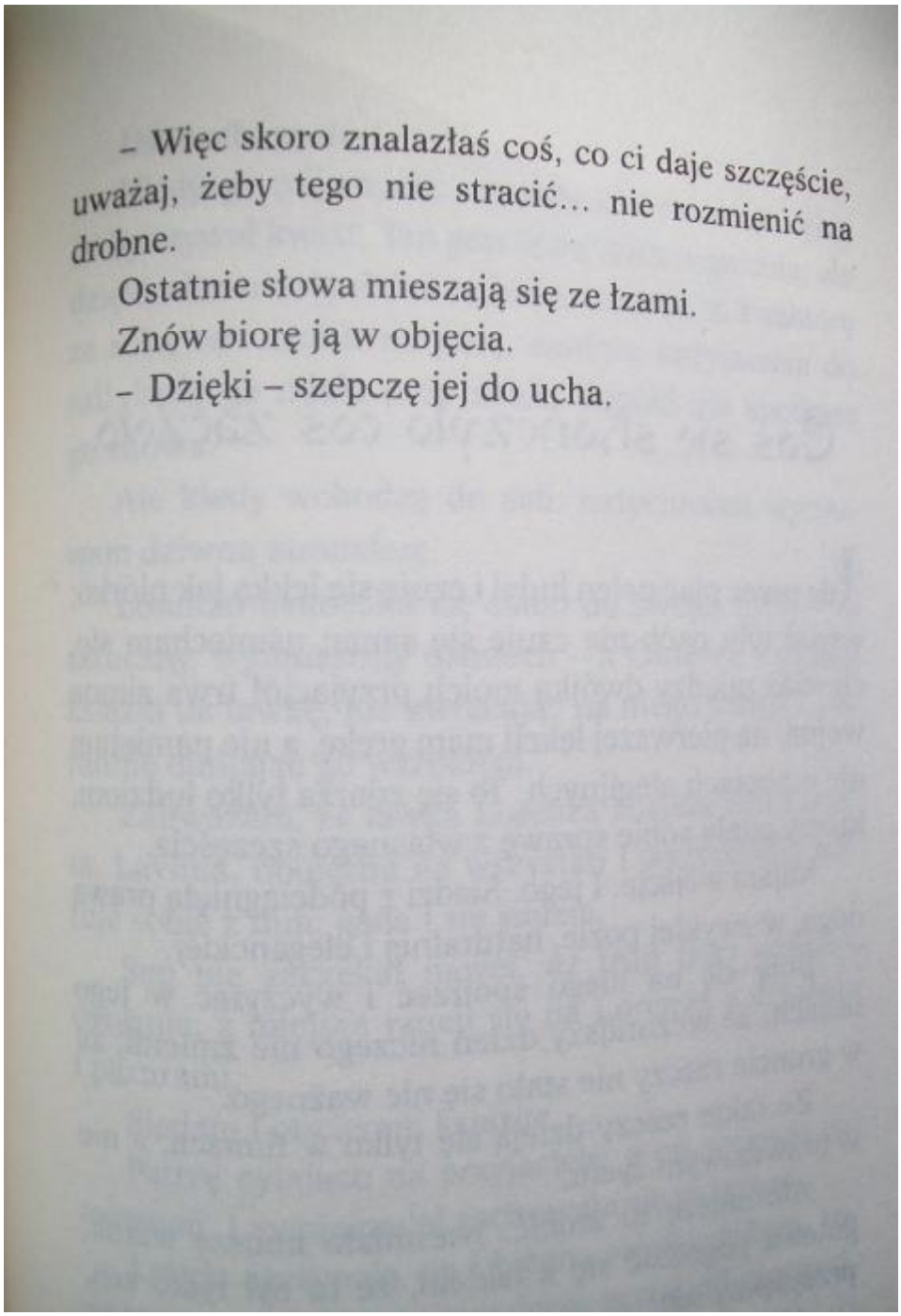

– Więc skoro znalazłaś coś, co ci daje szczęście, uważaj, żeby tego nie stracić... nie rozmienić na drobne.

Ostatnie słowa mieszają się ze łzami.

Znów biorę ją w objęcia.

– Dzięki – szepczę jej do ucha.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

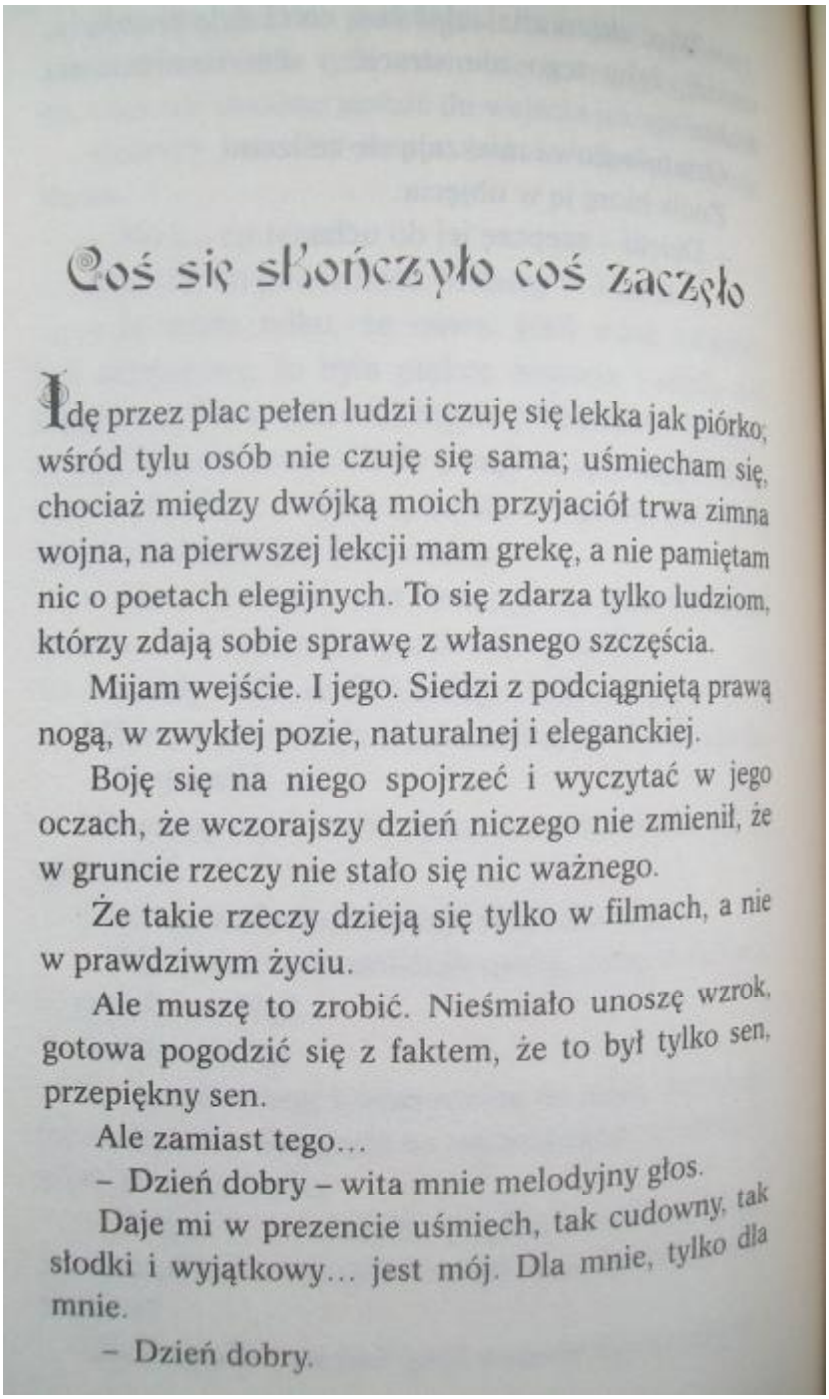

Coś się skończyło coś zaczęło

Idę przez plac pełen ludzi i czuję się lekka jak piórko; wśród tylu osób nie czuję się sama; uśmiecham się, chociaż między dwójką moich przyjaciół trwa zimna wojna, na pierwszej lekcji mam grekę, a nie pamiętam nic o poetach elegijnych. To się zdarza tylko ludziom, którzy zdają sobie sprawę z własnego szczęścia.

Mijam wejście. I jego. Siedzi z podciągniętą prawą nogą, w zwykłej pozie, naturalnej i eleganckiej.

Boję się na niego spojrzeć i wyczytać w jego oczach, że wczorajszy dzień niczego nie zmienił, że w gruncie rzeczy nie stało się nic ważnego.

Że takie rzeczy dzieją się tylko w filmach, a nie w prawdziwym życiu.

Ale muszę to zrobić. Nieśmiało unoszę wzrok, gotowa pogodzić się z faktem, że to był tylko sen, przepiękny sen.

Ale zamiast tego...

– Dzień dobry – wita mnie melodyjny głos.

Daje mi w prezencie uśmiech, tak cudowny, tak słodki i wyjątkowy... jest mój. Dla mnie, tylko dla mnie.

– Dzień dobry.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Uśmiecham się.

Kiedy go mijam, na sekundę chwyta moją rękę, jakby zrywał kwiat. Ten gest trwa tylko mgnienie, ale dzięki niemu cały dzień nabiera znaczenia. I zabiorę ze sobą ten uścisk na górę, zaniosę korytarzem do sali, będę go miała przy sobie, dopóki nie spotkam go znowu.

Ale kiedy wchodzę do sali, natychmiast wyczuwam dziwną atmosferę.

Lorenzo uśmiecha się słabo do swojej byłej – to sztuczny, wymuszony uśmiech – a Ginevra wykłada książki na ławkę, nie zwracając na niego uwagi i starannie omijając go wzrokiem.

Zauważam, że ławka Lorenza została przesunięta. Lavinia, obojętna na wszystko i wszystkich, żartuje sobie z nim, gada i się śmieje.

Sęp nie zaczekał nawet, aż trup tego związku ostygnie; z miejsca rzucił się na Lorenza z dziobem i pazurami.

Siadam i otwieram książkę.

Patrzę pytająco na przyjaciela, a on wzrusza ramionami. Lavinia nadal zachowuje się irytująco.

Lekcje zaczynają się i biegną swoim trybem, towarzyszą tej dziwnej atmosferze gęstej od niechęci, złości, ciekawości.

Greka, angielski, historia... Omawiamy wycieczkę, swoje obserwacje, to wszystko, co odkryliśmy w starych etruskich grobowcach.

Profesorka dyplomatycznie pomija milczeniem naszą małą przygodę.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

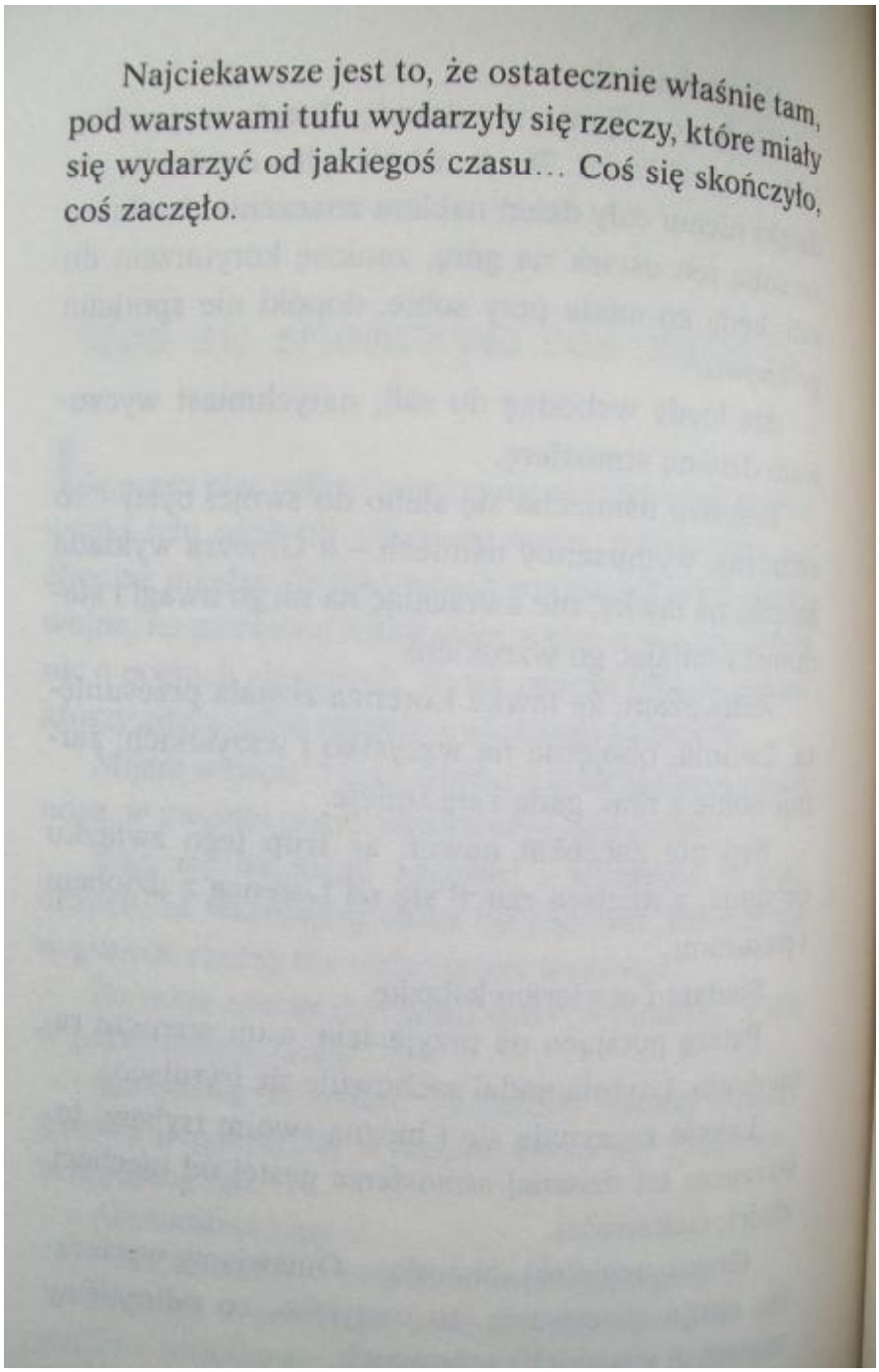

Najciekawsze jest to, że ostatecznie właśnie tam, pod warstwami tufu wydarzyły się rzeczy, które miały się wydarzyć od jakiegoś czasu... Coś się skończyło, coś zaczęło.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

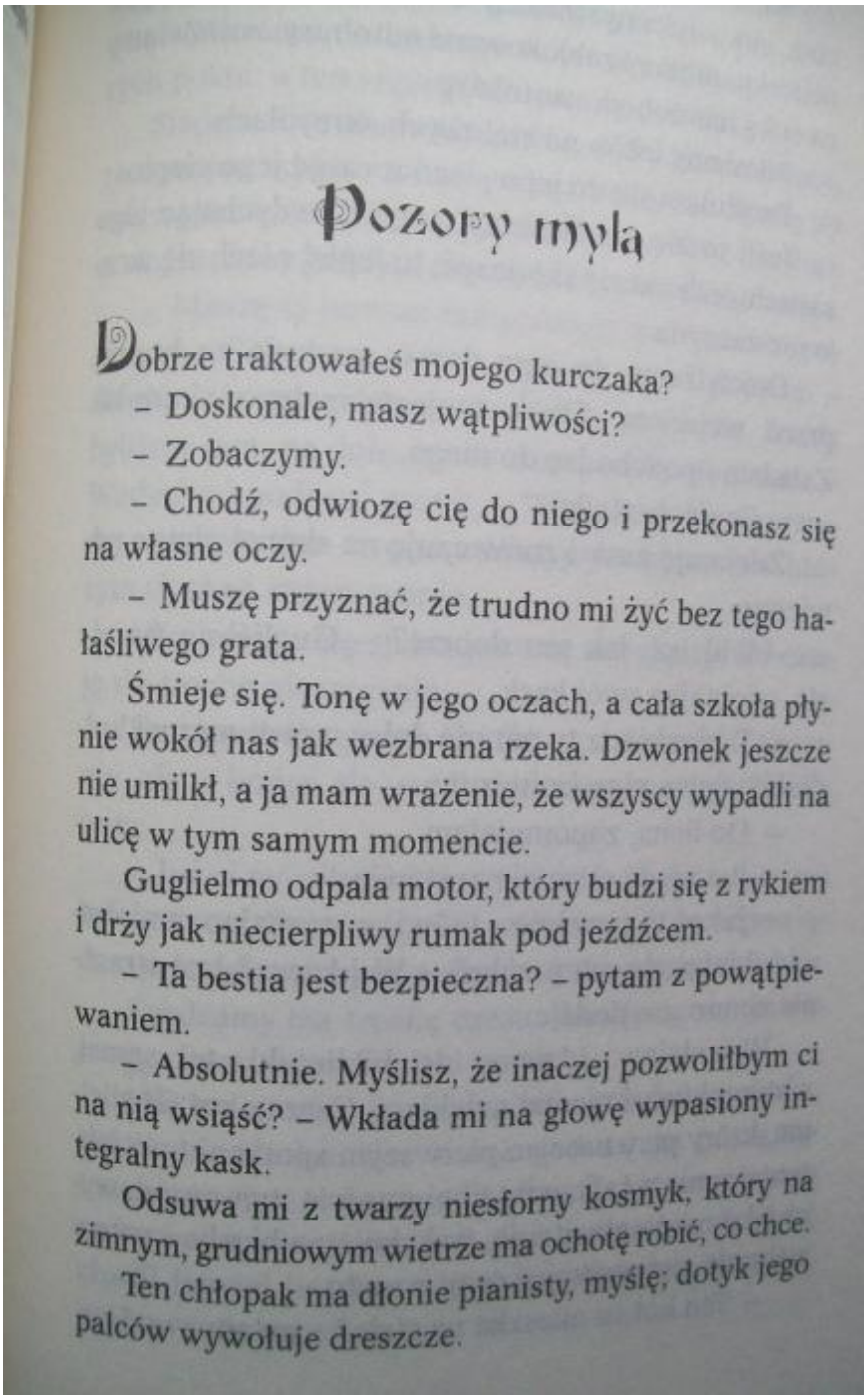

Pozory mylą

Dobrze traktowałeś mojego kurczaka?

– Doskonale, masz wątpliwości?

– Zobaczymy.

– Chodź, odwiozę cię do niego i przekonasz się na własne oczy.

– Muszę przyznać, że trudno mi żyć bez tego hałaśliwego grata.

Śmieje się. Tonę w jego oczach, a cała szkoła płynie wokół nas jak wezbrana rzeka. Dzwonek jeszcze nie umilkł, a ja mam wrażenie, że wszyscy wypadli na ulicę w tym samym momencie.

Guglielmo odpala motor, który budzi się z rykiem i drży jak niecierpliwy rumak pod jeźdźcem.

– Ta bestia jest bezpieczna? – pytam z powątpiewaniem.

– Absolutnie. Myślisz, że inaczej pozwoliłbym ci na nią wsiąść? – Wkłada mi na głowę wypasiony integralny kask.

Odsuwa mi z twarzy niesforny kosmyk, który na zimnym, grudniowym wietrze ma ochotę robić, co chce.

Ten chłopak ma dłonie pianisty, myślę; dotyk jego palców wywołuje dreszcze.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Wsiadam na motor i szybko włączamy się do ruchu, przemykamy między samochodami stojącymi w korku, mijamy zablokowane autobusy, zostawiamy za sobą nieruchome autokary.

Mkniemy lekko na stalowych skrzydłach.

Przytulam się do jego pleców, czuję jego ciepło.

Jeśli to się ma skończyć, myślę, wdychając jego zapach, jeśli ma się skończyć, to lepiej niech się wcale nie zaczyna.

Dojeżdżamy do jego domu; parkuje za bramą, przed wejściem. Obok mojego małego skuterka. Zsiadam i podchodzę do niego.

– Cześć, bestyjko.

Zdejmuję kask i znów czuję na skórze zimne powietrze.

– Widzisz, jak mu dobrze? – Guglielmo śmieje się, odpinając swój kask.

– Taki mróz, a ty mu nie dałeś nawet marnej kołderki? – pytam go ironicznie.

– Do licha, zapomniałem.

– Już nigdy ci go nie zostawię.

– Jakoś to przeżyję – mówi, wzruszając ramionami i udając, że mu przykro. – Wejdziesz? Jest strasznie zimno… – dodaje.

Wchodzimy. Idziemy do biblioteki, tej samej, z której kiedyś niemal uciekłam. Czarny kot Guglielma, który przy naszym pierwszym spotkaniu potraktował mnie z całkowitą obojętnością, tym razem wychodzi mi na powitanie, wskakuje na biurko i patrzy na mnie, przymykając oczy z agatu.

– Ten kot tu mieszka na stałe? – pytam.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Guglielmo śmieje się, głaszcząc go z miłością; czarny kociak odpowiada głośnym mruczeniem.

– Schwarz ma lekkiego fioła na punkcie niektórych pokoi, a ten szczególnie mu się podoba.

Siadam w fotelu, a Guglielmo dalej głaszcze kota, zaczynając od głowy i powoli przeciągając dłonią po całym grzbiecie. Zwierzę łasi się do jego dłoni i podnosi siedzenie za każdym razem, kiedy pieszczota ustaje.

– Muszę ci jeszcze raz podziękować – mówi, patrząc na Schwarza, który mruczy coraz głośniej. – Gdyby nie ty, gdybyś mnie nie uspokoiła, kiedy byliśmy tam, na dole, to nie wiem, co by się stało... – Wzdycha i podnosi wzrok. – Więc dziękuję, naprawdę – ciągnie tym swoim melodyjnym głosem, w którym słychać zażenowanie.

Uśmiecham się słabo; prawdę mówiąc, ja też czuję się trochę niezręcznie.

Kot bawi się przez chwilę, podskakując zabawnie, ale w końcu się uspokaja i zamyka wielkie żółte oczy.

– Już ci mówiłam, jesteśmy kwita, ja już od dawna byłam twoją dłużniczką. Od czasu imprezy – odpowiadam mu, patrząc na jego dłonie, które głaszczą kota.

Spędzamy tak trochę czasu. Śmiejemy się, żartujemy, rozmawiamy o tym i owym.

Między nami nie ma napięcia ani zażenowania, ani śladu strachu. Co, biorąc pod uwagę naszą sytuację, nie jest normalne. Ale myśl, która powinna zajmować nasze głowy, jest zbyt trudna i może w tej chwili łatwiej jest ignorować ją całkowicie, zamiast próbować ją pojąć.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Czekaj, byłbym zapomniał, chcę ci coś pokazać – mówi Guglielmo. – Ale nie śmiej się, to poważna sprawa.

– Okej, powiedzmy, że spróbuję.

– Mam tylko nadzieję, że nie zrobię z siebie idioty – dodaje ze śmiechem, unosząc brew ze srebrnym kolczykiem.

Podchodzi do drewnianej drabinki, która ułatwia zdejmowanie książek z wyższych półek. Wspina się na pierwsze szczeble i drabina, dość wiekowa, skrzypi pod jego ciężarem.

– Chyba nie jest zbyt stabilna...

– Nie martw się, używam jej od zawsze. Pozory mylą.

– Może i tak, ale mnie to jakoś nie przekonuje.

To mówiąc, podchodzę do drabinki i odruchowo ją przytrzymuję. Guglielmo patrzy na mnie i się śmieje.

– Po prostu jej nie ufasz, co?

Kiedy on szuka książki, ja przyglądam się książkom na półce, którą mam przed sobą. Tomy muszą być bardzo stare, okładki są ze skóry, a w niektórych przypadkach tytuły są chyba wypalone w skórze. Na chwilę gubię się w tajemniczych tytułach i nie zauważam, że Guglielmo zszedł już z dwóch szczebli, i że za moment, jeśli się nie odsunę, zejdzie prosto w moje ramiona.

– Mam! – wykrzykuje Guglielmo, stawiając stopę na podłodze. – To jest książka, której szukałem.

Podaje mi stary tom w błękitnej okładce, ze srebrzoną, kwiatową dekoracją z przodu.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Już mam otworzyć stronicę na chybił trafił, jak zawsze robię z nową książką, żeby przeczytać przypadkowy wers, kiedy nagle rozlega się miauczenie, przeciągłe i głośne. Światła przygasają i rozjarzają się na nowo, a w następnej chwili robi się kompletnie ciemno.

– Co się dzieje? – pytam zaniepokojona.

– Nic – odpowiada Guglielmo, jakby naprawdę nic się nie stało.

W tej niespodziewanej ciemności czuję jego ciepły oddech i po omacku przesuwam palce po płótnie okładki książki, którą trzymam. Palce odnajdują lekko wypukłą, srebrną dekorację i nagle natrafiają na jego palce, wędrujące od drugiego brzegu książki.

Palce spotykają się i zatrzymują, badają się nawzajem. I nagle jego wdrapują się na moje, jego dłoń przesuwa się po grzbiecie mojej. Czuję dreszcz na plecach, gęsią skórkę rozchodzącą się po całym ciele jak fala. Jego dłonie skradają się dalej, po moich przedramionach, a moje, niemal bezwiednie, odwracają się, by pogłaskać jego nadgarstki.

W ciszy i kompletnej ciemności zmysły są wyostrzone i moje palce odkrywają coś niespodziewanego. Jakiś znak, niewielką wypukłość na nadgarstku Guglielma. Jest ledwo wyczuwalna pod jego gładką, doskonałą skórą, ale i tak czuję jej kształt, wyobrażam sobie rysunek.

Co ty wyprawiasz, do diabła? – wrzeszczy głos w mojej głowie. Zwariowałaś już do reszty? – ciągnie ze złością. Przestań! – syczy. – Naprawdę jesteś taką egoistką, że myślisz tylko o swoim szczęściu, zamiast

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

o bezpieczeństwie aniołów? Sprowadzasz śmierć między anioły. Jak sądzisz, jak zareagują twoi rodzice? Naprawdę myślisz, że zaakceptują ten związek? Związek, który naraża na niebezpieczeństwo ciebie i wszystkich tobie podobnych?

Sama mnie o to prosiłaś, pamiętasz? – mówi dalej z furią. Prosiłaś: jeśli to się ma skończyć, to lepiej niech się wcale nie zaczyna.

Przywołuję w myślach obraz tego znaku wypalonego jak ogniem, tego dowodu, że przeklęty głos w mojej głowie ma rację, przypomnienia, że nic się nie zmieni i noc nigdy nie połączy się z dniem.

Badam koniuszkami palców tatuaż na jego nadgarstku, dowód, że każdy jest tym, kim jest.

– Nie! – krzyczę, jakby zagroził mi nożem wycelowanym w gardło.

Guglielmo wzdryga się, przestraszony.

– Nie mogę zostać... – mówię, odsuwając się gwałtownie.

On stoi w miejscu, osłupiały. Nie rozumie, co mówię. Nagle zapala się światło.

– Ale co się stało? Dobrze się czujesz?

– Nic się nie stało, po prostu nie mogę zostać. Chcę wracać do domu.

– Dobrze, odwiozę cię...

– Nie! – krzyczę z tą samą paniką w głosie. – Nie... pojadę sama.

– Nie rozumiem cię, coś ci się stało? Jesteś taka blada...

– Lorenzo i Ginevra się rozstali – mówię nagle. – Rozstali się po tylu latach i to było straszne, jest

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

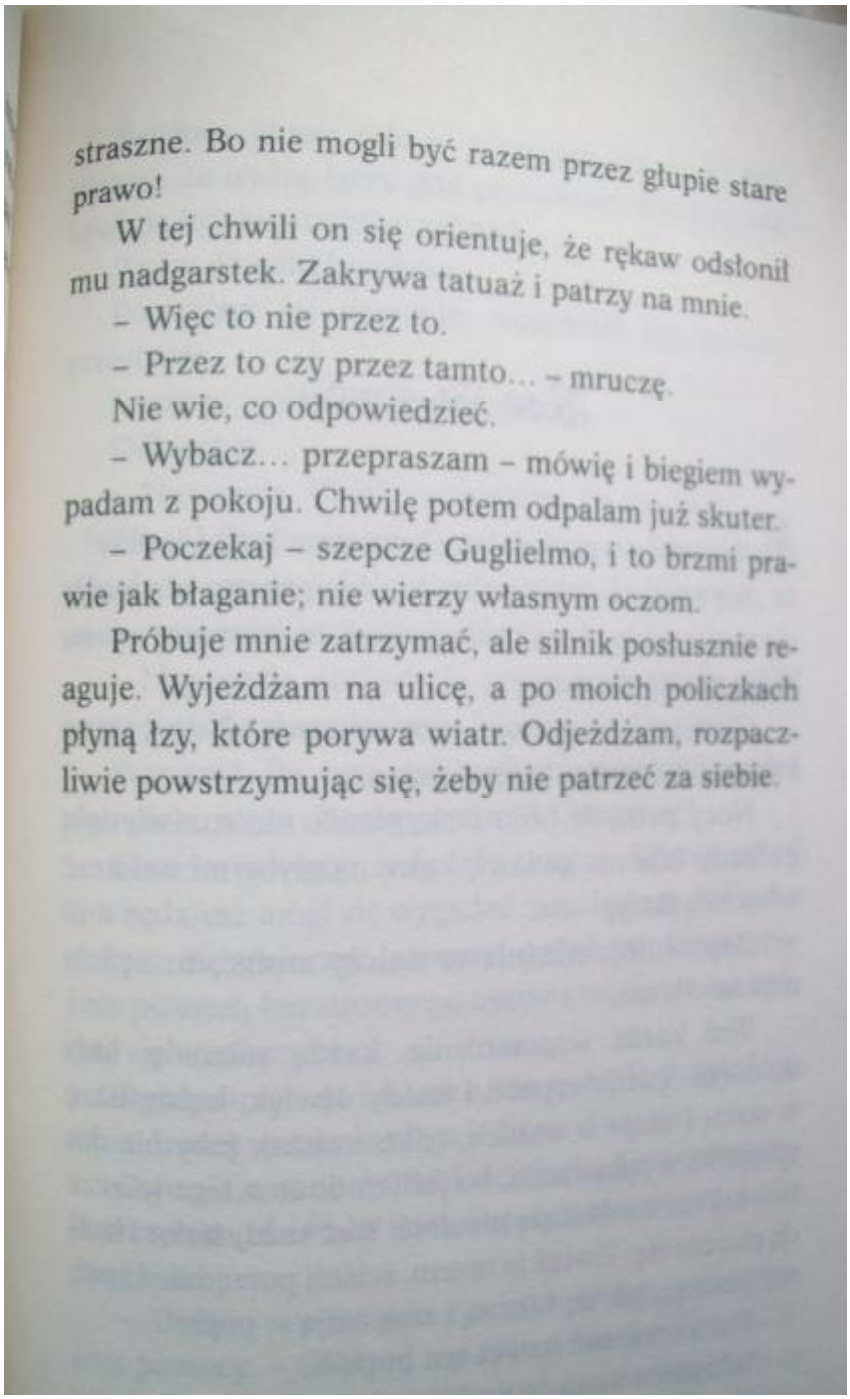

straszne. Bo nie mogli być razem przez głupie stare prawo!

W tej chwili on się orientuje, że rękaw odsłonił mu nadgarstek. Zakrywa tatuaż i patrzy na mnie.

– Więc to nie przez to.

– Przez to czy przez tamto... – mruczę.

Nie wie, co odpowiedzieć.

– Wybacz... przepraszam – mówię i biegiem wypadam z pokoju. Chwilę potem odpalam już skuter.

– Poczekaj – szepcze Guglielmo, i to brzmi prawie jak błaganie; nie wierzy własnym oczom.

Próbuje mnie zatrzymać, ale silnik posłusznie reaguje. Wyjeżdżam na ulicę, a po moich policzkach płyną łzy, które porywa wiatr. Odjeżdżam, rozpaczliwie powstrzymując się, żeby nie patrzeć za siebie.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Noc w sercu

Ile łez może wylać ciało, zanim wyschnie i umrze?

Idę spać na dziesięć lat, bardzo proszę, nie budźcie mnie, gdyby ktoś mnie szukał, to jestem we śnie, który potem zapomnę.

Ciemność w pokoju, noc w sercu. Noc czarna i zimna, lodowata, bezgwiezdna.

Nocy pełnych bólu i cierpienia nie rozświetlają gwiazdy. Nie ma gwiazd, które mogłyby mi wskazać właściwą drogę.

Zapomnieć: właśnie to należy zrobić, to będzie najwłaściwsze.

Weź każde wspomnienie, każdą sekundę, każdy dotyk, każdy zapach i każdy dźwięk, każdą iskrę w sercu i szept w uszach, tylko uważaj, żeby nie dotykać: włóż rękawiczki, bo jeśli dotkniesz tego jeszcze raz, już nie zdołasz się uwolnić. Weź każdy kolor i każdą pieszczotę. Zwiąż je razem, ściśnij porządnie i spal, nie patrząc, jak się kurczą i zmieniają w popiół.

Potem wyrzuć nawet ten popiół.

Właśnie to należy zrobić.

Chciałabym jeszcze tylko nie mieć poczucia winy, chciałabym nie musieć nienawidzić samej siebie.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Ściskam głowę rękami i przygryzam wargi tak mocno, że widzę iskry pod powiekami. Czuję smak krwi na języku i między zębami.

Znów dzwoni komórka.

Pozwalam jej dzwonić; wcześniej czy później przestanie.

Lorenzo, pokazuje wyświetlacz.

Odbieram.

– Nareszcie, Vichi, zaczynałem się martwić.

Złość i frustracja na niego znikają na dźwięk tych słów: mój przyjaciel się martwi, martwi się o mnie, to wystarczy, żeby znów go kochać.

– Naprawdę potrzebuję pomocy. Sytuacja z Ginevrą jest nie do zniesienia i…

Pomocy? Po tym, jak całkiem sam nawarzyłeś tego piwa, teraz chcesz pomocy? Ode mnie?

Chcesz pomocy, rady, nic więcej. Kogoś, przed kim będziesz mógł się wygadać, psychologa, któremu możesz się zwierzyć, szczerej opinii, na której możesz polegać, bezstronnego osądu i ramienia, na którym się wypłaczesz.

Tego potrzebuje Lorenzo, ma w nosie, że nie było mnie dzisiaj w szkole nie wiadomo dlaczego.

Ogarniają mnie wściekłość i furia, które zatruwają wszystko; ściskam komórkę, tak mocno, że zaraz ją zgniotę.

– Dobra – cedzę przez zęby. – Dobra, potrzebujesz pomocy. – Głos mi się rwie z niechęci i rozczarowania. – Oczywiście rozumiem, i nie odmawiam ci jej, jak nie odmawiam nigdy ani tobie, ani Ginevrze – podkreślam każde słowo, mój głos znów przepełnia

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

smutek – bo was kocham i dobrze o tym wiecie. Ale... przychodzi wam czasem do głowy, że ja też mam jakieś życie? Że moje życie też może się walić? – krzyczę i czuję, że znów mam mokre policzki, przez co jeszcze bardziej chce mi się krzyczeć. – I że być może mnie też przydałaby się od czasu do czasu odrobina pomocy?

Wrzeszczę na całe gardło, aż głos znów grzęźnie mi w gardle, zduszony łzami.

Wyłączam telefon i rzucam go na podłogę.

Odbija się i znika pod łóżkiem.

Nikogo nie obchodzi, jak ja się czuję. Taka jest prawda.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

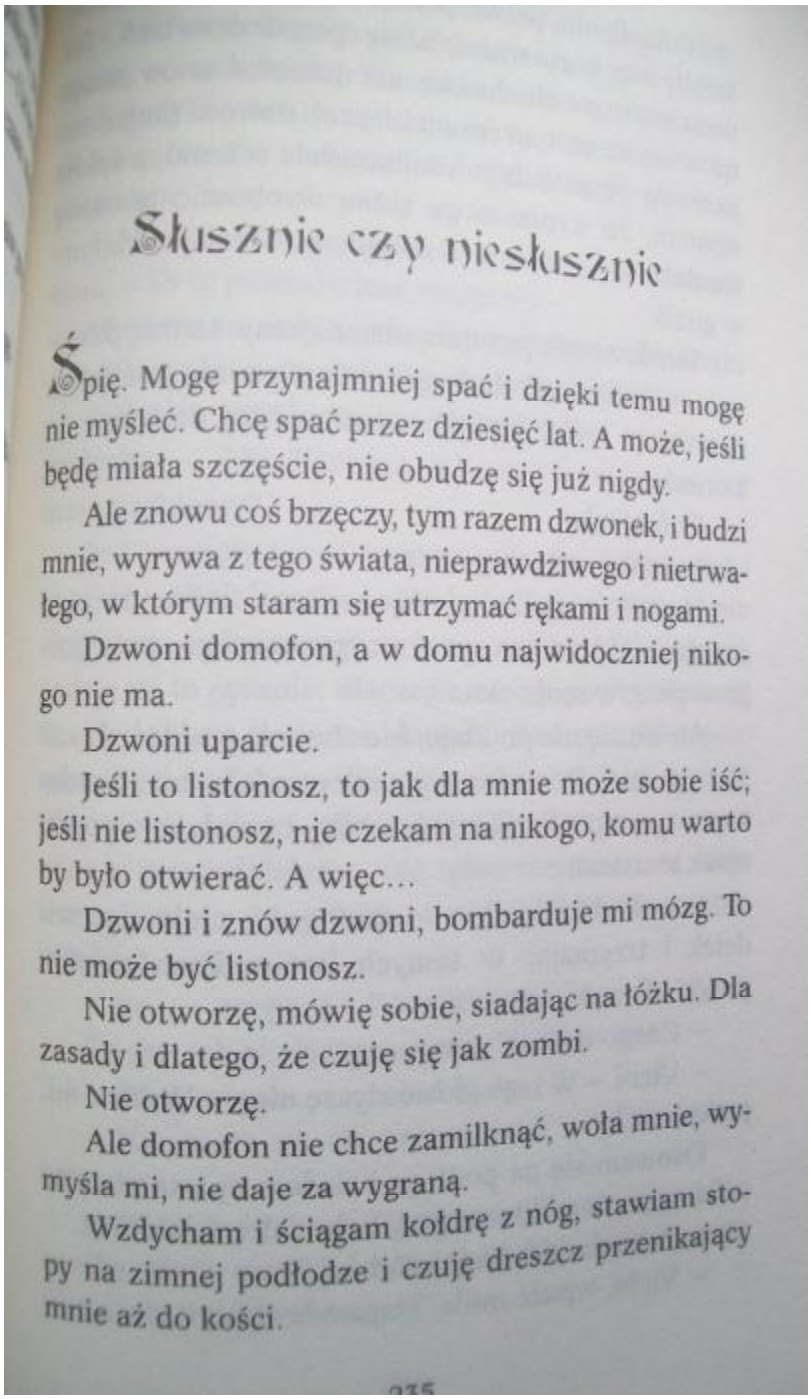

Słusznie czy niesłusznie

Śpię. Mogę przynajmniej spać i dzięki temu mogę nie myśleć. Chcę spać przez dziesięć lat. A może, jeśli będę miała szczęście, nie obudzę się już nigdy.

Ale znowu coś brzęczy, tym razem dzwonek, i budzi mnie, wyrywa z tego świata, nieprawdziwego i nietrwałego, w którym staram się utrzymać rękami i nogami.

Dzwoni domofon, a w domu najwidoczniej nikogo nie ma.

Dzwoni uparcie.

Jeśli to listonosz, to jak dla mnie może sobie iść; jeśli nie listonosz, nie czekam na nikogo, komu warto by było otwierać. A więc…

Dzwoni i znów dzwoni, bombarduje mi mózg. To nie może być listonosz.

Nie otworzę, mówię sobie, siadając na łóżku. Dla zasady i dlatego, że czuję się jak zombi.

Nie otworzę.

Ale domofon nie chce zamilknąć, woła mnie, wymyśla mi, nie daje za wygraną.

Wzdycham i ściągam kołdrę z nóg, stawiam stopy na zimnej podłodze i czuję dreszcz przenikający mnie aż do kości.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Człapię do drzwi pokoju, otulona ciemnością. Wlokę się korytarzem, staję przed drzwiami. Już mam podnieść słuchawkę, ale domofon znów zaczyna wrzeszczeć, tym razem inaczej: dzwoni długo, bez przerwy, przez dobrych kilkanaście sekund, z takim uporem, że wręcz mogę sobie wyobrazić tę osobę na dole, z palcami wskazującymi obu rąk wbitymi w guzik.

Ten dzwonek jest dziwnie znajomy: to mój dzwonek, mój dzwonek do kogoś, kto wiecznie jest zajęty suszeniem szopy jasnych włosów. Mój dzwonek do Lorenza.

Cofam rękę.

I czuję w ustach gorycz.

Domofon milknie. Wyobrażam sobie mojego przyjaciela pokonanego, zrezygnowanego, patrzącego w górę, w moje okna.

Ale on się nie poddaje, nie chce się poddać: dzwoni z uporem. Domofon wyje jak oszalała, niezmordowana syrena, więc zamykam oczy i przełykam gorzki smak w ustach.

Powoli zbliżam dłoń do słuchawki, zdejmuję z widełek i trzymając w samych koniuszkach palców, przykładam do ucha.

– Czego chcesz? – szepczę.

– Vichi. – W jego głosie słyszę ulgę. – Wybacz mi, proszę cię…

Osuwam się na podłogę i siadam oparta plecami o ścianę, z domofonem przy uchu jak z telefonem.

– Potrzebujesz mojej pomocy?

– Vichi, wpuść mnie, błagam.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

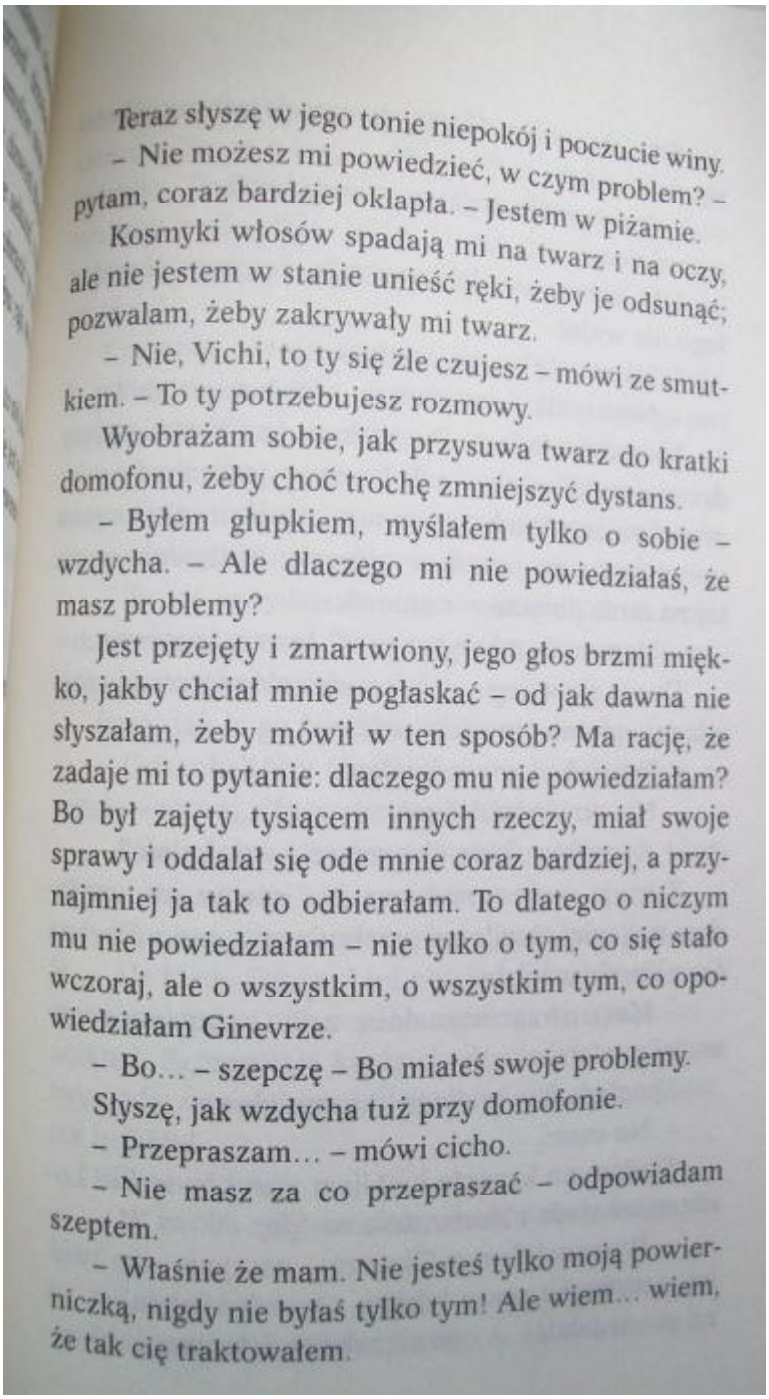

Teraz słyszę w jego tonie niepokój i poczucie winy.

– Nie możesz mi powiedzieć, w czym problem? – pytam, coraz bardziej oklapła. – Jestem w piżamie.

Kosmyki włosów spadają mi na twarz i na oczy, ale nie jestem w stanie unieść ręki, żeby je odsunąć; pozwalam, żeby zakrywały mi twarz.

– Nie, Vichi, to ty się źle czujesz – mówi ze smutkiem. – To ty potrzebujesz rozmowy.

Wyobrażam sobie, jak przysuwa twarz do kratki domofonu, żeby choć trochę zmniejszyć dystans.

– Byłem głupkiem, myślałem tylko o sobie – wzdycha. – Ale dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz problemy?

Jest przejęty i zmartwiony, jego głos brzmi miękko, jakby chciał mnie pogłaskać – od jak dawna nie słyszałam, żeby mówił w ten sposób? Ma rację, że zadaje mi to pytanie: dlaczego mu nie powiedziałam? Bo był zajęty tysiącem innych rzeczy, miał swoje sprawy i oddalał się ode mnie coraz bardziej, a przynajmniej ja tak to odbierałam. To dlatego o niczym mu nie powiedziałam – nie tylko o tym, co się stało wczoraj, ale o wszystkim, o wszystkim tym, co opowiedziałam Ginevrze.

– Bo… – szepczę – Bo miałeś swoje problemy.

Słyszę, jak wzdycha tuż przy domofonie.

– Przepraszam… – mówi cicho.

– Nie masz za co przepraszać – odpowiadam szeptem.

– Właśnie że mam. Nie jesteś tylko moją powierniczką, nigdy nie byłaś tylko tym! Ale wiem… wiem, że tak cię traktowałem.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Otwieram oczy. Gorycz w ustach jest już odrobinę mniejsza.

– Jesteś moją najlepszą przyjaciółką... – mówi z uczuciem.

Uśmiecham się słabo; szkoda, że przez domofon tego nie widać.

– Naprawdę? – pytam cicho.

– Naprawdę – potwierdza. – Wybaczysz mi?

Nie odpowiadam. Przyciskam guzik otwierający drzwi i po kilku chwilach Lorenzo jest przed moim mieszkaniem. Kiedy otwieram, zupełnie nie zwraca uwagi na to, że jestem w piżamie; dosłownie rzuca się na mnie i bierze w ramiona.

– Naprawdę mi wybaczasz? Jestem kretynem.

Duszę się w jego uścisku, ale tak naprawdę sprawia mi ogromną przyjemność.

– Tak, już ci powiedziałam.

– Nie powiedziałaś mi.

– A według ciebie dlaczego cię wpuściłam?

Taksuje mnie wzrokiem. Na pewno nie wyglądam najlepiej chwilę po przebudzeniu, rozczochrana i w piżamie w misie.

– Masz strasznego doła, co? – pyta mnie poważnie.

Spoglądam w podłogę i kiwam głową.

– No mam.

Siadam na kanapie i wbijam wzrok w stolik. Lorenzo też siada i bierze mnie za rękę.

– Rozmawiałem z Ginevrą – zaczyna – po twoim... wybuchu przez telefon. Opowiedziałem jej, co mi powiedziałaś. A ona się tak przejęła, że powtórzy-

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

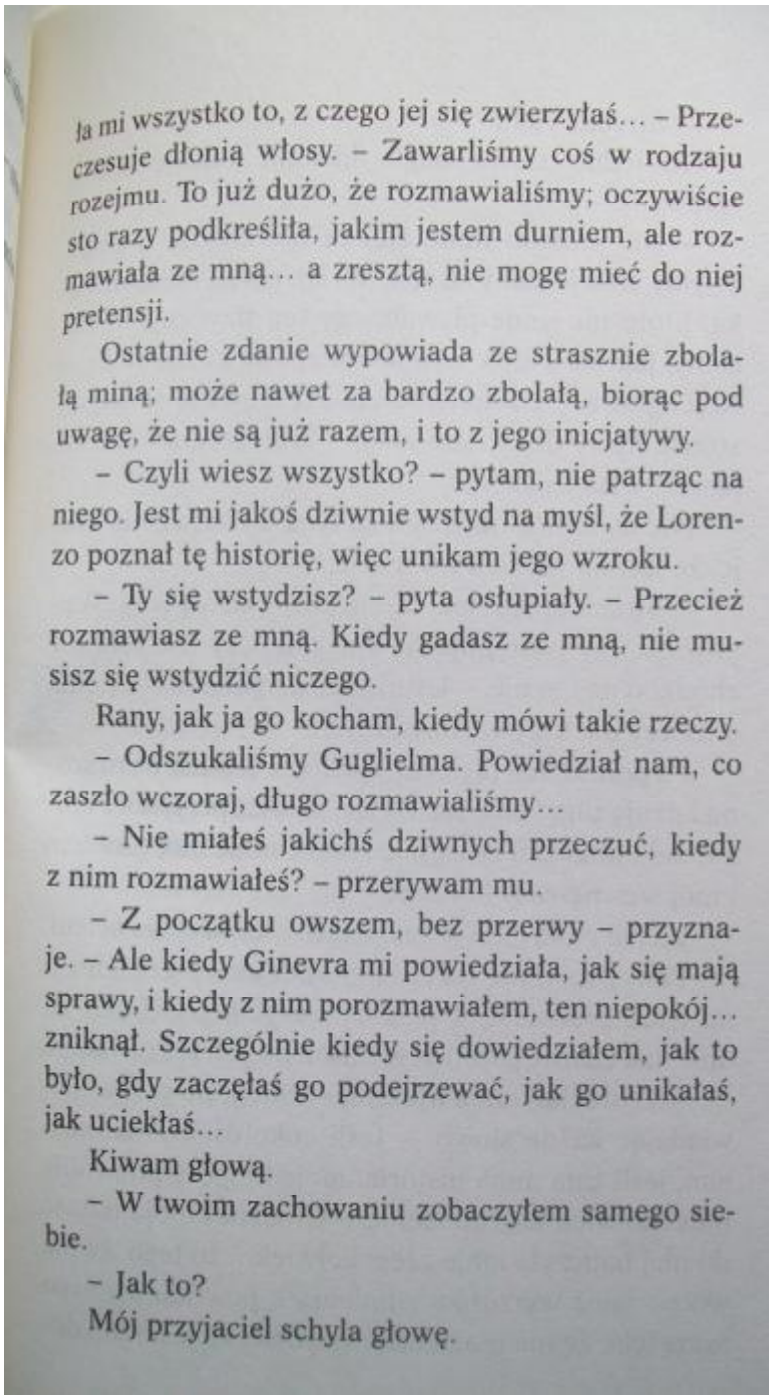

ła mi wszystko to, z czego jej się zwierzyłaś… – Przeczesuje dłonią włosy. – Zawarliśmy coś w rodzaju rozejmu. To już dużo, że rozmawialiśmy; oczywiście sto razy podkreśliła, jakim jestem durniem, ale rozmawiała ze mną… a zresztą, nie mogę mieć do niej pretensji.

Ostatnie zdanie wypowiada ze strasznie zbolałą miną; może nawet za bardzo zbolałą, biorąc pod uwagę, że nie są już razem, i to z jego inicjatywy.

– Czyli wiesz wszystko? – pytam, nie patrząc na niego. Jest mi jakoś dziwnie wstyd na myśl, że Lorenzo poznał tę historię, więc unikam jego wzroku.

– Ty się wstydzisz? – pyta osłupiały. – Przecież rozmawiasz ze mną. Kiedy gadasz ze mną, nie musisz się wstydzić niczego.

Rany, jak ja go kocham, kiedy mówi takie rzeczy.

– Odszukaliśmy Guglielma. Powiedział nam, co zaszło wczoraj, długo rozmawialiśmy…

– Nie miałeś jakichś dziwnych przeczuć, kiedy z nim rozmawiałeś? – przerywam mu.

– Z początku owszem, bez przerwy – przyznaje. – Ale kiedy Ginevra mi powiedziała, jak się mają sprawy, i kiedy z nim porozmawiałem, ten niepokój… zniknął. Szczególnie kiedy się dowiedziałem, jak to było, gdy zaczęłaś go podejrzewać, jak go unikałaś, jak uciekłaś…

Kiwam głową.

– W twoim zachowaniu zobaczyłem samego siebie.

– Jak to?

Mój przyjaciel schyla głowę.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Strach, Vichi.

To jedno słowo nagle idealnie oddaje sedno sprawy.

– Nie zrozum mnie źle, tu nie chodzi o głupi, zwykły, irracjonalny strach, jak lęk przed wodą dziecka, które nie umie pływać, czy ten fizyczny, namacalny, jak na widok wymierzonego w ciebie noża. – Kręci głową. – Niestety, tu chodzi o owiele silniejszy strach, który doskonale znam i którego doświadczyłem na własnej skórze.

Nie do końca nadążam za tym, co mówi, ale czuję, że jest na właściwym tropie.

– Strach przed tym, co się czuje, co się robi. Wątpliwość, czy postępuje się słusznie, czy nie. Ale nie chodzi o nas, o nie. – Uśmiecha się gorzko. – Chodzi o to, czy nie krzywdzimy innych.

Po policzkach płyną mi dwie łzy. Jestem wzruszona i czuję ulgę, bo okazuje się, że mój przyjaciel zrozumiał i pozwolił zrozumieć także mnie mój problem i mój wewnętrzny konflikt.

Bierze moją dłoń w swoje ręce i ściska z uczuciem.

Patrzy na mnie niebieskimi oczami, przenikliwymi i tak pięknymi, z plamką cierpienia głęboko na dnie, jak czarny paproch w turkusowych tęczówkach.

– Posłuchaj mnie uważnie – mówi, powoli wypowiadając każde słowo. – Jeśli cokolwiek zrozumiałem, jeśli cała moja historia, moje kłopoty pozwoliły mi cokolwiek zrozumieć, jeśli Ginevra i moja miłość do niej nauczyła mnie czegokolwiek... to tego, że nie wolno mieć wyrzutów sumienia z powodu swojego szczęścia, że nie można się wstydzić, że jest nam do-

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

brze i nigdy nie wolno przepraszać za wybór dokonany sercem.

Teraz patrzy mi prosto w twarz, studiuje mnie, bada moje emocje.

– Nigdy, nigdy nie żałuj, że zrobiłaś cokolwiek, jeśli robiąc to, byłaś szczęśliwa.

Wstrzymuję oddech. Ma rację.

– A ty jesteś z nim szczęśliwa – dodaje, jakby wiedział to na pewno, i może wie, bo zna mnie naprawdę dobrze, nawet jeśli czasami w to wątpię.

„Nigdy, nigdy nie żałuj, że zrobiłaś cokolwiek, jeśli robiąc to, byłaś szczęśliwa". To zdanie odbija się echem w mojej głowie.

Zarzucam mu ręce na szyję i wybucham płaczem.

– Jesteś kretynem – mówię głosem zduszonym od łez wzruszenia.

– Dzięki – odpowiada ze śmiechem.

Kiedy wycieram oczy, dociera do mnie, że to, co powiedział, jest związane z Ginevrą, bo inaczej nawet by o tym nie pomyślał.

– Lorenzo, ale Guglielmo jest…

Ostatnie słowo ginie w szlochu.

– Ja ci podałem przepis, a teraz sama musisz się przekonać, czy możesz go zastosować… – Podaje mi zmiętą białą kopertę. – Ale najpierw to przeczytaj.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

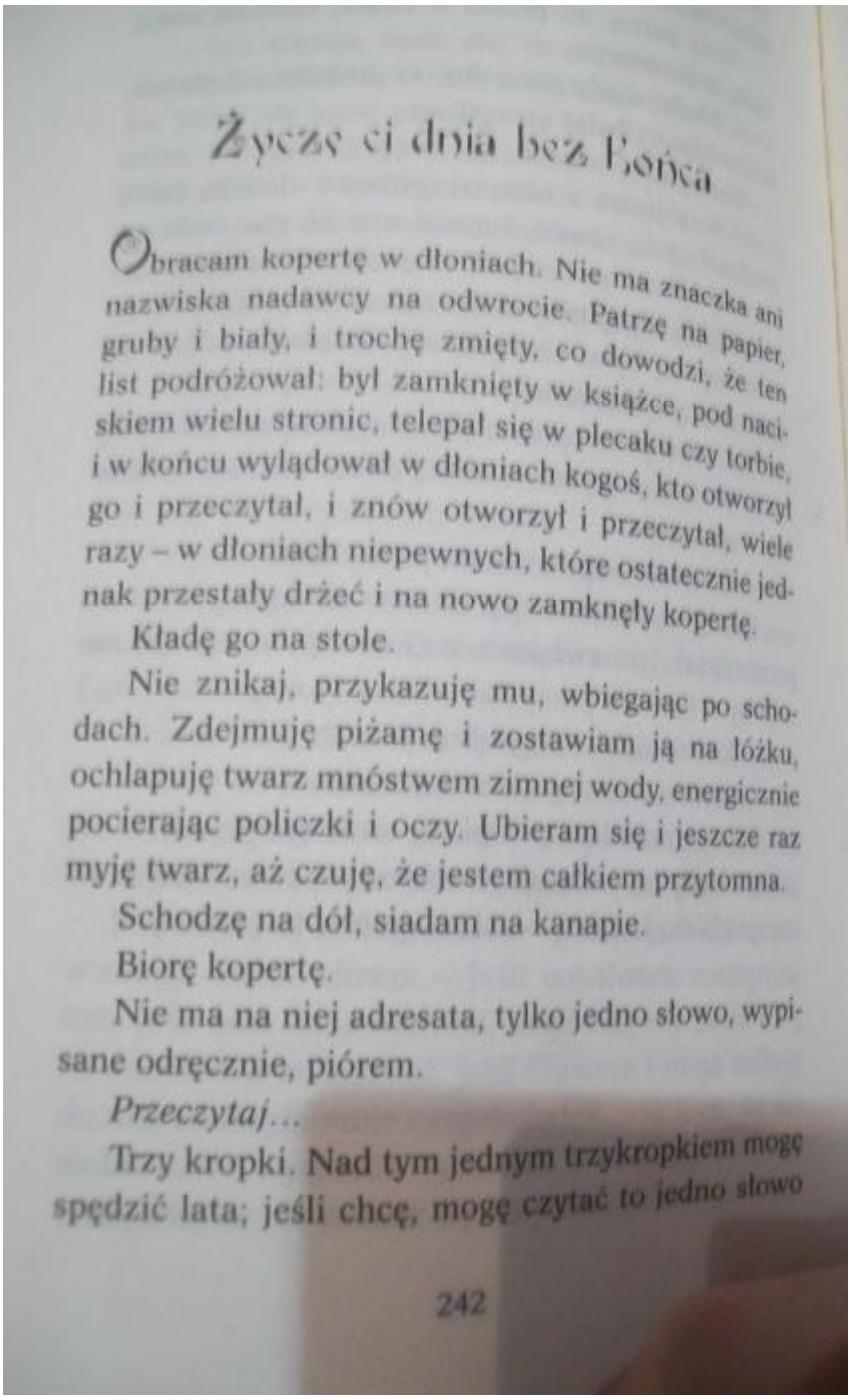

Życzę ci dnia bez końca

Obracam kopertę w dłoniach. Nie ma znaczka ani nazwiska nadawcy na odwrocie. Patrzę na papier, gruby i biały, i trochę zmięty, co dowodzi, że ten list podróżował: był zamknięty w książce, pod naciskiem wielu stronic, telepał się w plecaku czy torbie, i w końcu wylądował w dłoniach kogoś, kto otworzył go i przeczytał, i znów otworzył i przeczytał, wiele razy – w dłoniach niepewnych, które ostatecznie jednak przestały drżeć i na nowo zamknęły kopertę.

Kładę go na stole.

Nie znikaj, przykazuję mu, wbiegając po schodach. Zdejmuję piżamę i zostawiam ją na łóżku, ochlapuję twarz mnóstwem zimnej wody, energicznie pocierając policzki i oczy. Ubieram się i jeszcze raz myję twarz, aż czuję, że jestem całkiem przytomna.

Schodzę na dół, siadam na kanapie.

Biorę kopertę.

Nie ma na niej adresata, tylko jedno słowo, wypisane odręcznie, piórem.

Przeczytaj…

Trzy kropki. Nad tym jednym trzykropkiem mogę spędzić lata; jeśli chcę, mogę czytać to jedno słowo

242

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

choćby pięćdziesiąt razy, i za każdym razem przypisać tym trzem kropkom z atramentu całkowicie inne znaczenie. Z tych trzech kropek mogę zbudować i zburzyć tysiąc zamków na piasku. Oprzeć na nich dziesięć tysięcy marzeń i tyleż samo rozczarowań.

Otwieram kopertę i wyciągam z niej arkusz pełen słów.

Kiedy trzymam list w ręce, przypomina mi się jedna z moich ulubionych piosenek, i każe czytać powoli, zmuszać oczy, żeby nie wybiegały za daleko do przodu, choć są takie niecierpliwe.

Z każdym słowem umiera kolejne uczucie.

Mam nadzieję, że w moim przypadku tak nie będzie.

Oddycham głęboko i czytam.

Zacząłem pisać ten list tego wieczoru, kiedy wróciłem do domu na Twoim skuterze, po wielu godzinach w grobowcu, który o mało nie stał się naszym grobem. Moim na pewno, gdyby nie Ty.

Jestem Twoim dłużnikiem, i to już wiesz.

Wiesz o mnie tyle rzeczy, Vichi, i może w tym właśnie problem: wiemy za dużo o sobie nawzajem. Gdybyśmy mieli łaskę niewiedzy, teraz stałbym przed Tobą, rozmawiał z Tobą osobiście, ciesząc się Twoją obecnością, i nie musiałbym do Ciebie pisać.

Ale może to i dobrze, że muszę pisać, a właściwie jestem tego pewien: dobrze się składa, a wiesz dlaczego?

Słowa to dziwne stworzenia, zawsze trzeba z nimi bardzo uważać, bo istnieje ryzyko, że wymkną się

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

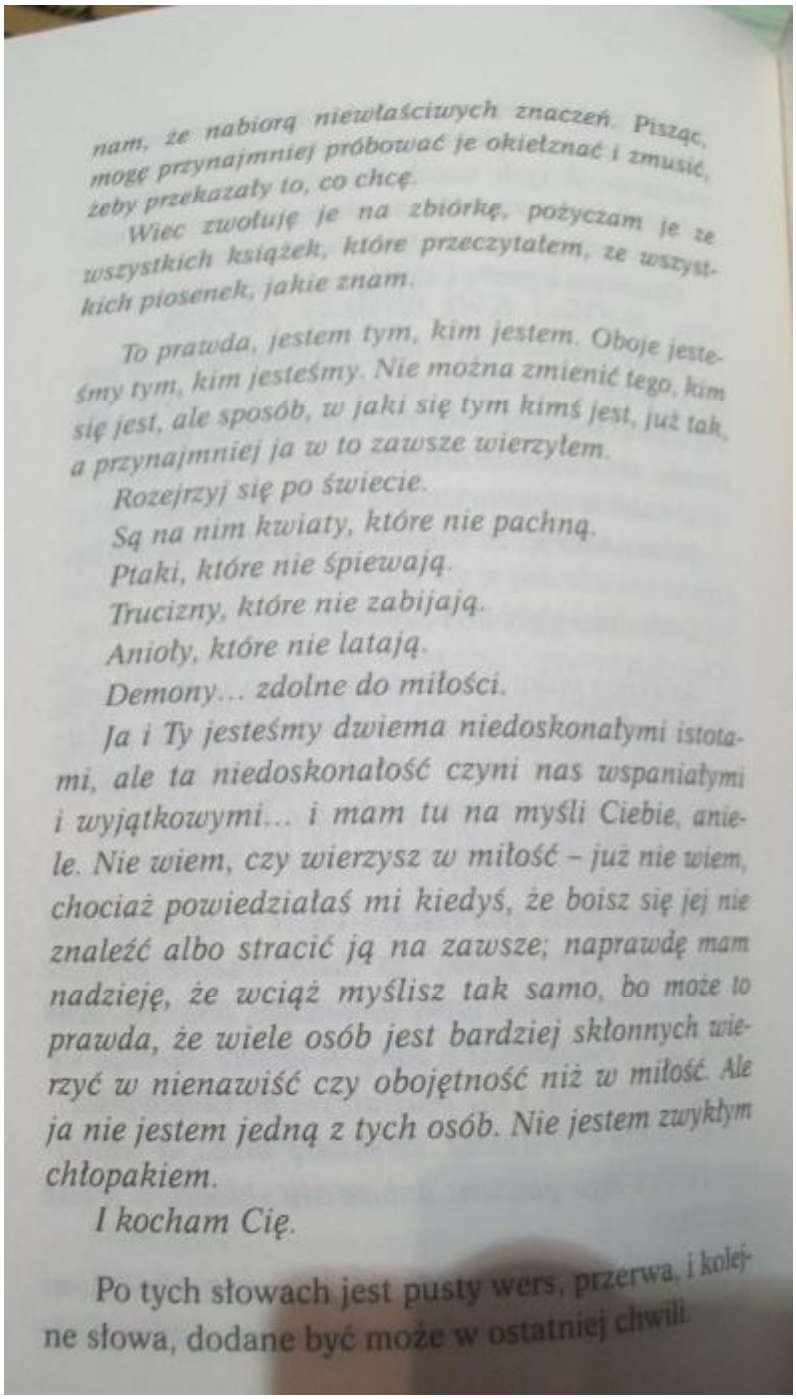

nam, że nabiorą niewłaściwych znaczeń. Pisząc, mogę przynajmniej próbować je okiełznać i zmusić, żeby przekazały to, co chcę.

Więc zwołuję je na zbiórkę, pożyczam je ze wszystkich książek, które przeczytałem, ze wszystkich piosenek, jakie znam.

To prawda, jestem tym, kim jestem. Oboje jesteśmy tym, kim jesteśmy. Nie można zmienić tego, kim się jest, ale sposób, w jaki się tym kimś jest, już tak, a przynajmniej ja w to zawsze wierzyłem.

Rozejrzyj się po świecie.

Są na nim kwiaty, które nie pachną.

Ptaki, które nie śpiewają.

Trucizny, które nie zabijają.

Anioły, które nie latają.

Demony... zdolne do miłości.

Ja i Ty jesteśmy dwiema niedoskonałymi istotami, ale ta niedoskonałość czyni nas wspaniałymi i wyjątkowymi... i mam tu na myśli Ciebie, aniele. Nie wiem, czy wierzysz w miłość – już nie wiem, chociaż powiedziałaś mi kiedyś, że boisz się jej nie znaleźć albo stracić ją na zawsze; naprawdę mam nadzieję, że wciąż myślisz tak samo, bo może to prawda, że wiele osób jest bardziej skłonnych wierzyć w nienawiść czy obojętność niż w miłość. Ale ja nie jestem jedną z tych osób. Nie jestem zwykłym chłopakiem.

I kocham Cię.

Po tych słowach jest pusty wers, przerwa, i kolejne słowa, dodane być może w ostatniej chwili.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

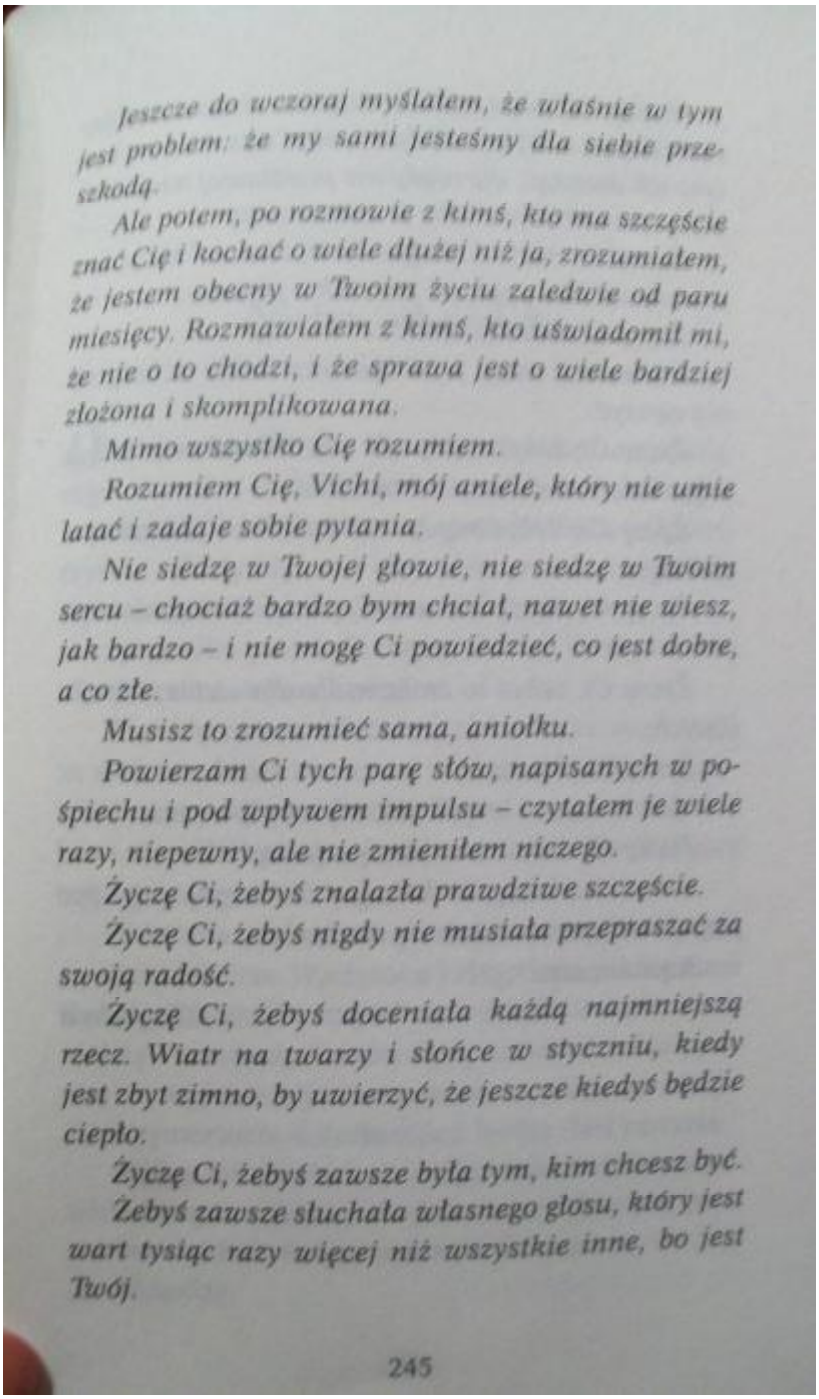

Jeszcze do wczoraj myślałem, że właśnie w tym jest problem: że my sami jesteśmy dla siebie przeszkodą.

Ale potem, po rozmowie z kimś, kto ma szczęście znać Cię i kochać o wiele dłużej niż ja, zrozumiałem, że jestem obecny w Twoim życiu zaledwie od paru miesięcy. Rozmawiałem z kimś, kto uświadomił mi, że nie o to chodzi, i że sprawa jest o wiele bardziej złożona i skomplikowana.

Mimo wszystko Cię rozumiem.

Rozumiem Cię, Vichi, mój aniele, który nie umie latać i zadaje sobie pytania.

Nie siedzę w Twojej głowie, nie siedzę w Twoim sercu – chociaż bardzo bym chciał, nawet nie wiesz, jak bardzo – i nie mogę Ci powiedzieć, co jest dobre, a co złe.

Musisz to zrozumieć sama, aniołku.

Powierzam Ci tych parę słów, napisanych w pośpiechu i pod wpływem impulsu – czytałem je wiele razy, niepewny, ale nie zmieniłem niczego.

Życzę Ci, żebyś znalazła prawdziwe szczęście.

Życzę Ci, żebyś nigdy nie musiała przepraszać za swoją radość.

Życzę Ci, żebyś doceniała każdą najmniejszą rzecz. Wiatr na twarzy i słońce w styczniu, kiedy jest zbyt zimno, by uwierzyć, że jeszcze kiedyś będzie ciepło.

Życzę Ci, żebyś zawsze była tym, kim chcesz być.

Żebyś zawsze słuchała własnego głosu, który jest wart tysiąc razy więcej niż wszystkie inne, bo jest Twój.

245

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Wiatr znów nas odnajduje, porusza gałązkami wierzby, głaszcze je, miesza się z jego głosem, podobnym do głosu deszczu, który bębni w szyby i szeleści wśród liści. Głos światła, szelest nocy. Głos, który szepcze, kradnąc słowa wspaniałej piosenki, podkreślając jej piękno swoim oddechem.

– *Look at the stars* – mruczy, uśmiechając się, z twarzą tuż przy mojej szyi. – *Look how they shine for you... and everything you do**.

Wiatr przybiera na sile, śmiejąc się z nas i z nami, a na niebie po cichutku pojawiają się kolejne gwiazdy.

– Nie warto kraść słów Chrisa Martina.

– Okej, masz rację – przyznaje, rozpływając się w uśmiechu. – Może ta będzie bardziej odpowiednia...

Yellow Coldplay cichnie w iPodzie, ustępując miejsca innej piosence.

Marszczę czoło, bo jej nie rozpoznaję, chociaż nuty brzmią znajomo.

– *My life is brilliant... my love is pure...***

Krew płynie mi szybciej, oddech przyspiesza razem z nią, a on jeszcze bardziej zbliża twarz do mojego ucha, niemal jakby chciał zdradzić mi jakiś sekret, a nie słowa piosenki.

– *I saw an angel, of that I'm sure****.

Piosenka wypełnia się jego słodkim, melodyjnym śmiechem, jak dźwięk wietrznych dzwonków, które

---

* Popatrz na gwiazdy, popatrz, jak błyszczą dla ciebie, i dla wszystkiego, co robisz, Coldplay *Yellow*.

** Moje życie jest wspaniałe, moja miłość jest czysta, James Blunt *Angel*.

*** Widziałem anioła, tego jestem pewien, James Blunt *Angel*.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

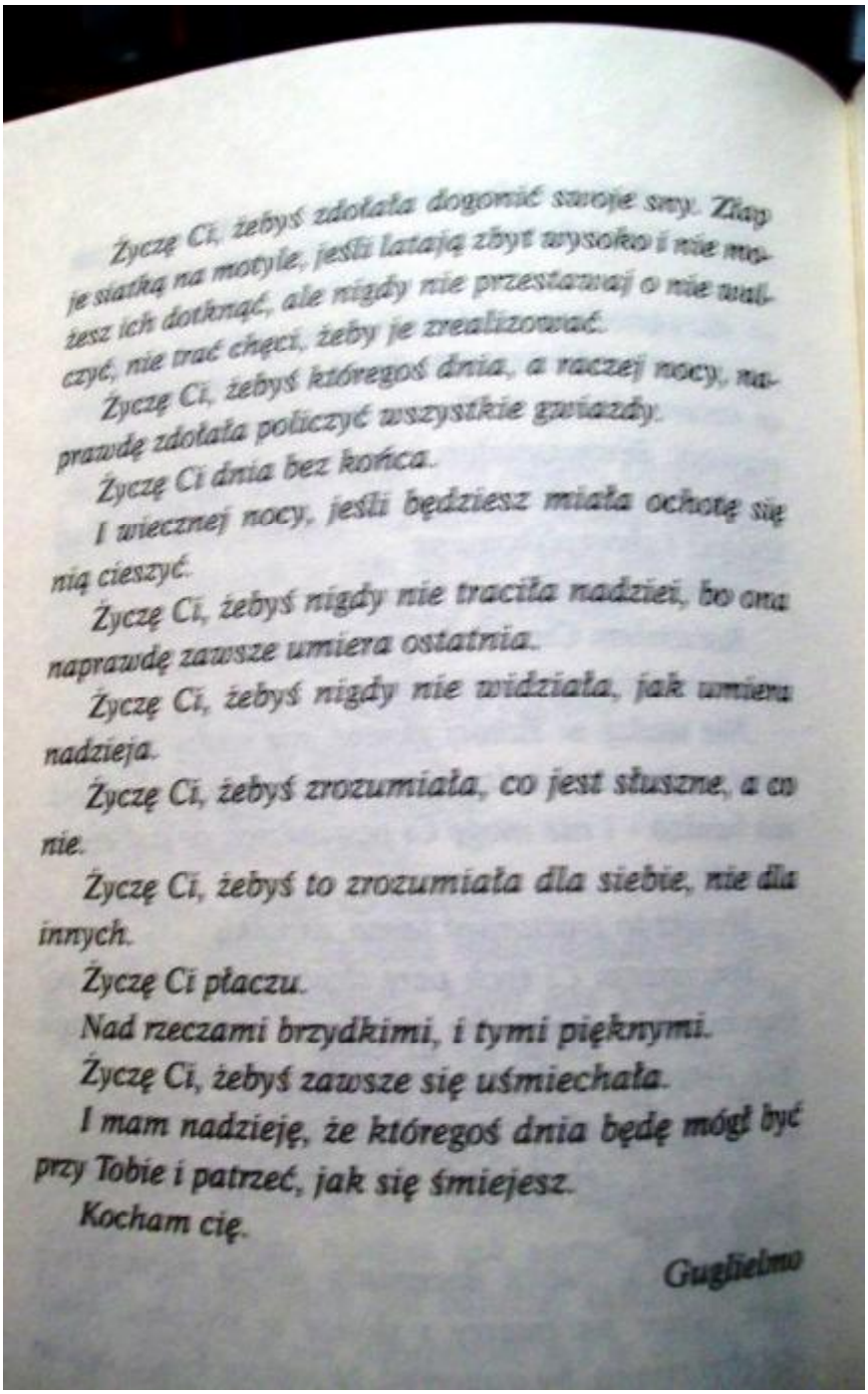

Życzę Ci, żebyś zdołała dogonić swoje sny. Złap je siatką na motyle, jeśli latają zbyt wysoko i nie możesz ich dotknąć, ale nigdy nie przestawaj o nie walczyć, nie trać chęci, żeby je zrealizować.

Życzę Ci, żebyś któregoś dnia, a raczej nocy, naprawdę zdołała policzyć wszystkie gwiazdy.

Życzę Ci dnia bez końca.

I wiecznej nocy, jeśli będziesz miała ochotę się nią cieszyć.

Życzę Ci, żebyś nigdy nie straciła nadziei, bo ona naprawdę zawsze umiera ostatnia.

Życzę Ci, żebyś nigdy nie widziała, jak umiera nadzieja.

Życzę Ci, żebyś zrozumiała, co jest słuszne, a co nie.

Życzę Ci, żebyś to zrozumiała dla siebie, nie dla innych.

Życzę Ci płaczu.

Nad rzeczami brzydkimi, i tymi pięknymi.

Życzę Ci, żebyś zawsze się uśmiechała.

I mam nadzieję, że któregoś dnia będę mógł być przy Tobie i patrzeć, jak się śmiejesz.

Kocham cię.

Guglielmo

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Niebo od piekła

Jest zima. Asfalt ulic błyszczy od lodu i zachodzącego słońca – światła, które rozjaśnia świat tylko w połowie. Wydłuża cienie i sprawia, że są półprzejrzyste... Kiedy idę, mój cień idzie przede mną, zdaje się wskazywać mi drogę, jest jak duch, który mi towarzyszy albo projekcja mojej własnej duszy na szaropomarańczowym chodniku.

Więc idę za tym szkicem mojej postaci, maszeruję ze słońcem, które świeci mi w plecy; promienie przenikają przez dżinsy i kurtkę, i przez moją dłoń, która bawi się nimi, przepuszczając światło przez szpary między palcami.

W świetle zachodzącego słońca wszystko wydaje się spokojniejsze. Wyciszone i złagodzone. Ale potem słońce zachodzi i zaczyna się wieczór, o wiele ciemniejszy i surowszy, i znów będę zadawać sobie pytanie, czy naprawdę jestem pewna, że wiem, co robię.

A tymczasem dotarłam pod furtkę. Jest otwarta.

Słońce już zaszło i pomarańczowe światło całkowicie ustąpiło miejsca blaskowi zorzy. Nie jest jeszcze ciemno i nie będzie przez pewien czas.

Wchodzę.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

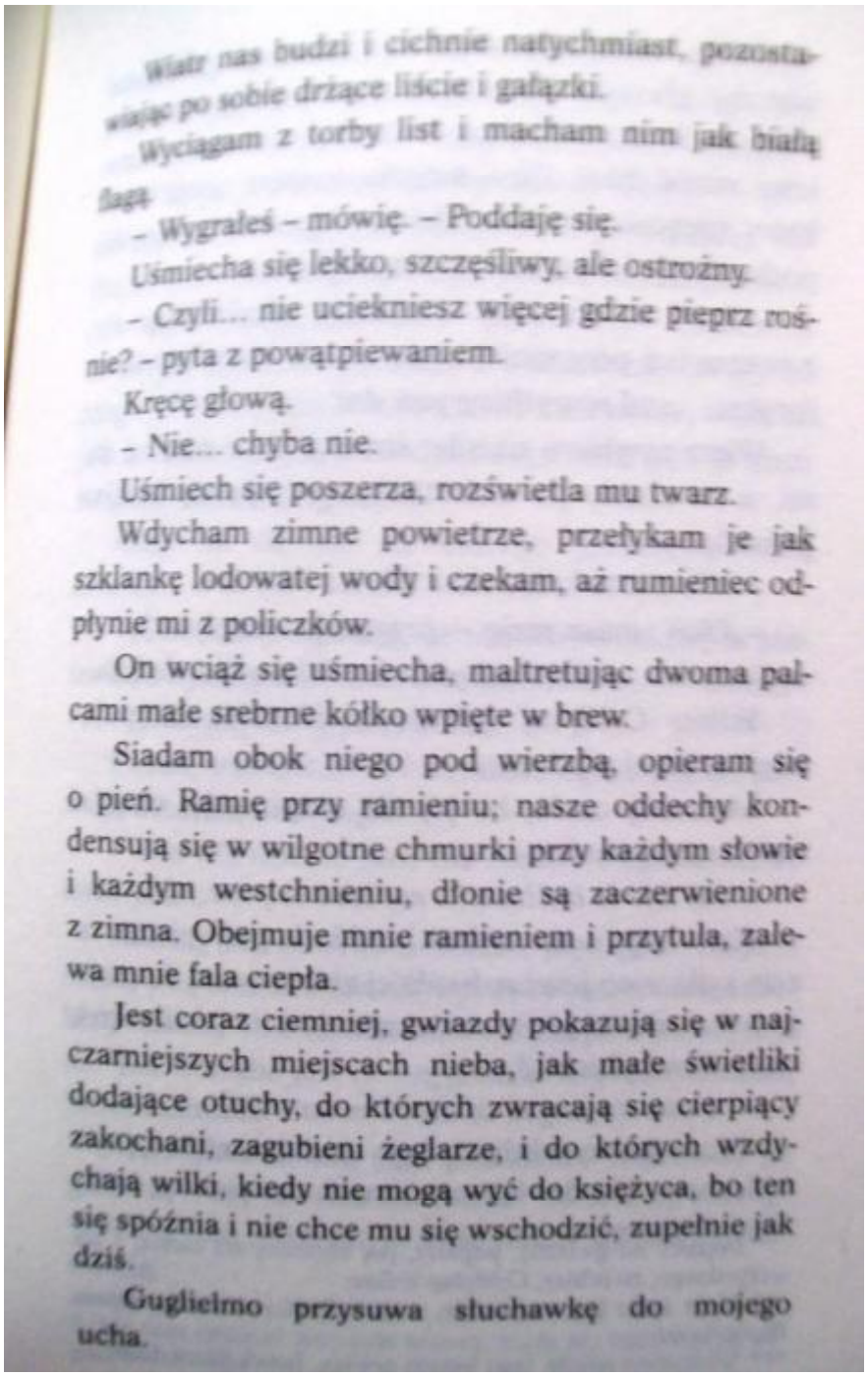

Wiatr nas budzi i cichnie natychmiast, pozostawiając po sobie drżące liście i gałązki.

Wyciągam z torby list i macham nim jak białą flagą.

– Wygrałeś – mówię. – Poddaję się.

Uśmiecha się lekko, szczęśliwy, ale ostrożny.

– Czyli... nie uciekniesz więcej gdzie pieprz rośnie? – pyta z powątpiewaniem.

Kręcę głową.

– Nie... chyba nie.

Uśmiech się poszerza, rozświetla mu twarz.

Wdycham zimne powietrze, przełykam je jak szklankę lodowatej wody i czekam, aż rumieniec odpłynie mi z policzków.

On wciąż się uśmiecha, maltretując dwoma palcami małe srebrne kółko wpięte w brew.

Siadam obok niego pod wierzbą, opieram się o pień. Ramię przy ramieniu; nasze oddechy kondensują się w wilgotne chmurki przy każdym słowie i każdym westchnieniu, dłonie są zaczerwienione z zimna. Obejmuje mnie ramieniem i przytula, zalewa mnie fala ciepła.

Jest coraz ciemniej, gwiazdy pokazują się w najczarniejszych miejscach nieba, jak małe świetliki dodające otuchy, do których zwracają się cierpiący zakochani, zagubieni żeglarze, i do których wzdychają wilki, kiedy nie mogą wyć do księżyca, bo ten się spóźnia i nie chce mu się wschodzić, zupełnie jak dziś.

Guglielmo przysuwa słuchawkę do mojego ucha.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

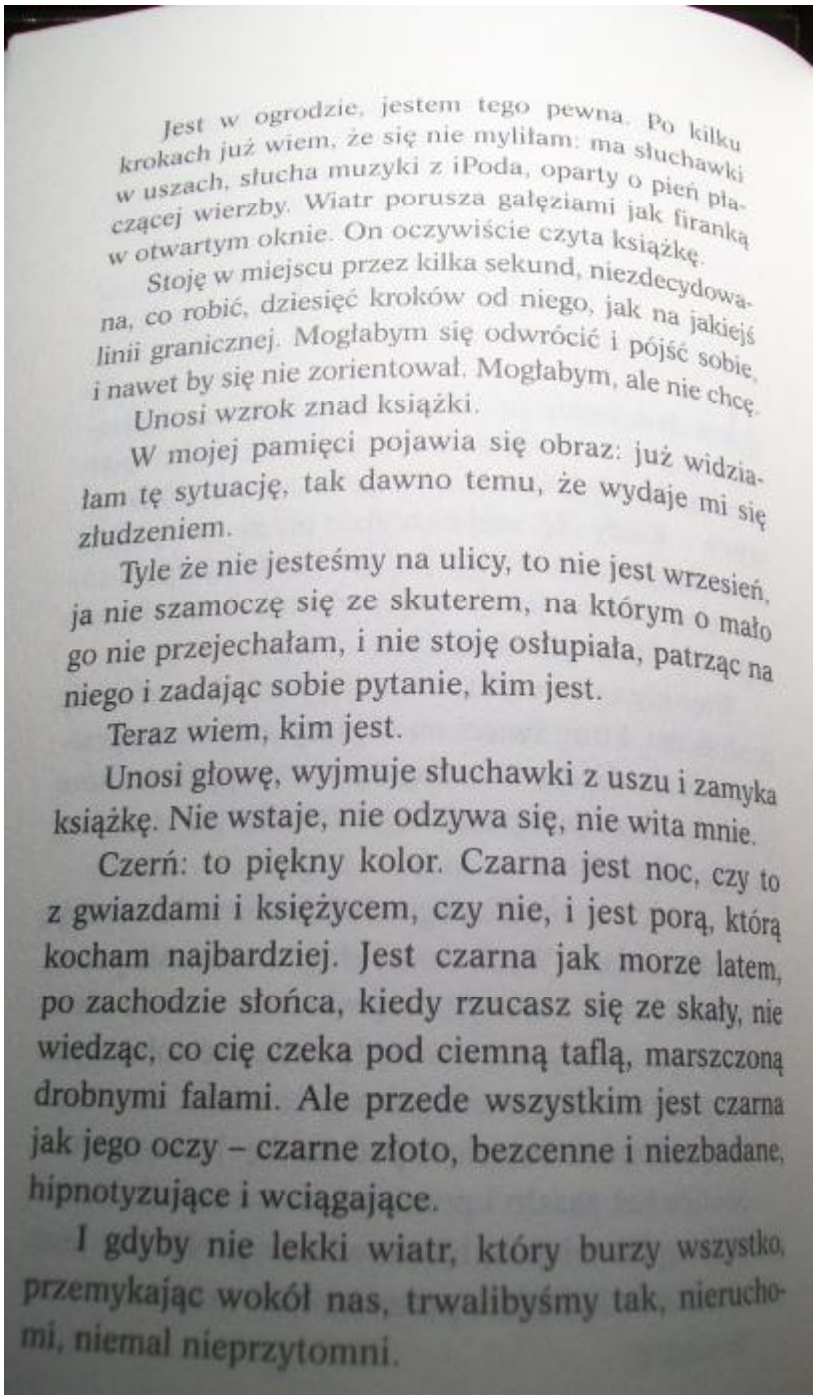

Jest w ogrodzie, jestem tego pewna. Po kilku krokach już wiem, że się nie myliłam: ma słuchawki w uszach, słucha muzyki z iPoda, oparty o pień płaczącej wierzby. Wiatr porusza gałęziami jak firanką w otwartym oknie. On oczywiście czyta książkę.

Stoję w miejscu przez kilka sekund, niezdecydowana, co robić, dziesięć kroków od niego, jak na jakiejś linii granicznej. Mogłabym się odwrócić i pójść sobie, i nawet by się nie zorientował. Mogłabym, ale nie chcę.

Unosi wzrok znad książki.

W mojej pamięci pojawia się obraz: już widziałam tę sytuację, tak dawno temu, że wydaje mi się złudzeniem.

Tyle że nie jesteśmy na ulicy, to nie jest wrzesień, ja nie szamoczę się ze skuterem, na którym o mało go nie przejechałam, i nie stoję osłupiała, patrząc na niego i zadając sobie pytanie, kim jest.

Teraz wiem, kim jest.

Unosi głowę, wyjmuje słuchawki z uszu i zamyka książkę. Nie wstaje, nie odzywa się, nie wita mnie.

Czerń: to piękny kolor. Czarna jest noc, czy to z gwiazdami i księżycem, czy nie, i jest porą, którą kocham najbardziej. Jest czarna jak morze latem, po zachodzie słońca, kiedy rzucasz się ze skały, nie wiedząc, co cię czeka pod ciemną taflą, marszczoną drobnymi falami. Ale przede wszystkim jest czarna jak jego oczy – czarne złoto, bezcenne i niezbadane, hipnotyzujące i wciągające.

I gdyby nie lekki wiatr, który burzy wszystko, przemykając wokół nas, trwalibyśmy tak, nieruchomi, niemal nieprzytomni.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

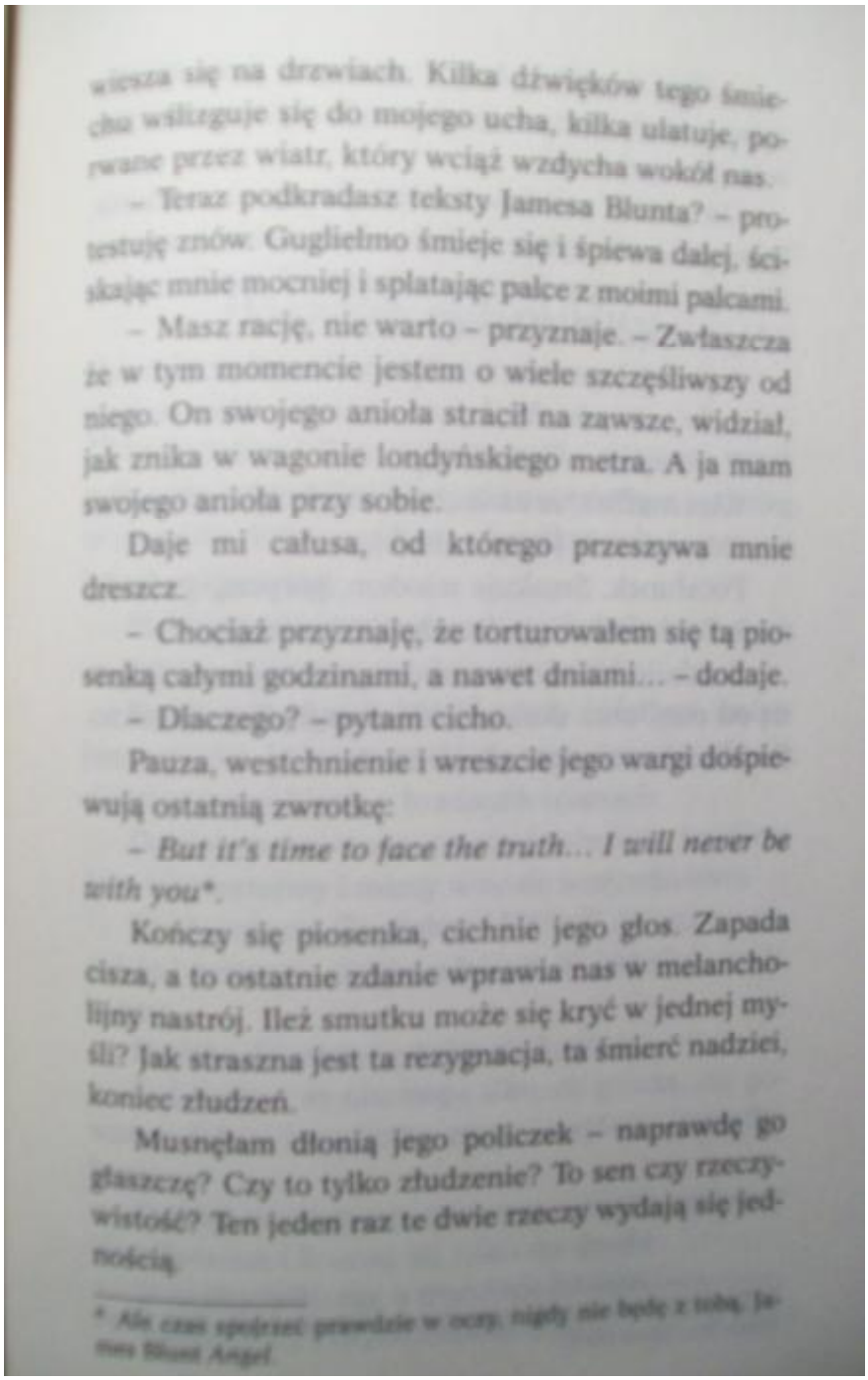

wiesza się na drzwiach. Kilka dźwięków tego śmiechu wślizguje się do mojego ucha, kilka ulatuje, porwane przez wiatr, który wciąż wzdycha wokół nas.

– Teraz podkradasz teksty Jamesa Blunta? – protestuję znów. Guglielmo śmieje się i śpiewa dalej, ściskając mnie mocniej i splatając palce z moimi palcami.

– Masz rację, nie warto – przyznaje. – Zwłaszcza że w tym momencie jestem o wiele szczęśliwszy od niego. On swojego anioła stracił na zawsze, widział, jak znika w wagonie londyńskiego metra. A ja mam swojego anioła przy sobie.

Daje mi całusa, od którego przeszywa mnie dreszcz.

– Chociaż przyznaję, że torturowałem się tą piosenką całymi godzinami, a nawet dniami… – dodaje.

– Dlaczego? – pytam cicho.

Pauza, westchnienie i wreszcie jego wargi dośpiewują ostatnią zwrotkę:

– *But it's time to face the truth… I will never be with you**.

Kończy się piosenka, cichnie jego głos. Zapada cisza, a to ostatnie zdanie wprawia nas w melancholijny nastrój. Ileż smutku może się kryć w jednej myśli? Jak straszna jest ta rezygnacja, ta śmierć nadziei, koniec złudzeń.

Musnęłam dłonią jego policzek – naprawdę go głaszczę? Czy to tylko złudzenie? To sen czy rzeczywistość? Ten jeden raz te dwie rzeczy wydają się jednością.

---

* *Ale czas spojrzeć prawdzie w oczy, nigdy nie będę z tobą.* James Blunt *Anioł*

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– *How I wish... how I wish you were here** – mówię, kiedy zaczyna grać muzyka, tym razem tylko w mojej wyobraźni.

On patrzy na mnie i kręci głową, nie rozumie, którą piosenkę cytuję, a ja bez lęku rzucam wyzwanie jego ciemnym oczom, czekając, aż rozświetlą się od tych słów, które tańczą w moim sercu.

A potem jego usta rozchylają się, tuż przy moich.

– *So... so you think you can tell... Heaven from Hell?* – szepcze w moje wargi.

Więc myślisz, że umiesz odróżnić niebo od piekła?

Odpowiedzią jest pocałunek.

Pocałunek. Smakuje miodem, goryczą, gwiazdami, które ledwie się pokazały i już zniknęły.

Smakuje trawą deptaną bosymi stopami, wilgotną od rosy, oraz słońcem, które zagląda przez okno. Pocałunek o smaku miłości i bólu.

---

* Tak bym chciała, tak bym chciała, żebyś tu był, Pink Floyd *Wish You Were Here*.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

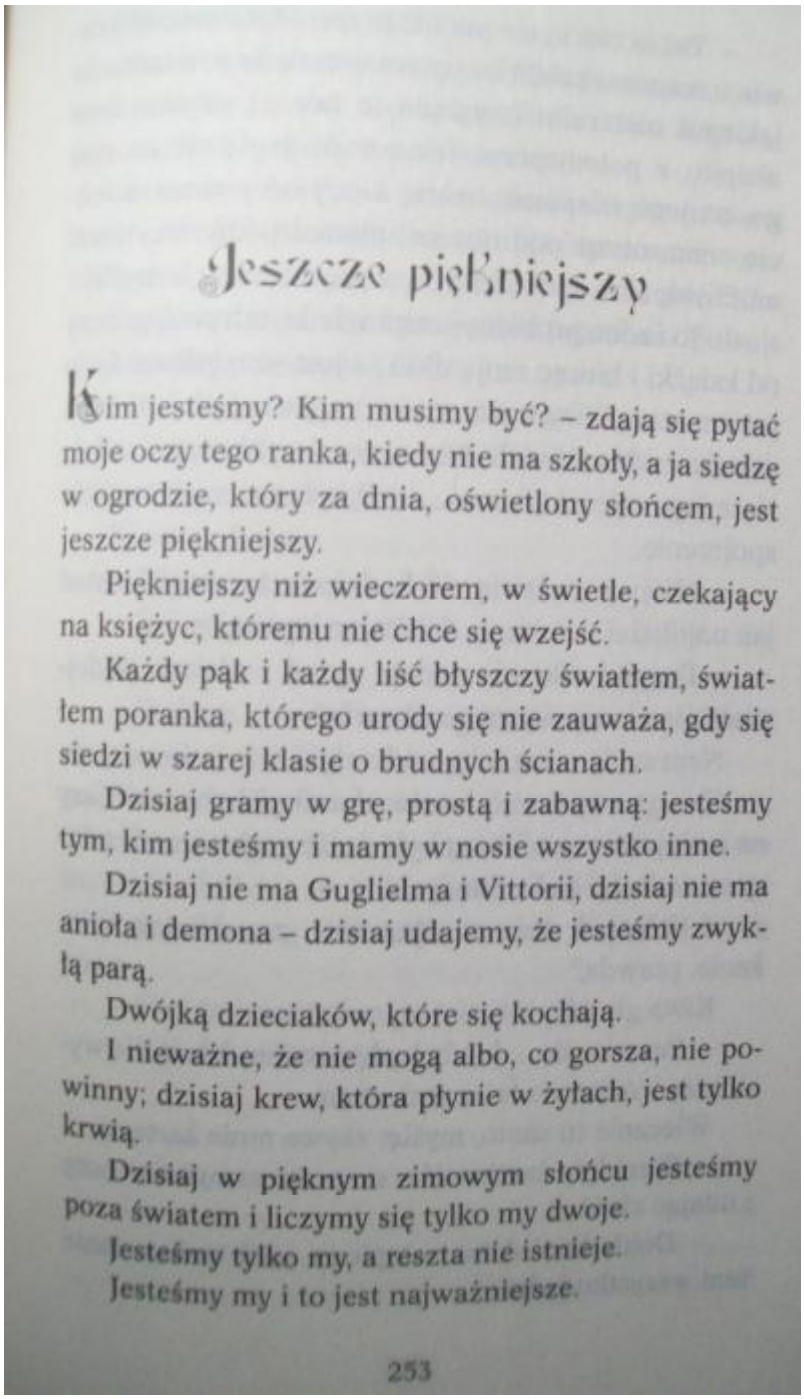

Jeszcze piękniejszy

Kim jesteśmy? Kim musimy być? – zdają się pytać moje oczy tego ranka, kiedy nie ma szkoły, a ja siedzę w ogrodzie, który za dnia, oświetlony słońcem, jest jeszcze piękniejszy.

Piękniejszy niż wieczorem, w świetle, czekający na księżyc, któremu nie chce się wzejść.

Każdy pąk i każdy liść błyszczy światłem, światłem poranka, którego urody się nie zauważa, gdy się siedzi w szarej klasie o brudnych ścianach.

Dzisiaj gramy w grę, prostą i zabawną: jesteśmy tym, kim jesteśmy i mamy w nosie wszystko inne.

Dzisiaj nie ma Guglielma i Vittorii, dzisiaj nie ma anioła i demona – dzisiaj udajemy, że jesteśmy zwykłą parą.

Dwójką dzieciaków, które się kochają.

I nieważne, że nie mogą albo, co gorsza, nie powinny; dzisiaj krew, która płynie w żyłach, jest tylko krwią.

Dzisiaj w pięknym zimowym słońcu jesteśmy poza światem i liczymy się tylko my dwoje.

Jesteśmy tylko my, a reszta nie istnieje.

Jesteśmy my i to jest najważniejsze.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Twoja ciocia nie ma nic przeciwko temu, że prawie tu zamieszkałam? – pytam w trakcie powtarzania jakiegoś materiału (wygląda to tak, że czytam dwa akapity, a potem przez wieczność gapię się na niego, na jego skupioną twarz, kiedy on powtarza lekcję, mamrocząc pod nosem, niemal jakby recytował modlitwę albo spowiadał się z najskrytszych myśli).

– To żaden problem – odpowiada, odrywając oczy od książki i biorąc moją dłoń. – Jest szczęśliwa, że ja jestem szczęśliwy, a poza tym przyjechaliśmy do tego miasta z własnej woli. Nie może narzekać, że zadaję się z jego mieszkańcami... – Posyła mi szelmowskie spojrzenie.

– Miejmy nadzieję, że będziecie tu mogli zostać jak najdłużej – mruczę, ściskając jego rękę.

– Dopóki nikt nie zadaje pytań i nie ma podejrzeń, nie mamy się czego obawiać.

Naprawdę mam taką nadzieję.

Zaczyna rysować koniuszkami palców zawijasy na mojej twarzy, jakbym była rzeźbą, głaszcze kontury oczu, kości policzkowych.

– Któregoś dnia mi opowiesz, przed czym uciekacie, prawda?

Kiwa głową.

– Pewnie, ale... kiedy będę pewien, że cię nie wystraszę – odpowiada ze śmiechem.

Wiecznie to samo, myślę; zbywa mnie żartami.

– Przeklęty żartowniś – szepczę, zamykając oczy i udając złość.

– Dokładnie! Albo potępiony, jeśli wolisz, mnie tam wszystko jedno.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Tym razem i ja się śmieję.

Muska moją twarz wargami. Tak po prostu, znienacka, kiedy jeszcze się śmieję. Stale mnie zaskakuje... naprawdę stwór z piekła rodem.

Uczucie wzbiera we mnie, uderza do głowy, unosi mnie i kładzie na miękkiej, złotej chmurce, aż sama nie pamiętam, jak się nazywam i co tu robię. Kładę dłonie na jego szyi i czuję, jak jego krew pulsuje miękko pod jedwabistą skórą.

Mogłabym umrzeć tu i teraz, myślę.

– Naprawdę chcesz to wiedzieć? – mruczy, muskając moje usta wargami.

Kiwam głową.

– I nie wystraszysz się?

– Już za późno na strach...

Wzdycha.

– Dobrze... w takim razie opowiem ci w skrócie, ale poczekaj chwilkę.

Wstaje i wchodzi do domu. A ja czekam, ciekawa, jaką formę może mieć to wyjaśnienie: listu, klejnotu, szkatułki? Ale po kilku chwilach Guglielmo znów staje przede mną z książką w ręce. Książką, którą znam.

– Moi rodzice też mają taką książkę.

– Nie dziwi mnie to.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Postanowiłam wyjechać

Niebo gna je aż na morski brzeg,
morze wypluwa na ziemię;
ziemia wyrzuca na niezmordowane
słońca promienie, a słońce na nowo
w niebieskie otchłanie;
jedno drugiemu odsyła, w wiecznym
obrzydzeniu;
kiedy jednak poniosą słuszną karę
i oczyszczą swe dusze, mogą zająć na nowo
miejsce im należne, dane przez naturę.

– Jest mowa o jakiejś karze – wyjaśnia z gorzkim uśmiechem. – Więc można zakładać, że wcześniej czy później to się skończy.

– Nie rozumiem…

Uśmiecha się.

– Jak na anioła wiesz bardzo niewiele!

Po prostu nie może się powstrzymać, żeby sobie ze mnie nie żartować, myślę, lekko rozbawiona. Ale może to jedyny sposób, żeby oddramatyzować tę sytuację – uciekając się do absurdu.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Moja historia jest jak negatyw twojej – ciągnie. – Wy jesteście tymi dobrymi, my tymi złymi, którzy wypowiedzieli posłuszeństwo. Wy jesteście istotami świętymi, my przeklętymi. Jesteśmy aniołami na odwrót…

– Aniołami na odwrót?

– Tak. Ze mną i z Norą jest trochę inaczej, ale to jest bardzo skomplikowana historia.

– Dlatego chcę, żebyś mi ją opowiedział.

Wpatruje się we mnie takim wzrokiem, jakby znał mnie od lat, jakby przewidywał moje reakcje i moje odpowiedzi, każdy mój ruch. Nawet książkę już zamknął, jakby wiedział, że nie będzie więcej potrzebna.

– Nora jest siostrą mojej matki – zaczyna powoli, jakby z trudem przywoływał w pamięci fragmenty swojej przeszłości. – Młodszą siostrą. Moi rodzicie nie żyją, jak ci już mówiłem. Zginęli, kiedy byłem mały. Minęło mnóstwo czasu – mówi zamyślony, głaszcząc moje palce. – Zostali zabici, a właściwie zgładzeni, za to, że chronili Norę.

Wzdycha i mówi dalej.

– Bo zakochała się w śmiertelniku, a to jest zakazane. Moi rodzice bronili jej podczas procesów, ale ostatecznie została skazana na śmierć. Moja matka nie mogła tego znieść. Jej mała siostrzyczka, którą wychowała niemal jak matka, miała zginąć. Więc zorganizowali jej ucieczkę i wybrali sekretne miejsce, w którym ciotka mogłaby mieszkać ze swoim ukochanym. Ale rodzice i ten człowiek zostali schwytani, uwięzieni i osądzeni. Ciotka zdołała uciec i zabrać

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

mnie ze sobą. Została mi tylko ona... Od tamtej pory krążymy po świecie, i dopiero teraz wygląda na to, że wszystko ucichło. Może przestali nas szukać, a może absolutny zakaz związków między ludźmi i demonami nie jest już tak pilnie przestrzegany, kto wie... – Wzdycha i kontynuuje. – Nora bardzo mnie kocha, jestem jedyną miłością, jaka jej pozostała, ale nie ma zbyt wielu powodów do radości, straciła siostrę i ukochanego, trudno się dziwić, że jest taka smutna. Przyjechaliśmy tutaj, bo to jest bezpieczne miejsce, poza wszelkimi podejrzeniami, przynajmniej jeśli chodzi o demony. Mamy nadzieję, że nie obudzimy waszych podejrzeń.

– Ale... to, co spotkało Alessię? – pytam słabym głosem. Nigdy nie zdołam wypowiedzieć słowa „śmierć" w tym samym zdaniu, co imię mojej przyjaciółki. Nie dam rady.

– Nie wiem, kto to był... i nie wiem, czy zjawił się tu z naszego powodu.

– Ale jeśli ten ktoś szukał was... co ona miała z tym wspólnego? – pytam znów, starając się nie myśleć o tym, że już nigdy jej nie zobaczę.

Znów zbliża się do moich ust, zmniejsza dystans do zera.

Lód, żar, słodycz, gorycz – jakiego słowa mogę użyć, żeby to opisać?

Żadnego. Żadne tego nie wyjaśni, żadne nie zdoła.

Nasze oddechy igrają ze sobą, gonią się, przerywają i nawzajem odbierają sobie życie.

W tej chwili zaczyna dzwonić moja komórka.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

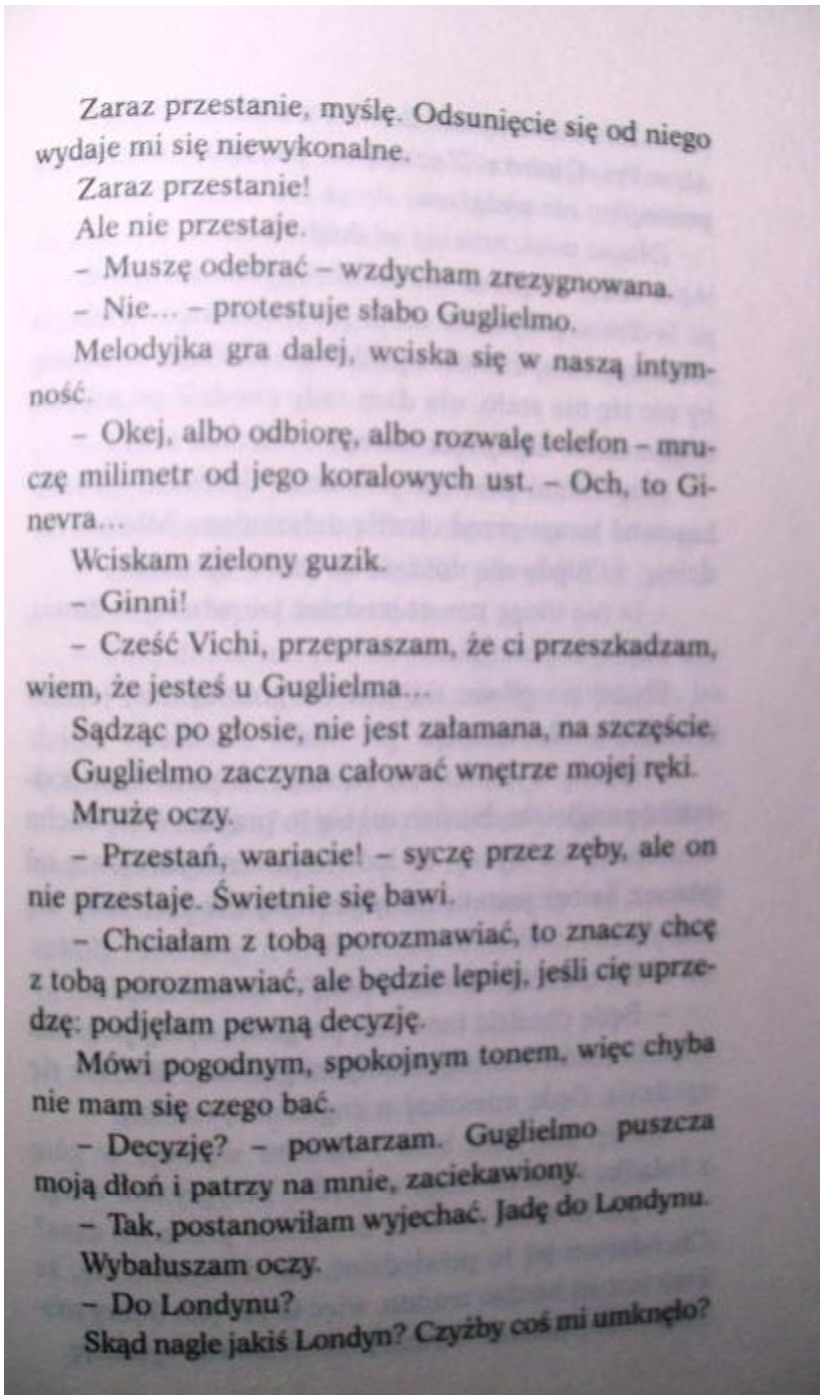

Zaraz przestanie, myślę. Odsunięcie się od niego wydaje mi się niewykonalne.

Zaraz przestanie!

Ale nie przestaje.

– Muszę odebrać – wzdycham zrezygnowana.

– Nie... – protestuje słabo Guglielmo.

Melodyjka gra dalej, wciska się w naszą intymność.

– Okej, albo odbiorę, albo rozwalę telefon – mruczę milimetr od jego koralowych ust. – Och, to Ginevra...

Wciskam zielony guzik.

– Ginni!

– Cześć Vichi, przepraszam, że ci przeszkadzam, wiem, że jesteś u Guglielma...

Sądząc po głosie, nie jest załamana, na szczęście.

Guglielmo zaczyna całować wnętrze mojej ręki.

Mrużę oczy.

– Przestań, wariacie! – syczę przez zęby, ale on nie przestaje. Świetnie się bawi.

– Chciałam z tobą porozmawiać, to znaczy chcę z tobą porozmawiać, ale będzie lepiej, jeśli cię uprzedzę: podjęłam pewną decyzję.

Mówi pogodnym, spokojnym tonem, więc chyba nie mam się czego bać.

– Decyzję? – powtarzam. Guglielmo puszcza moją dłoń i patrzy na mnie, zaciekawiony.

– Tak, postanowiłam wyjechać. Jadę do Londynu.

Wybałuszam oczy.

– Do Londynu?

Skąd nagle jakiś Londyn? Czyżby coś mi umknęło?

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Tak, zostanę tam do końca roku szkolnego.

– Prr, Ginevra. Zacznij od początku, bardzo cię proszę, bo nie nadążam.

Długie westchnienie w słuchawce.

– Ale... to przez Lorenza? – pytam ostrożnie.

– Też – przyznaje moja przyjaciółka. – Vichi, ja nie mogę tutaj zostać, oglądać go każdego dnia, jakby nic się nie stało, nie dam rady chodzić po mieście i udawać, że nigdy nas nie było, nie dam rady...

Przyciskam powieki palcami, jakbym mogła wykasować to, co przed chwilą usłyszałam. Miałam nadzieję, że nigdy nie dojdzie do takiej sytuacji.

– Ja nie mogę nawet siedzieć we własnym domu, we własnym pokoju.

Słyszę po głosie, że jest na granicy łez, jej ton zdradza wielkie emocje.

– Muszę wyjechać na trochę... a poza tym podszlifuję angielski, bardzo mi się to przyda. – Wybucha śmiechem, ale słyszę, że ledwie powstrzymuje się od płaczu; ja też jestem na najlepszej drodze, żeby się rozryczeć.

– A... szkoła? Co ze szkołą? – mamroczę.

– Będę chodzić tam. Jest program, który pozwala spędzić jeden semestr szkoły za granicą. Rodzice się zgadzają. Będę mieszkać u angielskiej rodziny.

Czuję, jak kula bólu i smutku wędruje w górę z żołądka i gniecie mnie w gardle. Przygryzam wargi.

A jak ja sobie poradzę bez ciebie przez ten czas? Chciałabym jej to powiedzieć, ale domyślam się, że i tak jest jej bardzo trudno, więc to nie jest dobry moment, żeby jeszcze bardziej komplikować sytuację.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

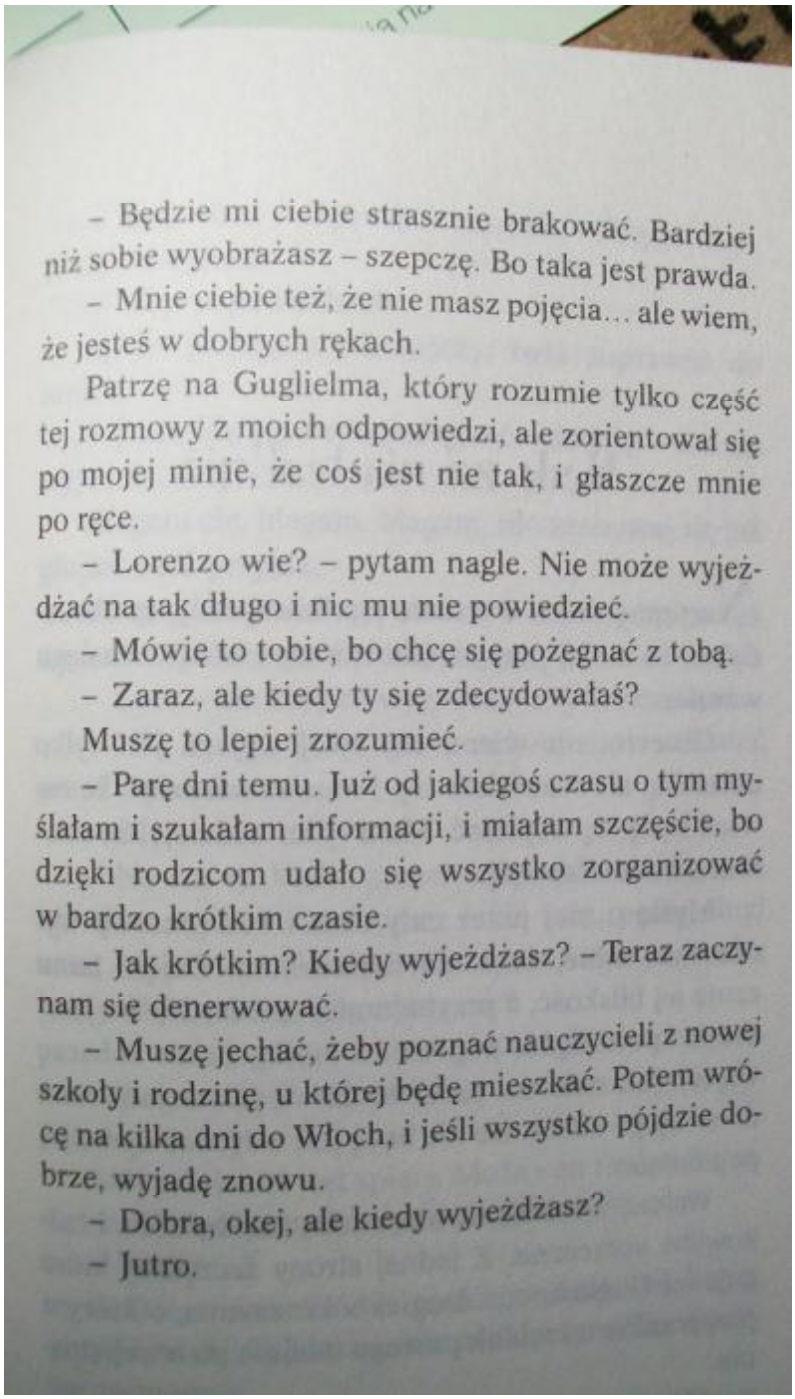

– Będzie mi ciebie strasznie brakować. Bardziej niż sobie wyobrażasz – szepczę. Bo taka jest prawda.

– Mnie ciebie też, że nie masz pojęcia… ale wiem, że jesteś w dobrych rękach.

Patrzę na Guglielma, który rozumie tylko część tej rozmowy z moich odpowiedzi, ale zorientował się po mojej minie, że coś jest nie tak, i głaszcze mnie po ręce.

– Lorenzo wie? – pytam nagle. Nie może wyjeżdżać na tak długo i nic mu nie powiedzieć.

– Mówię to tobie, bo chcę się pożegnać z tobą.

– Zaraz, ale kiedy ty się zdecydowałaś?

Muszę to lepiej zrozumieć.

– Parę dni temu. Już od jakiegoś czasu o tym myślałam i szukałam informacji, i miałam szczęście, bo dzięki rodzicom udało się wszystko zorganizować w bardzo krótkim czasie.

– Jak krótkim? Kiedy wyjeżdżasz? – Teraz zaczynam się denerwować.

– Muszę jechać, żeby poznać nauczycieli z nowej szkoły i rodzinę, u której będę mieszkać. Potem wrócę na kilka dni do Włoch, i jeśli wszystko pójdzie dobrze, wyjadę znowu.

– Dobra, okej, ale kiedy wyjeżdżasz?

– Jutro.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Będę za nią tęsknić

Następny dzień w szkole jest idiotyczny, to absurdalne, że mojej przyjaciółki nie ma obok, w zasięgu wzroku.

Ginevro, nie wiem, czy twój wyjazd jest tylko ucieczką, ale rozumiem cię, i musisz wiedzieć, że zawsze będę cię wspierać. Mam tylko nadzieję, że zdołasz odnaleźć spokój.

Myślę o niej przez cały czas i bez przerwy wyobrażam sobie, że z nią rozmawiam. Dzięki temu czuję jej bliskość, a przynajmniej namiastkę, bo jeszcze nie potrafię się pogodzić z myślą, że nie zobaczę więcej, jak wchodzi przez te drzwi, jak wsiada rano do swojego autka. Że nie będę już wdychać dymu jej papierosów.

Walczą we mnie dwa uczucia, bardzo silne i całkowicie sprzeczne. Z jednej strony szczęście, które daje mi Guglielmo, z drugiej ból rozstania, o którym przypomina mi widok pustego miejsca po lewej stronie.

Na przerwie między drugą i trzecią lekcją podchodzę do ławki Lorenza.

– Lore, wiesz, dlaczego Ginevra nie przyszła?

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Tak, wiem – odpowiada smętnie. – Przygotowuje się do wyjazdu.

– Więc ci powiedziała.

Znów postąpiła jak należy; była poprawna do końca.

– Jutro idę się z nią pożegnać – dodaję. – Zanim wyjedzie. A ty?

Błagam cię, błagam, błagam, nie zachowaj się jak głupek i też przyjdź.

Długa, bardzo długa pauza. Lorenzo nie patrzy na mnie; siedzi z pochyloną głową.

– Lore – nie daję za wygraną – a ty co zrobisz?

– Nie sądzę, żeby miała ochotę mnie widzieć przed wyjazdem.

– Ale...

– No coś ty, Vichi, przecież wyjeżdża dlatego, że nie chce mnie widzieć przez jakiś czas, przez długi czas... a ja mam iść się z nią żegnać i życzyć jej dobrej podróży, jak gdyby nigdy nic?

– A to wszystko, co mi powiedziałeś, kiedy do mnie przyszedłeś? Wszystkie te uczucia... było, minęło?

Mój przyjaciel jest spięty. Może i on toczy bitwę – wybiera między sprzecznymi pragnieniami.

– Lorenzo?

– Oczywiście, że nie, ale... po prostu nie mogę przyjść, Vichi. Ty idź, a ja nie wiem, co zrobię, muszę się zastanowić.

– Bardzo długo jej nie będzie – mówię, patrząc na niego wymownie, i jego piękna, anielska twarz robi się jeszcze bardziej smutna. Tymczasem nauczyciel

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

wchodzi do klasy. Głaszczę przyjaciela po plecach i wracam na swoje miejsce.

To będzie bolesne rozstanie dla nich obojga... a dla niego może nawet gorsze.

Ginevra jest odważna, muszę jej to przyznać: wyjeżdża sama i będzie mieszkać w obcym kraju przez kilka miesięcy. Musi naprawdę bardzo chcieć zostawić wszystko za sobą.

Cholera, będę za nią tęsknić.

Na czwartej godzinie zaczynam się robić coraz bardziej niespokojna, próbuję wymyślić, co mam jej powiedzieć, jak się z nią pożegnać... dziesiątki zdań mieszają się w mojej głowie i w końcu jestem już tak skołowana, że nie mam najbledszego pojęcia, co wyjdzie z moich ust.

Moja Ginevra wyjedzie – ta myśl mnie nie opuszcza.

Ktoś puka do drzwi.

Zaraz się otworzą i moja przyjaciółka wbiegnie do klasy, uściska Lorenza. Wybaczy mu i znowu będą razem, i już nigdy się nie rozstaną. Jak w ostatniej scenie starego filmu.

To nie jest Ginevra, ale jedyna osoba, która może wnieść odrobinę dobrego humoru w ten piekielny dzień.

– Przepraszam, czy Vittoria mogłaby wyjść na chwilę? – pyta.

– Dobrze, ale tylko na chwileczkę – zgadza się profesor; akurat odpytuje, a ja na szczęście mam to już za sobą.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Wstaję, bardziej niż chętnie, i wychodzę z salki, do której mój demon nie wchodzi nigdy przez niechęć do ciasnych, zamkniętych przestrzeni.

Wychodzę i, zamykając za sobą drzwi, bezgłośnie życzę szczęścia Camilli, która stoi pod tablicą i patrzy na mnie wielkimi oczami, jakby chciała powiedzieć „zabierz mnie ze sobą".

Patrzę pytająco na Guglielma.

– Skąd ta wizyta?

– Moja profesorka chce z tobą porozmawiać.

– Twoja profesorka? A o czym?

Guglielmo wzrusza ramionami i rusza korytarzem. Idę za nim, kompletnie skołowana.

Mija nas woźny.

– Gianni, wydaje mi się, że kran w łazience znowu się zatkał – informuje go Guglielmo.

– Do licha, zwariuję przez ten piekielny kran.

Woźny oddala się w stronę łazienek, sapiąc ze złością; korytarz jest pusty.

Idę za Guglielmem w stronę jego sali, ale nagle on chwyta mnie za łokieć i wciąga do zupełnie innego pomieszczenia.

Zamyka drzwi i całuje mnie, a ja topnieję w jego ramionach. Zamykam oczy i tonę w tym pocałunku.

– I to ma być ta twoja profesorka, która chciała ze mną rozmawiać? – pytam, kiedy przestajemy się całować. Rozglądam się; znowu jesteśmy w laboratorium chemicznym, gdzie wylądowaliśmy tamtego dnia, kiedy uratował mnie przed Parysem.

Śmieje się i znów mnie całuje.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Okej, przyznaję, to była ściema... ale strasznie tęskniłem. Nie mogłem wytrzymać bez ciebie ani minuty dłużej.

Czułym gestem zakłada mi kosmyk włosów za ucho.

– Źle zrobiłem? – pyta.

– Nie, wręcz przeciwnie, poprawiłeś mi humor w fatalny dzień – mówię z westchnieniem.

Robi stroskaną minę.

– To przez wyjazd Ginevry, prawda?

Po moim policzku toczy się łza i spływa aż do ust; zauważam ją tylko dlatego, że czuję smak soli.

– Chodzi o to, że... tak strasznie będzie mi jej brakować – mówię łamiącym się głosem.

Guglielmo koniuszkami palców wyciera łzę z mojej twarzy.

– Rozumiem cię... a przynajmniej tak mi się zdaje.

Patrzy mi w oczy, szkliste i zaczerwienione.

– Jeśli chcesz, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, mogę z tobą pójść ją pożegnać. Może poczekam gdzieś niedaleko, żeby wam nie przeszkadzać.

Kręcę głową.

– Dzięki, serio, ale będzie lepiej, jeśli pójdę sama. Mam jej tyle do powiedzenia, to wszystko tłukło mi się po głowie przez cały ranek... A w końcu pewnie nic nie powiem i tylko będę się na nią gapić mokrymi oczami i machać ręką jak kretynka.

Kolejne dwie małe łzy spływają po twarzy.

Guglielmo ściera i te grzbietem dłoni. Jego dotyk jest czuły i delikatny.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Na pewno tak nie będzie – zapewnia mnie. – A poza tym jesteś urocza, kiedy świrujesz, więc nic nie ryzykujesz.

– Zobaczymy, co wymyślę – mówię, pozwalając sobie na uśmiech.

Osusza moją twarz z łez, pokrywając pocałunkami wilgotne policzki.

– Mam jedno pytanie. – Mój głos brzmi już prawie normalnie. – Dlaczego tak lubisz to laboratorium?

Śmieje się.

– Bo gdyby ktoś zobaczył, jak robimy to na korytarzu – całuje mnie delikatnie – pewnie by nas zawiesili... a ja nie chcę mieć kłopotów.

– Doskonała argumentacja – mówię, potakując głową.

– Lepiej?

– Zdecydowanie... potrzeba mi było właśnie tej rozmowy z profesorką.

– Zawsze do usług... Wiesz, że ona cię bardzo lubi – ciągnie żartobliwie – chociaż zupełnie nie rozumiem dlaczego.

Śmieję się, kiedy wychodzimy i idziemy korytarzem; woźny ciągle jest zajęty „piekielnym" kranem w łazience.

Wracamy pod moją klasę, trzymając się za ręce, i nagle stajemy oko w oko z Parysem. Zaciskam mocniej palce i przyspieszam kroku; odwracam od niego wzrok.

Ale on jak zwykle gapi się na mnie z wyzywającą miną.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Masz jakiś problem? – pyta Guglielmo, zauważając jego bezczelne spojrzenie.

– Ja na pewno nie mam – odpowiada arogancko. – A ty, Vittoria?

Podnoszę oczy i widzę, że wbija spojrzenie w moją dłoń, którą trzyma Guglielmo.

Natychmiast go puszczam i natychmiast żałuję, że to zrobiłam. To jest jak przyznanie się do winy.

Parys gapi się jeszcze przez chwilę, ubawiony.

– Ciekawe, bardzo ciekawe... No dobra, muszę iść, do widzenia, moi mili.

Mija nas, wciąż z tą cholerną, irytującą miną.

Ale nagle, kiedy jest już kilka kroków od nas, odwraca się i mówi wprost do mnie:

– A, Vittoria, jak tam twoje ramię? Zdaje się, że się skaleczyłaś, prawda? – pyta sarkastycznie.

Rana na ramieniu jest już dawno zagojona, ale piecze przez sekundę, podrażniona moją złością i niechęcią.

Na twarzy Guglielma, zwykle tak delikatnej, maluje się czysta nienawiść. Zaciska pięści z wściekłości.

Parys kiwa głową, patrząc na niego.

– Ciekawe... bardzo ciekawe – powtarza.

Wreszcie odwraca się i znika.

– Do licha, domyślił się wszystkiego – mówię spanikowana, kiedy znów jesteśmy sami.

– Nie przeceniaj tego padalca – uspokaja mnie Guglielmo. – Niech tylko spróbuje.

Mam nadzieję.

Mam szczerą nadzieję, że ma rację.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Ostatni promień słońca

Dziś po południu czas pędzi jak szalony, godziny wydają się minutami. Zaczyna się już ściemniać i przed zachodem słońca znów idę ulicami centrum, pomalowanymi tak pięknym światłocieniem – dziś tak smutnym. Nawet wulkaniczny kamień nie zabarwia się, jak zwykle, na ciepły oranż, nawet niebo ozdobione chmurami o czerwonawych konturach nie potrafi sprawić, by ten spacer był weselszy.

Ulica prowadząca do domu mojej najlepszej przyjaciółki nigdy nie była tak smutna.

Słowa znów kłębią się w mojej głowie, plączą się, układają w zdania i rozsypują.

Jedyne, co tak naprawdę chciałabym jej powiedzieć, to zdanie, które nigdy nie wyjdzie z moich ust: „Ginevra, proszę cię, nie wyjeżdżaj".

Docieram pod bramę i widzę jej ojca, dźwigającego torby do samochodu.

Więc naprawdę mnie zostawia, myślę, jakby dopiero teraz do mnie dotarło, że to nie żart. Teraz mam niepodważalny dowód, że wyjeżdża.

Ginevra schodzi na dół i idziemy usiąść w naszym ulubionym miejscu: na kamiennej fontannie,

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

tej samej, która widziała nas tu tyle razy, że pewnie sama już straciła rachubę, a nasza paplanina i śmiechy zaczęły jej się zlewać z lekkim pluskiem wody.

– Więc wyjeżdżasz – mówię, powstrzymując łzy i zmuszając się do uśmiechu.

Ginevra musi się cieszyć z wyjazdu, nie może zostawiać przyjaciółki z oczami czerwonymi i spuchniętymi jak dwie papryki.

– Opowiedz mi, co tam będziesz robić? – pytam tylko po to, żeby pokazać, jaka jestem wesoła.

– Oj... będę się uczyć, jak tutaj, tyle że po angielsku, to będzie niezłe... i poznam całe mnóstwo ludzi.

Trudno mi rozszyfrować jej ton. Jest w nim ciekawość, strach, niecierpliwość.

– Nie baw się tam za dobrze – mówię, ale natychmiast się poprawiam. – Żartuję! Udanej podróży i baw się, ciesz się każdą chwilą i wróć bardziej bojowa niż kiedykolwiek.

Ginevra śmieje się, a ja myślę, że to chyba najlepsze życzenia, jakie mogłam jej złożyć. I że nie ma wiele do dodania.

– Dzięki, skarbie.

– Będziemy rozmawiać, zupełnie jakbyś nigdy nie wyjeżdżała. Tylko że... – dodaję i czuję, że pieką mnie oczy – ...będzie mi cię strasznie brakować.

Z piersi wyrywa mi się szloch; w ostatniej chwili próbuję go powstrzymać, zanim puszczą mi wszystkie hamulce i wybuchnę płaczem.

– Ja nie płaczę! – wykrzykuję, jakby moje słowa mogły ukryć prawdę. Teraz już i ona ma mokre

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

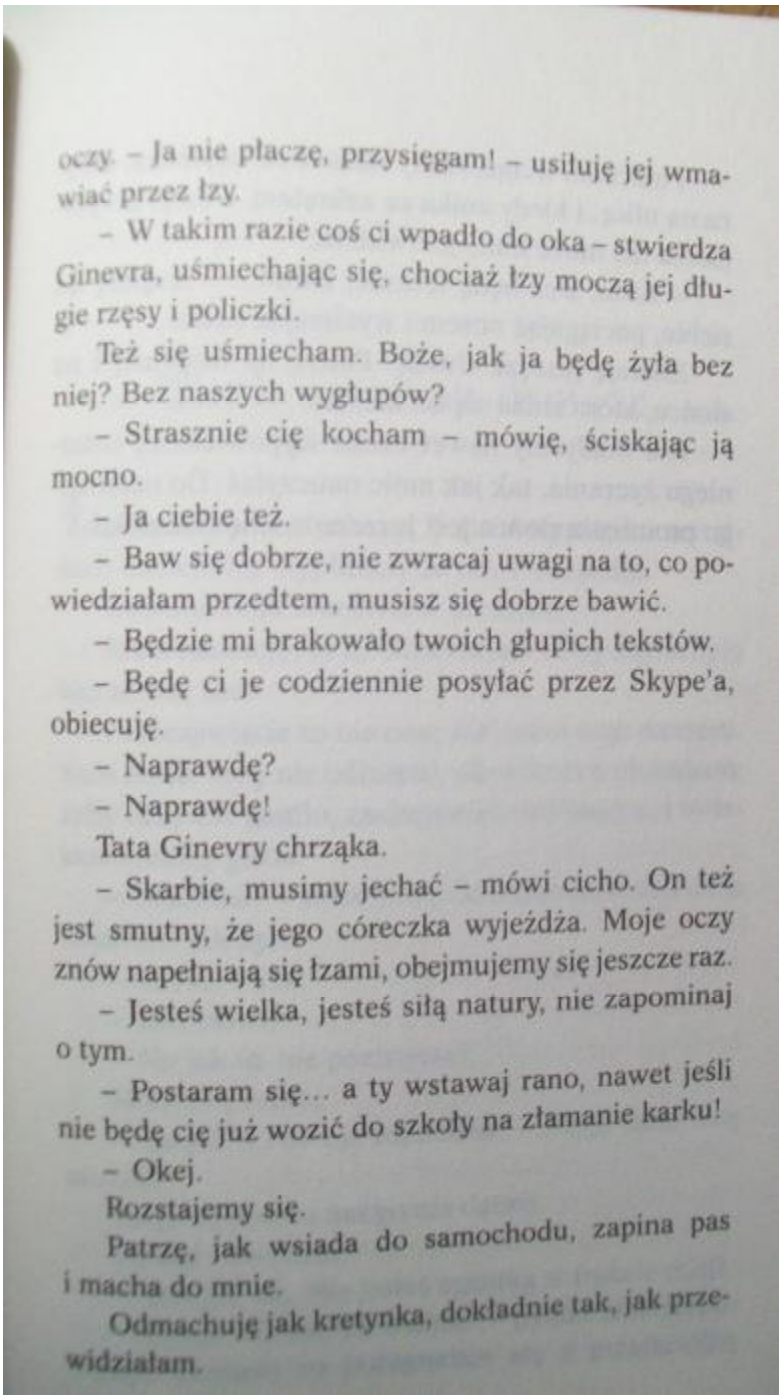

oczy. – Ja nie płaczę, przysięgam! – usiłuję jej wmawiać przez łzy.

– W takim razie coś ci wpadło do oka – stwierdza Ginevra, uśmiechając się, chociaż łzy moczą jej długie rzęsy i policzki.

Też się uśmiecham. Boże, jak ja będę żyła bez niej? Bez naszych wygłupów?

– Strasznie cię kocham – mówię, ściskając ją mocno.

– Ja ciebie też.

– Baw się dobrze, nie zwracaj uwagi na to, co powiedziałam przedtem, musisz się dobrze bawić.

– Będzie mi brakowało twoich głupich tekstów.

– Będę ci je codziennie posyłać przez Skype'a, obiecuję.

– Naprawdę?

– Naprawdę!

Tata Ginevry chrząka.

– Skarbie, musimy jechać – mówi cicho. On też jest smutny, że jego córeczka wyjeżdża. Moje oczy znów napełniają się łzami, obejmujemy się jeszcze raz.

– Jesteś wielka, jesteś siłą natury, nie zapominaj o tym.

– Postaram się... a ty wstawaj rano, nawet jeśli nie będę cię już wozić do szkoły na złamanie karku!

– Okej.

Rozstajemy się.

Patrzę, jak wsiada do samochodu, zapina pas i macha do mnie.

Odmachuję jak kretynka, dokładnie tak, jak przewidziałam.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

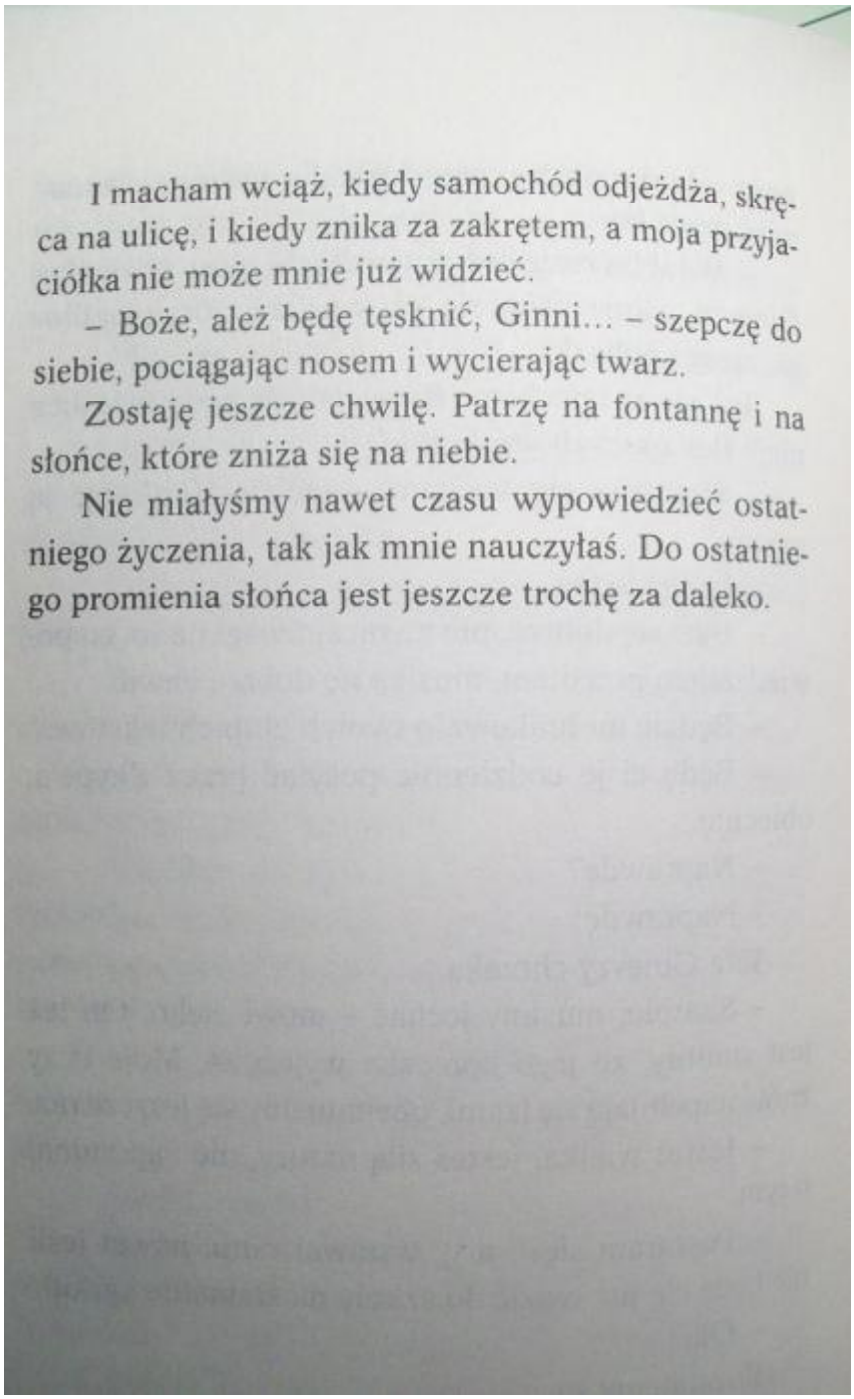

I macham wciąż, kiedy samochód odjeżdża, skręca na ulicę, i kiedy znika za zakrętem, a moja przyjaciółka nie może mnie już widzieć.

– Boże, ależ będę tęsknić, Ginni... – szepczę do siebie, pociągając nosem i wycierając twarz.

Zostaję jeszcze chwilę. Patrzę na fontannę i na słońce, które zniża się na niebie.

Nie miałyśmy nawet czasu wypowiedzieć ostatniego życzenia, tak jak mnie nauczyłaś. Do ostatniego promienia słońca jest jeszcze trochę za daleko.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

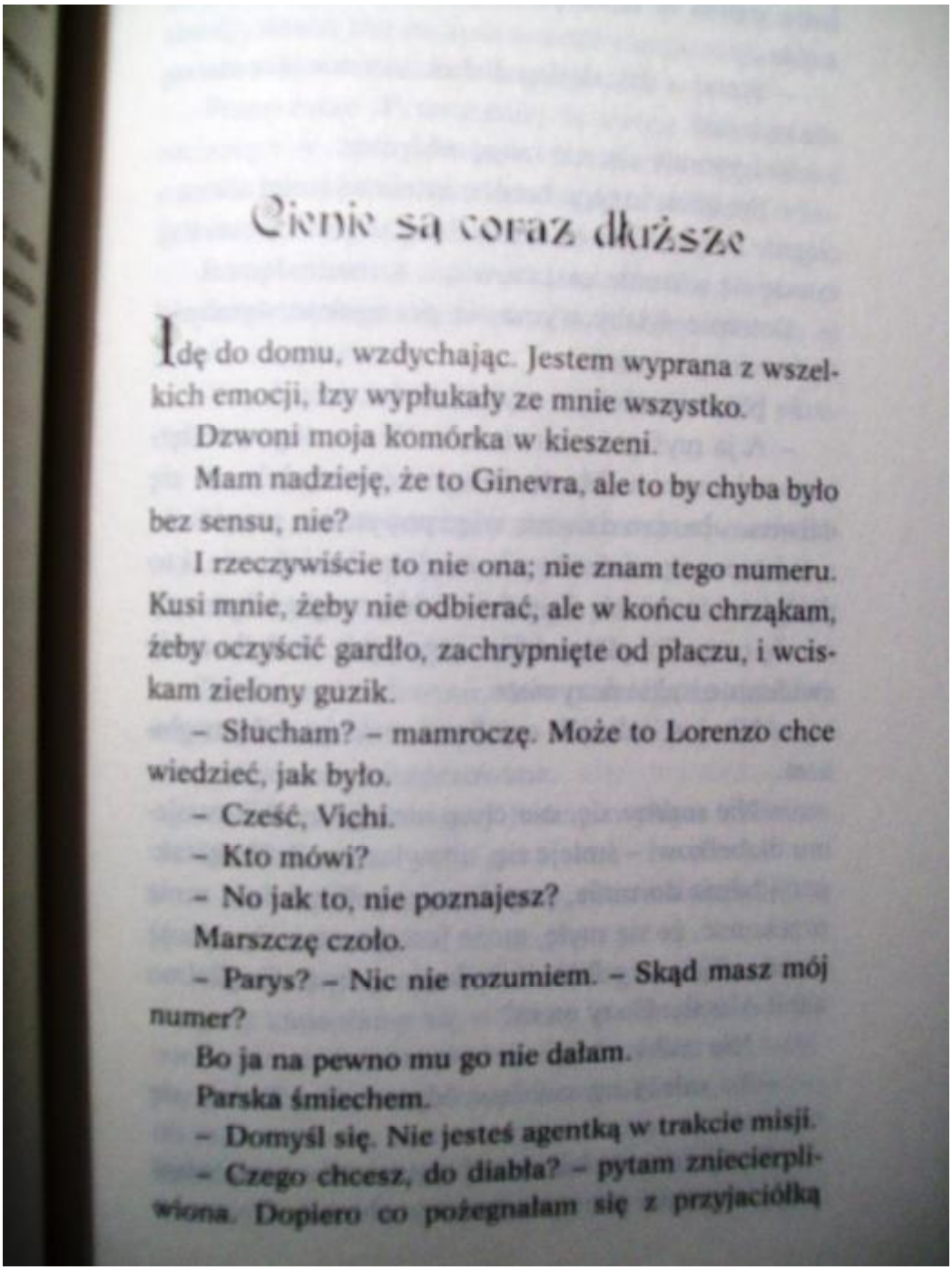

Cienie są coraz dłuższe

Idę do domu, wzdychając. Jestem wyprana z wszelkich emocji, łzy wypłukały ze mnie wszystko.

Dzwoni moja komórka w kieszeni.

Mam nadzieję, że to Ginevra, ale to by chyba było bez sensu, nie?

I rzeczywiście to nie ona; nie znam tego numeru. Kusi mnie, żeby nie odbierać, ale w końcu chrząkam, żeby oczyścić gardło, zachrypnięte od płaczu, i wciskam zielony guzik.

– Słucham? – mamroczę. Może to Lorenzo chce wiedzieć, jak było.

– Cześć, Vichi.

– Kto mówi?

– No jak to, nie poznajesz?

Marszczę czoło.

– Parys? – Nic nie rozumiem. – Skąd masz mój numer?

Bo ja na pewno mu go nie dałam.

Parska śmiechem.

– Domyśl się. Nie jesteś agentką w trakcie misji.

– Czego chcesz, do diabła? – pytam zniecierpliwiona. Dopiero co pożegnałam się z przyjaciółką

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

i nie jestem w nastroju na pogawędki. Szczególnie z nim.

– Strzał w dziesiątkę: diabeł. Interesujące słowo, nie sądzisz?

Zatrzymuję się; nie mogę oddychać.

– Synonim innego bardzo interesującego słowa – ciągnie Parys. – Ale w tej chwili mi uciekło, poczekaj, muszę się sekundę zastanowić... a, mam: demon.

Ostatnie sylaby wymawia przesadnie wyraźnie, rozbawionym tonem.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– A ja myślę, że rozumiesz. Wiesz, tego pamiętnego wieczoru u Marca jedna rzecz wydała mi się dziwna... bardzo dziwna, więc popytałem parę osób, a ostateczne potwierdzenie miałem dzisiaj rano, i to dzięki tobie, Vichi. Zupełnie jakby nagle otworzyły mi się oczy. To, jak puściłaś jego rękę. To było takie ewidentne, takie oczywiste...

– Nie jest tak, jak myślisz – mówię słabym głosem.

– Nie martw się, nie chcę niczego zrobić twojemu diabełkowi – śmieje się, ubawiony. – Zróbmy tak: przyjdziesz do mnie, pogadamy, i jeśli zdołasz mnie przekonać, że się mylę, może jeszcze zmienię zdanie i... nie pójdę na policję i nie doniosę, że to Guglielmo zabił Alessię. Co ty na to?

– Nie zrobisz tego – mówię stanowczo.

– To zależy od ciebie – odpowiada i śmieje się okrutnie.

Rozłączam się i ruszam biegiem. Nie czuję własnego serca, nie mam powietrza w płucach.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Strach to za słabe słowo na to, co czuję w tej chwili; strach jest niczym w porównaniu z tym, czego teraz doświadczam. Niczym.

Przerażenie. Przerażenie, że stracę coś najpiękniejszego w życiu, coś, co kazało mi zapomnieć o moim lęku, że nie spotkam nigdy prawdziwej miłości, swojej drugiej połówki, bratniej duszy.

Przypomina mi się, z jaką zajadłością Parys wykrzyknął tamtego wieczoru „Możesz być pewna, że mi za to zapłacisz!"

W tych słowach była taka wściekłość, takie okrucieństwo.

A teraz chce dotrzymać słowa.

Biegnę, coraz bardziej zrozpaczona, również dlatego, że nie mam pojęcia, co powiedzieć, co zrobić... co mogłoby go odwieść od jego planu? Co mogłoby go przekonać, żeby sobie odpuścił?

Telefon znów dzwoni, mam nadzieję, że to nie on, mam nadzieję, że to ktoś, kto zdoła mi pomóc, bo jestem naprawdę zdesperowana.

– Vichi, nie dałem rady. Jestem zwykłym tchórzem.

Głos Lorenza.

– Co? – pytam gorączkowo, nie zwalniając. Czuję się coraz gorzej.

Głos mojego przyjaciela jest jak głos ducha. Może wszyscy zmieniamy się w zjawy, nawet tego nie zauważając... właściwie to nie byłoby takie złe, wszyscy poszlibyśmy tam, dokąd mamy iść, do piekła czy do raju, to los by za mnie wybierał, a ja nie musiałabym łamać sobie głowy, jak znaleźć wyjście z sytuacji bez wyjścia.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Kiedy wróci, to już nie będzie to samo – mówi dalej Lorenzo. – A ja straciłem najważniejszą rzecz w życiu.

– Lore – mówię z gardłem ściśniętym od łez. – Ja właśnie w tej chwili tracę najważniejszą rzecz w moim życiu! – Paraliżuje mnie poczucie totalnej bezsilności. – Parys się wszystkiego domyślił! Wszystkiego! – krzyczę rozpaczliwie do telefonu. – Domyślił się, że Guglielmo jest demonem, i chce go zadenuncjować, bo jest przekonany, że to on zabił Alessię.

– Co takiego?! – krzyczy Lorenzo.

– Chce, żebym go przekonała, że tak nie jest! – wrzeszczę, przeklinając w duchu samą siebie we wszystkich językach, jakie znam.

– Gdzie jesteś? Nie mów mu ani słowa beze mnie.

– Na ulicy! Biegnę do niego!

Nagle przede mną wyrasta cień, znienacka i znikąd. Nie mam czasu się zatrzymać i wpadam na osobę, która stanęła mi na drodze. Impet uderzenia oszałamia mnie.

Padam na ziemię, nie mogąc złapać tchu.

Kiedy tak leżę zdyszana, wysoka, smukła postać w długim czarnym płaszczu, z kapturem na głowie i w ciemnym szaliku, który zakrywa twarz, wpatruje się we mnie.

– Cześć, Vittorio.

Resztka krwi, jaka jeszcze została w moich żyłach, lodowacieje; wyraźnie czuję, jak każda kropla zamarza i zmienia się w śmiercionośną grudkę lodu, zaklinowaną w żyłach.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Jakie to szczęście, że cię tu spotykam – mówi ten nieludzki głos, który rani skórę i słuch: bardziej hałas niż głos, bardziej zgrzyt niż hałas. – Zrobiłaś sobie krzywdę? Proszę, pozwól, że ci pomogę.

Postać wyciąga rękę w moją stronę, a ja, widząc ją, tłumię krzyk.

To nie jest zwykła ręka; zdobią ją czarne szpony, ostre jak brzytwy.

Cofam się, niezdolna się podnieść, jakbym była przyklejona do ziemi.

– Boisz się mnie?

Rechocze złośliwie. Choć tembr jej głosu jest tak straszny, poznaję po nim, że to kobieta. Jestem jak skamieniała.

– Ależ jestem niewychowana, pozwól, że się przedstawię. – Unosi rękę i odwraca ją wewnętrzną stroną nadgarstka w moją stronę. – Jestem Eva – mruczy.

Rękaw odsłania nadgarstek. Widzę na nim znak, jak piętno wypalone ogniem. Czarny tatuaż: ich symbol.

Śmieje się, zadowolona, a ja umieram ze strachu. Patrzę w te oczy, na wpół ukryte w cieniu kaptura, nieludzkie, zimne jak lód, jak stalowe ostrze, ze źrenicami wąskimi jak brzytwy, jak u zwierzęcia.

– Nie znasz mnie... ale wiesz, kto mnie zna? – przemawia do mnie jak do niższej istoty, która nie potrafi w pełni pojąć jej słów. – Twój drogi przyjaciel, który jest także moim przyjacielem, prawdę mówiąc. Chociaż jakiś czas temu zniknął z towarzystwa i zupełnie nie rozumiem dlaczego. Szukam go już od dość

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

dawna. – Jej głos jest pełen nienawiści, ton zdradza prawdziwe znaczenie słów. – Och, ale to nieważne. Teraz, kiedy znalazłam ciebie, nietrudno będzie do niego dotrzeć, i jeśli wszystko pójdzie dobrze, pewnie uda się zamienić kilka słów także z jego przemiłą cioteczką.

Mówiąc to, robi kilka kroków w moją stronę. Ja cofam się odruchowo, przerażona. A ona zatrzymuje się i patrzy na mnie, udając osłupienie.

– Ależ nie, nie musisz uciekać. Nie ciebie chcę i z pewnością nie chcę cię zabijać. Dopóki nie będziesz robić głupstw jak ta druga dziewczyna, jak jej tam było? Alessia… śliczny anioł, muszę przyznać, i taki podobny do ciebie.

Już wiem. Przeżywam koszmar. Utknęłam w koszmarze, który mnie prześladuje i nie pozwala mi się obudzić, który każe mi krzyczeć i z którego na pewno zdołam się wyrwać, jeśli ktoś mną porządnie potrząśnie. Oto mój najgorszy koszmar.

Znika w ciemności, jeden z coraz dłuższych cieni na Piazza della Morte.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

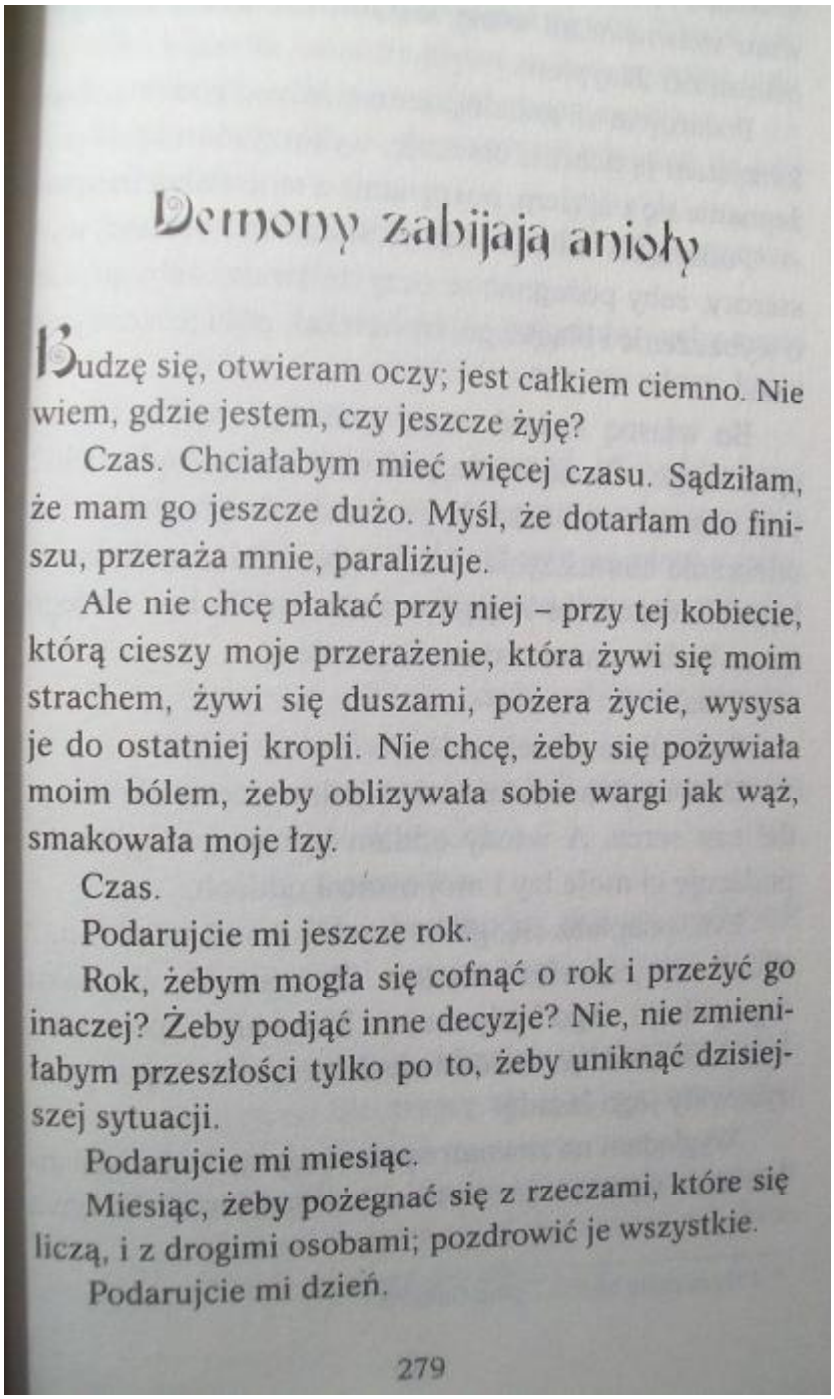

Demony zabijają anioły

Budzę się, otwieram oczy; jest całkiem ciemno. Nie wiem, gdzie jestem, czy jeszcze żyję?

Czas. Chciałabym mieć więcej czasu. Sądziłam, że mam go jeszcze dużo. Myśl, że dotarłam do finiszu, przeraża mnie, paraliżuje.

Ale nie chcę płakać przy niej – przy tej kobiecie, którą cieszy moje przerażenie, która żywi się moim strachem, żywi się duszami, pożera życie, wysysa je do ostatniej kropli. Nie chcę, żeby się pożywiała moim bólem, żeby oblizywała sobie wargi jak wąż, smakowała moje łzy.

Czas.

Podarujcie mi jeszcze rok.

Rok, żebym mogła się cofnąć o rok i przeżyć go inaczej? Żeby podjąć inne decyzje? Nie, nie zmieniłabym przeszłości tylko po to, żeby uniknąć dzisiejszej sytuacji.

Podarujcie mi miesiąc.

Miesiąc, żeby pożegnać się z rzeczami, które się liczą, i z drogimi osobami; pozdrowić je wszystkie.

Podarujcie mi dzień.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Jeden dzień. Chcę się przekonać, co się czuje, wiedząc, że to ostatni – że to ostatni świt, ostatni raz wiatr rozwiewa mi włosy, ostatni raz widzę księżyc, ostatni raz zasypiam.

Podarujcie mi godzinę, jedną, jedyną godzinę. Wykorzystam ją dobrze, obiecuję, wykorzystam ją na pożegnanie się z życiem, pożegnanie z moim ukochanym.

Podarujcie mi minutę; sześćdziesiąt sekund wystarczy, żeby pożegnać te oczy, tę twarz, żeby prosić o wybaczenie i błagać go, by uciekał, póki jeszcze jest czas.

Bo własną śmierć mogę zaakceptować... ale co spotka jego? Co się stanie, jeśli wróci tam, skąd uciekł? Jeśli zostanie tu i oskarżą go o coś tak strasznego jak odebranie komuś życia? Nie mogę znieść myśli, że on będzie cierpiał, że w jego oczach będzie ból, że jego twarz będzie naznaczona cierpieniem.

Czas.

Podarujcie mi sekundę.

Czas na jedno uderzenie – jedno uderzenie skrzydeł czy serca. A wtedy oddam ją tobie, Guglielmo; podaruję ci moje łzy i mój ostatni oddech.

Eva, pospiesz się, gdzie jesteś? Jesteś tu ze mną? Pokaż się, jadowita kreaturo. Chowasz się w mroku tego pokoju, tego budynku, na który jutro spojrzą ludzie, nie wiedząc, że to twoje demoniczne szpony porysowały jego fasadę.

Wyglądam na zewnątrz przez jedyny otwór, maleńkie okno wychodzące na Piazza della Morte*. Nazywa

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

się tak, bo mówią, że w dawnych czasach diabeł ukazywał się ludziom wyglądającym z okien ostatnich pięter, zmuszając ich do skoku, do samobójstwa. Nawet jeśli to tylko legenda, ostatnie piętra zawsze są puste, nikt tu nie wchodzi, nikt nie wygląda przez te okna.

Słońce zachodzi, to jego ostatni promień, to mój ostatni dzień.

Szponiasta dłoń chwyta mnie za szyję i zmusza, żebym odwróciła głowę.

Jest. Śmieje się złośliwie, pokazując zęby ostre jak kły; patrzę w jej nieludzkie oczy, na włosy, które przypominają lwią grzywę.

Ściska moją szyję coraz mocniej. Nie oddycham, próbuję się jej wywinąć. Puszcza mnie, więc umykam do przeciwnego kąta pokoju. Patrzy na mnie z sadystycznym zadowoleniem, ubawiona, bawi się mną jak kot myszą.

Oddycham z wysiłkiem, szyja pali mnie w miejscu, w którym mnie dotykała.

Śmieje się, a tymczasem wokół mnie zaczynają się zarysowywać kontury pokoju.

Patrzę na nią, przerażona.

Ona bawi się dalej; podchodzi, chwyta mnie jedną ręką za nadgarstki i rzuca mnie plecami na kamienną ścianę.

Zbliża twarz do mojej, oblizuje z uśmiechem wargi.

Już nie płaczę, nie trzęsę się, już nic nie czuję; patrzę jej prosto w źrenice.

Przesuwa język po idealnych zębach i powoli przeciąga ostrym pazurem po mojej twarzy, od skroni przez policzek aż do podbródka.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

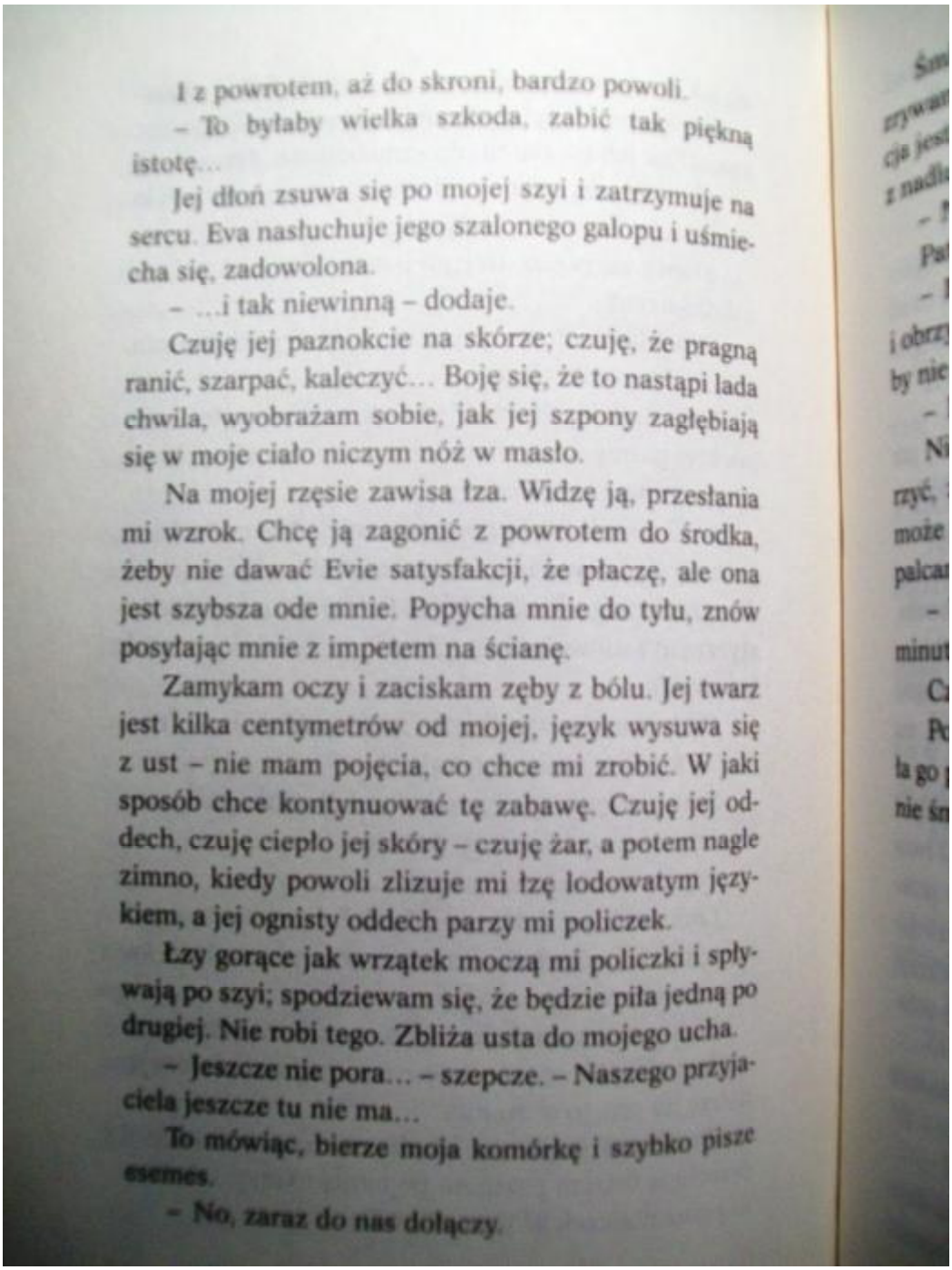

I z powrotem, aż do skroni, bardzo powoli.

– To byłaby wielka szkoda, zabić tak piękną istotę…

Jej dłoń zsuwa się po mojej szyi i zatrzymuje na sercu. Eva nasłuchuje jego szalonego galopu i uśmiecha się, zadowolona.

– …i tak niewinną – dodaje.

Czuję jej paznokcie na skórze; czuję, że pragną ranić, szarpać, kaleczyć… Boję się, że to nastąpi lada chwila, wyobrażam sobie, jak jej szpony zagłębiają się w moje ciało niczym nóż w masło.

Na mojej rzęsie zawisa łza. Widzę ją, przesłania mi wzrok. Chcę ją zagonić z powrotem do środka, żeby nie dawać Evie satysfakcji, że płaczę, ale ona jest szybsza ode mnie. Popycha mnie do tyłu, znów posyłając mnie z impetem na ścianę.

Zamykam oczy i zaciskam zęby z bólu. Jej twarz jest kilka centymetrów od mojej, język wysuwa się z ust – nie mam pojęcia, co chce mi zrobić. W jaki sposób chce kontynuować tę zabawę. Czuję jej oddech, czuję ciepło jej skóry – czuję żar, a potem nagle zimno, kiedy powoli zlizuje mi łzę lodowatym językiem, a jej ognisty oddech parzy mi policzek.

Łzy gorące jak wrzątek moczą mi policzki i spływają po szyi; spodziewam się, że będzie piła jedną po drugiej. Nie robi tego. Zbliża usta do mojego ucha.

– Jeszcze nie pora… – szepcze. – Naszego przyjaciela jeszcze tu nie ma…

To mówiąc, bierze moją komórkę i szybko pisze esemes.

– No, zaraz do nas dołączy.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Śmieje się, a ja, korzystając z chwili jej nieuwagi, zrywam się na nogi i rzucam do drzwi. Ale jej reakcja jest błyskawiczna. Chwyta mnie za ramię i ściska z nadludzką siłą.

– Nie komplikuj spraw. To nie potrwa długo.

Patrzę na nią przez łzy.

– Dlaczego zabiłaś Alessię? – pytam ze złością i obrzydzeniem. Gdyby słowa mogły zabijać, Eva już by nie żyła.

– Bo demony zabijają anioły.

Nie mogę uwierzyć w jej słowa. Nie mogę uwierzyć, że myśląca istota, jakakolwiek jest jej natura, może odebrać życie tak, jakby to było pstryknięcie palcami.

– To nie potrwa długo – powtarza. – Kwestia minut.

Czas.

Podarujcie mi minutę i parę skrzydeł, żebym mogła go powstrzymać przed przyjściem tutaj, na spotkanie śmierci.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Nie widziałeś piekła

Czuję go, idzie tutaj. Widzę, jak czyta esemes, jak chowa komórkę do kieszeni i wybiega z domu. Widzę, jak wsiada na motor i rusza z piskiem opon, a potem zatrzymuje się przed tym domem i patrzy w stronę górnych okien. Co napisała Eva? Jak go przekonała, żeby tutaj przyszedł? Teraz jest na schodach, wbiega po dwa stopnie naraz. Chciałabym krzyczeć, błagać go, żeby zawrócił, ale nie mogę. On idzie tutaj, na spotkanie ze śmiercią, a ja nie mogę nic zrobić.

Wielki żelazny zamek szczęka, po sekundzie jest już za późno, nie ma drogi ucieczki. On nie od razu mnie zauważa. Widzi tylko ją, osobę, która go prześladowała od wczesnego dzieciństwa i która prawdopodobnie zabiła jego rodziców. Jego oczy otwierają się szeroko, niemal wychodzą z orbit w wyrazie osłupienia i przerażenia.

Potem widzi mnie, obolałą, leżącą bezwładnie pod ścianą.

– O Boże.

Podchodzi do mnie, głaszcze moją twarz, ból słabnie pod jego słodkim dotykiem, ale tylko na moment.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Zaciskam zęby, ostre szpile bólu przeszywają mi plecy, odbierając mi dech.

– Co jej zrobiłaś, potworze? – krzyczy; jego smoliste oczy płoną z wściekłości.

– Jeszcze nic – odpowiada ona spokojnie, przeciągając smukłymi palcami po ścianie. – A poza tym co to za maniery? Potworze? Nieładnie tak mówić do kogoś, kto jest taki jak ty, nie sądzisz?

Z bólu nie jestem już w stanie się ruszyć, bo inaczej rzuciłabym się na nią trzeci raz.

– Ja nie jestem taki jak ty – szepcze Guglielmo z wściekłością, stanowczym tonem.

Nasza oprawczyni zakłada ręce na piersi i podchodzi szybko.

– I udajesz, że jesteś jak ona? – pyta, chwytając mnie za twarz i odwracając w jego stronę.

– Nie dotykaj jej! – krzyczy on, uderzając ją mocno w ramię i sprawiając, że zatacza się kilka kroków do tyłu.

Ale ona znów się śmieje.

– Ja nie chcę się z tobą bić – stwierdza.

– A czego chcesz? – pyta on coraz bardziej wściekły.

– Chcę ci dać pewną możliwość.

Zbliża się powoli, wypowiadając słowa z delikatnością, niemal z czułością, która tak jaskrawo gryzie się z ich jadowitą treścią.

– Pewien wybór...

Głaszcze ściągniętą twarz Guglielma, przeciąga obrzydliwymi palcami po jego policzkach, po jego

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

miękkich wargach. Jej dłonie są na nim. Dłonie morderczyni.

Czuję, że wściekłość i obrzydzenie wyżerają mnie od środka jak pożar.

– Wróć ze mną do domu. Znajdziemy jakieś rozwiązanie, minęło dużo czasu, ty byłeś tylko dzieckiem, niewinnym dzieckiem, jestem pewna, że nikt nie żywi do ciebie urazy, nikt. Dlaczego nie wrócisz do sobie podobnych, do swoich, wśród których jest twoje miejsce? Nie masz nic wspólnego z tym miastem, a przede wszystkim z nią.

Szepcze każde słowo uwodzicielskim, aksamitnym głosem... ale do moich uszu dociera jadowity, podstępny dźwięk jak syk grzechotnika.

Guglielmo słucha jej w milczeniu, staranie ważąc każde słowo. Omal się nie godzi, ale w końcu zaciska pięści.

– Nigdy! – syczy, odpowiadając na jej słowa spojrzeniem pełnym czystej nienawiści. W mroku jego oczu błyszczą płomienne iskry.

Eva unosi brwi i krzywi wąskie wargi, udając smutek i zdumienie. Kręci głową.

– Szkoda. Dokonałeś wyboru. A teraz poniesiesz jego konsekwencje.

Z wyrazem obrzydzenia zabiera rękę z jego twarzy, którą przed chwilą głaskała z taką przyjemnością.

– Tak by było prościej...

W jednej chwili jest za mną, podnosi mnie jak lalkę, stawia przed sobą i wykręca mi rękę za plecy. Wyrywa mi się krzyk bólu. Czuję jej szpony na swoim gardle; kłują moją skórę jak drut kolczasty.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Gdybyś się nie zorientował, zdaje się, że mam tu dość przekonujący argument.

– Ty podła kreaturo! – krzyczy on głosem łamiącym się z gniewu i strachu.

– Guglielmo... – mówi ona spokojnie, trzymając mnie mocno za szyję. – Uważaj.

Przeciąga dłonią po moim gardle, wzdłuż obojczyka aż do mostka i znów po szyi. Nie tak, po jego twarzy, powoli i czule, ale gwałtownie, raz po raz. Niewiele ją powstrzymuje przed zanurzeniem pazurów w moim ciele.

– Uważaj... – powtarza. Jej szpony obrysowują moje serce. – Nie prowokuj mnie, bo się rozgniewam!

Podnosi głos pełen nienawiści i drapie mnie. Krzyczę z bólu, bo choć to tylko zadrapanie, to pali, pali, jakby skóra została przecięta ząbkowanymi ostrzami. Płynie ciepła krew.

– Nie! – krzyczy Guglielmo. Głos mu się łamie, wstrząsa nim dreszcz, jakby raził go piorun. Osuwa się na ziemię. Klęczy, ręce zwisają mu bezwładnie, choć pięści ma zaciśnięte.

Eva rozluźnia chwyt i uśmiecha się triumfalnie. Ale uśmiech trwa tylko mgnienie i gaśnie. Guglielmo nagle unosi głowę, jego oczy płoną wściekłością, są jak węgle rozżarzone do czerwoności. Jego twarz jest zmieniona, spięta. Trzęsie się z wściekłości.

Jego oczy płoną w mroku pokoju, szczęka jest zaciśnięta, wargi odsłaniają zęby, które błyszczą jak kość słoniowa; srebrna poświata rozświetla jego włosy, a nad ramionami rosną dwa cienie. Dwa czarne

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

cienie, które wypełniają pokój, rozpościerają się z jego pleców.

Pokój znika; widzę tylko Guglielma ukrzyżowanego na jego zakrwawionych skrzydłach.

Zostaję rzucona jak szmata; padam na czworaka i turlam się na plecy.

A potem widzę ich, jak rzucają się na siebie. Demon na demona. Ciosy, jęki i krzyki wypełniają powietrze. On wpada na nią jak wcielenie furii, tej samej furii, która jakiś czas temu zawaliła ścianę grobowca jak domek z kart. Jego ręce zadają ciosy przeciwniczce, uderzają w jej pierś z taką siłą, że odrzucają ją do tyłu na kilka metrów.

Ale Eva szybko bierze się w garść i nawet nie przestaje się uśmiechać.

– Jeśli to jest wszystko, na co cię stać, to chyba cię przeceniałam.

To mówiąc, wciąga powietrze, opuszcza głowę i rzuca się na niego z nadludzką siłą. Guglielmo nie jest w stanie odeprzeć ataku i ląduje na ścianie, kilka kroków ode mnie. Mur za jego plecami pęka, zabarwia się krwią. Guglielmo osuwa się na ziemię; wygląda na to, że stracił przytomność. Eva zbiera się do kolejnego ataku, ale Guglielmo zrywa się nagle i ją dopada. Atakuje z zaskoczenia i ściska jej szyję. Nieludzki krzyk rozdziera ciszę, ale sama już nie wiem, kto krzyczy. Ich ciała sczepiają się, zlewają w jedną postać: ręce, nogi, skrzydła i krew. I ten krzyk, pochłaniający wszystko – krzyk bestii która walczy o życie. W tej chwili są przerażająco podobni, są jed-

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

nością, jedną istotą. Jednym demonem, którego połowę kocham – i ta połowa w tej chwili daje się zabijać.

Ginie dla mnie.

Ciosy i znów ciosy. Nie widzę niczego, nie rozumiem, wychwytuję pojedyncze słowa zmieszane z jękami, zmieszane z bólem. Kto przegrywa?

Strużka szkarłatnej krwi płynie po skroni Guglielma, zalewa jego perłową twarz, szpeci go, plami.

Ciosy, jeszcze więcej ciosów, jeszcze więcej bólu. Kto przegrywa? Chcę to wiedzieć i mam ochotę krzyczeć.

Podnoszę się. Mam zawroty głowy, wszystko wiruje jak szalone, pokój czernieje i pulsuje. Kurczowo chwytam się okna wychodzącego na ulicę, opieram się o parapet, żeby znów nie paść na dłonie i kolana. I widzę ratunek: na dole, po ulicy, po tej układance kamieni, która wydaje się tak odległa, biegną dwie postacie.

– Pomocyyyy! – krzyczę, ile sił w płucach.

Wzrok znów mi się mąci, czyjaś ręka próbuje mnie oderwać od tej szczeliny w murze, od tej iskry nadziei.

Paznokciami czepiam się wnęki w ścianie, opieram się Evie, która szarpie mnie gwałtownie, pokój nagle zmienia się w czarny pasek przed moimi oczami, coraz bardziej niewyraźny.

– Pomocyyy! – wrzeszczę jeszcze głośniej.

Na dole, na ulicy, tamci dwaj zatrzymują się. Usłyszeli mnie i unoszą twarze: Lorenzo i Parys.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Orientują się, biegną do wejścia willi. Nie mam czasu, nie mam dość przytomności, żeby zadać sobie pytanie, dlaczego Parys i Lorenzo są razem.

Kolejne szarpnięcie. Eva chwyta mnie za włosy i odrywa od okna. Padam na bok, ale natychmiast się podnoszę, walcząc z cieniami, które przesłaniają mi oczy. Rzucam się na zamknięte drzwi, a za moimi plecami trwa bitwa. Twarz Guglielma jest wykrzywiona, dzika, w jego spojrzeniu nie ma już nic ludzkiego, i moje serce dopada nowy lęk, wysysa z niego nadzieję: gdzie się podział mój chłopak? Gdzie się podział demon o twarzy anioła? On jest taki sam jak ona. Są jednakowi, są tym samym. I właśnie do tego chciała doprowadzić Eva: chciała zniszczyć to, co w nim niedemoniczne, zmusić go, żeby stał się tym, czego domaga się od niego natura.

Klamka nie reaguje, drzwi są zamknięte na klucz. Zdzieram sobie skórę, tłukąc w deski, rzucam się na nie ramieniem. Ale to na nic. Za drzwiami słyszę głos Lorenza, który krzyczy moje imię, ale jego głos dociera do mnie jak szept, który musi się przebijać przez wrzaski w pokoju.

– Vittoria!

– Jestem tu! Błagam, otwórzcie te drzwi! – krzyczę przez łzy, które kapią mi na dłonie i na rany.

Lorenzo i Parys walą do drzwi, rzucają się na nie, kopią – są silni, ale zbyt słabi.

– Są zablokowane! – krzyczę.

Za moimi plecami pada cios silniejszy od innych. Słyszę przekleństwo Guglielma i widzę jego twarz

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

czerwoną od krwi, wykrzywioną w grymasie potwornego bólu.

– Lorenzo, błagam cię! Ona go zabije! – krzyczę z dziką rozpaczą, orząc paznokciami słoje drewnianych drzwi.

Wstrząsa nimi silniejszy cios, ale to jeszcze za mało.

Kolejny, ale i ten za słaby.

I cisza.

Nie czuję już nic: nie czuję bólu, nie czuję pieczenia ran zalanych słonymi łzami, oddycham z trudem. Ściskam w dłoniach ciężką, żelazną klamkę, ale tak naprawdę nie czuję nawet jej.

Umieram.

Nie czuję nic, widzę tylko jego.

Chwieje się i osuwa na kolana przed Evą, pokonany. Jego oczy są jeszcze pełne życia i wściekłości, ale ciało jest już unicestwione: żyły pulsują, eksplodują, pierś unosi się i opada w rytmie gasnącego oddechu, czoło pokrywa pot, krew płynie po skroniach i policzkach.

Oczy płonące cierpieniem wpatrują się w nią, uparcie czepiają się jej potwornej postaci.

– Idź do piekła – szepcze, patrząc jej w oczy.

– Ty nie widziałeś piekła – odpowiada ona obojętnym głosem. Unosi rękę jak siekierę, gotowa zadać ostatni cios. W tej chwili Guglielmo odwraca wzrok od niej i spogląda na mnie.

Ból, smutek, gorycz, miłość – jest w nich wszystko: wszystko w tym ostatnim, wymownym spojrzeniu,

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

zamazanym łzami i cierpieniem. W jego ostatnim spojrzeniu, dla mnie, tylko dla mnie.

Jego ostatnia sekunda.

Chcę, żeby była i moją.

Szpony Evy z nadludzką siłą spadają na Guglielma, ale go nie znajdują. Bo między nim a nią jestem ja.

Cios rozrywa mi twarz i szyję.

Nagle słyszę trzask drzwi, które nareszcie się poddają i pękają, mrożący krew krzyk Evy, która widzi, jak dwa anioły z białymi skrzydłami poplamionymi krwią wpadają do pokoju, i widzi demona klęczącego u jej stóp, wciąż żywego. Ja osuwam się na podłogę, nie czuję już nic, moje oczy zalewają łzy i krew. Ale to, co dzieje się w pokoju, dzieje się też wewnątrz mnie i mogę obserwować wszystko oczami duszy.

Dwa wściekłe anioły rzucają się na nią, zadają ciosy, zdzierają z niej skórę. Ona jest już zmęczona i dała się zaskoczyć. Guglielmo, półżywy, pada na podłogę i wyciąga rękę w moją stronę. Jego oczy są pełne łez.

Chciałabym się do niego uśmiechnąć, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że to już koniec i że przeżyliśmy razem naszą ostatnią sekundę. Ledwie dostrzegalnie poruszam wargami i próbuję dotknąć jego palców.

Słyszę głuchy łomot, jakby wielka, gliniana donica roztrzaskała się na cemencie.

A potem nierealna cisza.

– Musisz umrzeć – oznajmia głos Parysa. Stoi, czuję go obok siebie. Ale jego groźba jest skierowana do kogo innego.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

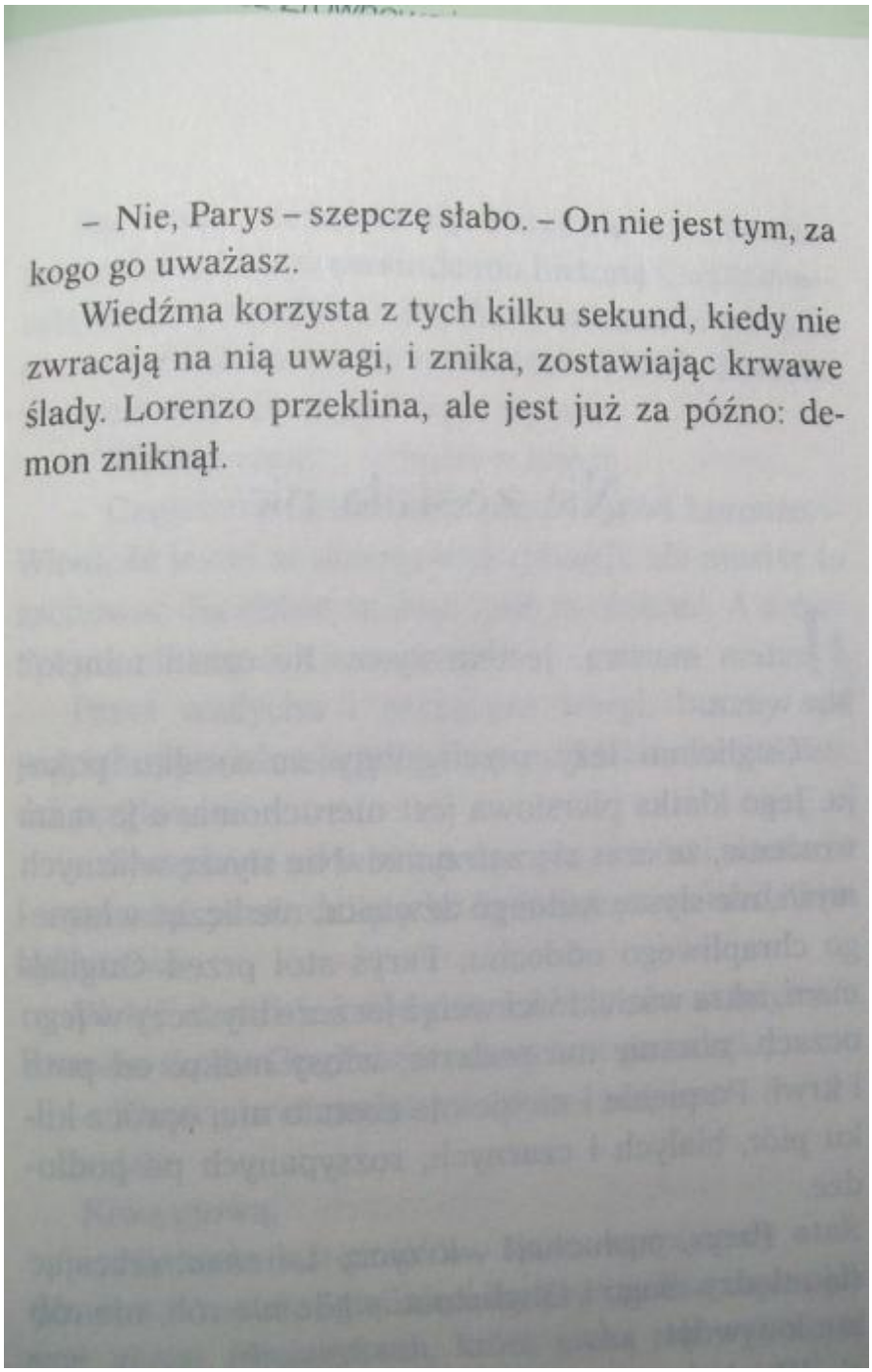

– Nie, Parys – szepczę słabo. – On nie jest tym, za kogo go uważasz.

Wiedźma korzysta z tych kilku sekund, kiedy nie zwracają na nią uwagi, i znika, zostawiając krwawe ślady. Lorenzo przeklina, ale jest już za późno: demon zniknął.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

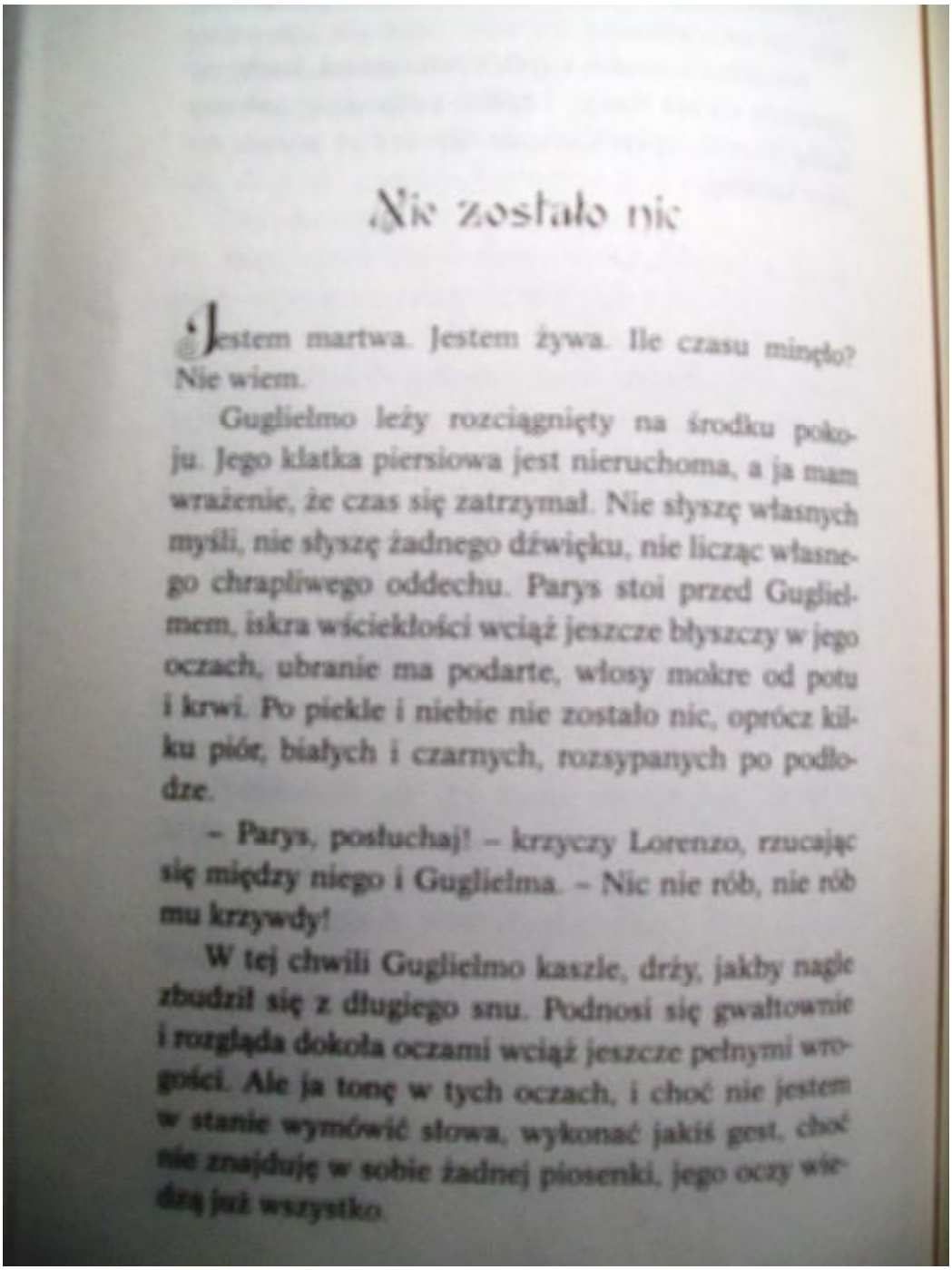

Nie zostało nic

Jestem martwa. Jestem żywa. Ile czasu minęło? Nie wiem.

Guglielmo leży rozciągnięty na środku pokoju. Jego klatka piersiowa jest nieruchoma, a ja mam wrażenie, że czas się zatrzymał. Nie słyszę własnych myśli, nie słyszę żadnego dźwięku, nie licząc własnego chrapliwego oddechu. Parys stoi przed Guglielmem, iskra wściekłości wciąż jeszcze błyszczy w jego oczach, ubranie ma podarte, włosy mokre od potu i krwi. Po piekle i niebie nie zostało nic, oprócz kilku piór, białych i czarnych, rozsypanych po podłodze.

– Parys, posłuchaj! – krzyczy Lorenzo, rzucając się między niego i Guglielma. – Nic nie rób, nie rób mu krzywdy!

W tej chwili Guglielmo kaszle, drży, jakby nagle zbudził się z długiego snu. Podnosi się gwałtownie i rozgląda dokoła oczami wciąż jeszcze pełnymi wrogości. Ale ja tonę w tych oczach, i choć nie jestem w stanie wymówić słowa, wykonać jakiś gest, choć nie znajduję w sobie żadnej piosenki, jego oczy wiedzą już wszystko.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Jego twarz rozluźnia się. Parys się cofa, słuchając Lorenza, który opowiada mu historię Guglielma – całą historię. Guglielmo słucha w milczeniu, jakby to nie on był bohaterem tej opowieści. A kiedy Lorenzo wreszcie milknie, oczy Parysa są inne.

– Miałem rację... – mówi w końcu.

– Częściowo, tylko częściowo – mówi Lorenzo. – Wiem, że jesteś w niezręcznej sytuacji, ale musisz to zachować dla siebie, musisz nam to obiecać. A zresztą i tak nikt by ci nie uwierzył.

Parys wzdycha i przygryza wargi, burczy coś przytakująco, ale nie potrafię powiedzieć, co mu chodzi po głowie.

– Poczekam na was na dworze – mówi wreszcie i wychodzi przez dziurę, w której jeszcze niedawno były drzwi.

W tej chwili już nic nie może mnie zatrzymać. Rzucam się do Guglielma i chwytam go za rękę.

– Znowu uratowałaś mi życie – szepcze.

– Ja?

Kiwa głową.

– Niewiele jest aniołów, które wytrzymały atak demona – mówi, oglądając ślady pazurów na mojej szyi, piersi, obojczykach, które pieką jak wypalone żelazem.

– Pozwól, że ci pomogę. – Lorenzo podchodzi do mnie.

Koncentruje się, muska rany dłońmi i palcami, dotyka opuszkami poszarpanej skóry.

Zaciskam zęby i się wzdrygam.

– Wiem, to trochę boli.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Jak otwarta rana posypana solą.

Ale ból szybko ustępuje miejsca uldze, która rozchodzi się po ranach od palców mojego przyjaciela, aż po chwili znika ostatni ślad bólu i ran.

– Dzięki.

Patrzę na moją nietkniętą skórę, która jeszcze chwilę temu była poharatana.

Lorenzo, wykończony przez wysiłek, na jaki się zdobył, odwraca się do Guglielma i pyta:

– A z tobą jak tam?

Guglielmo wzrusza ramionami. Rana na skroni nie jest głęboka, ale wciąż krwawi, szyja jest przecięta pazurem, a cała skóra pokryta ciemnymi, fioletowymi sińcami, które wyglądają jak cienie.

– Może coś poradzę.

– Nie, zaczekaj – powstrzymuję go.

Patrzy na mnie skołowany.

– Ja się tym zajmę.

Otwiera oczy jeszcze szerzej.

– Jak to?

– Ja to zrobię – mówię z przekonaniem.

– Dobrze, aniele, poczekam na was na dworze z Parysem, muszę z nim jeszcze porozmawiać.

Zostawia nas samych.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Jak nasza miłość

Delikatnie biorę Guglielma za ramiona i przyglądam się ranom na skroni i na szyi. Koniuszkami palców dotykam uszkodzonej skóry, bardzo ostrożnie, bojąc się, że zadam mu jeszcze większy ból. Rysuję linie na jego twarzy, na skroni i zakrwawionym policzku, brudząc sobie palce. Powoli muskam szyję pulsującą w miejscach, gdzie zieją otwarte rany.

– Powiedz mi, jeśli sprawiam ci ból.

– Nie, prawdę mówiąc, to nawet przyjemne.

– Dlatego, że cię głaszczę, czy dlatego, że rany zaczynają się goić?

– Jedno i drugie – przyznaje, dziękując mi bladym uśmiechem.

Rana na skroni wygląda lepiej, ale ślad znika powoli i z trudem. Nie przestaję dotykać szram, koncentruję się; nie chcę, żeby zostały mu blizny na twarzy i szyi.

– Ryzykowałaś dla mnie życie.

Odsuwam ręce.

– Miałam stać i patrzeć? – szepczę, z trudem powstrzymując dreszcze.

Kładzie mi dłoń na twarzy. Ciepło i słodycz przenikają moją skórę.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

Przyciskam jego dłoń do swojego policzka i patrzę mu prosto w oczy, prosto w duszę, zanurzam się w tej czerni, ciepłej i zimnej jak morze i światło nocy, próbuję zajrzeć na samo dno, dostrzec jego prawdziwe ja.

– Miałam stać z założonymi rękami i czekać, aż ona mi cię zabierze na zawsze? – mruczę. – Aż pozbawi mnie na zawsze tych oczu? Tego uśmiechu?

– Teraz zadajesz mi ból. Słuchanie takich słów boli o wiele bardziej niż te głupie zadrapania. Nie potrafię sobie wyobrazić, że mielibyśmy nie być razem. Nie potrafię sobie już wyobrazić życia bez ciebie.

Znów zabieram się do leczenia, starając się ignorować lęk, który budzą we mnie te słowa. W oddali słyszę dyskusję Lorenza i Parysa. Tu jest tylko cisza: ta cisza, jaką zawsze potrafimy stworzyć między sobą – nie zażenowania czy wstydu, nie taka, której należy unikać czy wypełniać pustymi słowami. Cisza, która nas dopełnia, koi i sprawia, że wszystko wydaje się magiczne.

Jest już prawie wieczór, niedługo będzie całkiem ciemno, niedługo skończy się ten dzień, a mimo to ranek wydaje mi się tak odległy.

Rany się goją, krew już nie płynie – kilka kropel zaschło na skórze i na ubraniach jak znak, że to wszystko nie był zły sen.

– Skończyłam – mówię cicho. – Nie wierzyłam, że to potrafię.

– Nie wierzyłaś też, że jesteś aniołem – mówi Guglielmo z uśmiechem.

– Ale co będzie teraz? Wrócą po was? – pytam, zmartwiona.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

– Nie wiem – odpowiada szczerze. – Teraz nie chcę o tym myśleć. Ale niech tylko spróbują nas zabrać. Niech tylko spróbują mnie z tobą rozdzielić.

Ściska mnie mocno i muska moje usta palcami.

– Nienawidzę cię – mruczę bezsilnie.

– Ja nie.

– Nienawidzę cię – powtarzam. – Nienawidzę cię, nie cierpię z całego serca. Doskonale wiem, że im więcej czasu upłynie, tym trudniej będzie mi się obejść bez ciebie. Nienawidzę cię!

– Vichi... pamiętasz tę piosenkę Pink Floydów, prawda?

– Tak.

– I co, myślisz, że potrafisz odróżnić niebo od piekła?

– W tej chwili mam z tym spory problem.

Udaje mi się sprowokować go do śmiechu.

Jest wieczór, my jesteśmy żywi, cali i zdrowi, jesteśmy razem. Nie ma nic więcej do powiedzenia.

– Dzięki, że uratowałaś mi życie – szepcze, gasząc słowa pocałunkiem.

– Dzięki, że mogłam ci się odwdzięczyć.

– Kocham cię. – Jego słowa są ciche jak myśl, która wymyka się z głowy. Mówi to z całą powagą, nie śni mi się to. Mówi to naprawdę.

Z czułością, z lękiem, z drżeniem w głosie, które dowodzi, że to nie jest żart, złudzenie, słowo rzucone na wiatr.

Wieczór robi się piękniejszy, cudowny, niepowtarzalny. Powietrze pachnie kwiatami, wypełnia się kolorami, uderza do głowy.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/

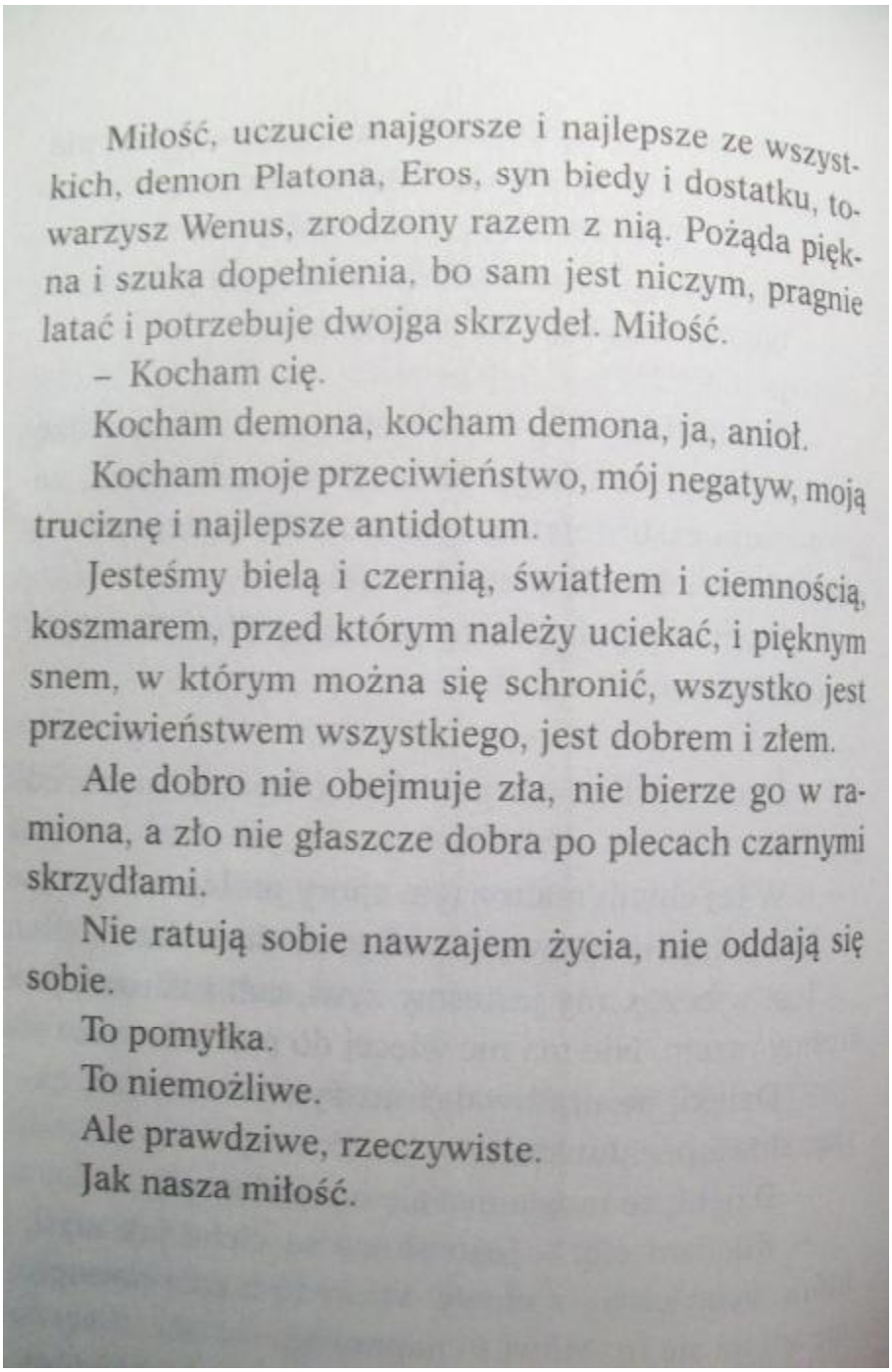

Miłość, uczucie najgorsze i najlepsze ze wszystkich, demon Platona, Eros, syn biedy i dostatku, towarzysz Wenus, zrodzony razem z nią. Pożąda piękna i szuka dopełnienia, bo sam jest niczym, pragnie latać i potrzebuje dwojga skrzydeł. Miłość.

– Kocham cię.

Kocham demona, kocham demona, ja, anioł.

Kocham moje przeciwieństwo, mój negatyw, moją truciznę i najlepsze antidotum.

Jesteśmy bielą i czernią, światłem i ciemnością, koszmarem, przed którym należy uciekać, i pięknym snem, w którym można się schronić, wszystko jest przeciwieństwem wszystkiego, jest dobrem i złem.

Ale dobro nie obejmuje zła, nie bierze go w ramiona, a zło nie głaszcze dobra po plecach czarnymi skrzydłami.

Nie ratują sobie nawzajem życia, nie oddają się sobie.

To pomyłka.

To niemożliwe.

Ale prawdziwe, rzeczywiste.

Jak nasza miłość.

PDF stworzony przez wersję demonstracyjną pdfFactory Pro www.pdffactory.pl/